

Jeszcze śmieszniejsza, niż

Stulatek, który wyskoczył
przez okno i **zniknął**

JONAS

JONASSON

wydawnictwo
ab

**ANALFABETKA
KTÓRA POTRAFIŁA**

LICZYĆ

Jonas Jonasson

ANALFABETKA,
KTÓRA POTRAFIŁA LICZYĆ

Przełożyła Bratumiła Pawłowska-Pettersson



Tytuł oryginału: *Analfabeten som kunde räkna*

Copyright © Jonas Jonasson 2013

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXV

Copyright © for the Polish translation by Bratumiła Pawłowska-Pettersson, MMXV

Wydanie I

Warszawa, MMXV

Przekład: Bratumiła Pawłowska-Pettersson

Redakcja: Jan Koźbiel

Korekta: Małgorzata Kluska, Beata Wójcik

Tłumaczka składa podziękowania za uwagi redakcyjne Lechowi Staszkielowi

Projekt okładki: Krzysztof Rychter

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

e-mail: biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-1704-7

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)

i Marcin Kapusta / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)

Spis treści

Część 1

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

Część 2

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

Część 3

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

Część 4

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

Część 5

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Część 6](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Część 7](#)

[Rozdział 24](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

Statystyczne prawdopodobieństwo, że mała analfabetka z Soweto lat siedemdziesiątych dorośnie i pewnego dnia znajdzie się w samochodzie do przewozu ziemniaków wraz z królem i premierem Szwecji, wynosi jeden do czterdziestu pięciu miliardów siedmuset sześćdziesięciu sześciu milionów dwustu dwunastu tysięcy ośmiuset dziesięciu.

Tak wynika z wyliczeń tejże analfabetki.

Część 1

Różnica między głupotą a geniuszem polega na tym, że geniusz ma swoje granice.

Albert Einstein

Rozdział 1

O dziewczynce w blaszanej budzie oraz o mężczyźnie, który po swojej śmierci ją stamtąd wyprowadził

Mozna się pokusić o twierdzenie, że czyściciele latryn w największej dzielnicy slumsów w Republice Południowej Afryki należeli do wybrańców losu. Mieli przecież pracę i dach nad głową.

A jednak według statystyk nie czekała ich żadna przyszłość. Większość z nich miała umrzeć przedwcześnie na gruźlicę, zapalenie płuc, wskutek biegunki, przedawkowania pigułek, alkoholu lub połączenia wszystkich tych czynników. Ten czy ów mógł przy odrobinie szczęścia dożyć pięćdziesiątki. Tak jak kierownik jednego z biur obsługi latryn w Soweto. Był jednak sterany i schorowany. Popijał zbyt dużą liczbę tabletek przeciwbólowych zbyt wieloma piwami o zbyt wczesnej porze. Aż raz odburknął coś niegrzecznie przedstawicielowi Wydziału do spraw Higieny Urzędu Miasta Johannesburga. Pyskaty czarnuch. Stosowny raport trafił do kierownika w Johannesburgu. Na drugi dzień w trakcie przedpołudniowej przerwy na kawę poinformował on swoich współpracowników, że najwyższy czas, by zastąpić kimś lepszym analfabetę w sektorze B.

Niezwykle skądinąd przyjemnej przerwy na kawę. Serwowano tort na powitanie nowego asystenta do spraw higieny. Nazywał się Piet du Toit, miał dwadzieścia trzy lata i była to jego pierwsza praca po studiach.

To właśnie nowy miał się zająć problemem w Soweto. Tak to się odbywało w Urzędzie Miasta Johannesburga. Nowo zatrudnionemu przydzielano analfabetów, żeby się zahartował; taki chrzest bojowy.

Tak naprawdę nikt nie wiedział, czy wszyscy czyściciele latryn faktycznie byli analfabetami, ale tak ich nazywano. Na pewno żaden z nich nie ukończył szkoły. Wszyscy mieszkali w blaszanych budach. I ni w ząb nie rozumieli, co się do nich mówi.

* * *

Piet du Toit czuł się nieswojo. Była to jego pierwsza wizyta u dzikusów. Na wszelki wypadek tatuś marszand najął mu ochroniarza.

Dwudziestotrzylatek wszedł do biura obsługi latryn i od razu skrzywił się z powodu okropnego zapachu. Za biurkiem siedział ów kierownik, który miał zostać zwolniony. A obok niego dziewczynka, która ku zaskoczeniu asystenta otworzyła usta i powiedziała, że kupa ma tę przykrą właściwość, iż śmierdzi.

Przez ułamek sekundy Piet du Toit zastanawiał się, czy mała sobie z niego drwi. Nie, to przecież niemożliwe.

Puścił jej słowa mimo uszu. Poinformował kierownika biura obsługi latryn, że musi się pożegnać z posadą. Tak zdecydowało szefostwo. Otrzyma jednak równowartość trzech pensji, jeżeli w ciągu tygodnia znajdzie na swoje miejsce trzech kandydatów.

– A mogę wrócić do pracy w charakterze czyściciela latryn, żeby zarobić trochę grosza? – zapytał zwolniony właśnie kierownik.

– Nie – odpowiedział Piet du Toit. – Nie możesz.

Po tygodniu asystent du Toit oraz jego ochroniarz ponownie zjawili się w biurze. Zwolniony kierownik siedział za swoim biurkiem, zapewne po raz ostatni. Obok niego stała ta sama dziewczynka co poprzednio.

– Gdzie twoi trzej kandydaci? – zapytał asystent.

Zwolniony z przykrością poinformował, że dwóch nie mogło się niestety stawić. Poprzedniego wieczora jednemu poderżnięto gardło w trakcie bójk. A gdzie podział się drugi, nie wiadomo. Kto wie, może ma nawrót.

Piet du Toit nie chciał wiedzieć, o jaki nawrót może tu chodzić. Jedno wiedział na pewno: chciał już stąd wyjść.

– No a trzeci kandydat? – zapytał ze złością.

– Ta mała tutaj. Od dobrych kilku lat pomaga mi przy tym i owym. Zuch dziewczyna.

– Przecież nie mogę, do cholery, zatrudnić kogoś, kto ma dwanaście lat, na stanowisku kierownika biura obsługi latryn!

– Czternaście – sprostowała dziewczyna. – A pracuję tu od dziewięciu.

Fetor był nie do wytrzymania. Piet du Toit bał się, że przejdzie nim jego garnitur.

– Zaczęłaś już ćpać? – zapytał.

– Nie – odparła dziewczyna.

– Jesteś w ciąży?

– Nie.

Asystent milczał przez chwilę. Naprawdę nie chciał tu powracać częściej, niż to konieczne.

– Jak się nazywasz?

– Nombeko.

– Nombeko, a dalej?

– Mayeki, chyba.

Rany boskie, oni nawet swoich nazwisk nie znają.

– Zatrudnię cię, jeśli obiecasz, że będziesz się trzymać z daleka od używek.

– Obiecuję.

– No dobra. – Asystent zwrócił się do zwolnionego: – Mówiliśmy o trzech pensjach w zamian za trzech kandydatów. Należy ci się zatem jedna pensja za jednego kandydata. Minus jedna za to, że nie zaproponowałaś nic lepszego niż dwunastolatka.

– Czternastolatka – poprawiła go dziewczynka.

Piet du Toit wyszedł bez pożegnania. Ochroniarz podązał dwa kroki za nim.

Dziewczyna, która właśnie została szefową swego byłego szefa, podziękowała mu za pomoc i oznajmiła, że od teraz on będzie jej prawą ręką.

– A co na to Piet du Toit? – spytał dotychczasowy kierownik.

– Zmienimy ci nazwisko. Jestem pewna, że asystent nie odróżnia jednego Murzyna od drugiego.

Tak powiedziała czternastolatka, która wyglądała na dwunastolatkę.

* * *

Nowo mianowana kierowniczką oczyszczalni latryn sektora B w Soweto nigdy nie chodziła do szkoły. Jej mama miała inne priorytety. No i dziewczynka przyszła na świat akurat w Republice Południowej Afryki. Do tego na początku lat sześćdziesiątych, kiedy akurat rząd uznał, że dzieci pokroju Nombeko się nie liczą. Ówczesny premier zasłynął retorycznym pytaniem, po co czarni mają uczęszczać do szkół, skoro i tak nadają się tylko do noszenia drewna albo wody.

Ale mylił się – Nombeko nosiła kupy, a nie drewno czy wodę. Jednak nie istniały żadne powody, by sądzić, że to cherlawe dziewczę, gdy dorośnie, będzie się zadawać z królami i prezydentami. Albo siać postrach wśród narodów. Czy też mieć wpływ na losy świata.

Gdyby nie była tym, kim była.

Na przykład pracowitym dzieckiem. Już jako pięciolatka dźwigała duże jak ona sama beczki na nieczystości. Na ich opróżnianiu zarabiała dokładnie tyle, żeby na prośbę matki móc codziennie kupić flaszkę rozcieńczalnika. Matka mówiła: „Dzięki, kochaneczko”, odkręcała flaszkę i zaczynała uśmierzać odwieczny ból wywołany przez świadomość, że ani sobie, ani dziecku nie potrafi zapewnić przyszłości. Tatuś Nombeko nie przebywał długo w pobliżu swojej córki i oddalił się już dwadzieścia minut po zapłodnieniu jej matki.

Nombeko rosła i opróżniała coraz więcej latryn. Pieniądzy starczało już nie tylko na rozcieńczalnik, ale też na pigułki i alkohol. Dziewczynka, widząc, że tak dalej być nie może, powiedziała matce, że albo z tym skończy, albo umrze.

Mama pokiwała głową ze zrozumieniem.

Na pogrzebie było tłoczno. W Soweto nie brakowało ludzi, którzy zajmowali się głównie dwiema sprawami: powolnym wykańczaniem się i uczestniczeniem w ostatnim pożegnaniu tych, którym się to udało. Mama zmarła, kiedy Nombeko miała dziesięć lat, a ojciec, jak wiadomo, był nieosiągalny. Dziewczynka rozważała, czy nie pójść w ślady matki i nie stworzyć sobie chemicznej ochrony przed rzeczywistością. Ale kiedy przyszła pierwsza wypłata po śmierci mamy, postanowiła, że jednak kupi coś do jedzenia. A jak już zaspokoila głód, rozejrzała się i zapytała samą siebie:

– Co ja tutaj robię?

Zdawała sobie jednak sprawę, że na razie nie ma wyboru. Południowoafrykański rynek pracy nie upominał się w pierwszej kolejności o dziesięcioletnie analfabetki. W drugiej zresztą też nie. W tej części Soweto nie istniał zresztą żaden rynek pracy, a zdolnych do jej wykonywania było jak na lekarstwo. Ale nawet najnędniesze ludzkie okazy na tym padole muszą się wypróżniać. To z kolei stwarzało Nombeko okazję do zarobkowania. A skoro mama była już martwa, Nombeko miała całą pensję dla siebie.

Dla zabicia czasu podczas pracy zaczęła liczyć beczki, a miała wtedy jakieś pięć lat.

– Jedna, dwie, trzy, cztery, pięć...

Z czasem komplikowała zadania, aby wciąż były dla niej wyzwaniem:

– Piętnaście beczek razy trzy nawrotki razy siedmiu tragarzy plus jeden, który siedzi i nic nie robi, bo jest zbyt pijany... równa się... trzysta piętnaście.

Matka Nombeko widziała niewiele poza flaszką rozcieńczalnika, dostrzegła jednak, że córka potrafi dodawać i odejmować. Dlatego jakoś na rok przed śmiercią zaczęła korzystać z jej pomocy, kiedy trzeba było porozdzielać między budy pochodzące z paczek pigułki w różnych kolorach i o różnej mocy. Butelka rozcieńczalnika to butelka rozcieńczalnika. Ale żeby pięćdziesięcio-, stu-, dwustupięćdziesięcio- i pięćsetmiligramowe tabletki zagospodarować wedle życzenia i finansowych możliwości

odbiorców, trzeba się już znać na arytmetyce. No a dziesięciolatka się znała. I to całkiem nieźle.

Kiedyś na przykład była akurat w pobliżu swojego szefa, gdy ten zmagął się z comiesięcznym raportem.

– Dziewięćdziesiąt pięć razy dziewięćdziesiąt dwa równa się... – mruzczał pod nosem. – Gdzie się podział kalkulator?

– Osiem tysięcy siedemset czterdzieści – powiedziała Nombeko.

– Pomóż mi lepiej znaleźć kalkulator, mała.

– Osiem tysięcy siedemset czterdzieści – powtórzyła Nombeko.

– Co takiego?

– Dziewięćdziesiąt pięć razy dziewięćdziesiąt dwa to osiem tysięcy siedemset czter...

– A skąd to niby wiesz?

– No, tak sobie myślę, że dziewięćdziesiąt pięć to sto minus pięć, dziewięćdziesiąt dwa to sto minus osiem, jeśli pan to odwróci i odejmie, to obie dadzą osiemdziesiąt siedem. A pięć razy osiem równa się czterdzieści. Osiemdziesiąt siedem czterdzieści. Osiem tysięcy siedemset czterdzieści.

– Ale dlaczego rozumiesz w ten sposób? – zapytał zdumiony szef.

– Bo ja wiem – odparła Nombeko. – Możemy wrócić do pracy?

Tego dnia awansowała na asystentkę szefa.

Jednak w tej potrafiącej liczyć analfabecie stopniowo wzbierała frustracja. Nie rozumiała bowiem, co zwierzchnicy z Johannesburga wypisywali we wszystkich tych rozporządzeniach, które lądowały na biurku jej szefa. Szefowi też zresztą czytanie przychodziło z trudem. Męczył się z każdym tekstem w języku afrikaans i wertował słownik angielskiego, próbując to, co zupełnie niezrozumiałe, przybliżyć sobie jakoś w języku, który zrozumieć się dało.

– Czego chcą tym razem? – pytała czasem Nombeko.

– Żebyśmy lepiej wypełniali worki – odpowiedział szef. – Tak mi się przynajmniej wydaje. Albo chcą zlikwidować jeden z sanitariatów. Nie jestem pewien.

Szef westchnął. Asystentka nie mogła mu pomóc. Więc i ona westchnęła.

Tak się jednak złożyło, że pod prysznicem w przebieralni zakładu oczyszczalni latryn trzynastoletnią Nombeko zaczął napastować pewien obleśny typ. Szczęśliwie, zanim oblech zdążył się do niej dobrać, dziewczyna skierowała jego myśli na inny tor, wbijając mu w udo nożyczki.

Następnego dnia wypatrzyła go za rzędem latryn w sektorze B. Z zabandażowanym udem siedział przed swoją zieloną budą na rozkładanym krzeselku. Na kolanach trzymał... książki.

– Czego tu szukasz? – zapytał.

– Wczoraj chyba zostawiłam w pana udzie nożyczki. Chciałabym je odebrać.

– Wyrzuciłem je.

– A więc jest mi pan winny nożyczki – powiedziała dziewczynka.

– Gdzie się pan nauczył czytać?

Oblech miał na imię Thabo i brakowało mu połowy zębów. Potwornie bolało go udo i nie miał najmniejszej ochoty na pogaduszki z narwaną dziewczuchą. Tyle że po raz pierwszy, odkąd przyjechał do Soweto, ktoś zainteresował się jego książkami. Miał ich w budzie pełno, przez co przezywano go tu Trzepnięty Thabo. Ale w głosie tej siedzącej naprzeciwko niego dziewczyny pobrzmiwała raczej zazdrość, a nie szyderstwo. Może dałoby się to jakoś wykorzystać?

– Gdybyś była posłuszna, a nie taka agresywna, wujek Thabo mógłby ci o tym opowiedzieć. Kto wie, może mógłby cię nauczyć literek i słów. Jeśli tylko będziesz posłuszna.

Nombeko nie zamierzała być w kontaktach z oblechem bardziej posłuszna niż poprzedniego dnia pod prysznicem. Odpowiedziała więc, że na szczęście jest w posiadaniu jeszcze jednej pary nożyczek. Wolałaby się jednak z nimi nie rozstawać i nie wbijać ich w drugie udo wujka Thabo. Ale jeśli wujek będzie się porządnie zachowywał – i nauczy ją czytać – udo numer dwa pozostanie nienaruszone.

Thabo nie do końca rozumiał. Czy ta mała mu groziła?

Nie było tego widać, ale Thabo był zamożny.

Urodził się pod brezentem w Port Elizabeth w Prowincji Przylądkowej Wschodniej. Kiedy miał sześć lat, policja zabrała jego mamę i nigdy już jej nie przyprowadziła z powrotem. Tata uznał, że chłopak jest dostatecznie duży, by dać sobie radę, choć sam miał z tym problemy.

„Uważaj na siebie” – tak w skrócie brzmiały życiowe porady ojca. Poklepał syna po ramieniu, a sam ruszył do Durbanu. Tam został zastrzelony podczas kiepsko zaplanowanego napadu na bank.

Sześcioletni Thabo żył z tego, co udało mu się ukraść w porcie. W najlepszym razie miał dorosnąć, następnie zostać przyłapany na gorącym uczynku, a w końcu trafić do ciupy albo zostać zastrzelony, jak jego rodzic.

Ale tak się złożyło, że w jego slumsie od lat mieszkał pochodzący z Hiszpanii marynarz, kucharz i poeta, wyrzucony kiedyś za burtę przez dwunastu głodnych marynarzy, którzy chcieli obiadu, a nie sonetów.

Hiszpan dopłynął do lądu, znalazł sobie jakąś budę i odtąd żył wierszami swoimi i cudzymi. Gdy z czasem popsuł mu się wzrok, dorwał Thabo i w zamian za chleb wymusił na nim opanowanie sztuki czytania. Potem, za trochę więcej chleba, chłopak czytał staremu na głos. A ten nie dość, że całkiem ośleplł, to jeszcze zramolał, a na śniadanie, obiad i kolację żywił się jedynie Pablem Nerudą.

Marynarze mieli rację – nie da się żyć samą poezją. Stary przyk zagłodził się na śmierć, a Thabo przywłaszczył sobie wszystkie jego książki. Po prawdzie nikt inny nie był nimi zainteresowany.

Dzięki umiejętności czytania chłopak podłapywał w porcie różne fuchy. Wieczorami zaczytywał się poezją, literaturą piękną, a przede wszystkim książkami podróźniczymi. W wieku szesnastu lat odkrył płęć przeciwną, a dwa lata później ona odkryła jego. Dopiero bowiem mając osiemnaście lat, wypracował skuteczną metodę. W jednej trzeciej opierała się ona na czarującym uśmiechu, w jednej trzeciej na wymyślonych historyjkach o przygodach podczas podróży, które dotąd odbył jedynie w wyobraźni, a w jednej trzeciej na bujdach o tym, że ich miłość będzie trwać wiecznie. Sukces

osiągał jednak tylko wtedy, gdy oprócz uśmiechu, historyjek i kłamstw odwoływał się do literatury. Częścią odziedziczonej po hiszpańskim marynarzu spuścizny było wykonane przez niego tłumaczenie *Dwudziestu wierszy o miłości i jednej pieśni o rozpacz* Pabla Nerudy. Thabo wyrwał z książki strony z pieśnią o rozpacz, a dwadzieścia wierszy o miłości wypróbował w dzielnicach portowych na dwudziestu młodych kobietach, dziewiętnaście razy przeżywając krótkotrwałą miłość. Przeżyłby ją może i po raz dwudziesty, gdyby ten idiota Neruda nie zakończył wiersza słowami: „Już jej nie kocham, to pewne”, co Thabo odkrył, gdy było już za późno.

Po kilku latach wszyscy w okolicy wiedzieli, co to za jeden, ten Thabo. Szanse na nowe literackie uniesienia z malały. I nie szło mu najlepiej nawet wtedy, kiedy zaczął łączyć z równą fantazją jak król Leopold II, który opowiadał, że tubylcy w Kongu Belgijskim mają się dobrze, a w tym samym czasie kazał odrąbywać ręce i nogi wszystkim, którzy nie chcieli pracować za darmo.

Także Thabo miała za to wszystko spotkać kara (zresztą jak belgijskiego króla, który najpierw utracił kolonię, potem roztrwoniał majątek na swoją francusko-rumuńską utrzymankę, a w końcu umarł). Ale przedtem wyruszył z Port Elizabeth na północ i dotarł do Basuto, gdzie mieszkali ponoć posiadaczki najwspanialszych krągłości.

Pozostał tam przez kilka lat; kiedy zmuszały go do tego okoliczności, przenosił się do innej wsi. Dzięki umiejętności czytania i pisania zawsze znajdował jakąś pracę. Został nawet głównym negocjatorem europejskich misjonarzy, pragnących dostępu do kraju i jego nieoświeconych mieszkańców. Wódz ludu Basuto, Jego Ekscelencja Seeiso, nie widział co prawda sensu w chrystianizacji swojego ludu, ale rozumiał, że kraj potrzebuje ochrony przed okolicznymi Burami. Kiedy z inicjatywy Thabo misjonarze w zamian za prawo do rozdawania egzemplarzy Biblii zaoferowali broń, wódz nie zastanawiał się ani chwili.

Księża i diakoni zjechali tłumnie, aby zbawić od złego lud Basuto. Przywieźli ze sobą biblie, broń maszynową i trochę min przeciwpiechotnych.

Dzięki broni można było trzymać wroga na dystans, a bibliami przemarznięci mieszkańcy gór palili, by się ogrzać. I tak przecież nie potrafili czytać. Kiedy dowiedzieli się o tym misjonarze, zmienili strategię i w krótkim czasie zbudowali sporo chrześcijańskich świątyń.

Thabo miał się różnych zajęć, był na przykład pomocnikiem pastora. Opracował nawet własną metodę nakładania rąk, którą praktykował wybiórczo i w ukryciu.

Na froncie miłosnym tylko raz mu się nie powiodło – wtedy, gdy w pewnej górskiej wiosce wyszło na jaw, że jedyny chórzysta płci męskiej przysiągł wierność do grobowej deski co najmniej pięciu z dziewięciu młodych chórzystek. Miejscowy pastor, Anglik, przez cały czas domyślał się, o co Thabo naprawdę chodzi. Bo śpiewać to on nie potrafił.

Pastor skontaktował się z ojcami pięciu dziewcząt, którzy postanowili, że podejrzany zostanie przesłuchany w tradycyjny sposób. Podczas pełni Księżyca Thabo miał zostać posadzony gołym tyłkiem na mrowisku i z pięciu stron dżgany dzidami. W oczekiwaniu na odpowiednie położenie Księżyca Thabo zamknięto w szałasie, którego pilnował pastor. Od tego pilnowania dostał udaru słonecznego i zszedł nad rzekę, by nawrócić hipopotama. Delikatnie dotknął dłonią jego pyska i powiedział, że Jezus gotów jest...

Dalej nie doszedł, bo hipopotam otworzył paszczę i przegryzł go na pół.

Jako że pastor oraz naczelnik więzienia byli nieobecni, Thabo udało się z pomocą Pabla Nerudy nakłonić strażniczkę, by otworzyła szałas.

– A co z nami? – krzyknęła za nim strażniczka, gdy puścił się przez sawannę co sił w nogach.

– Już cię nie kocham, to pewne! – odkrzyknął jej Thabo.

Można by pomyśleć, że nad Thabo czuwał Pan, bo podczas swojej dwudziestokilometrowej nocnej wędrówki do stolicy Maseru nie natknął się ani na lwy, ani na gepardy, ani na nosorożce, ani na

żadną inną dziką zwierzynę. Na miejscu wystarał się o posadę doradcy wodza Seeiso, który pamiętał go z dawnych czasów i ucieszył się z jego powrotu. Wódz negocjował z wyniosłymi Brytyjczykami niepodległość kraju, jednak bez sukcesu. Ten przyszedł dopiero, gdy pojawił się Thabo i oświadczył, że jeśli panowie dalej będą tacy uparci, Basuto zwróci się po pomoc do Josepha Mobutu.

Brytyjczycy zdębieli. Joseph Mobutu? Ten, który właśnie ogłosił światu, że zastanawia się nad zmianą imienia na Wszechpotężny Wojownik, Który Nie Zaznał Porażki Dzięki Swej Niezwykłej Wytrzymałości i Niezlomnej Woli i Który Krocząc od Zwycięstwa do Zwycięstwa, Pozostawia za Sobą Jedynie Zgliszcza?

– Ten sam – odparł Thabo. – Skądinąd jeden z moich najbliższych przyjaciół. Żeby było prościej, zwracam się do niego Joe.

Delegacja brytyjska poprosiła o możliwość rozmowy we własnym gronie, podczas której ustalono, że region potrzebuje spokoju, a nie wszechpotężnego wojownika, któremu wydaje się, że jest kimś innym, niż jest. Brytyjczycy powrócili do stołu negocjacyjnego i oznajmili:

– Kraj jest wasz.

Basuto stało się Lesoto, władca Seeiso królem Moshoeshoe II, a Thabo faworytem władcy. Traktowano go jak członka rodziny i obdarowano workiem wartych majątek nieoszlifowanych diamentów, pochodzących z najlepszej kopalni w kraju. Któregoś dnia jednak Thabo jakby zapadł się pod ziemię. Zyskał w ten sposób cenne dwadzieścia cztery godziny, nim król dowiedział się, że jego młodsza siostra i oczko w głowie, delikatna księżniczka Maseeiso, spodziewa się dziecka.

Ktoś, kto był czarny, brudny i pozbawiony połowy zębów, nijak nie mógł wtopić się w świat białych. Po tym nieszczęśliwym incydencie w byłym Basuto Thabo pośpieszył więc do Soweto, gdy tylko u najbliższego jubilera spieniężył najmniej wartościowy ze swoich diamentów. Tam znalazł wolną budę w sektorze B. Wprowadził się,

wypchał buty banknotami i zakopał pod klepiskiem mniej więcej połowę swoich diamentów. Pozostałymi wypełnił braki w uzębieniu.

Zanim zaczął niezliczonym kobietom składać zbyt wiele obietnic, przemałował budę na zielono. To imponowało paniom. Kupił też linoleum, którym przykrył klepisko.

Thabo podrywał we wszystkich sektorach Soweto. Po jakimś czasie zaczął jednak omijać ten, w którym mieszkał, by w przerwach między podbojami móc sobie w spokoju poczytać przed swoją budą.

Poza czytaniem i uwodzeniem podróżował. Po Afryce, wzdłuż i wszerz, dwa razy do roku. Po tych wojazach był bogatszy o nowe przygody i książki.

Zawsze jednak wracał do swojej budy. Przede wszystkim dlatego, że połowa jego majątku nadal znajdowała się trzydzieści centymetrów pod linoleum; dolne zęby Thabo przecież były w zbyt dobrym stanie, by wszystko zmieściło się w ustach.

Po kilku latach w Soweto zaczęli gadać. Skąd ten dziwak od książek ma pieniądze? Żeby ukrócić plotki, Thabo postanowił podjąć jakąś pracę. Najłatwiej było na kilka godzin w tygodniu nająć się do czyszczenia latryn.

Pracowali tam prawie wyłącznie młodzi pijaczkowie bez przyszłości. Ale zdarzały się też dzieci. A wśród nich ta trzynastolatka, która wbiła mu nożyczki w udo tylko dlatego, że wszedł do niewłaściwej kabiny prysznicowej. Czy raczej właściwej. To z tą małą było coś nie tak. Zdecydowanie za młoda. Zero krągłości. Thabo zainteresował się nią tylko z braku laku.

Cios zadany nożyczkami przez dziewczynę sprawił mu ból. A ta teraz stoi tu przed jego budą i chce, by nauczył ją czytać.

– Chętnie bym ci pomógł, ale jutro wyjeżdżam – powiedział Thabo i pomyślał, że najlepiej by było, gdyby zrobił to, co właśnie powiedział, że zrobi.

– Wyjeżdżasz? – zdziwiła się Nombeko, która w swoim trzynastoletnim życiu nigdy nie była poza Soweto. – Dokąd?

– Na północ. A potem się zobaczy.

* * *

Pod nieobecność Thabo Nombeko zrobiła się starsza o rok i awansowała. Szybko wykazała się jako szefowa. Zmyślnie podzieliła swój sektor, biorąc pod uwagę demografię, a nie rozmiar czy opinię, jaką się cieszył, dzięki czemu bardziej efektywnie dało się rozmieścić wychodki.

– Poprawa o trzydzieści procent – pochwalił ją jej poprzednik.

– Trzydzieści przecinek dwa – poprawiła go Nombeko.

Podaż zaspokajała popyt i odwrotnie, więc w budżecie znalazły się pieniądze na cztery nowe sanitariaty.

Nombeko wygadana była niezwykle, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę, jak wyrażali się mężczyźni, w których towarzystwie na co dzień przebywała (każdy, kto miał kiedykolwiek okazję porozmawiać z czyścicielem latryn w Soweto, wie, że połowa tego, co ów mówi, nie nadaje się do druku, a reszta nawet do pomyślenia). Dziewczyna miała wrodzoną umiejętność wystawiania się. Poza tym w rogu biura stało radio, które Nombeko włączała za każdym razem, gdy tylko znalazła się w jego pobliżu. Nastawiała jakiś kanał, gdzie dużo gadano, i z zaciekawieniem słuchała nie tylko tego, co mówią, ale też w jaki sposób.

To dzięki cotygodniowemu programowi *Co słyszeć w Afryce* po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że istnieje jeszcze jakiś świat poza Soweto. Niekoniecznie piękniejszy czy więcej obiecujący. Po prostu poza Soweto.

Pomyślała tak na przykład wtedy, gdy Angola uzyskała niepodległość. Partia narodowo-wyzwoleńcza PLUA połączyła się z partią narodowo-wyzwoleńczą PCA, by stworzyć partię narodowo-wyzwoleńczą MPLA, która wspólnie z partiami narodowo-wyzwoleńczymi FNLA i UNITA sprawiła, że Portugalczycy pożałowali, iż w ogóle odkryli tę część kontynentu. Portugalczycy, którzy przez ponad czterysta lat swojego panowania nie zbudowali tam ani jednego uniwersytetu.

Analfabetka Nombeko nie do końca rozeznawała się w tym, która kombinacja liter co oznacza. Tak czy siak, wszystko to doprowadziło do *zmiany*. A „zmiana” i „jedzenie” to według Nombeko najpiękniejsze słowa. Kiedyś zdarzyło się jej powiedzieć głośno przy swoich współpracownikach, że wszystkim im przydałaby się jakaś

zmiana. Ale wtedy zaczęli narzekać, że szefowa gada o polityce. Nie dość, że całymi dniami dźwigają gówno, to jeszcze muszą tego wysłuchiwać.

Jako szefowa zakładu oczyszczania latryn Nombeko musiała znosić nie tylko wszystkich tych latrynowych kolegów, ale też asystenta Pietu du Toit z Wydziału do spraw Higieny Urzędu Miasta Johannesburga. Kiedy pojawił się pierwszy raz po mianowaniu jej na szefową, zakomunikował, że w związku z kiepską sytuacją finansową nie powstaną cztery, tylko jeden nowy sanitariat. Nombeko zemściła się w typowy dla siebie sposób.

– A zmieniając temat: jak pan asystent zapatruje się na rozwój wypadków w Tanzanii? Czyżby socjalistyczny eksperyment Juliusa Nyerere okazał się kompletną klapą? Co pan asystent o tym sądzi?

– W Tanzanii?

– Tak, deficyt zboża wynosi tam obecnie prawie milion ton. Pytanie, co by zrobił Nyerere, gdyby nie Międzynarodowy Fundusz Walutowy. A może pan asystent postrzega go jako problem sam w sobie?

Tak powiedziała dziewczynka, która nigdy nie chodziła do szkoły i nigdy nie wyściubiła nosa poza Soweto. Do asystenta, który reprezentował władzę. Który ukończył uniwersytet. I który nie miał zielonego pojęcia o sytuacji politycznej w Tanzanii. Asystent był już biały z natury. A od wywodów dziewczyny zrobił się biały jak ściana.

Piet du Toit poczuł się poniżony przez tę czternastoletnią analfabetkę. Która w dodatku zakwestionowała sporządzony przez niego dokument dotyczący wydatków na higienę.

– Skąd pan asystent to wziął? – zapytała Nombeko, która samodzielnie nauczyła się czytać cyfry. – Dlaczego pan pomnożył przez siebie wartości oczekiwane?

Analfabetka, która potrafiła liczyć.

Nienawidził jej.

Wszystkich ich nienawidził.

* * *

Po kilku miesiącach wrócił Thabo. Pierwsze, co odkrył, to że dziewczynka od nożyczek została jego szefową. I że to już nie jest dziewczynka. Zaokrągliła się tu i ówdzie.

Na wpół bezzębny Thabo musiał stoczyć wewnętrzną walkę. Z jednej strony instynkt, by zdać się na swój obecnie nieco dziurawy uśmiech, talent do nawijania i Pabla Nerudę. Z drugiej to, że była jego szefową. No i wspomnienie nożyczek. Postanowił przyjąć postawę wyczekującą, ale jednocześnie być w gotowości.

– Najwyższa pora, żebym cię nauczył czytać – oznajmił.

– To wspaniale! – odparła Nombeko. – Zacznijmy już dziś po pracy. Odwiedzimy cię w twojej budzie, ja i moje nożyczki.

Thabo był dobrym nauczycielem. A Nombeko pojętą uczennicą. Już trzeciego dnia potrafiła na gliniastej ziemi przed domem Thabo narysować patykiem alfabet. Po pięciu dniach umiała napisać całe zdania. Najpierw częściej z błędami. Po dwóch miesiącach częściej poprawnie.

W przerwach od nauki Thabo opowiadał jej o swoich podróżniczych przygodach. Wkrótce Nombeko połąpała się, że co najwyżej jedna część rzeczywistości przypada na dwie części bajań. Ale w zasadzie nie miała nic przeciwko temu. Jej rzeczywistość była dostatecznie podła i to w zupełności wystarczało.

W czasie swojej ostatniej podróży Thabo odwiedził Etiopię, żeby zdetronizować Jego Cesarską Wysokość, Lwa Plemienia Judy, wybrańca Boga, króla królów.

– Hajle Sellasjego – wtrąciła Nombeko.

Thabo nie zareagował; wolał mówić niż słuchać.

Historia o cesarzu nazywanym Ras Tafari, od którego wziął się ruch Rastafari i cała religia, popularna zwłaszcza w Indiach Zachodnich, była tak dobra, że Thabo wolał zachować ją na dzień, w którym przypuści atak. Tak czy siak, cesarz został właśnie strącony z tronu. Po świecie błakali się zdeorientowani, otumanieni haszyszem uczniowie, zdziwieni, że ten, który miał być mesjaszem, inkarnacją Boga, został nagle zdetronizowany. Zdetronizować Boga?

Nombeko powstrzymała się od pytań o tło polityczne tych dramatycznych wydarzeń. Była bowiem prawie pewna, że Thabo nie ma o tym zielonego pojęcia, a zbyt wiele pytań mogło popsuć zabawę.

– Opowiedz coś jeszcze! – zachęcała go.

Według Thabo sprawy szły w dobrym kierunku (że też można się aż tak pomylić). Przysunął się odrobinę w stronę dziewczyny i dalej opowiadał, jak to w drodze powrotnej wstąpił do Kinszasy, gdzie pomagał Muhammadowi Alemu przed The Rumble in the Jungle, walką o mistrzostwo świata z niezwyciężonym George'em Foremanem.

– Niesamowite – powiedziała Nombeko i pomyślała, że opowieść sama w sobie taka właśnie była.

Thabo uśmiechnął się tak szeroko, że między zębami, które jeszcze mu się ostały, Nombeko dostrzegła jakieś świcidelka.

– No, właściwie to o pomoc poprosił mnie Niezwyciężony, ale powiedziałem, że... – zaczął Thabo i skończył dopiero, gdy Foreman został w ósmej rundzie znokautowany, a Ali podziękował swojemu serdecznemu przyjacielowi Thabo za nieocenioną pomoc.

A tak na marginesie, żona Alego była czarująca.

– Żona Alego? – zapytała Nombeko. – Nie chcesz chyba powiedzieć, że...

Thabo zaśmiał się, aż zadzwoniło mu w głowie, po czym spoważniał i przysunął się jeszcze bliżej.

– Jesteś bardzo ładna, Nombeko – powiedział. – O wiele ładniejsza niż żona Alego. A gdybyśmy tak się spiknęli? Wyjechali gdzieś razem?

I objął ją.

Nombeko pomyślała, że „wyjechali gdzieś” brzmi wspaniale. Dokądkolwiek. Ale na pewno nie z tym obleśnym dziadem. Uznała, że lekcja właśnie dobiegła końca. Wbiła nożyczki w drugie udo Thabo i sobie poszła.

Następnego dnia wróciła do budy Thabo i uświadomiła mu, że wziął wolne, nie zgłosiwszy tego.

Thabo na to, że zbyt bołą go oba uda, zwłaszcza jedno, a panienska Nombeko już sama wie dlaczego.

Racja. A będzie bolało jeszcze bardziej. Jeżeli wujek Thabo nie zacznie porządnie się zachowywać, to następnym razem zamiast w uda będzie celować nożyczkami między nogi.

– Poza tym wczoraj słyszałam i widziałam, co tam trzymasz w tej swojej paskudnej gębie. Jeśli się nie opamiętasz, wszystkim o tym powiem.

Thabo zmartwił. Doskonale wiedział, że długo nie pożyje, jak ludzie dowiedzą się o jego diamentowym majątku.

– Czego ty właściwie ode mnie chcesz? – jęknął.

– Chcę tu przychodzić, czytać twoje książki i nie musieć za każdym razem zabierać ze sobą nowej pary nożyczek. Takie nożyczki to spory wydatek dla kogoś, kto w ustach ma zęby, a nie coś zupełnie innego.

– Nie możesz po prostu sobie pójść? – odpowiedział Thabo. – Jeżeli zostawisz mnie w spokoju, dam ci jeden diament.

Wcześniej przekupstwa mu się udawały, ale nie tym razem. Nombeko oznajmiła, że nie jest zainteresowana. To, co do niej nie należy, nie należy do niej.

Dużo później, w innej części świata, miało się okazać, że życie jest o wiele bardziej skomplikowane.

* * *

Jak na ironię, kres życiu Thabo położyły dwie kobiety. Dorastały w Portugalskiej Afryce Wschodniej i utrzymywały się z zabijania oraz okradania białych farmerów. W czasie wojny domowej interes szedł dobrze. Jednak wraz z odzyskaniem niepodległości i zmianą nazwy na Mozambik farmerzy, którzy się jeszcze ostali, otrzymali czterdzieści osiem godzin na opuszczenie kraju. Kobiety nie miały zatem wyjścia i zaczęły zabijać dobrze sytuowanych czarnych. Był to o wiele mniej opłacalny biznes, bo niemal wszyscy czarni posiadający coś wartego zwędzenia należeli do obecnie rządzącej partii marksistowsko-leninowskiej. Nie upłynęło więc wiele czasu,

a kobiety były już poszukiwane listem gończym i ścigane przez policję. Wtedy wyruszyły na południe. I znalazły doskonałą kryjówkę – Soweto pod Johannesburgiem.

O ile zaletą największych slumsów Republiki Południowej Afryki było to, że można się tu było wtopić w tłum (pod warunkiem że się było czarnym), o tyle wadą, że każdy z białych farmerów w Portugalskiej Afryce Wschodniej miał więcej niż osiemset tysięcy mieszkańców Soweto razem wziętych (wyłączając Thabo). Kobiety połknęły jednak kolorowe pigułki i wyruszyły na polowanie. Po jakimś czasie dotarły do sektora B i tam, za rządkiem latryn, pośród szarobrazowych bud zauważyły jedną zieloną. Ktoś, kto przemalował swoją budę na zielono (czy na jakikolwiek inny kolor), musi mieć za dużo pieniędzy, pomyślały kobiety, włamały się w środku nocy, wbiły w pierś Thabo nóż i go przekreśliły. Tak to mężczyzna, który złamał serca wielu kobiet, sam skończył z własnym pociachanym na kawałki.

Jak już wyzionął ducha, kobiety przejrzały walające się wszędzie książki. Co za świra tym razem kropnęły?

W końcu w jednym bucie ofiary znalazły plik banknotów, w drugim jeszcze jeden. Po czym mało rozważnie rozsiadły się przed budą, by podzielić łup. Mieszanka tabletek i rumu sprawiła, że straciły poczucie czasu i przestrzeni. I tak sobie siedziały, szczerząc się głupio, aż tu niespodzianie pojawiła się policja.

Kobiety zostały ujęte i na trzydzieści lat przekształcone w pozycję w budzie południowoafrykańskiego więziennictwa. Banknoty, które usiłowały przeliczyć, znikły w toku policyjnej procedury. Zwłoki Thabo pozostawiono do następnego dnia. Południowoafrykańscy policjanci, gdy tylko mogli, dla hecy wrabiali kolegów z kolejnej zmiany w uprzątnięcie zdechłego czarnucha.

Nombeko obudziły hałasy dobiegające zza latryn. Ubrała się, poszła w tym kierunku i domyśliła się, co się wydarzyło.

Gdy policja odjechała z morderczyniami i pieniędzmi Thabo, Nombeko weszła do jego budy.

– Byłeś podłym człowiekiem, ale bawiły mnie twoje kłamstwa. Będzie mi ciebie brakowało. A przynajmniej twoich książek.

Otworzyła usta Thabo i wyjęła z nich czternaście nieoszlifowanych diamentów, bo dokładnie tyle zmieściło się w ubytkach po jego zębach.

– Czternaście dziur, czternaście diamentów – powiedziała. – Nie za akuratnie?

Thabo nie odpowiedział. Nombeko zrolowała linoleum i zaczęła kopać.

– Tak myślałam – powiedziała, gdy znalazła to, czego szukała.

Potem przyniosła wodę i ściereczkę, którą obmyła Thabo. Wyciągnęła go z budy i okryła swoim jedynym prześcieradłem. Mimo wszystko należało mu się trochę szacunku. Nie za dużo. Ale trochę tak.

Nombeko zaszyła wszystkie diamenty w podszewce swojej jedynej kurtki, wróciła do siebie i położyła się do łóżka.

Następnego dnia szefowa zakładu oczyszczania latryn postanowiła dłużej pospać. Miała sporo do przemyślenia. Kiedy wreszcie spóźniona weszła do biura, wszyscy czyściciele latryn byli na miejscu. Pod nieobecność szefowej złopali właśnie trzecie przedpołudniowe piwko. Już przy drugim zaczęli psioczyć na Hindusów, tę rasę podludzi. Najbardziej wyszczekany opowiadał właśnie, jak to jeden taki usiłował załatać dziurę w dachu swojej budy tekturą.

Nombeko przywołała ich do porządku, pozbierała butelki z niedopitym piwem i oznajmiła, że zawsze podejrzewała, iż obecni tu panowie w głowach mają jedynie zawartość latryn, które opróżniają. Czy są aż tak durni, by nie potrafić pojąć, że głupota jest niezależna od rasy?

Wyszczekany odparował, że szefowa najwyraźniej nie rozumie, jak ważne po porannym opróżnieniu siedemdziesięciu pięciu beczek jest móc wypić w spokoju piwko i nie musieć wysłuchiwać głędzenia o tym, jacy to wszyscy jesteśmy równi.

Nombeko miała ochotę w odpowiedzi pacnąć go w czoło rolką papieru toaletowego, ale żal jej było rolki. Zarządziła powrót do pracy. Po czym wróciła do swojej budy. I znów powiedziała do siebie:

– Co ja tutaj robię?

Następnego dnia kończyła piętnaście lat.

* * *

W dniu swoich piętnastych urodzin Nombeko miała odbyć od dawna zaplanowaną rozmowę na temat budżetu z Pietem du Toit z Wydziału do spraw Higieny Miasta Johannesburga. Tym razem asystent lepiej się przygotował. Dokładnie przejrzał księgi rachunkowe. Da popalić tej małej.

– Sektor B przekroczył budżet o jednaście procent – oznajmił i spojrzął na Nombeko przez okulary, których tak naprawdę nie potrzebował, ale dzięki którym wyglądał na starszego, niż faktycznie był.

– Nieprawda – odpowiedziała Nombeko.

– Skoro mówię, że sektor B przekroczył budżet o jednaście procent, to tak jest – powiedział Piet du Toit.

– A skoro ja mówię, że pan asystent liczy tak, jak rozumuje, to tak jest. Proszę dać mi chwilkę – rzekła Nombeko; wyrwała Pietowi du Toit kartkę z obliczeniami, pośpiesznie je przejrzała i wskazała na rządęk dwudziesty. – Rabat, który tutaj wynegocjowałam, otrzymaliśmy w formie nadprogramowej dostawy. Jeśli wyceni się ją na podstawie rzeczywistej kwoty po rabacie, a nie fikcyjnej ceny katalogowej, zniknie to bzdurne jednaście procent. Poza tym pomylił się panu plus z minusem. Gdybyśmy liczyli tak jak pan asystent, bylibyśmy jednaście procent *poniżej* budżetu. I to też byłby błąd.

Piet du Toit poczerwieniał. Czy ta dziewczyna nie zna swojego miejsca? Jak by to wyglądało, gdyby każdy mógł sobie definiować, co jest poprawne, a co błędne. Nienawidził jej bardziej niż kiedykolwiek. Nie wiedział jednak, co powiedzieć. Oznajmił więc:

– W biurze sporo rozmawialiśmy na twój temat.

– Aha – odpowiedziała Nombeko.

– Uznaliśmy, że jesteś trudna we współpracy.

Do Nombeko dotarło, że wkrótce zostanie zwolniona.

– Aha – powiedziała.

– Obawiam się, że muszę cię przesunąć gdzie indziej. Z powrotem do szeregowych pracowników.

Było to więcej, niż zaproponowano jej poprzednikowi. Nombeko pomyślała, że asystent musi być w dobrym humorze.

– Aha.

– Czy „aha” to wszystko, co masz do powiedzenia? – warknął Piet du Toit.

– No, mogłabym oczywiście powiedzieć panu du Toit, jakim jest idiotą, ale szanse, że to do niego dotrze, są bliskie zeru. Tego nauczyły mnie lata pracy z czyścicielami latryn. Tutaj bowiem, musi pan wiedzieć, też jest wielu idiotów. Lepiej odejść i nie oglądać już pana du Toit – powiedziała Nombeko i to właśnie zrobiła.

Powiedziała i nim Piet du Toit zdążył zareagować, już jej nie było. Nie miał ochoty zapuszczać się między budy na poszukiwania. Jeśli o niego chodzi, dziewczyna może się ukrywać w tych swoich slumsach, aż wykończy ją gruźlica, narkotyki albo jakiś inny analfabeta.

– Tfu – powiedział i skinął na opłaconego przez tatusia ochroniarza. Pora wracać do cywilizacji.

Nombeko straciła więc nie tylko kierownicze stanowisko, ale też pracę w ogóle. A tym samym ostatnią pensję.

Spakowała do plecaka swoje nic niewarte szpargały. Ubrania na zmianę, trzy książki Thabo i dwadzieścia lasek suszonego mięsa antylopy, które kupiła za ostatnie pieniądze.

Książki już przeczytała i znała na pamięć. Książki – już samo ich istnienie – kojarzyły jej się z czymś przyjemnym. Mniej więcej tak jak czyściciele latryn, tyle że na odwrót.

Nastał wieczór, w powietrzu czuło się chłód. Nombeko włożyła swoją jedyną kurtkę. Położyła się na swoim jedynym materacu i przykryła swoją jedyną kołdrą (jedyne prześcieradło zostało wykorzystane jako całun). Nazajutrz rano zamierzała wyruszyć w drogę.

Wiedziała już dokąd.

Poprzedniego dnia przeczytała o tym miejscu w gazecie. Wybierała się na 75 Andries Street w Pretorii.

Do Biblioteki Narodowej.

Czarnych nie obowiązywał tam ponoć zakazu wstępu, może więc przy odrobinie szczęścia uda się jej wejść do środka. Nie miała pomysłu, co by tam mogła robić poza oddychaniem i podziwianiem widoku. Ale na początek to wystarczy. Czuła, że literatura poprowadzi ją dalej.

Z tym przekonaniem po raz ostatni zasnęła w budzie, którą pięć lat wcześniej odziedziczyła po mamie. Na ustach miała uśmiech.

Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło.

Wyruszyła z nadejściem poranka. Czekala ją długa droga. Jej pierwszy w życiu spacer poza granice Soweto miał liczyć dziewięćdziesiąt kilometrów.

Po ponad sześciu godzinach, po pokonaniu dwudziestu sześciu z dziewięćdziesięciu kilometrów, Nombeko dotarła do Johannesburga. Tu był inny świat! Już choćby to, że otaczali ją głównie biali ludzie, uderzająco podobni do Pieta du Toit. Nombeko rozglądała się ciekawie wśród zgiełku. Patrzyła na neony i światła uliczne. Na lśniące nowe samochody nieznanych jej marek. Kiedy obróciła się nieznacznie, by mieć lepszy widok, dostrzegła, że jeden z nich pędzi chodnikiem prosto na nią.

Zdążyła pomyśleć, że to całkiem ładny samochód.

Ale uciec już nie zdążyła.

* * *

Inżynier Engelbrecht van der Westhuizen spędził popołudnie w barze hotelu Hilton Plaza przy Quartz Street, po czym usiadł za kółkiem swojego nowego opla admirała i ruszył na północ.

Ale nie jest łatwo – i nigdy nie było – prowadzić samochód z litrem brandy we krwi. Inżynier właśnie dotarł do najbliższego skrzyżowania, gdy wraz ze swoim oplem zatoczył się na chodnik i – a niech to diabli! – chyba przejechał czarnucha?

Dziewczyna pod kołami samochodu inżyniera miała na imię Nombeko i do niedawna pracowała jako czyścicielka latryn. Przyszła na świat w blaszanej budzie w największych slumsach Republiki Południowej Afryki piętnaście lat i jeden dzień temu. W bliskości alkoholu, rozcieńczalnika i tabletek miała żyć przez pewien krótki czas, a następnie umrzeć w błocie pośród latryn sektora B w Soweto.

Ale akurat jej, Nombeko, udało się wyrwać. Opuściła swoją budę po raz pierwszy i ostatni.

Dotarła do centrum Johannesburga, by znaleźć się pod kołami opla admirała.

To już wszystko? – pomyślała, zanim straciła przytomność.

Ale nie, to nie było wszystko.

Rozdział 2

O tym, jak w innej części świata wszystko zaczęło być na wspak

Nombeko została potrącona przez samochód dzień po swoich piętnastych urodzinach. Ale przeżyła. Potem miało być już lepiej. Ale też gorzej. Na pewno inaczej.

Pośród wszystkich mężczyzn, którzy mieli stanąć na drodze Nombeko, nie było Ingmara Qvista z Södertälje w oddalonej o dziewięć tysięcy pięćset kilometrów Szwecji. A jednak jego los miał znacząco wpłynąć na jej życie.

Trudno powiedzieć, kiedy dokładnie Ingmar postradał zmysły, bo szaleństwo skradało się podstępnie. Wiadomo, że wszystko nabrało rozpędu jesienią 1947 roku. Pewne jest też to, że ani on, ani jego żona nie chcieli przyjąć do wiadomości, jak było naprawdę.

Ingmar i Henrietta pobrali się, gdy cały niemal świat ogarnięty był wojną. Przeprowadzili się do małego domku w lesie pod Södertälje, ponad trzydzieści kilometrów na południe od Sztokholmu.

On był urzędnikiem niższego szczebla, ona pracowitą krawcową, mającą własny przydomowy zakład.

Po raz pierwszy spotkali się pod salą numer 2 w Sądzie Rejonowym w Södertälje, gdzie rozstrzygano spór między Ingmarem a ojcem Henrietty po tym, jak którejś nocy ten pierwszy wielkimi na metr literami nabazgrał „Niech żyje król!” na ścianie lokalu Szwedzkiej Partii Komunistycznej. Gdzie komunizm, a gdzie król! Toteż nazajutrz o świcie podniesiono raban, gdy bazgroły zobaczył ojciec Henrietty, szychy komunistyczna z Södertälje.

Ingmara ujęto szybko, zwłaszcza że po tym wybryku zasnął na ławce w parku nieopodal posterunku policji, tuląc do piersi pojemnik z farbą i pędzel.

W sądzie zaiskrzyło między pozwanym Ingmarem a widzem Henriettą. Po części dlatego, że Henriettę nęcił zakazany owoc,

przede wszystkim jednak sprawił to fakt, że Ingmar był taki... pełen wigoru... w odróżnieniu od jej ojca, który tylko czekał, aż wszystko szlag trafi. Wtedy on i komunizm będą mogli przejąć stery, choćby w Södertälje. Ojciec zawsze miał duszę rewolucjonisty. Ale tamtego dnia – 7 kwietnia 1937 roku – zmienił się i stał się zgorzkniały. Podpisał wtedy coś, co okazało się licencją radiową numer dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć. Nazajutrz trzysta trzydzieści kilometrów dalej, w Hudiksvall, wieszowano krawcowi, który podpisał milionową umowę. Dostał nie tylko gratulacje (zaproszono go do radia!), ale też pamiątkowy puchar o wartości sześciuset koron. Ojciec Henrietty dostał natomiast białej gorączki.

Nigdy tego nie przeboleł. Owego dnia utracił i tak już niewielką umiejętność dostrzegania radości w czymkolwiek, a już na pewno nie w wyskoku polegającym na oddaniu hołdu królowi Gustawowi V na ścianie lokalu partii komunistycznej. Sam wniósł powództwo w imieniu partii, domagając się osiemnastu lat więzienia dla Ingmara Qvista, ostatecznie skazanego na piętnaście koron grzywny.

Przeciwnościom losu nie było końca. Najpierw ta sprawa z umową. I niewątpliwy zawód po wyroku sądu w Södertälje. Córka, która niedługo potem wpadła w ramiona zwolennika króla. No i ten podły kapitalizm, który wciąż spadał na cztery łapy. A kiedy jeszcze Henrietta postanowiła, że pobiorą się z Ingmarem w *kościelę*, ojciec zerwał kontakty z nią, a niedługo potem jego żona zerwała stosunki z nim. Na stacji w Södertälje poznała nowego faceta, niemieckiego attaché wojskowego, tuż przed końcem wojny wyjechała z nim do Berlina i nigdy już nie dała znaku życia.

Henrietta pragnęła mieć dzieci, jak najwięcej. Ingmar w zasadzie nie miał nic przeciwko temu, podobał mu się też sam proces prokreacji. Choćby ten zupełnie pierwszy raz, w samochodzie taty Henrietty, dwa dni po procesie. Ale sobie wtedy pobaraszkowali! Potem jednak Ingmar musiał się ukrywać w piwnicy swojej ciotki przed przyszłym teściem, który szukał go po całym Södertälje. Nie powinien był zostawiać w samochodzie użytego kondomu.

No, ale co się stało, to się nie odstanie. I tak cud, że zdobył jakoś karton amerykańskich wojskowych prezerwatyw. Wszystko należało bowiem robić w odpowiedniej kolejności.

Ingmar nie stosował się jednak do tej zasady, gdy w grę wchodziła jego kariera i zabezpieczenie rodziny. Pracował na poczcie w Södertälje, czy raczej w *królewskim urzędzie pocztowym*, jak sam mawiał. Pensję miał przeciętną i wszystko wskazywało na to, że taka pozostanie.

Henrietta zarabiała prawie dwa razy tyle co małżonek. Szybko i zręcznie posługiwała się igłą i nicią. Miała spore i wierne grono klientów; rodzinie nieźle by się mogło wieść, gdyby nie Ingmar i jego talent do przepuszczania wszystkiego, co udało się oszczędzić Henriecie.

Dzieci chętnie, owszem. Najpierw jednak Ingmar musiał wypełnić swoje życiowe zadanie. Co wymagało skupienia. Do tego czasu sprawy drugoplanowe nie miały racji bytu.

Henriecie nie spodobało się określenie męża. Dzieci to życie, przyszłość, a nie jakieś sprawy drugoplanowe.

– Jeśli tak to ma wyglądać, zabieraj swój karton z amerykańskimi prezerwatywami wojskowymi i wynoś się na kanapę w kuchni – oznajmiła.

Ingmar był zakłopotany. Wcale przecież nie chciał przez to powiedzieć, że dzieci są sprawą drugoplanową, tyle tylko że... No, Henrietta dobrze przecież wie. Chodzi o Jego Królewską Wysokość. Musi to najpierw załatwić, co przecież nie potrwa wieczność.

– Ukochana, słodka Henrietto. Nie możemy spać dziś razem? Trochę poćwiczyć z myślą o przyszłości?

Serce Henrietty oczywiście zmiękło. Tak jak wiele razy przedtem i wiele razy potem.

Za swoje życiowe zadanie Ingmar uważał uściśnięcie dłoni szwedzkiemu królowi. Było to pragnienie, które z czasem przeistoczyło się w cel jego egzystencji. Trudno dokładnie określić, kiedy stał się on obsesją. Łatwiej określić, kiedy i gdzie to wszystko się zaczęło.

W sobotę 16 czerwca 1928 roku Jego Królewska Wysokość Gustaw V obchodził siedemdziesiąte urodziny. Ingmar Qvist, wówczas czternastoletni, pojechał z mamą i tatą do Sztokholmu, aby najpierw pomachać pod zamkiem szwedzką flagą, a następnie przejść do Skansenu – były tam niedźwiedzie i wilki! Ale musieli zmodyfikować swoje plany. Pod zamkiem było zbyt tłoczno, rodzina postanowiła więc stanąć kilkaset metrów dalej, na trasie uroczystego przejazdu króla, który wraz z Wiktorią miał podróżować w otwartym lando.

Tak też się stało. Przy czym sprawy przybrały korzystniejszy obrót, niż mama i tata Ingmara mogli sobie wymarzyć. Tuż obok rodziny Qvistów stało około dwudziestu uczniów ze szkoły z internatem Lundsberg. Znaleźli się tam, by wręczyć Jego Wysokości kwiatki i podziękować za wsparcie, jakiego następcą tronu Gustaw Adolf udzielił ich szkole. W związku z tym zaplanowano krótki przystanek, aby król mógł wysiąść, przyjąć bukiet i podziękować dzieciom.

Wszystko szło zgodnie z planem, król otrzymał kwiatki, ale kiedy już miał wejść z powrotem do powozu, dostrzegł Ingmara. I przystanął.

– Jaki piękny chłopczyk – powiedział, zrobił dwa kroki w jego stronę i zmierzył mu czuprynę. – Czekał, masz tu – dodał jeszcze i z wewnętrznej kieszeni wyjął arkusz jubileuszowych znaczków, dopiero co wprowadzonych do obiegu dla upamiętnienia tego wyjątkowego dnia. Wręczył znaczki młodemu Ingmarowi, uśmiechnął się i rzekł: – Ale jesteś słodziutki. – Ponownie potargał mu włosy, po czym dołączył do patrzącej z ukosa królowej.

– Podziękowałaś ładnie, Ingmarku? – zapytała mama, gdy już doszła do siebie po tym, jak Jego Wysokość musnął jej synka i na dodatek dał mu prezent.

– Nieee-e – wyjąkał Ingmar, stojąc z arkuszem znaczków w dłoni. – Nic nie powiedziałem. Był taki jakiś... zbyt dostojny.

Oczywiście znaczki stały się najdroższym skarbem Ingmara. Dwa lata później podjął pracę na poczcie w Södertälje. Zaczął od

najniższego stanowiska urzędnika w księgowości, a po szesnastu latach nie zajmował ani stopień wyższego.

Ingmar był bezgranicznie dumny ze swego postawnego monarchy. Każdego dnia Gustaw V spoglądał majestatycznie gdzieś obok niego ze wszystkich znaczków, z którymi jego wierny poddany stykał się w pracy. Ingmar odwzajemniał spojrzenie z uniżeniem i uwielbieniem, siedząc w królewskim mundurze urzędnika pocztowego, choć w wydziale skarbowym nie miał takiego obowiązku.

Tyle tylko że król patrzył gdzieś obok Ingmara. Tak jakby nie dostrzegał swojego poddanego i w związku z tym nie mógł przyjąć jego uwielbienia. Ingmar bezgranicznie pragnął napotkać wzrok monarchy. Przeprosić za to, że wtedy, gdy miał tylko czternaście lat, nie podziękował. Zadeklarować dozoną lojalność. Ono było coraz silniejsze, to pragnienie, by mu spojrzeć w oczy, porozmawiać z nim, podać mu rękę.

Coraz silniejsze.

I silniejsze.

Jego Wysokość był przecież coraz starszy. Wkrótce może być za późno. Ingmar Qvist nie może już dłużej czekać, aż któregoś dnia król zajrzy do urzędu pocztowego w Södertälje. Przez te wszystkie lata to właśnie było jego marzeniem. Pora jednak, by je porzucić.

Król nie odwiedzi Ingmara.

Zatem to Ingmar musi odwiedzić króla.

A potem postarają się z Henriettą o dziecko, tak jak jej obiecał.

* * *

Początkowo dość skromne życie rodziny Qvistów z biegiem czasu stawało się coraz skromniejsze. Ingmar przepuszczał pieniądze na to, by zbliżyć się do króla. Słał do niego listy miłosne (obklejając koperty zbyt wieloma znaczkami), wydzwaniał (łącząc się, rzecz jasna, jedynie z nieszczęsnym sekretarzem dworu), wysyłał podarki w postaci uwielbianych przez króla szwedzkich wyrobów ze srebra (utrzymując w ten sposób nie do końca uczciwego ojca pięciorga

dzieci, którego zadaniem była rejestracja wszystkich prezentów dla króla). Oprócz tego odwiedzał turnieje tenisowe i wszelkie inne imprezy, na których mógł pojawić się król. To z kolei wymagało opłacania kosztownych podróży i kupowania biletów wstępu. A jednak Ingmar nigdy nie znalazł się dostatecznie blisko Jego Wysokości.

Rodzinnym finansom nie pomagało też to, że z nerwów Henrietta zaczęła – jak wszyscy w tamtych czasach – wypalać od jednej do kilku paczek johnów silverów dziennie.

Szef Ingmara w pocztowej księgowości był tak udręczony jego gadaniem o przeklętym monarsze oraz jego poprzednikach, że za każdym razem, gdy urzędnik niższego szczebla Qvist ubiegał się o urlop, szef wyrażał zgodę, nim jeszcze ten zdążył złożyć podanie.

– Panie kierowniku, czy mógłby mi pan dać dwa tygodnie urlopu w najbliższym czasie? Zamierzam...

– Zezwalam.

Do Ingmara zaczęto się zwracać jego inicjałami. Dla szefów i kolegów był teraz „IQ”.

– Życzę IQ powodzenia w realizacji kolejnego idiotycznego przedsięwzięcia – mawiał kierownik.

Ingmar nie przejmował się tym, że był obiektem kpin. W odróżnieniu od pozostałych pracowników urzędu pocztowego w Södertälje jego życie miało jakiś cel i sens.

Ingmar przedsięwziął jeszcze trzy poważne próby, zanim wszystko zaczęło być na wspak. Najpierw, odziany w swój pocztowy mundur, udał się do pałacu Drottningholm i zadzwonił do bramy.

– Dzień dobry. Nazywam się Ingmar Qvist, przybywam z królewskiego urzędu pocztowego i mam sprawę do Jego Królewskiej Mości. Czy może być pan tak miły i mu to przekazać? – powiedział do wartownika.

– Brak ci piątej klepki czy co? – odparł stróż.

Rozpoczęła się nieprowadząca do niczego wymiana zdań, aż w końcu Ingmar został poproszony o niezwłoczne opuszczenie posesji. W przeciwnym razie strażnik dopilnuje, by urzędnik

pocztowy został zebrany do kupy, zapakowany i odesłany do urzędu pocztowego, z którego przybył.

Ingmar poczuł się urażony i pośpiesznie określił przypuszczalną wielkość organu płciowego wartownika, po czym musiał salwować się ucieczką, ścigany przez tamtego. Upiekło mu się, po części dzięki temu, że był trochę szybszy, ale przede wszystkim dlatego, że strażnik miał zakaz oddalania się od bramy, w związku z czym musiał zawrócić.

Po tym incydencie Ingmar przez dwa dni skradał się pod wysokim na trzy metry ogrodzeniem, poza zasięgiem wzroku tego gamonia spod bramy, który najwidoczniej nie pojmował, co jest dla króla najlepsze. W końcu zrezygnował i wrócił do hotelu, służącego mu za bazę całej operacji.

– Czy życzy pan sobie rachunek? – zapytał recepcjonista, który już od jakiegoś czasu podejrzewał, że ten gość to jakiś cwaniaczek.

– Tak, poproszę – odpowiedział Ingmar, poszedł do pokoju, spakował torbę i wymeldował się przez okno.

Drugą poważną próbę – zanim wszystko zaczęło być na wspak – Ingmar podjął po tym, jak przeczytał krótką notkę w „Dagens Nyheter”. Przeczytał ją na biurowym klozecie. Przesiadывał tam, by wymigać się od pracy. Otóż król bawił w pałacu Tullgarn na kilkudniowym polowaniu na łosie. Ingmar zadał sobie retoryczne pytanie: gdzie znajdują się łosie? Na łonie natury. A na łonie natury mogą przebywać wszyscy! Zarówno królowie, jak i zwykli urzędnicy królewskiej poczty.

Ingmar spuścił dla niepoznaki wodę i poszedł ubiegać się o kolejne wolne dni. Kierownik wyraził zgodę, komentując przy tym z rozbijającą szczerością, że nawet nie zauważył powrotu Qvista z poprzedniego urlopu.

Ponieważ już od dawna nikt w Södertälje nie chciał pożyczyć Ingmarowi samochodu, pojechał autobusem aż do Nyköping, gdzie dzięki wzbudzającej zaufanie powierzchowności udało mu się wypożyczyć starego fiata 518. Popędził do Tullgarn z prędkością, na jaką pozwalało marnych czterdzieści osiem koni.

W połowie drogi minął go czarny cadillac, V8, model z 1939 roku. Król, jakżeby inaczej. Wracął z polowania. Po raz kolejny wymykał się Ingmarowi.

W mgnieniu oka zawrócił swoim wypożyczonym fiatem. Na szczęście droga prowadziła w dół, dzięki czemu udało mu się dogonić szybsze o sto koni auto króla. Próbował je wyminąć, by potem na środku drogi upozorować awarię silnika. Zdenerwowany szofer króla dodał jednak gazu, żeby nie podpaść Jego Królewskiej Mości tym, że dał się wyprzedzić fiatowi. Niestety, spoglądał raczej w lusterko wsteczne niż przed siebie. Na zakręcie cadillac, król i pozostali pasażerowie wjechali wprost do wypełnionego wodą rowu.

Pasażerom nic się nie stało. Ingmar nie mógł jednak tego wiedzieć. W pierwszym odruchu chciał wyskoczyć z samochodu i pomóc królowi, a przy okazji uścisnąć mu dłoń. Ale już jego drugą myślą było: a co, jeśli zabił starszego pana? Trzecią zaś: trzydzieści lat ciężkich robót to dość wysoka cena za uściśnięcie dłoni. Zwłaszcza gdyby była to dłoń truposza. Ingmar podejrzewał też, że nie zaskarbiłby tym sobie sympatii rodaków. Mordercy królów rzadko ją wzbudzają.

Zawrócił.

Zaparkował wynajęty samochód pod lokalem komunistów w Södertälje, w nadziei, że wina spadnie na teścia. Stamtąd udał się do domu do Henrietty i powiedział, że być może zamordował króla, którego tak wielbił. Henrietta pocieszała go, że na tym królewskim zakręcie¹ wszystko na pewno dobrze się skończyło, a jeśli nie, to będzie to z korzyścią dla rodzinnego budżetu.

Następnego dnia prasa poinformowała, że jadący z dużą prędkością samochód Gustawa V zjechał do rowu. Król nie doznał żadnych obrażeń. Henrietta przyjęła tę wiadomość z mieszanymi uczuciami. Pomyślała, że mąż dostał porządną nauczkę. Z nadzieją zapytała, czy zakończył już swój pościg za królem.

Odpowiedź brzmiała: nie.

Trzecia poważna próba – zanim wszystko zaczęło być na wspak – to podróż Ingmara na Riwierę Francuską, do Nicei, gdzie Gustaw V,

wówczas już osiemdziesięcioośmioletni, bawił zawsze późną jesienią w celu podleczenia nieżyty oskrzeli. W jednym z niewielu wywiadów król wyznał, że w ciągu dnia przesiaduje na tarasie swojego apartamentu w Hotel d'Angleterre, o ile nie odbywa codziennego spaceru po Promenade des Anglais.

Ta informacja wystarczyła Ingmarowi. Uda się tam, spotka króla podczas spaceru, podejdzie i się przedstawi.

Nie wiadomo, co miało wydarzyć się potem. Może gawędziliby przez chwilę, a gdyby nastrój był sprzyjający, Ingmar mógłby zaprosić króla na wieczornego drinka w hotelu. A może i na partyjkę tenisa następnego dnia?

– Tym razem się uda – powiedział Ingmar do Henrietty.

– Świetnie – burknęła. – Widziałeś gdzieś moje papierosy?

Ingmar przejechał autostopem przez Europę. Zajął mu to tydzień, ale gdy już dotarł do Nicei, wystarczyły dwie godziny na ławce na Promenade des Anglais, by ujrzał postawnego dżentelmena ze srebrną laseczką i monoklem. Boże, jaki on piękny! Zbliżał się powoli. No i był sam.

To, co nastąpiło potem, Henrietta wiele lat później potrafiła odtworzyć w najdrobniejszych szczegółach, ponieważ Ingmar wałkował ten temat przez resztę jej życia.

Ingmar wstał, podszedł do Jego Wysokości, przedstawił się jako lojalny poddany z królewskiego urzędu pocztowego, zaproponował drinka, a może nawet rundę tenisa – i zakończył propozycją męskiego uścisku dłoni.

Reakcja króla była jednak zgoła inna, niż oczekiwał Ingmar. Po pierwsze, Jego Wysokość odmówił uściśnięcia dłoni nieznanemu mężczyźnie. Po drugie, nie zaszczycił go nawet spojrzeniem. Patrzył obok Ingmara gdzieś w dal, podobnie jak na tysiącach znaczków, z którymi Ingmar stykał się w pracy. W końcu oznajmił, że za nic w świecie nie zamierza bratać się z jakimś posłańcem z poczty.

Właściwie to majestat króla był zbyt wielki, by ten mówił poddanym, co o nich myśli. Już od lat dziecięcych szkolono go w sztuce okazywania swojemu ludowi szacunku, na jaki lud ten na

ogół, rzecz jasna, nie zasługiwał. Teraz jednak cały był obolały, a do tego udręczony tym ciągłym powstrzymywaniem się.

– Ależ Wasza Wysokość, Wasza Wysokość chyba nie rozumie – spróbował jeszcze Ingmar.

– Gdybym nie był sam, poprosiłbym świętę o wyjaśnienie temu stojącemu tu przede mną hultajowi, że doskonale rozumiem – odpowiedział król, unikając w ten sposób bezpośredniego zwracania się do nieszczęsnego poddanego.

– Ale – zaczął Ingmar, dalej jednak nie doszedł, bo król pacnął go swoją srebrną laseczką w czoło z krótkim:

– A masz!

Ingmar wykopyrtnął się na cztery litery, dając tym samym Jego Wysokości gwarancję bezpieczeństwa. Poddany siedział na ziemi, a król odszedł spacerkiem.

Ingmar był zdruzgotany.

Przez dwadzieścia pięć sekund.

Po czym wstał powoli i długo patrzył za swoim królem. I jeszcze chwilę.

– Poślaniec? Hultaj? Ja ci dam poślanca i hultaja!

Odtąd wszystko zaczęło być na wspak.

Rozdział 3

O srogiej karze, źle zrozumianym kraju i trzech wszechstronnych dziewczętach z Chin

Według adwokata Engelbrechta van der Westhuizen czarnoskóra dziewczyna miała właśnie wejść prosto na jezdnię, toteż jego klientowi pozostało tylko ją wyminąć. A zatem wypadek zdarzył się z winy dziewczyny, a nie jego klienta. Tak więc to inżynier van der Westhuizen był ofiarą. A do tego szła przecież chodnikiem przeznaczonym dla białych.

Przydzielony Nombeko z urzędu adwokat nie odpierał tych zarzutów, zapomniał bowiem o rozprawie. Sama dziewczyna niechętnie się odzywała, przede wszystkim dlatego, że miała złamaną szczękę, co raczej nie nastrajało do rozmowy.

Natomiast sędzia wziął ją w obronę. Zganił pana van der Westhuizen za to, że miał w chwili wypadku co najmniej pięć razy więcej alkoholu we krwi, niż to dopuszczalne w ruchu drogowym. Wyjaśnił też, że czarnym wolno chodzić po rzeczonym chodniku, nawet jeśli to może się wydawać niestosowne. Jeśli jednak dziewczyna zatoczyła się na ulicę – a co do tego nie można mieć wątpliwości, gdyż pan van der Westhuizen pod przysięgą zeznał, że tak właśnie było – to wina w większym stopniu leży po jej stronie.

Wyrok nakazywał dziewczynie zapłacić panu van der Westhuizenowi pięć tysięcy randów za poniesione straty moralne oraz dwa tysiące randów za wgniecenia w karoserii jego samochodu.

Nombeko stać było na zapłacenie mandatu i pokrycie kosztów likwidacji całej masy wgnieceń. Stać ją było nawet na zakup nowego samochodu. Albo i dziesięciu. Była bowiem zdecydowanie zamożna, czego nikt ani w sali sądowej, ani nigdzie indziej nie miał powodu się domyślać. Jeszcze w szpitalu zdrową ręką skontrolowała, czy diamenty nadal znajdują się pod podszewką jej kurtki.

Milczała jednak nie tylko z powodu złamanej szczęki. Jakkolwiek by na to patrzeć, diamenty zostały skradzione. Nieboszczykowi, to fakt, ale jednak. Problem polegał również na tym, że były to właśnie diamenty, a nie gotówka. Gdyby pokazała jeden, zabrano by jej wszystkie i w najlepszym razie zapuszczowano za kradzież, a w najgorszym za współudział w kradzieży i zabójstwie. Krótko mówiąc, sytuacja była dość skomplikowana.

Sędzia uważnie przyglądał się Nombeko i z jej zatroskanej miny wyczytał coś zupełnie innego. Wyraził przypuszczenie, że dziewczyna pewnie nie ma z czego zapłacić kary. W zamian może ją odpracować w służbie pana van der Westhuizen, o ile pan inżynier zaakceptuje taki pomysł. Już kiedyś poszli z panem inżynierem na podobny układ i było to chyba satysfakcjonujące rozwiązanie?

Engelbrecht van der Westhuizen aż wzdrygnął się na wspomnienie trzech złotych, których dostał na służbę. Tak czy siak, miał z nich jakiś pożytek. Zresztą czarnuch mógł być do nich całkiem pociesznym dodatkiem. Ale czy akurat ten nędzny okaz z pogruchotaną nogą, połamaną ręką i zmiażdżoną szczęką nie będzie mu tylko zawadzać?

– Chyba że za połowę pensji – powiedział. – Pan sędzia widzi, w jakim ona jest stanie.

Inżynier Engelbrecht van der Westhuizen zaproponował wynagrodzenie w wysokości pięciuset randów miesięcznie minus czterysta dwadzieścia za wyżywienie i nocleg. Sędzia wyraził zgodę.

Nombeko prawie wybuchła śmiechem. Prawie, bo cała była obolała. Sędzia grubas i kłamca inżynier właśnie zaproponowali, żeby przez ponad siedem lat pracowała za darmo. A to zamiast zapłacenia mandatu, zresztą niedorzecznego, biorąc pod uwagę powód jego wystawienia i wysokość, która stanowiłaby zaledwie nikłą część majątku dziewczyny.

Ale może ten układ stanowi rozwiązanie dylematu Nombeko? Wprowadzi się do tego całego inżyniera, wydobrzeje, po czym zwieje, kiedy uzna, że nadeszła odpowiednia pora na wizytę w Bibliotece Narodowej w Pretorii. Została przecież skazana na służbę, a nie na więzienie.

Była skłonna zaakceptować propozycję sędziego. Postanowiła jednak wywalczyć sobie dodatkowe sekundy do namysłu i zaczęła się z nim droczyć, mimo bolącej szczęki.

– To daje nam osiemdziesiąt randów miesięcznie netto – powiedziała. – Zanim spłacę dług, będę musiała przepracować u inżyniera siedem lat, trzy miesiące i dwadzieścia dni. Czy panu sędziemu nie wydaje się, że to zbyt surowa kara dla osoby, która została potrącona na chodniku przez kogoś, kto z uwagi na ilość alkoholu we krwi nie powinien nawet wyjeżdżać na ulicę?

Sędzia oniemiał. Dziewczyna nie tylko się odezwała. Ona się też poprawnie wysławiała. Oraz kwestionowała złożony przez inżyniera pod przysięgą opis zdarzenia. Obliczyła wymiar kary, zanim ktokolwiek obecny na sali w ogóle zdążył o tym pomyśleć. Powinien upomnieć dziewczynę, ale zbyt ciekawiło go, czy dokonała poprawnych obliczeń. Zwrócił się do protokolanta, który po kilku minutach potwierdził, że „no tak, faktycznie może to być siedem lat, trzy miesiące i... tak... dwadzieścia dni czy coś koło tego”.

Engelbrecht van der Westhuizen pociągnął łyk z brązowej buteleczki na lek przeciwkaszlowy, którą miał zawsze przy sobie; przecież nie mógł publicznie popijać brandy. Uzasadnił to nasileniem się objawów astmy wskutek szoku po tym potwornym wypadku.

Dzięki lekarstwu od razu poczuł się lepiej.

– Zaokrąglimy w dół – powiedział. – Siedem lat wystarczy. A wgniecenia w samochodzie można przecież wyklepać.

Nombeko tymczasem doszła do wniosku, że woli już kilka tygodni u tego Westhuizena niż trzydzieści lat w zakładzie karnym. Wiadomo, biblioteka musi poczekać i wciąż dzieli ją od niej porządny spacer, a na takie nie wyrusza się ze złamaną nogą. Pomijając już całą resztę. W tym otarcia stóp, które pojawiły się podczas tych pierwszych dwudziestu sześciu kilometrów.

Krótką przerwą nie zaszkodzi, pod warunkiem że inżynier znów jej nie potrąci.

– Dziękuję, jakiz pan hojny, panie inżynierze van der Westhuizen – powiedziała i tym samym zaakceptowała wyrok sądu.

„Inżynier van der Westhuizen” musi wystarczyć. Nie zamierzała zwracać się do niego *baas*.

* * *

Zaraz po rozprawie Nombeko wylądowała w samochodzie obok inżyniera van der Westhuizena. Jechał na północ. Jedną rękę trzymał na kierownicy, w drugiej ścisnął flaszkę brandy. Jej zapach i kolor były takie same jak lekarstwa na kaszel, którego zażywał podczas procesu.

Wszystko to wydarzyło się 16 czerwca 1976 roku.

Tego samego dnia młodzież szkolna w Soweto wyszła na ulice, by wyrazić swoje niezadowolenie z ostatniego pomysłu rządu, który już i tak słabą edukację nakazał prowadzić w języku afrikaans. Młodzi uznali, że łatwiej się czegoś nauczyć, gdy się rozumie nauczyciela. I że tekst jest bardziej przystępny dla odbiorcy, jeśli da się go przeczytać. Dlatego – twierdziła młodzież – nauczanie powinno być nadal prowadzone po angielsku.

Miejscowa policja z zainteresowaniem wysłuchiwała tych argumentów, po czym uzasadniła decyzję rządu w charakterystyczny dla południowoafrykańskich władz porządkowych sposób: otwierając ogień. Prosto do demonstrantów.

Dwudziestu trzech z nich zginęło dość nagłą śmiercią. Następnego dnia policja przedstawiła kolejne argumenty, wysyłając helikoptery i pojazdy opancerzone. Nim rozrzedził się dym, zgasło kilkaset istnień ludzkich. Wydział Edukacji Miasta Johannesburga mógł dzięki temu obniżyć dotacje dla Soweto, tłumacząc się deficytem uczniów.

Wszystko to ominęło Nombeko. Została przecież wzięta przez państwo do niewoli i była w drodze do domu swojego nowego pana.

– Daleko jeszcze, panie inżynierze? – zapytała ot tak, żeby coś powiedzieć.

– Nieszczególnie – odparł inżynier van der Westhuizen. – Nie odzywaj się bez potrzeby. Wystarczy, jak będziesz odpowiadać na pytania.

Z tego inżyniera Westhuizena było niezłe ziółko. O tym, że jest kłamcą, Nombeko dowiedziała się już w sądzie. Że jest alkoholikiem, zrozumiała podczas ich wspólnej podróży samochodem. Poza tym był oszustem w swoim fachu. Zupełnie nie znał się na pracy, którą wykonywał, a na szczycie utrzymywał się dzięki kłamstwom i wykorzystywaniu ludzi, którzy wiedzieli więcej od niego. Byłby to może nieistotny detal, gdyby inżynier nie odpowiadał za supertajny i epokowy projekt. To właśnie Westhuizen miał uczynić z Republiki Południowej Afryki atomowe mocarstwo. Całą operacją kierowano z ośrodka badawczego Pelindaba, położonego ponad godzinę drogi na północ od Johannesburga.

O tym Nombeko oczywiście nie mogła wiedzieć. Kiedy jednak zbliżali się do biura inżyniera, po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że sytuacja jest nieco bardziej skomplikowana, niż pierwotnie sądziła.

Akurat skończyła się brandy, gdy dotarli do zewnętrznych straży obiektu. Po uprzednim okazaniu dokumentów mogli wjechać przez bramę za wysokie na trzy metry ogrodzenie pod napięciem dwunastu tysięcy woltów. Kolejnego piętnastometrowego odcinka pilnowało dwóch strażników z psami. Prowadził on do wewnętrznej bramy i następnego wysokiego na trzy metry ogrodzenia podłączonego do takiej samej liczby woltów. Dodatkowo ktoś przemyślnie zaminował teren wokół ośrodka między trzymetrowymi płotami.

– To tu odpokutujesz swoje winy – oznajmił inżynier. – I to tu będziesz mieszkać, żebyś nie zwiąła.

Ogrodzenie pod napięciem, strażnicy z psami i pole minowe to parametry, których Nombeko nie uwzględniła w sądzie.

– Całkiem przytulnie – powiedziała.

– Znów gadasz niepytana – upomniał ją inżynier.

* * *

Południowoafrykański program zbrojeń nuklearnych wystartował w 1975 roku, rok przed tym, jak inżynier van der Westhuizen po

pijaku potrafił czarnoskórą dziewczynę. Istniały dwa powody, dla których siedział wtedy w hotelu Hilton i żłopał klipdrift, aż go stamtąd grzecznie wyproszone. Pierwszym był jego nałóg. Inżynier potrzebował przynajmniej jednej butelki brandy dziennie na rozruch. Drugim – jego zły humor. Oraz frustracja. Właśnie napomniął go premier Vorster. Narzekał, że upłynął już rok, a postępów nie widać.

Inżynier próbował przekonać go, że jest inaczej. Zapoczątkowano przecież wymianę z Izraelem. Wprawdzie zainicjował ją sam premier, obecnie jednak do Izraela wędrował uran, a wracał tryt. Dwóch izraelskich agentów na stałe rezydowało w Pelindabie w związku z projektem.

Owszem, premier nie miał zastrzeżeń do współpracy z Izraelem, Tajwanem i pozostałymi krajami. To z wytwórstwem był problem. A właściwie tak się wyraził:

– Nie chcemy od pana kolejnych wyjaśnień. Ani nowych umów o współpracy. Chcemy, do jasnej cholery, bomby atomowej, panie van der Westhuizen. A potem kolejnych pięciu bomb atomowych.

* * *

Podczas gdy Nombeko zadamawiała się za podwójnym ogrodzeniem Pelindaby, premier Balthazar Johannes Vorster wzdychał w swoim pałacu. Od świtu do nocy miał urwanie głowy. Najbardziej palącą sprawą na jego biurku była kwestia sześciu bomb atomowych. A co, jeśli ten pochlebca Westhuizen nie jest właściwym człowiekiem do wykonania zadania? Gada i gada, ale nic z jego gadania nie wynika.

Vorster psioczył na cholerne ONZ, na komunistów w Angoli, na Sowietów i Kubańczyków, którzy wysyłali tabuny rewolucjonistów na południe Afryki, oraz na marksistów, którzy przejęli już Mozambik. No i na to przekłete CIA, które zawsze musiało wszystko zwęszyć, a potem nie potrafiło trzymać gęby na kłódkę.

Niech to wszyscy diabli! – taki był pogląd B.J. Vorstera na świat.

Naród jest w niebezpieczeństwie teraz, wróg nie będzie czekał, aż inżynier raczy łaskawie ruszyć tyłek.

Droga premiera na szczyt była kręta. Pod koniec lat trzydziestych, jeszcze jako młodziak, zainteresował się nazizmem. Spodobały mu się metody niemieckich nazistów, według których rozróżniali ludzi. Dzielił się tym poglądem ze wszystkimi, którzy chcieli go słuchać.

Wybuchła wojna. Pechowo dla Vorstera ówczesny Związek Południowej Afryki przyłączył się do aliantów (jako część Imperium Brytyjskiego), a naziści pokroju Vorstera zostali do końca wojny internowani. Już na wolności Vorster był bardziej ostrożny; ani wcześniej, ani później sympatyzowanie z nazistami nie spotykało się z aprobatą.

W latach pięćdziesiątych Vorster był szanowanym obywatelem. Wiosną 1961 roku, gdy na świat przyszła Nombeko, awansował na stanowisko ministra sprawiedliwości. Rok później on i jego policjanci złowili najpaskudniejszą z rybek – terrorystę z Afrykańskiego Kongresu Narodowego, Nelsona Rolihlahlę Mandelę.

Mandelę skazano – jakżeby inaczej – na dożywocie i zesłano na wyspę za Kapsztadem, by tam zgnął. Vorster liczył, że nastąpi to dość szybko.

Podczas gdy Mandela gnił, jak zakładano, w najlepsze, Vorster dalej piął się po szczeblach kariery. Na ostatnim etapie pomógł mu skomplikowany przypadek pewnego Afrykanina, który trochę przeholował. System apartheidu zakwalifikował mężczyznę jako białego. Być może jednak popełniono błąd, bo wyglądał raczej na kolorowego. W związku z tym nie pasował ani tu, ani tu. Rozwiązaniem wewnętrznych rozterek mężczyzny okazało się wbicie noża w brzuch poprzednika B.J. Vorstera, i to piętnaście razy.

Tego, który był biały i jeszcze jakiś, zamknięto w klinice psychiatrycznej. Spędził w niej trzydzieści trzy lata, nigdy nie dowiedziawszy się, do jakiej rasy właściwie przynależy. I tam też zmarł. W odróżnieniu od premiera z piętnastoma ranami kłutymi, który wprawdzie miał pewność co do tego, że był biały, ale zmarł od razu.

Kraj potrzebował nowego premiera. Najlepiej jakiegoś twardziela. Odpowiednim człowiekiem okazał się były nazista Vorster.

Jeśli chodzi o politykę wewnętrzną, Vorster był zadowolony z tego, co osiągnął wraz ze swoim narodem. Dzięki nowej ustawie o terroryzmie każdego można było nazwać terrorystą, dowolnie długo jego lub ją przetrzymywać w areszcie, podając jakiegokolwiek powody. Albo i nie podając.

Innym udanym projektem było wprowadzenie bantustanów – po jednym dla każdej z grup ludności murzyńskiej. Oprócz Khosa, których było tak wielu, że przyznano im dwa. Wystarczyło zagnać do kupy określony rodzaj czarnuchów, odebrać im południowoafrykańskie obywatelstwo i przyznać nowe, właściwe dla danego regionu. Ktoś, kto nie jest już Południowoafrykańczykiem, nie może przecież dochodzić południowoafrykańskich praw. Proste.

Jeśli zaś chodzi o politykę zagraniczną, sprawy szły zdecydowanie bardziej opornie. Reszta świata nieustannie wykazywała brak zrozumienia dla ambicji kraju. Okropnie krytykowano na przykład przyjętą w Republice Południowej Afryki zasadę, że ten, kto nie jest biały, taki już pozostanie.

Eksnazista Vorster był jednak całkiem zadowolony ze współpracy z Izraelem. Fakt, to Żydzi, ale w wielu przypadkach, podobnie jak Vorster, niezrozumiani przez świat.

Niech to wszyscy diabli, pomyślał znów B.J. Vorster. Co też kombinuje ten patałach Westhuizen?

* * *

Engelbrecht van der Westhuizen był zadowolony z nowej pomagierki, którą zesłała mu opatrzność. Chociaż wciąż utykała na lewą nogę, a prawą rękę nosiła na temblaku, sporo już zdziałała. Ta jak jej tam.

Na początku wołał na nią „czarnuch numer dwa”, by mu się nie myliła z czarnoskórą kobietą sprzątającą przy zewnętrznych stróżówkach. Kiedy jednak dowiedział się o tym biskup miejscowego Kościoła reformowanego, inżynier dostał burę. Czarni zasługują przecież na szacunek. Kościół już od ponad stu lat dopuszczał

czarnych do przyjmowania komunii wspólnie z białymi, tyle że ci pierwsi musieli czekać na swoją kolej. W końcu zrobiło się ich tak wielu, że pobudowano im osobne kościoły. Według biskupa nie można obwiniać Kościoła reformowanego za to, że czarni rozmnażają się jak króliki.

– Szacunek – powtórzył. – Proszę o tym pamiętać, panie inżynierze.

Engelbrecht van der Westhuizen liczył się z biskupem, ale za nic w świecie nie potrafił zapamiętać imienia Nombeko. Z tego też powodu zwracał się do niej per „tyjakcitam”. A gdy mówił o niej w trzeciej osobie... ale przecież nie było potrzeby, by w ogóle o niej wspominać.

Premier Vorster już dwukrotnie wizytował ośrodek badawczy. Za jego uprzejmym uśmiechem czaiło się ostrzeżenie, że jeśli wkrótce nie zobaczy sześciu bomb, to być może inżyniera Westhuizena też już nikt nie będzie tu oglądał.

Przed pierwszym spotkaniem z premierem inżynier zamierzał zamknąć tejakjeitam w schowku na miotły. Wolno im było wprawdzie zatrudniać czarnych i kolorowych służących, pod warunkiem że ci nie wychodzili na przepustkę, ale według inżyniera zaśmiecali krajobraz.

Minus zamknięcia jej w schowku był taki, że nie przebywałyby wówczas u boku inżyniera. A on szybko połapał się, że tam właśnie warto ją mieć. Z jakichś niezrozumiałych powodów w głowie tej dziewczyny nieustannie coś się działo. Tajakjeitam była zdecydowanie zbyt pyskata. Do tego łamała wszystkie możliwe zasady. Najbardziej bezczelnym z jej wyczynów było przesiadywanie bez pozwolenia w bibliotece ośrodka i wynoszenie stamtąd książek. Instynkt podpowiadał inżynierowi, by natychmiast położyć temu kres i zlecić sekcji bezpieczeństwa zbadanie sprawy. Na co analfabecie z Soweto książki?

Aż zauważył, że ona je czyta. To czyniło sprawę jeszcze dziwniejszą – umiejętność czytania nie była charakterystyczną cechą tutejszych analfabetów. Potem inżynier zobaczył, co czyta, i było to wszystko: literatura z zakresu zaawansowanej matematyki, chemii, elektrotechniki i metalurgii (czyli to, co inżynier sam powinien

z głębią). Kiedy przyłapał ją na gorącym uczynku w czasie, gdy miała szorować podłogę, zobaczył, że uśmiecha się na widok wzorów matematycznych.

Czytała, kiwała głową i *uśmiechała się*.

Co za prowokujące zachowanie! Inżynier nigdy nie odczuwał radości podczas nauki matematyki. Zresztą nie tylko matematyki. Na szczęście na uniwersytecie, którego głównym mecenasem był jego ojciec, otrzymywał same dobre oceny.

Inżynier miał świadomość, że nie musi wszystkiego wiedzieć. Na sam szczyt można było zająć dzięki dobrym ocenom, odpowiednio ustawionemu ojcu i wykorzystywaniu kompetencji innych. Tym razem jednak inżynier musiał się wykazać. No, może niekoniecznie on, ale naukowcy i technicy, których zatrudnił i którzy dzień i noc harowali na jego konto.

Prace zespołu faktycznie posuwały się do przodu. Inżynier był przekonany, że w niedalekiej przyszłości uda się w końcu rozwiązać techniczne problemy, które stały na drodze do rozpoczęcia testów broni jądrowej. Kierownik badań był nie w ciemny bity. Ale i uciążliwy, bo informował o każdym najmniejszym postępie w pracach, oczekując komentarzy inżyniera.

I tutaj istotną rolę miała do odegrania tajakjejtam. Zezwalając jej na wertowanie książek, inżynier otwierał dla niej na oścież wrota świata matematyki. Ona zaś chłoneła wszystko, co miało związek z liczbami algebraicznymi, transcendentnymi, urojonymi i złożonymi, a także ze stałą Eulera, równaniami dyferencjalnymi i diofantycznymi oraz z nieskończoną (∞) liczbą innych zawiłych zagadnień, dla inżyniera mniej lub bardziej niepojętych.

Nombeko mogłaby zyskać przydomek „prawa ręka szefa”, gdyby nie to, że owa prawa ręka to była „ona”, w dodatku o nieodpowiednim kolorze skóry. Tymczasem przywarł do niej ogólnikowy przydomek „pomagierka”, a poza sprzątaniami wczytywała się w piętrzące się w stosy dokumenty z opisami problemów, wynikami testów i analiz, dostarczane przez kierownika badań. Czyli zajmowała się tym, z czym nie radził sobie inżynier.

– Co to takiego? – zapytał któregoś dnia inżynier Westhuizen, wręczając swojej sprzątacze kolejny plik papierów.

Nombeko zapoznała się z materiałem.

– Analiza konsekwencji statycznych i dynamicznych nadciśnień przy różnej liczbie kiloton na bombę – powiedziała.

– Wyrażaj się jaśniej.

– Im większa siła bomby, tym więcej budynków wyleci w powietrze – wyjaśniła Nombeko.

– Byle mała by to zrozumiała – mruknął inżynier. – Czy otaczają mnie *wyłącznie* idioci? – Nalał sobie brandy i odprawił sprzętaczkę.

* * *

Jak na więzienie, ośrodek Pelindaba był według Nombeko całkiem, całkiem. Własne łóżko, dostęp do toalety zamiast czterech tysięcy wychodków, za które była odpowiedzialna, dwa posiłki dziennie, a do obiadu owoce. Oraz własna biblioteka. No, może nie własna, ale nikt się nią oprócz Nombeko nie interesował. Zbiór był dość skromny i nie umywał się do tego, który – jak sobie wyobrażała – znajdował się w Pretorii. Większość pozycji to były starocie, ramoty albo jedno i drugie.

Dość beztrząsco odsiadywała więc dalej niesprawiedliwy wyrok za to, że tamtego zimowego dnia 1976 roku pozwoiliła zalanemu w trupa inżynierowi potrącić się na chodniku w Johannesburgu. Żyło jej się teraz pod każdym względem lepiej niż wtedy, gdy musiała wypróżniać latryny w największym ludzkim śmietniku świata.

Kiedy upłynęło już odpowiednio wiele miesięcy, nadeszła pora, by zacząć odliczać lata. Wiadomo, raz czy dwa zastanawiała się, jak by tu przed czasem ulotnić się z Pelindaby. Sforsowanie płotów, pola minowego, psów i alarmu stanowiło jednak nie lada wyzwanie.

Przekopać tunel?

Nie, ten pomysł był tak niemądry, że od razu go porzuciła.

Wyjechać w ukryciu?

Też nie; każdego śmiałka wytropią przecież owczarki strażników. A wtedy pozostawało mieć tylko nadzieję, że od razu przegryzą człowiekowi gardło, by nie musiał już przechodzić przez resztę.

Kogoś przekupić?

No, może... ale wtedy miałyby jedną jedyną szansę, a przekupiony, jak to w Republice Południowej Afryki, zabrałby jej diamenty, a następnie na nią doniósł.

Ukraść czyjąś tożsamość?

Mogłoby się nawet udać. Trudniej byłoby przywłaszczyć sobie czyjś kolor skóry.

Nombeko postanowiła na razie nie rozmyślać o ucieczce. Tak naprawdę jej jedyną szansą było stać się niewidzialną i sprawić sobie skrzydła. Same skrzydła by nie wystarczyły, zestrzeliłoby ją ośmiu strażników lustrujących okolice z czterech wież.

Miała ponad piętnaście lat, gdy uwięziono ją za dwoma płotami i polem minowym. Kiedy miała prawie siedemnaście, inżynier uroczyście obwieścił, że wyrobił jej południowoafrykański paszport, mimo że jest czarna. Inaczej nie miałyby dostępu do wszystkich korytarzy, do których według wygodnickiego inżyniera powinna ów dostęp mieć. Tak postanowiła południowoafrykańska służba bezpieczeństwa, a inżynier Westhuizen wiedział, o co warto kruszyć kopię, a o co nie warto.

Paszport trzymał w szufladzie biurka. A ponieważ uwielbiał upokarzać innych, nieustannie podkreślał, że musi go przed nią chować.

– To dlatego, żeby tobie, tyjakcitam, nie przyszło do głowy zwiać. Bez paszportu nie opuścisz kraju i prędzej czy później cię znajdziemy – powiedział, szczerząc się, inżynier.

Nombeko odparła, że nazwisko tejjakjejtam figuruje w paszporcie, gdyby to inżyniera interesowało. Zresztą już dawno temu powierzył jej odpowiedzialność za szafkę z kluczami. Był w niej również ten do szuflady biurka.

– A jakoś jeszcze nie uciekłam – dodała i pomyślała, że powstrzymywali ją raczej strażnicy, psy, alarmy, pole minowe i ogrodzenia pod napięciem dwunastu tysięcy woltów.

Inżynier przeszył swoją sprzątaczkę wzrokiem. Znów pyskuje. Oszaleć z nią można. A na dodatek zawsze ma rację. Co za cholera!

Przy tym supertajnym projekcie pracowało w sumie dwieście pięćdziesiąt osób. Nombeko dość szybko połapała się, że główny szef nie miał w zasadzie żadnych talentów poza umiejętnością żerowania na innych. No i miał szczęście (aż do dnia, gdy go opuściło).

Na pewnym etapie produkcji bomby jeden z najtrudniejszych do przezwyciężenia problemów stanowiły wycieki podczas eksperymentów z fluorkiem uranu. Na ścianie w biurze inżyniera Westhuizena wisiała czarna tablica, na której kreślił linie i strzałki, bazgrał jakieś wzory – wszystko po to, by stworzyć pozory, że główkuje. Siedział w swoim fotelu i mamrotał „gaz nośny”, „fluorek uranu”, „wyciek” na przemian z przekleństwami po angielsku i w afrikaans. Nombeko mogła pozwolić, by dalej tak mamrotał; przecież ona tam tylko sprzątała. W końcu jednak nie wytrzymała.

– Nie mam pojęcia, co to takiego gaz nośny i mało wiem o fluorku uranu. Ale patrząc na te trudne do rozszyfrowania zapiski pana inżyniera, domyślam się, że to problem autokatalityczny.

Inżynier milczał, ale spojrzał obok tejjakjejtam na drzwi, by upewnić się, że nikt nie słyszy, jak po raz któryś z rzędu daje się omotać temu osobliwemu stworzeniu.

– Czy milczenie pana inżyniera oznacza zgodę na to, bym mówiła dalej? Zazwyczaj mam tylko odpowiadać na pytania.

– No mówże! – odpowiedział inżynier.

Nombeko uśmiechnęła się uprzejmie i oświadczyła, że dla niej bez znaczenia jest, jak nazywają się poszczególne problemy, bo do ich opisanie można użyć matematyki.

– Gaz nośny to A, fluorek uranu to B – zaczęła Nombeko.

Podeszła do tablicy, zmazała kretyńskie bazgroły inżyniera i napisała równanie kinetyczne dla autokatalitycznej reakcji pierwszego rzędu.

Kiedy inżynier spojrzał pustym wzrokiem na tablicę, spróbowała wyjaśnić swój wywód za pomocą krzywej S-kształtnej.

Kiedy skończyła, zdała sobie sprawę, że inżynier van der Westhuizen zrozumiał z tego tyle co pierwszy lepszy czyściciel latryn. Albo asystent z Wydziału do spraw Higieny Urzędu Miasta Johannesburga.

– Panie inżynierze, niech pan się postara, bo muszę jeszcze wyszorować podłogę. Gaz i fluorek nie lubią się, a to nielubienie szybko się pogłębia.

– Jak temu zaradzić? – zapytał inżynier.

– Nie wiem – odparła Nombeko. – Nie miałam kiedy się nad tym zastanowić. Ja tu przecież tylko sprzątam.

W tym momencie do biura wkroczył jeden z wysoce wykwalifikowanych współpracowników inżyniera van der Westhuizen. Przysłał go kierownik badań, by przekazał dobrą nowinę: zespół odkrył, że z powodu autokatalicznego problemu w filtrze maszyny pojawiły się zanieczyszczenia chemiczne. Wkrótce będą w stanie przedstawić rozwiązanie...

Współpracownik zrozumiał, że nie musiał tego mówić, bo tuż za czarnuchem z mopem zobaczył na tablicy zapiski inżyniera.

– Ach, widzę, że szef sam już do tego doszedł. W takim razie nie będę przeszkadzał – powiedział i wyszedł.

Inżynier van der Westhuizen siedział w milczeniu za biurkiem; dolał sobie brandy.

No to chyba dobrze, prawda? Nombeko zaraz zostawi pana inżyniera w spokoju. Chciałaby jeszcze tylko zadać dwa pytania. Po pierwsze, czy pan inżynier uzna za stosowne, by dostarczyła matematyczny opis sposobu, w jaki zespół mógłby zwiększyć wydajność z dwunastu tysięcy SWU rocznie do dwudziestu tysięcy, przy zachowaniu próby 0,46 procent?

Inżynier wyraził zgodę.

Drugie pytanie dotyczyło zamówienia nowej szczotki do szorowania, bo starą pogryzł pies pana inżyniera.

Inżynier odparł, że niczego obiecać nie może, ale zobaczy, co da się zrobić.

Skoro Nombeko nie mogła uciec, postanowiła skupić się na pozytywach. Ciekawie będzie na przykład popatrzeć, jak długo jeszcze pociągnie oszust Westhuizen.

Zresztą nie było tak źle. Czytała sobie książki, najchętniej wtedy, kiedy nikt nie patrzył, szorowała korytarze, opróżniała popielniczki,

czytała analizy zespołu badawczego i przedstawiała je w jak najbardziej uproszczony sposób inżynierowi.

Czas wolny spędzała z pozostałymi służącymi. Należeli do mniejszości, z którą reżim apartheidu miał pewien problem. Według prawa byli to „pozostali Azjaci”. Czyli Chińczycy.

Chińczycy dotarli do Republiki Południowej Afryki przed prawie stu laty, gdy kraj potrzebował taniej siły roboczej (która przy tym za bardzo nie marudziła) do kopalni złota pod Johannesburgiem. Teraz to już była historia. Ostały się jednak chińskie kolonie, a język miał się dobrze.

Wieczorami trzy pracujące w ośrodku Chinki (siostry: młodsza, średnia i najstarsza) były zamykane razem z Nombeko. Na początku trzymały dystans. Ale że w madżonga najlepiej gra się w cztery osoby, postanowiły dać jej szansę, zwłaszcza że ta dziewczyna z Soweto nie była chyba aż tak głupia, jak się mogło wydawać, mimo że nie była żółta.

Nombeko chętnie się do nich przyłączyła. Wkrótce wiedziała już prawie wszystko o *pong*, *kong*, *chow* i wszelkich możliwych wiatrach wiejących we wszystkich możliwych kierunkach. Pomagało jej to, że potrafiła zapamiętać wszystkie ze stu czterdziestu dwóch kamieni. Dzięki temu wygrywała trzy na cztery partyjki, przy czwartej dając fory którejs z dziewcząt.

Raz w tygodniu Nombeko – dzięki temu, co udało jej się dosłyszeć na korytarzach i zza ścian – opowiadała Chinkom, co się dzieje na świecie. Z jednej strony raport ten był dość niekompletny, z drugiej jednak publiczność nie była zbyt wymagająca. Kiedy Nombeko poinformowała je, że Chiny usunęły z listy lektur zakazanych dzieła Szekspira i Arystotelesa, dziewczęta zgodnie uznały, że obaj panowie na pewno się z tego ucieszą.

I tak za sprawą wieczornych wiadomości i gry w madżonga owe siostry w nieszczęściu zostały przyjaciółkami. Dzięki znakom i symbolom, którymi opatrzone były kamienie do gry, dziewczyny nauczyły Nombeko chińskiego dialektu, jakim się posługiwały. Siostry śmiały się serdecznie z pojętności Nombeko i z już nie tak bardzo udanych własnych wysiłków, by opanować język khosa, którego nauczyła Nombeko matka.

Gdyby przyjrzeć się bliżej ich historii, można by dojść do wniosku, że siostry prowadziły się zdecydowanie gorzej od Nombeko. W szpony inżyniera wpadły mniej więcej w ten sam sposób co ona, tyle że nie na siedem, ale na piętnaście lat. Poznały go w barze w Johannesburgu, gdy podrywał je wszystkie naraz. Wyznały mu, że potrzebują pieniędzy dla chorego krewnego i chcą sprzedać... nie, nie swoje ciała, lecz cenny klejnot rodzinny.

Z jednej strony inżynier był napalony, ale z drugiej wyczuł, że może zrobić dobry interes. Poszedł więc z dziewczynami do ich domu, gdzie zaprezentowały mu wzorzystą glinianą gęś z czasów dynastii Han, datowaną na sto lat przed Chrystusem. Dziewczyny chciały za nią dwadzieścia tysięcy randów. Inżynier oszacował, że jest pewnie warta jakieś dziesięć, a może i sto razy więcej! Ale że dziewczyny były nie tylko dziewczynami, ale też Chinkami, zaoferował piętnaście tysięcy w gotówce. Umówił się z nimi następnego dnia pod bankiem (po pięć tysięcy dla każdej z was, bo się rozmyśle!), a te idiotki się zgodziły.

Przez jakiś rok unikatowa gęś zajmowała honorowe miejsce na postumencie w biurze inżyniera, aż raz agent Mosadu, współpracujący z inżynierem przy projekcie jądrowym, przyjrzał się uważnie dziełu i po dziesięciu sekundach orzekł, że to nic niewarty chłam. Śledztwo, przeprowadzone na życzenie żadnego krwi inżyniera, wykazało, że gęś nie została wyprodukowana przez rzemieślnika w prowincji Zhejiang za dynastii Han około stu lat przed Chrystusem, ale raczej przez trzy młode Chinki na przedmieściach Johannesburga za dynastii żadnej, około roku 1975 po Chrystusie.

Ponieważ dziewczyny były na tyle nieostrożne, że zaprosiły inżyniera do domu, on i wymiar sprawiedliwości dopadli je wszystkie bez trudu. Z piętnastu tysięcy randów pozostały dwa, wskutek czego dziewczyny czekało jeszcze co najmniej dziesięć lat w zamknięciu w Pelindabie.

- Mówimy na inżyniera 鵝 – powiedziała jedna z dziewcząt.
- Gęś – przetłumaczyła Nombeko.

Największym marzeniem Chinek był powrót do chińskiej dzielnicy Johannesburga i dalsza produkcja oraz sprzedaż gęsi z czasów przed Chrystusem. Teraz jednak lepiej by się do tego zabrały.

W oczekiwaniu na ten dzień dzieliły nie tak znowu straszny los Nombeko. Do ich obowiązków należało podawanie inżynierowi i strażnikom posiłków oraz zajmowanie się pocztą przychodzącą i wychodzącą. Ważniejsza była ta wychodząca. Wszystko – małych czy dużych rozmiarów – co tylko dało się zwędzić i czego braku nikt za bardzo nie mógł odczuć, było umieszczane w pojemniku z pocztą wychodzącą, a następnie wysyłane do matki dziewcząt. Mamusia z wdzięcznością odbierała przesyłki i sprzedawała ich zawartość, zadowolona, że kiedyś zainwestowała w to, aby jej córki nauczyły się czytać i pisać po angielsku. A że dziewczęta z natury były niestaranne i nieostrożne, co rusz wpadały w tarapaty. Jak wtedy, gdy jedna z nich pomyliła karteczki z adresami i sam minister spraw zagranicznych zadzwonił do Westhuizen z pytaniem, dlaczego otrzymał paczkę z ośmioma świecami, dwoma dziurkaczami i czterema pustymi teczkami. Tymczasem matka dziewcząt otrzymała pocztą i natychmiast spaliła czterysta stron raportu technicznego na temat wad zastosowania neptunu jako podstawy ładunku rozszczepialnego.

* * *

Nombeko była zła na siebie, że tak długo nie zdawała sobie sprawy z tego, jak fatalne jest jej położenie. W praktyce okazało się bowiem, że wcale nie skazano jej na siedem lat służby u inżyniera – to było dożywocie. W odróżnieniu od Chinek miała wgląd w supertajny projekt. Jak długo od wszystkich, którym mogła o nim opowiedzieć, dzieliło ją ogrodzenie pod napięciem dwunastu tysięcy woltów, tak długo nie było żadnego problemu. A gdyby ją wypuszczono? Była dla nich bezwartościową czarną kobietą, a jednocześnie stanowiła poważne zagrożenie bezpieczeństwa. Jak długo by przeżyła? Dziesięć sekund. Albo dwadzieścia. Przy odrobinie szczęścia.

Jej położenie można było porównać do matematycznego problemu niemającego rozwiązania. Gdyby pomogła inżynierowi zrealizować projekt, on otrzymałby pochwały, wycofał się ze swojej działalności i żył sobie z pokaźnej państwowej emeryturki. Ona, która wiedziała wszystko to, czego wiedzieć nie powinna, dostałaby co najwyżej kulkę w łeb.

Gdyby z kolei dołożyła wszelkich starań, by inżynier projektu nie zrealizował – wówczas on popadłby w niełaskę, dostałby wypowiedzenie i zdecydowanie skromniejszą emeryturę. A ona i tak zarobiłaby kulkę w łeb.

Krótko mówiąc, z tym akurat równaniem nie potrafiła sobie poradzić. Mogła jedynie zręcznie lawirować, czyli robić wszystko, co w jej mocy, by na jaw nie wyszło, jaki to z inżyniera oszust, a jednocześnie jak najdłużej przeciągać realizację projektu. Nie uchroni jej to przed zarobieniem kulki w łeb, ale im bardziej odwlecze wszystko w czasie, tym większe szanse, że wydarzy się coś, co to udaremni – rewolucja, bunt personelu lub coś równie mało prawdopodobnego.

Na razie żadne lepsze rozwiązanie nie przychodziło jej do głowy.

Wobec braku innych pomysłów, kiedy tylko mogła, siadywała przy oknie w bibliotece, żeby przyjrzeć się bramom wjazdowym. Bywała tam o różnych porach i obserwowała codzienne zwyczaje strażników.

Wkrótce odkryła, że wszystkie pojazdy wjeżdżające do ośrodka i z niego wyjeżdżające są przeszukiwane przez strażników z psami. Z wyjątkiem auta inżyniera. Oraz szefa zespołu badawczego. I obu agentów Mosadu. Ci czterej znajdowali się najwidoczniej poza wszelkimi podejrzeniami. Niestety, korzystali też z miejsc garażowych dla uprzywilejowanych. Nombeko mogłaby zakraść się do dużego ogólnodostępnego garażu, schować w bagażniku samochodu – i zostać odkryta przez strażnika albo psa. A psy nauczone były najpierw gryźć, a potem pytać pana o pozwolenie. Do niewielkiego garażu, w którym parkowali wybrańcy i gdzie znajdowały się bagażniki, w których miałyby szansę przeżyć, Nombeko dostępu nie miała. Klucz należał do tych niewielu kluczy

inżyniera nieprzechowywanych w szafie, za którą odpowiadała Nombeko. Codziennie go używał i zawsze miał go przy sobie.

Nombeko zaobserwowała jeszcze jedną prawidłowość. Pracująca przy strażach zewnętrznych czarnoskóra sprzątaczką przekraczała granicę Pelindaby za każdym razem, gdy opróżniała zielony kubeł na śmieci stojący tuż obok wewnętrznego ogrodzenia pod napięciem. To zaintrygowało Nombeko. Była bowiem przekonana, że sprzątaczkę nie wolno tego robić. A jednak strażnicy przymykali oko – najwyraźniej sami nie mieli ochoty po sobie sprzątać.

W głowie Nombeko zrodził się zuchwały pomysł. Mogłaby mianowicie w dużym garażu ukryć się w kubie na śmieci, a sprzątaczką wyniosłaby ją do kontenera poza ośrodkiem. Zgodnie z restrykcyjnymi przepisami opróżniała kubeł co drugi dzień o 16.05. A psy nauczyły się, że tego akurat czarnucha nie mogą rozszarpać na kawałki, nie pytając najpierw swojego pana o pozwolenie. Zawsze jednak nieufnie obwąchiwały kubeł.

Musiałyby więc na jedno popołudnie unieszkodliwić psy. Tylko wtedy miałyby szansę przeżyć tę podróż na gapę. Niewielkie zatrucie pokarmowe – czy to był jakiś pomysł?

Nombeko wtajemniczyła w swój plan trzy Chinki, to one bowiem odpowiadały za wyżywienie strażników i zwierząt w sektorze G.

– Nie ma problemu! – odpowiedziała najstarsza z sióstr. – Wszystkie znamy się na truciu psów. A przynajmniej dwie z nas.

Nombeko nie dziwiły już żadne poczynania Chinek. To było jednak coś wyjątkowego. Poprosiła najstarszą siostrę o wyjaśnienie; inaczej będzie ją to męczyć do końca życia. Niezależnie od tego, ile ono potrwa.

No więc zanim Chinki zajęły się dochodową branżą fałszerską, pomagały matce prowadzić cmentarz dla psów nieopodal zamieszkaną przez białych dzielnicę Parktown West na obrzeżach Johannesburga. Interesy szły kiepsko. Tamtejsze psy odżywiały się tak dobrze jak ludzie i żyły zdecydowanie za długo. Matce przyszło więc do głowy, że dwie starsze siostry mogłyby zwiększyć obroty cmentarnego przedsiębiorstwa i w parkach, gdzie hasały pudle i pekińczyki białasów, porozkładać trochę zatrutej psiej karmy.

Najmłodsza siostra była wówczas za mała i istniało ryzyko, że sama mogłaby jej posmakować.

I rzeczywiście, wkrótce właścicielka psiego cmentarza odnotowała znacznie większy ruch w interesie. Rodzina mogłaby do dziś z tego żyć, gdyby nie zachłanność. Bo kiedy zorientowano się, że w parkach więcej jest psów martwych niż żywych, wzrok białych rasistów skierował się na jedyną żółtą w okolicy i na jej córki.

– Ach, te uprzedzenia – skomentowała Nombeko.

Matka pośpiesznie spakowała manatki, zaszyła się w centrum Johannesburga i zmieniła branżę.

Minęło już wprawdzie kilka lat, ale dziewczyny nadal pamiętały, jak można wzbogacać psią karmę.

– Chodzi o lekkie podtrucie ośmiu psów – powiedziała Nombeko.

– Żeby się pochorowały na dzień lub dwa. Nic więcej.

– Klasyczne zatrucie glikolem etylenowym – rzuciła średnia siostra.

– Dokładnie o tym samym pomyślałam – powiedziała najstarsza.

Po czym zaczęły rozprawiać, jaka dawka byłaby najbardziej odpowiednia. Według średniej siostry wystarczy trzysta mililitrów, najstarsza zauważyła jednak, że tu chodzi o rasę owczarki, a nie jakieś tam chihuahua.

W końcu uzgodniły, że pięćset mililitrów to dosyć, by psy czuły się naprawdę kiepsko aż do następnego dnia.

Dziewczęta zabrały się do sprawy tak niefrasobliwie, że Nombeko od razu pożałowała. Czy one nie rozumieją, czym to grozi, jeśli zatrute psie żarcie doprowadzi na ich trop?

– E tam – powiedziała najmłodsza siostra. – Będzie dobrze. Najpierw musimy zamówić opakowanie glikolu etylowego. Bez tego nici z zatrucia.

Nombeko pożałowała jeszcze bardziej. Czy one nie rozumieją, że spece od bezpieczeństwa w kilka minut połapią się, kto jest winien, gdy odkryją, co dopisano do standardowej listy zakupów?

Wtedy przyszła jej do głowy pewna myśl.

– Poczekajcie – powiedziała. – Nie róbcie nic, dopóki nie wrócę. Absolutnie nic!

Dziewczyny spojrzały zdziwione za Nombeko. O co jej chodzi?

Nombeko przypomniała sobie mianowicie coś, co przeczytała w jednym z niezliczonych raportów kierownika badań. Nie wspominał wprawdzie o glikolu etylenowym, lecz o etanodiolu. Według raportu naukowcy eksperymentowali z cieczami o temperaturze wrzenia przewyższającej sto stopni Celsjusza, chcąc uzyskać opóźniony o dziesiątne części sekundy wzrost temperatury masy krytycznej. W tym właśnie kontekście pojawił się etanodiol. Czy etanodiol i glikol etylowy nie mają przypadkiem podobnych właściwości?

O ile w bibliotece ośrodka naukowo-badawczego próżno było szukać nowości ze świata nauki, to o informacje ogólnej natury było zdecydowanie łatwiej. Na przykład potwierdzenie tego, że etanodiol i glikol etylenowy mają ze sobą bardzo wiele wspólnego – to ta sama substancja.

Nombeko pożyczyła z szafki inżyniera dwa klucze i zakradła się do komórki z chemikaliami przy szafce z bezpiecznikami w dużym garażu. Wyciągnęła stamtąd prawie pełny dwudziestopięciolitrowy pojemnik z etanodiolem. Przełała pięć litrów do wiadra i wróciła do dziewcząt.

– To powinno spokojnie wystarczyć – powiedziała.

Postanowiły zacząć od niewielkiej dawki i obserwować reakcję psów, a następnie zwiększać ją stopniowo, aż rozchorują się wszystkie. Taka sytuacja nie powinna wzbudzić podejrzeń strażników.

Pod wpływem Nombeko Chinki obniżyły więc dawkę z pięciuset do czterystu mililitrów. Popełniły jednak kardynalny błąd, zlecając odmierzanie trucizny najmłodszej siostrze, czyli tej, która była zbyt mała, by im kiedyś pomagać w truciu psów. Ona zaś już przy pierwszej, ostrożnej w zamierzeniu próbie dodała czterysta mililitrów glikolu etylenowego na jednego psa. Dwanaście godzin później wszystkie psy w Pelindabie były tak samo martwe jak tamte w Parktown West. Na domiar złego należący do szefa ochrony kot podkradający jedzenie psom był w stanie krytycznym.

Glikol etylenowy ma tę właściwość, że szybko przenika z jelit do układu krwionośnego. W wątrobie zostaje przekształcony w aldehyd glikolowy, kwas glikolowy i szczawian. Jeśli dawka jest dostatecznie

silna, zakłóceniu ulega praca nerek, a następnie płuc i serca. Bezpośrednią przyczyną śmierci tych konkretnych ośmiu psów było zatrzymanie akcji serca.

Wskutek błędu małej Chinki natychmiast wszczęto alarm, a strażę postawiono w stan najwyższej gotowości. Nombeko mogła zapomnieć o ucieczce w kuble na śmieci.

Następnego dnia dziewczęta wezwano na przesłuchanie. Wszystkiego się wyparły. W tym samym czasie ochrona znalazła w bagażniku jednego z dwustu pięćdziesięciu pracowników ośrodka wiadro z resztką glikolu etylenowego. Dzięki szafie na klucze inżyniera Nombeko miała dostęp do garażu; akurat ten bagażnik był otwarty, a gdzieś musiała położyć wiadro. Właściciel samochodu był pracownikiem o zachwianej moralności; z jednej strony nigdy nie zdradziłby swego kraju, z drugiej akurat tego dnia, co za pech, gwizdnął swojemu szefowi teczkę z pieniędzmi i książeczką czekową, którą znaleziono obok wiadra. A kiedy powiązano jedno z drugim, pracownika zatrzymano, przesłuchano, wyrzucono – po czym skazano na sześć miesięcy więzienia za kradzież i dodano trzydzieści dwa lata za terroryzm.

– Mało brakowało – powiedziała najmłodsza siostra, gdy już były wolne od wszelkich podejrzeń.

– Spróbujemy jeszcze raz? – zastanawiała się średnia.

– Musimy tylko poczekać, aż sprawią sobie nowe psy – powiedziała najstarsza. – Tamtych już nie ma.

Nombeko milczała. Pomyślała jednak, że malująca się przed nią przyszłość jest niewiele jaśniejsza niż przyszłość kota, który właśnie dostał konwulsji.

Rozdział 4

O miłosiernym Samarytaninie, złodzieju rowerów i coraz bardziej uzależnionej od papierosów żonie

Ponieważ pieniądze Henrietty już się skończyły, podczas podróży autostopem z Nicei do Södertälje Ingmar prawie nic nie jadł. Jednak w Malmö brudny i wygłodniały urzędnik pocztowy niższego szczebla spotkał żołnierza Armii Zbawienia, który wracał do domu po długim dniu w służbie Pana. Ingmar zapytał go, czy ma może zbędny kawałek chleba.

Żołnierz Armii Zbawienia poczuł w sobie miłość bliźniego. Do tego stopnia, że zaprosił Ingmara do siebie.

Tam poczęstował go tłuczonymi ziemniakami z brukwią i boczkiem, po czym pościelił mu we własnym łóżku, a sam położył się na podłodze przy piecu. Ingmar ziewnął i poinformował żołnierza, że docenia jego uprzejmość. Ten odparł, że wyjaśnienie jego postępowania jest w Biblii, a zwłaszcza w Ewangelii świętego Łukasza, gdzie można przeczytać o miłosiernym Samarytaninie. I zapytał, czy Ingmar zgodzi się, by przeczytał mu kilka wersów ze świętej księgi.

– Jasne – odparł Ingmar – tylko po cichu, bo chce mi się spać.

No i zasnął. Następnego dnia obudził go zapach świeżego pieczywa.

Po śniadaniu podziękował miłosiernemu żołnierzowi, pożegnał się, a następnie ukradł jego rower. Pedalując, usiłował sobie przypomnieć, czy to nie w Biblii napisano, że potrzeba jest matką wynalazków. Nie był pewien.

Tak czy siak, swój łup spieniężył w Lund, a za uzyskane pieniądze kupił bilet na pociąg.

Po wejściu do domu od razu trafił na Henriettę. Zanim zdążyła go powitać, oznajmił jej, że pora, aby zrobili sobie dziecko.

Właściwie to Henrietta miała sporo pytań, choćby o to, dlaczego Ingmarowi nagle zachciało się wskakiwać do łóżka bez tego przekłętego pudła z amerykańskimi prezerwatywami dla żołnierzy. Ostatecznie jednak zaakceptowała zaistniałą sytuację. Zażądała tylko, by małżonek najpierw się umył, bo cuchnął prawie tak samo paskudnie, jak wyglądał.

Ich pierwszy raz bez zabezpieczenia trwał całe cztery minuty. Ale Henrietta i tak była zadowolona. Wrócił jej ukochany narwaniec, a zanim poszli do łóżka, wyrzucił prezerwatywy do kubła na śmieci. Czyżby to oznaczało koniec wszystkich wariactw? A co, jeśli zostaną pobłogosławieni dzieciątkiem?

Ingmar obudził się po piętnastu godzinach. Opowiedział najpierw, jak to trafił w Nicei na króla. Czy raczej jak to król trafił go laską w czoło.

– Ojojoi! – powiedziała Henrietta.

No właśnie. Ale Ingmar był mu za to wdzięczny. Król przywrócił mu wzrok. Ingmar zrozumiał, że monarchia to diabelskie nasienie, które należy wytępić.

– Diabelskie nasienie? – zdziwiła się Henrietta.

– Które należy wytępić.

To wymagało cierpliwości i sprytu. Oraz dziecka, które sobie z Henriettą zrobią. A tak przy okazji, będzie miał na imię Holger.

– Kto?

– Nasz syn.

Henrietta, która w skrytości ducha i przez całe swoje dorosłe życie marzyła o małej Elzie, powiedziała nieśmiało, że przecież to może będzie córka, o ile w ogóle cokolwiek będzie. Wtedy usłyszała, że ma przestać myśleć negatywnie. Niech da mu lepiej jeść, to zdradzi jej swój plan.

Dała. Pyttipannę z buraczkami i jajkiem.

Między kolejnymi kęsami Ingmar ze szczegółami opisał spotkanie z Gustawem V. Pierwszy, ale nie ostatni raz opowiedział o „posłańcu” i „hultaju”. Po raz drugi, ale też nie ostatni, wspomniał również o srebrnej laseczce na swoim czole.

– I z tego powodu trzeba obalić monarchię? – odpowiedziała Henrietta. – Cierpliwością i sprytem? A jak według ciebie ma się

objawiać owa cierpliwość i spryt?

Pomyślała sobie, ale głośno tego nie powiedziała, że akurat cierpliwość i spryt – jak pokazuje historia – nie należały do głównych cech jej męża.

Przez cierpliwość Ingmar rozumiał, że nawet jeśli nie dalej jak wczoraj zrobili sobie z Henriettą dziecko, muszą na nie poczekać jeszcze kilka miesięcy, a potem całe lata, zanim Holger będzie dostatecznie duży, by kontynuować misję ojca.

– Jaką misję? – dociekała Henrietta.

– Walkę, droga Henrietto. Walkę.

Podczas podróży autostopem przez Europę Ingmar miał dużo czasu na przemyślenia. Obalenie monarchii nie będzie proste. To raczej zadanie na całe życie. A może i na dłużej. I tu właśnie zaczynała się rola Holgera. Bo jeśli Ingmar umrze, zanim wygra swoją batalię, syn będzie kontynuował jego dzieło.

– Dlaczego akurat Holger? – drażzyła Henrietta, pomijając już resztę wątpliwości.

– Właściwie to nie ma znaczenia, jak chłopak będzie się nazywał.

Nie imię było w tej batalii najważniejsze. Ale praktycznie byłoby, żeby jednak jakoś się zwał. Ingmar myślał najpierw o imieniu Wilhelm, jak ten słynny pisarz i republikanin Wilhelm Moberg, ale przypomniał sobie, że tak ma na imię jeden z synów króla, księżę Södermanlandii.

Zaczął od zrobienia listy wszystkich imion na A. Podczas podróży rowerem z Malmö do Lund dotarł do litery H. Wtedy przypomniał sobie o żołnierzu Armii Zbawienia, którego poznał poprzedniego dnia. Nazywał się właśnie Holger i miał naprawdę dobre serce, nawet jeśli nie podpompował kół w swoim rowerze. Taka uczciwość i hojność, jakimi wykazał się ów Holger, nie zdarzały się często. Poza tym Ingmar nie kojarzył żadnego Holgera arystokraty. To imię było tak obce arystokratycznemu herbarzowi, jak wymagała tego sprawa.

Henrietta miała już pełny obraz sytuacji. Czołowy szwedzki monarchista pragnął teraz poświęcić życie temu, by obrócić dwór królewski w proch. Zamierzał podążać za swoim powołaniem aż do śmierci i zawczasu zadbać o to, by jego potomkowie byli gotowi

przejąć pałeczkę, gdy nadejdzie pora. W ten sposób wykazywał się sprytem i cierpliwością.

– Nie potomkowie – sprostował Ingmar. – Potomek. Który będzie miał na imię Holger.

* * *

Holger okazał się zdecydowanie mniej narwany niż jego ojciec. W związku z tym w ciągu kolejnych czternastu lat Ingmar koncentrował się głównie na dwóch sprawach: 1) czytaniu wszelkich dostępnych materiałów na temat bezpłodności, 2) zakrojonemu na szeroką skalę i nieszablonowemu obrzucaniu błotem króla jako zjawiska i jako osoby.

Do swojej pracy na najniższym z możliwych stanowisk na poczcie w Södertälje przykładał się na tyle, by nie narażać się szefowi i nie wylecieć z roboty.

Kiedy już zapoznał się ze wszystkimi interesującymi go pozycjami w bibliotece miejskiej w Södertälje, zaczął regularnie zaglądać do Biblioteki Królewskiej w Sztokholmie. Paskudnie się nazywała, ale książek mieli tam w bród.

Ingmar dowiedział się wszystkiego, co wiedzieć należy na temat zaburzonego jajczkowania, aberracji chromosomowych i zaburzeń w produkcji plemników. Przeczesał archiwa, trafiał też niekiedy na informacje o wątpliwej wartości naukowej. Zaczął na przykład w określone dni (po pracy, a właściwie zazwyczaj kwadrans przed końcem) chodzić nago od pasa w dół – i tak do wieczora. W ten sposób utrzymywał mosznę w odpowiedniej temperaturze. Gdzieś mianowicie wyczytał, że korzystnie wpływa to na aktywność plemników.

– Rozwieszę pranie. Możesz w tym czasie zamieszać zupę? – prosiła Henrietta.

– Nie, bo moszna znajdzie się zbyt blisko kuchenki – odpowiadał Ingmar.

Henrietta nadal kochała swojego męża za to, że był taki pełen wigoru, ale od czasu do czasu musiała wprowadzić do swojego życia

trochę równowagi dodatkowym Johnem Silverem. I kolejnym. A jeszcze więcej wypaliła w dniu, w którym Ingmar chciał być miły i poszedł do sklepu spożywczego po śmietanę. Goły od pasa w dół, przez zwykłe zapominalstwo.

Poza tym był raczej szalony niż zapominalski. Pamiętał na przykład, kiedy Henrietta miała okres. W te i tak pozbawione perspektyw dni mógł więc uprzykrzać życie głowie państwa. I faktycznie to robił. Na różne sposoby.

16 czerwca 1948 roku z okazji dziewięćdziesiątych urodzin króla rozwinął nad Kungsgatan i akurat przejeżdżającym tamtędy królewskim orszakiem trzynastometrowy transparent z napisem „Zdychaj, stary koźle!”. Gustaw V miał już wtedy słaby wzrok, ale i ślepy by przeczytał. Według gazety „Dagens Nyheter” następnego dnia król powiedział: „Winnego pojmać i przyprowadzić!”.

Czyli teraz nagle chciał się spotkać.

Po sukcesie na Kungsgatan Ingmar przez jakiś czas nie rozrabiał. Aż do października 1950 roku, kiedy to zapłacił pewnemu młodemu i niczego niepodważającemu tenorowi z Opery Sztokholmskiej, by ten zaśpiewał *Bye, Bye, Baby* pod oknami pałacu Drottningholm, gdzie Gustaw V leżał na łożu śmierci. Czuwający tłum zaatakował tenora, a Ingmarowi – zaznajomionemu przecież z okolicznymi zaroślami – udało się uciec. Poturbowany i wściekły tenor wysłał mu list, w którym żądał obiecanych dwustu koron i dodatkowych pięciuset zadośćuczynienia. Ale ponieważ Ingmar zatrudnił tenora pod fałszywym nazwiskiem i takimż adresem, roszczenia nieszczęśnika dotarły do kierownika wysypiska śmieci w Lövsta, który zmiął list i wrzucił go do pieca numer dwa.

W 1955 roku Ingmar wyruszył śladem objeżdżającego kraj nowego króla. Chciał jakoś uprzykrzyć mu życie. Niestety, bez sukcesów. Zaczął już tracić nadzieję i poczuł, że być może próby wpłynięcia na poglądy obywateli to za mało. Tłusty tyłek króla tkwił przecież na tronie pewniej niż kiedykolwiek dotąd.

– Może sobie odpuść – sugerowała Henrietta.

– Znow jesteś pesymistką, moja droga. Słyszałem, że w poczęciu dziecka pomaga pozytywne nastawienie. Czytałem też, że nie powinnaś pić rtęci. To może być szkodliwe na początku ciąży.

– Rteci? – zdziwiła się Henrietta. – A po co u licha miałabym pić rtęć?

– To właśnie mówię! I nie dodawaj soi do jedzenia.

– Soi? A co to takiego?

– Nie mam pojęcia. Ale nie dodawaj jej do jedzenia.

W sierpniu 1960 roku Ingmar wpadł na nowy pomysł dotyczący prokreacji. Bardzo się jednak krępował, gdy się nim dzielił z Henriettą.

– Jeśli staniesz na głowie, kiedy... no... kiedy to robimy... wtedy plemnikom łatwiej będzie...

– Na głowie?

Henrietta zapytała męża, czy aby nie zwariował. Ale sama też już o tym kiedyś myślała. Tylko że to i tak na nic się zda. Ona już się poddała.

Tym większe było ich zaskoczenie, kiedy stwierdzili, że dzięki owej dziwacznej pozycji jest im tak przyjemnie, jak już dawno nie było. Zabawie towarzyszyły wesołe okrzyki obojga małżonków. Doszło do tego, że Henrietta – wykorzystując to, że Ingmar jeszcze nie śpi – zaproponowała:

– Kochanie, było całkiem, całkiem. Spróbujemy jeszcze raz?

Ingmar, sam zaskoczony, że jeszcze nie śpi, rozważył propozycję Henrietty i odpowiedział:

– Czemu nie.

Trudno powiedzieć, czy stało się to za pierwszym, czy za drugim razem, ale po trzynastu bezowocnych latach Henrietta w końcu zaszła w ciążę.

– Holgerku, mój Holgerku, jesteś w drodze! – wrzeszczał Ingmar do brzucha, gdy się dowiedział.

Henrietta, która wiedziała dostatecznie dużo o kwiatkach i pszczołkach i w związku z tym nie wykluczała Elzy, wyszła do

kuchni i zapaliła papierosa.

* * *

W ciągu kolejnych miesięcy Ingmar wrzucił wyższy bieg. Każdego wieczora rosnącemu brzuchowi czytał na głos *Dlatego właśnie jestem republikaninem*² Wilhelma Moberga. Codziennie przy śniadaniu poprzez pępek żony dzielił się z Holgerem swoimi republikańskimi przemyśleniami. Często dostawało się Martinowi Lutherowi Kingowi, który ponoć twierdził, że powinniśmy lękać się i kochać Boga, żebyśmy nie gardzili naszymi rodzicami i panami ani nie gniewali się na nich.

Rozumowanie Martina Luthera Kinga zawierało zdaniem Ingmara co najmniej dwa błędy. Przede wszystkim Boga nie wybiera lud. I nie da się go zdetronizować. Jasne, można było zmienić wyznanie, ale tak naprawdę wszyscy bogowie są ulepieni z tej samej gliny.

Wątpliwości budził też fragment o nieokazywaniu gniewu panom. Co to za panowie i niby dlaczego nie mamy się na nich gniewać?

Henrietta rzadko wtrącała się do tych monologów przy brzuchu. Czasami jednak musiała, bo na przykład jedzeniu groziło przypalenie.

– Czekaj, jeszcze nie skończyłem – sprzeciwiał się Ingmar.

– Gotuję właśnie kaszę – odpowiadała Henrietta. – Ty i mój pępek musicie dokończyć rozmowę później, jeśli nie chcesz, by spalił się nam dom.

W końcu nadszedł ten dzień. O cały miesiąc za wcześnie. Kiedy Henriecie odeszły wody, Ingmar wrócił właśnie do domu z tego swojego pieprzonego zbyt królewskiego urzędu pocztowego, gdzie wobec groźby represji musiał w końcu obiecać, że przestanie bazgrać po znaczkach i dorysowywać rogi Gustawowi VI Adolfowi. Wszystko potoczyło się szybko. Henrietta przeczołgała się do łóżka. Dzwoniąc po położną, Ingmar zaplątał się w kabel telefoniczny i wyrwał go ze ściany. Kiedy on klął na progu kuchni, w pokoju obok Henrietta powiła dziecko.

– Jak już skończysz przeklinać, przyjdź tu – wysapała. – Weź nożyczki, bo trzeba przeciąć pępowinę.

Nożyczek Ingmar nie znalazł (w kuchni słabo się orientował), ale ze skrzynki z narzędziami wygrzebał obcęgi.

– Chłopiec czy dziewczynka? – dopytywała się matka.

Ingmar zerknął tam, gdzie czekała odpowiedź na pytanie.

– To Holger, nie inaczej.

Miał właśnie pocałować żonę, gdy usłyszał:

– Oj! Idzie chyba jeszcze jedno.

Świeżo upieczony tatuś był zbity z tropu. Najpierw był niemal świadkiem narodzin syna – niestety, zaplątał się w kabel telefoniczny. A tu nagle kilka minut później pojawia się kolejny!

Ingmar nie zdążył tego wszystkiego przetrwać, bo Henrietta słabym, ale zdecydowanym głosem poinstruowała go, co powinien zrobić, by nie narażać życia matki i dzieci.

Ostatecznie wszystko dobrze się skończyło. Tyle że Ingmar miał teraz na kolanach dwóch synów, choć wyraźnie mówił przecież, iż ma być jeden. Nie powinni byli robić tego dwa razy tego samego wieczora; teraz wszystko się pokiełbasiło.

Henrietta poprosiła, by przestał wygadywać bzdury. Spojrzała na obu synów, najpierw na jednego, potem na drugiego, po czym powiedziała:

– Wydaje mi się, że Holger to ten po lewej.

– Tak – wymamrotał Ingmar. – Albo ten po prawej.

Sprawę dałoby się rozstrzygnąć, nadając to imię chłopcu, który przyszedł na świat jako pierwszy, ale w ogólnym zamęcie z łożyskiem i całą resztą Ingmarowi wszystko się pokręciło.

– Cholera jasna! – powiedział i od razu został skarcony przez żonę.

Przekleństwa nie mogą być pierwszą rzeczą, którą synowie usłyszą.

Ingmar zamilkł. Ponownie przeanalizował sytuację. I zdecydował.

– To jest Holger – powiedział, wskazując na dziecko po prawej stronie.

– Ach tak. A ten drugi?

– Też Holger.

– Holger i Holger? – zapytała Henrietta i od razu nabrała ochoty na papierosa. – Jesteś pewien, Ingmarze?

Tak, był pewien.

Część 2

Im bardziej przyglądam się ludziom, tym bardziej kocham psy.
Madame de Staël

Rozdział 5

O anonimowym liście, pokoju na świecie i wygłodniałym skorpionie

Pomagierce inżyniera Westhuizena wróciła wiara w to, że z odsieczą przyjdą jej przemiany społeczne. Niełatwo było jednak przewidzieć, dzięki czemu mogłaby mieć jakąkolwiek przyszłość, obojętnie już jaką.

Książki z biblioteki ośrodka badawczego pomagały jej wyrobić sobie jakieś poglądy i dostrzec określone prawidłowości. Większość pozycji miała jednak dziesięć lat. Albo i więcej. Nombeko przewertowała na przykład dzieło z 1924 roku, w którym pewien profesor z Londynu na dwustu stronach dowodził, że dzięki Lidze Narodów i coraz większej popularności jazzu już nigdy nie wybuchnie wojna.

Po tych wszystkich lekturach łatwiej jej było zrozumieć to, co działo się za płotami i ścianami ośrodka. Niestety, według ostatnich raportów bystrzy współpracownicy inżyniera rozwiązali problem autokatalityczny, poradzili sobie także z pozostałymi trudnościami. To z kolei oznaczało, że byli gotowi do przeprowadzenia próbnego wybuchu. Pomyślny wynik testu mógłby doprowadzić do finalizacji projektu. A Nombeko chciała przecież jeszcze trochę pożyć.

Jedyne, co mogła zrobić, to nieco ów proces spowolnić. I to tak, by rząd w Pretorii się nie połapał, jakim partaczem jest Westhuizen. Wstrzymanie właśnie rozpoczętych odwiertów na pustyni Kalahari wydawało się optymalnym rozwiązaniem.

Mimo że stało się to, co się stało, Nombeko ponownie zwróciła się do Chinek. Poprosiła siostry o przesłanie przez ich matkę listu. Jak to zrobić? Czy ktoś kontroluje pocztę wychodzącą?

Tak, oczywiście. Jeden białas z ochrony zajmuje się wyłącznie sprawdzaniem wszystkiego, co nie jest zaadresowane na nazwisko zaufanego odbiorcy. Jeśli ma jakiegokolwiek podejrzenia, otwiera korespondencję. I wzywa nadawcę na przesłuchanie.

Byłby to problem nie do przeskoczenia, gdyby kilka lat wcześniej szef sekcji bezpieczeństwa nie przeprowadził rutynowego szkolenia personelu odpowiedzialnego za obieg poczty. Kiedy już ze szczegółami opisał Chinkom procedury bezpieczeństwa, podkreślając, że podejmowane kroki są konieczne, bo nikomu nie można ufać, wyszedł do toalety. Wówczas dziewczęta dowiodły, że miał rację. Jak tylko zostały same, podreptały za biurko szefa sekcji bezpieczeństwa, wsunęły do maszyny do pisania właściwy arkusz i dopisały jeszcze jednego zaufanego odbiorcę do listy stu czternastu nazwisk.

– Waszą matkę – domyśliła się Nombeko.

Dziewczęta pokiwały głowami i się uśmiechnęły. Na wszelki wypadek przed jej nazwiskiem dodały elegancki tytuł. Cheng Lian wyglądałoby podejrzanie. Ale już *profesor* Cheng Lian budziło zaufanie. Rasistowska logika była dość prosta.

Nombeko pomyślała, że niezależnie od tytułu profesorskiego ktoś jednak powinien był zareagować na chińskie nazwisko. Ale podejmowanie ryzyka weszło siostrzom w krew. I zawsze spadały na cztery łapy. Może z wyjątkiem sytuacji, gdy zostały uwięzione w ośrodku badawczym. A skoro trik z nazwiskiem sprawdzał się już od kilku lat, to sytuacja nie powinna się zmienić w jeden dzień. Czy zatem Nombeko może wysłać list w liście do profesor Cheng Lian i czy matka dziewcząt może go przesłać dalej?

– Oczywiście – odpowiedziały dziewczyny, nie okazując żadnego zainteresowania, do kogo miała być potem skierowana korespondencja.

Sz.P.

Prezydent James Earl Carter junior

Biały Dom, Waszyngton

Dzień dobry, Panie Prezydencie. Być może zainteresuje Pana fakt, że w ciągu najbliższych trzech miesięcy Republika Południowej Afryki pod wodzą nieustannie pijanego ośła zamierza zdetonować bombę atomową o mocy około trzech megaton. Nastąpi to na pustyni Kalahari na

początku 1978 roku, dokładnie tutaj: 26°44'26"S, 22°11'32"E. Następnie Republika Południowej Afryki ma zamiar zaopatrzyć się w sześć bomb tego typu, by je potem wykorzystać według własnego uznania.

*Z poważaniem,
Przyjaciel*

Nombeko zakleiła kopertę, założywszy wcześniej gumowe rękawiczki, zaadresowała ją, a w rogu dopisała „Śmierć Ameryce!”. Po czym wsunęła ją do innego listu, który następnego dnia wysłano do zaufanego odbiorcy w Johannesburgu – pani profesor o chińsko brzmiącym nazwisku.

* * *

Biały Dom w Waszyngtonie wybudowali czarni niewolnicy sprowadzeni z Afryki, ojczyzny Nombeko. Już wtedy była to imponująca budowla, a tym bardziej sto siedemdziesiąt siedem lat później. W sześciopiętrowym budynku znajdowały się sto trzydzieści dwa pokoje, trzydzieści pięć łazienek, tor do kręgli i kino. Oraz całe mnóstwo pracowników, którzy każdego miesiąca przyjmowali trzydzieści trzy tysiące przesyłek. Zanim dotarły do poszczególnych odbiorców, prześwietlano je rentgenem, dawano do obwąchania specjalnie wyszkolonym psom i oglądano gołym okiem.

List od Nombeko przeszedł test rentgena i psów, ale kiedy senny, niemniej uważny kontroler zauważył adnotację „Śmierć Ameryce!” na kopercie zaadresowanej do samego prezydenta, wszczęto alarm. Dwanaście godzin później list poleciał do Langley w stanie Wirginia, gdzie został pokazany szefowi CIA Stansfieldowi M. Turnerowi. Raportujący sprawę agent opisał kopertę i wspomniał, że jedyne pozostawione na niej odciski palców należą prawdopodobnie do urzędników pocztowych. Nie było śladów radioaktywności, znaczek pocztowy wydawał się autentyczny. List został wysłany przed ośmioma dniami z okręgu pocztowego numer dziewięć

w Johannesburgu w RPA. Analiza komputerowa wykazała, iż tekst złożono ze słów wyciętych z książki *Pokój na ziemi* autorstwa brytyjskiego profesora, który przedstawił tezę głoszącą, że Liga Narodów i jazz przyniosą światu pokój, po czym w 1939 roku odebrał sobie życie.

– Jazz miałby zaprowadzić pokój na świecie? – zdziwił się szef CIA.

– Tak jak wspomniałem, autor tej tezy odebrał sobie życie – odpowiedział agent.

Szef CIA podziękował koledze i został sam na sam z listem. Trzy rozmowy telefoniczne i dwadzieścia minut później jasne było, że treść przesyłki potwierdza informacje, które, ku swojej konsternacji, otrzymał trzy tygodnie wcześniej od Sowietów i w które wtedy nie uwierzył. Anonimowy list zawierał jednak coś nowego: dokładne współrzędne. Podsumowując, informacje wyglądały na wiarygodne. Szefa CIA zaprzętały teraz dwie myśli: kim u licha jest nadawca? I: trzeba poinformować prezydenta, w końcu list jest adresowany do niego.

Stansfield M. Turner nie był lubiany w firmie, ponieważ próbował zastąpić komputerami jak największą liczbę pracowników. To właśnie komputer, a nie człowiek, połączył wycięte litery z książką *Pokój na ziemi*.

– Jazz miałby zaprowadzić pokój na świecie? – zapytał prezydent Carter starego kumpla ze studiów, gdy ten następnego dnia zjawił się w Gabinetce Ovalnym.

– Autor tej tezy odebrał sobie życie, panie prezydencie – odpowiedział Turner.

Jednak prezydent Carter, wielki miłośnik jazzu, nie mógł przestać o tym myśleć. A jeśli ten biedak miał rację? Tylko potem Beatlesi i Rolling Stonesi wszystko popsuli?

Szef CIA powiedział, że Beatlesów można obwiniać o wiele, ale na pewno nie o wybuch wojny w Wietnamie. I że powątpiewa w tę teorię, bo skoro Beatlesi i Rolling Stonesi nie zburzyli pokoju na świecie, to pozostają jeszcze Sex Pistols.

– Sex Pistols? – zdziwił się prezydent.

– *God save the Queen, she ain't no human being* – rzucił cytatem szef CIA.

– Aha, w takim razie rozumiem – powiedział prezydent. – Ale do rzeczy. Czy ci idioci w RPA zamierzają zdetonować bombę atomową? A projektem kieruje jakiś osioł?

– Co do osła, to nie wiem, sir. Szefem badań jest niejaki inżynier Westhuizen, który z najlepszymi wynikami ukończył jeden z najlepszych południowoafrykańskich uniwersytetów. Z pewnością starannie go wyselekcjonowano.

Wiele jednak wskazywało na to, że – pomijając ów szczegół – informacja jest prawdziwa. KGB było tak miłe i poinformowało o tym, co się dzieje. A teraz ten list, sformułowany w taki sposób, że szef CIA dałby się pokroić, iż to nie KGB za nim stoi. No i na zdjęciach satelitarnych faktycznie zarejestrowano zwiększoną aktywność w miejscu, które wskazywał tajemniczy autor listu.

– Ale po co ta „Śmierć Ameryce!” na kopercie?

– Dzięki temu list natychmiast trafił na moje biurko. O to chodziło. Autor listu dobrze wie, jak działa system bezpieczeństwa chroniący prezydenta. Tym bardziej ciekawe, co to za jeden. Zmyślnie.

Prezydent w słowach „Śmierć Ameryce!” nie widział niczego zmyślnego. Ani też w stwierdzeniu, że Elżbieta II miałyby pochodzić z innej niż ludzka rasy.

Podziękował jednak swojemu staremu kumpłowi i poprosił sekretarkę, by połączyła go z premierem Vorsterem w Pretorii. Prezydent Carter bezpośrednio odpowiadał za trzydzieści dwa tysiące głowic nuklearnych skierowanych w różnych kierunkach. Podobnie Breżniew w Moskwie. Świat nie potrzebował kolejnych sześciu sztuk broni o tej samej mocy. Pora na połajankę!

* * *

Vorster wpadł w szal. Amerykański prezydent, ten plantator orzeszków ziemnych i baptysta, śmie dzwonić do niego i twierdzić, że trwają przygotowania do próbnej detonacji na pustyni Kalahari.

Na dodatek podaje współrzędne miejsca, w którym ów test ma być przeprowadzony. Oskarżenie było bezpodstawne i paskudnie obraźliwe! Wściekły Vorster rzucił Jimmy'emu Carterowi słuchawkę. Miał jednak na tyle rozsądku, by na tym poprzestać. Niezwłocznie zadzwonił do Pelindaby i nakazał inżynierowi Westhuizenowi dokonanie próbnej detonacji w innej lokalizacji.

– Tylko gdzie? – zapytał inżynier Westhuizen, podczas gdy sprzątaczką inżyniera myła podłogę, omijając jego buty.

– Gdziekolwiek, byle nie na Kalahari – powiedział premier Vorster.

– Wszystko opóźni się o kilka miesięcy, może o rok albo i więcej – zauważył inżynier.

– Rób pan, co każe, do cholery.

* * *

Pomagierka inżyniera pozwoliła mu dumać nad nową lokalizacją przez dwa lata. Najlepszym pomysłem, na jaki w tym czasie wpadł, było zdetonowanie cholerstwa w którymś z bantustanów. Sam jednak potrafił ocenić, że to kiepski plan.

Nombeko uznała, że akcje inżyniera lecą w dół na łeb na szyję i że pora znów podbić ich kurs. Wtedy właśnie dopisało im szczęście. Zaistniała pewna okoliczność, dzięki której inżynier i – co za tym idzie – jego sprzątaczką zyskali dodatkowe pół roku.

Premier B.J. Vorster dość już miał narzekań i niewdzięczności, z którymi stykał się na każdym kroku we własnym kraju. Dlatego z niewielką pomocą przyjaciół wypompał z kasy państwa siedemdziesiąt pięć milionów randów. Następnie założył gazetę „Obywatel”, która w przeciwieństwie do zwykłego południowoafrykańskiego obywatela entuzjastycznie ustosunkowywała się do południowoafrykańskiego rządu i jego umiejętności trzymania rdzennych mieszkańców i reszty świata za pysk. Na nieszczęście za sprawą jakiegoś wyjątkowo podstępного obywatela dowiedziała się o tym opinia publiczna. A kiedy

wkurzone sumienie świata udaną akcją militarną w Angoli określiło mianem rzezi sześciuset cywilów – Vorster musiał odejść.

– Niech to wszyscy diabli – stwierdził już po raz ostatni i w 1979 roku na dobre wycofał się z polityki. Pozostało mu wrócić do Kapsztadu i z grogiem w dłoni przesiadywać na tarasie luksusowej willi z widokiem na Robben Island, gdzie przebywał terrorysta Mandela.

To Mandela miał zgnić, a nie ja, pomyślał, sam gnijąc, Vorster.

Na jego następcę, Pietera Willema Bothę, mówiono, Wielki Krokodyl. Już po pierwszej rozmowie z nowym premierem inżynier był śmiertelnie przerażony. Nombeko zrozumiała, że z testem bomby dłużej nie da się już czekać. Któregoś dnia, popołudniową porą, gdy z inżynierem był jeszcze jakiś kontakt, Nombeko postanowiła zabrać głos w tej sprawie.

– Panie inżynierze – zaczęła, sięgając po stojącą na jego biurku popielniczkę.

– Czego?

– Tak sobie myślę... – zaczęła Nombeko, a inżynier jej nie przerywał. – Skoro w całej Republice Południowej Afryki nie ma dostatecznie dużo miejsca, poza Kalahari, gdzie, jak wiadomo, obowiązuje zakaz, to może by tak zdetonować bombę w morzu?

RPA z trzech stron otoczona była bezmiarem morza. Nombeko przez długi czas sądziła, że wybór miejsca jest dziecinnie prosty. I faktycznie, dziecko Westhuizen rozpromieniło się. Na sekundę. Ale potem inżynier przypomniał sobie, że służba bezpieczeństwa ostrzegła go przed współpracą z flotą. Wnikliwe śledztwo przeprowadzone po tym, jak prezydent Carter najwyraźniej dowiedział się o planowanym teście na Kalahari, doprowadziło do wiceadmirała Johana Charla Waltersa. Na trzy tygodnie przed telefonem Cartera odwiedził on Pelindabę. Zapoznał się wówczas ze szczegółami projektu. Na dodatek przez co najmniej siedem minut przebywał sam w biurze Westhuiena, czekając na inżyniera, który utknął w korku (tę wersję inżynier podał podczas przesłuchania; w rzeczywistości zbyt długo zabawił w barze, gdzie zwykł wypijać

swoje śniadanie). Według najbardziej popularnej teorii Walters, wizytując Pelindabę, dowiedział się, że jego łodzie podwodne nie zostaną wyposażone w broń atomową, i w odwecie wypaplał wszystko Amerykanom.

– Nie ufam flocie – mruknął inżynier do swojej sprzątaczkii.

– To niech się pan z tym zwróci do Izraelczyków – powiedziała Nombeko.

Wtedy zadzwonił telefon.

– Tak, panie premierze... Oczywiście, że jestem świadom, jakie znaczenie ma... Nie, panie premierze... O przepraszam, panie premierze, ale tu się akurat nie zgodzę. Na moim biurku leży właśnie szczegółowy plan dotyczący przeprowadzenia wspólnie z Izraelczykami próby na Oceanie Indyjskim. W ciągu trzech miesięcy, panie premierze. Dziękuję, panie premierze, jaki pan miły. Raz jeszcze dziękuję, do widzenia.

Inżynier Westhuizen odłożył słuchawkę, po czym wypił duszkiem szklaneczkę brandy, którą dopiero co sobie nalał. I zwrócił się do Nombeko:

– Nie stój tak. Przyprowadź Izraelczyków.

I faktycznie, test przeprowadzono wspólnie z Izraelem. Przy tej okazji inżynier Westhuizen ciepło wspomniął poprzedniego premiera, a zarazem byłego nazistę. Nawiązanie współpracy z Jerozolimą było genialnym posunięciem! Na wojnie, w miłości i w polityce wszystkie chwytaki są przecież dozwolone. W Pelindabie Izrael reprezentowało dwóch nadętych agentów Mosadu. Niestety, inżynier zmuszony był widywać ich częściej, niż to było konieczne. Nie mógł znieść ich drwiących uśmiezków, które mówiły: „Jak mogłeś być takim głupcem, by kupić glinianą gęś, która ledwo co wyschła, i uwierzyć, że ma dwa tysiące lat?”.

Dzięki odsunięciu podejrzanego o zdradę wiceadmirała Waltersa trzymali Amerykanów w niewiedzy. Ha! Detonację zarejestrował wprawdzie amerykański satelita Vela, ale wtedy było już za późno.

Nowy premier P.W. Botha był tak zadowolony z wyników próby jądrowej, że przyjechał do ośrodka badawczego z trzema butelkami

wina musującego z Constantii. W biurze inżyniera Westhuizena wyprawił kameralne przyjęcie, na którym gościł inżynier, obaj agenci Mosadu oraz usługujący im czarnuch. Premier Botha nigdy nie pozwoliłby sobie, by nazwać czarnucha czarnuchem, w końcu stanowisko zobowiązywało. Ale myśleć mógł sobie, co mu się żywnie podobało.

Tak czy siak, podała, co miała podać, i starała się zlać z białą tapetą na tyle, na ile to było możliwe.

– Pana zdrowie, inżynierze – powiedział premier Botha i uniósł kieliszek. – Pana zdrowie!

Inżynier Westhuizen, któremu do twarzy było z tym zażenowaniem bohatera, zażądał od tejjakjejtam dyskretnej dolewki, podczas gdy premier miło gawędził sobie z agentami Mosadu.

Aż nagle w ułamku sekundy nastrój z całkiem sympatycznego zmienił się w zgoła odwrotny. Premier zagaił mianowicie Westhuizena:

– Co pan inżynier sądzi na temat trytu?

Premier P.W. Botha miał podobną do swego poprzednika przeszłość. Nowy przywódca kraju był może nieco bardziej inteligentny, bo porzucił nazizm od razu, gdy tylko zrozumiał, dokąd to wszystko zmierza. Swoje przekonania określał mianem „chrześcijańskiego nacjonalizmu”.

Uniknął w ten sposób internowania, kiedy alianci zaczęli zdobywać przewagę i mógł robić polityczną karierę bez ograniczeń w postaci okresu karencji.

Botha i jego Kościół reformowany twierdzili, że Prawdę można wyczytać w Biblii, jeśli czyta się ją odpowiednio wnikliwie. Już Księga Rodzaju opowiadała o wieży Babel, o próbach człowieka, by zbudować drogę do nieba. Bóg uznał to za pychę, rozgniewał się, rozpedził ludzi po świecie i pomieszał języki.

Różni ludzie, różne języki. Wolą Boga jest, by ludzie się nie mieszały. Dał zielone światło, by dzielić wszystkich według koloru skóry.

Wielki Krokodyl wierzył, że po szczeblach kariery wspinał się z Bożą pomocą. Nie minęło dużo czasu, a był już ministrem obrony w rządzie swojego poprzednika Vorstera. Piastując to stanowisko, kierował atakiem lotniczym wymierzonym w ukrywających się w Angoli terrorystów, co głupi świat nazwał rzezią niewiniątek. „Mamy dowody w postaci materiału zdjęciowego!” – twierdził świat. „Najważniejsze jest to, czego nie widać” – twierdził Krokodyl, ale przekonał wyłącznie własną matkę.

Tak czy siak, problem inżyniera Westhuizena polegał na tym, że ojciec P.W. Bothy był dowódcą podczas drugiej wojny burskiej, a sam Botha miał we krwi sztukę wojenną i wszystko to, co z nią związane. Wiedział więc co nieco na temat technicznych zawłości, na których najlepiej ze wszystkich pracujących przy projekcie jądrowym znał się przecież inżynier Westhuizen. Botha nie miał powodów przypuszczać, że inżynier to oszust pełną gębą. W zasadzie o tryt zapytał tylko ot tak, z ciekawości.

Inżynier Westhuizen milczał przez dziesięć sekund. Sytuacja stawała się coraz bardziej niezręczna – i bezpośrednio zagrażała Nombeko, według której brak odpowiedzi na to dziecinnie proste pytanie niechybnie wpędzi tego idiotę w poważne kłopoty. A przy okazji i ją. Nie miała ochoty po raz kolejny ratować inżynierowi tyłka. Jednak wyłowiła z kieszeni awaryjną buteleczkę w nierzucającym się w oczy kolorze brązu – z brandy, podeszła do inżyniera i oznajmiła, że pan Westhuizen znów ma chyba problemy z astmą.

– Proszę, niech pan sobie porządnie pociągnie, zaraz znów będzie pan mógł mówić i powiedzieć panu premierowi, że krótki czas połowicznego rozpadu trytu nie stanowi żadnego problemu, ponieważ nie wpływa na siłę wybuchu bomby.

Inżynier opróżnił buteleczkę i od razu lepiej się poczuł. Premier Botha gapił się szeroko otwartymi oczami na pomagierkę.

– Ty masz jakieś pojęcie o problematyce trytu? – zapytał.

– Ależ skąd. – Nombeko się zaśmiała. – Ale jak tu tak codziennie sprzątam, to słyszę, jak inżynier mamrocze sam do siebie wszystkie

te wzory i inne dziwne rzeczy. No i coś z tego utkwilo w moim mózdzku. Jeszcze wina musujacego?

Premier Botha zgodzil sie na dolewke. Wpatrywatal sie w Nombeko, gdy ta szla z powrotem na swoje miejsce przy tapecie. Inzynier odchrzanknal, poprosil o wybaczenie za atak astmy oraz za to, ze pomagierka miala czelnosc sie odezvac.

– No wiec, wracajac do tematu, krutki czas poltrwania polowicznego rozpadu trytu nie wplywa na silę wybuchu – powiedzial.

– Przeciez wlasnie dowiedzialem sie tego od sluzby – odpowiedzial cierpko premier.

Botha nie zadawal juz wiecej trudnych pytan dodatkowych. Wkrótce, dzieki gorliwym dolewkom Nombeko, wrócił mu humor. Inzynierowi Westhuizenowi znów sie upieklo. A wraz z nim jego sprzataczce.

Kiedy pierwsza bomba byla gotowa, produkcja kolejnych zajely sie dwa niezalezne zespolo ekspertow. Mialy wzorowac sie na prototypie i szczegolowo raportowac swoje poczynania. W ten sposob mozna bylo ze szczegolami porownac bombe numer dwa z bomba numer trzy, a nastepnie je obie z bomba numer jeden. Analize te przeprowadzal inzynier i tylko on (pomijajac Nombeko, ale ona sie przeciez nie liczyla). Jesli bomby beda identyczne, beda rowniez prawidlowo wykonane. Dwa niezalezne od siebie zespolo nie moga popelnic tych samych bladow. Wedlug tejjakjejtam statystyczne ryzyko wynosilo 0,0054 procent.

* * *

Nombeko probowala uczepic sie czegos, czegokolwiek, co daloby jej jakas nadzieje. Chinki mialy pewne pojecie o swiecie. Wiedzialy na przyklad, ze piramidy egipskie znajduja sie w Egipcie, jak sie truje psy i na co trzeba zwrócic uwage, gdy sie kradnie portfel z wewnetrznej kieszeni marynarki. I z grubsza tyle.

Inżynier często psioczył na to, co dzieje się w RPA i na świecie. Jednak na informacje pochodzące z tego źródła należało brać poprawkę. Według Westhuizena wszyscy politycy byli idiotami i komunistami, a podejmowane przez nich decyzje były albo idiotyczne, albo wynikały z komunistycznych pobudek. A jeśli były komunistyczne, to automatycznie również idiotyczne.

Kiedy na nowego prezydenta USA wybrano byłego gwiazdora Hollywood, inżynier odsądził od czci i wiary nie tylko prezydenta, lecz także jego rodaków. Ronalda Reagana nie nazwał jednak komunistą. Inżynier skupił się za to na jego domniemanym homoseksualizmie, zgodnie z tezą, że wszyscy mężczyźni, którzy wyznają inne poglądy niż inżynier, to homoseksualiści.

Z całym szacunkiem dla Chinek i inżyniera, ale najlepszym źródłem informacji dla Nombeko pozostawał wciąż telewizor w poczekalni przy biurze inżyniera. Włączała go ukradkiem i słuchała informacji oraz programów publicystycznych, udając przy tym, że szoruje podłogę. Ten korytarz był chyba najlepiej wysprzątanym miejscem w całym ośrodku badawczym.

– Ty znowu tutaj? – warknął inżynier, gdy któregoś dnia dowlókł się do pracy o wpół do jedenastej przed południem, co najmniej kwadrans wcześniej, niż spodziewała się Nombeko. – I kto włączył ten telewizor?

To się mogło źle skończyć, a Nombeko mogła zostać odcięta od źródła informacji. Znała jednak swojego inżyniera. Zamiast odpowiedzieć, skierowała rozmowę na inny tor:

– Na biurku pana inżyniera widziałam do połowy pełną butelkę brandy. Pomyślałam, że jest już zwietrzała i należałoby ją wylać. Ale nie byłam pewna. Najpierw chciałam spytać pana inżyniera.

– Wylać? Na łeb upadłaś? – powiedział inżynier i popędził do biura, by się upewnić, że nadal są tam życiodajne krople. A żeby tejjakjejtam nie wpadł do głowy jakiś głupi pomysł, przelał je natychmiast z butelki do swojego krwiobiegu. Wkrótce nie pamiętał już ani o telewizorze, ani o podłodze, ani o pomagierce.

* * *

Któregoś dnia w końcu pojawiła się.

Możliwość.

Jeśli Nombeko zrobi wszystko jak należy i jeśli, tak jak inżynierowi, dopisze jej trochę szczęścia, wkrótce będzie wolną kobietą. Ściganą, ale jednak. Okazja ta miała źródło – o czym Nombeko nie miała zielonego pojęcia – po drugiej stronie kuli ziemskiej.

Faktyczny przywódca Chin, Deng Xiaoping, dość wcześnie wykazał się talentem do eliminowania konkurentów – jeszcze zanim zniedołężniały Mao Zedong zdążył dokonać żywota. Najbardziej spektakularna plotka głosiła, że nie zezwolił na udzielenie pomocy prawej ręce Mao, Zhou Enlaiowi, gdy ten zachorował na raka. Chorowanie na raka w połączeniu z brakiem leczenia rzadko kiedy dobrze się kończy. Oczywiście zależy, jak na to spojrzeć. Tak czy siak, Zhou Enlai zmarł dwadzieścia lat po nieudanej próbie CIA wysadzenia go w powietrze.

Potem na scenie pojawiła się banda czworga z ostatnią żoną Mao na czele. Ale jak tylko staruszek wydał ostatnie tchnienie, całą czwórkę pojmano i zamknięto, a Deng zapomniał, gdzie schował klucz.

Jego politykę zagraniczną przesycala niechęć do matoła Breżniewa w Moskwie. Którego zastąpił inny matoł Andropow. A tego z kolei niejaki Czernienko, największy matoł z nich wszystkich. Na szczęście jak tylko Czernienko przejął władzę, od razu bezpowrotnie ją utracił. Mówiono, że Ronald Reagan śmiertelnie go wystraszył swoimi „wojnami gwiazdnymi”. Prezydentem został jakiś Gorbaczow i... No, od matoła do wyrostka. Nowy będzie miał sporo okazji, żeby się wykazać.

Odwiecznym zmartwieniem Chin była ich pozycja w Afryce. Od dziesięcioleci Sowieci maczali łapska w afrykańskich walkach wyzwoleniczych. Najlepszym przykładem było ich obecne zaangażowanie w Angoli. Partia MPLA – Ludowy Ruch Wyzwolenia Angoli – otrzymała sowiecką broń w zamian za obranie kursu we właściwym kierunku ideologicznym. Oczywiście *sowiecką* drogą. Niech to szlag!

Sowieci popychali Angolę i inne kraje na południu Afryki w kierunku dokładnie odwrotnym do tego, którego pragnęły USA i RPA. Jaką rolę w całym tym zamieszaniu miałyby odegrać Chiny? Iść w ślady komunistycznych odszczepieńców na Kremlu? A może sprzymierzyć się z imperialistami w USA i apartheidowym reżimem w Pretorii?

Po raz wtóry – niech to szlag!

Można by nie zajmować żadnego stanowiska, oddać walkę walkowerem, jak mawiają ci cholerni Amerykanie. Gdyby nie podejrzane konszachty RPA z Tajwanem.

Tajemnicą poliszynela było, że Stany Zjednoczone udaremniły przeprowadzenie testu broni jądrowej na pustyni Kalahari. Wszyscy zatem domyślali się, co szykuje RPA. Przez „wszystkich” należało rozumieć liczące się służby wywiadowcze. Ale oprócz leżącego na biurku Denga raportu służb specjalnych na temat testu na pustyni Kalahari były jeszcze materiały dotyczące rozmów, które RPA prowadziła z Tajpej. To był dopiero problem! Nie wolno dopuścić do tego, aby Tajwańczycy zdobyli broń jądrową, którą następnie wycelują przeciwko kontynentalnym Chinom. Mogłoby to doprowadzić do eskalacji na Morzu Południowochińskim. Z Flotą Pacyfiku Stanów Zjednoczonych za rogiem.

Deng był zatem zmuszony w taki czy inny sposób poradzić sobie z tym potwornym apartheidowym reżimem. Szef chińskiego wywiadu zasugerował przyjęcie biernej postawy i przeczekanie, aż reżim sam padnie. Udzieliwszy tej rady, szef wywiadu wkrótce pożegnał się ze swoim stanowiskiem – czy bezpieczeństwo Chin wzrasta, gdy Tajwan robi interesy z mającym broń jądrową krajem znajdującym się na skraju przepaści? Były szef wywiadu mógł o tym porozmyślać w nowej pracy na stanowisku dozorczy stacji w pekińskim metrze.

Trzeba sobie jakoś z tym poradzić i tyle. W taki czy inny sposób.

Deng nie mógł tam tak po prostu pojechać i dać się sfotografować ze starym nazistą Bothą (nawet jeśli było to dość kuszące, w rozsądnych dawkach dekadencji Zachód miał swój urok). Nie

mógł też wysłać tam nikogo ze swoich najbliższych współpracowników. Pod żadnym pozorem nie należało stwarzać wrażenia, że Pekin i Pretoria są ze sobą w komitywie.

Tyle że delegowanie jakiegoś pozbawionego zmysłu obserwacji i wyczucia urzędasza niższego szczebla nie miało najmniejszego sensu. Zresztą tak czy siak przedstawiciel Chin musiał być dostatecznie wysoko w hierarchii, by Botha zechciał go przyjąć.

A zatem ktoś skuteczny, ale znajdujący się nie za blisko organu wykonawczego Politbiura, ktoś, kto nie zostanie odebrany jako oczywisty reprezentant Pekinu. Deng Xiaoping znalazł rozwiązanie w osobie młodego sekretarza partii prowincji Guizhou. Liczba plemion przewyższała tam chyba liczbę mieszkańców, ale ten młodzik udowodnił, że da się zapanować nad wiecznie niezadowolonymi mniejszościami Yao, Miao, Yi, Qiang, Dong, Zhuang, Buyi, Bai, Tujia, Gelao i Shui.

Ktoś, kto potrafił zonglować jedenastoma piłeczkami jednocześnie, powinien poradzić sobie z byłym nazistą Bothą, pomyślał Deng i wysłał młodziaka do Pretorii. Z zadaniem: między wierszami zakomunikować Afryce Południowej, że współpraca z Tajwanem w zakresie broni jądrowej jest nie do zaakceptowania, oraz uzmysłwić Południowoafrykańczykom, z kim zadzierają, jeśli już zdecydują się zadzierać.

* * *

P.W. Botha nie miał najmniejszej ochoty na spotkanie z głową jakiejś chińskiej prowincji. To by było poniżej jego godności. Zresztą po tym, jak zamieniono mu tytuł premiera na prezydenta, Botha stał się jeszcze bardziej dostojsny. Jak by to wyglądało, gdyby on – prezydent! – przyjął z honorami pierwszego lepszego Chińczyka? Gdyby tak miał się spotkać z nimi wszystkimi, z każdym z osobna na kilka sekund, musiałby przeznaczyć na to ponad trzysta tysięcy lat. Botha nie sądził, że tyle pożyje. Wręcz przeciwnie, czuł się potwornie wycieńczony, mimo nowego tytułu. Dobrze wiedział, o co chodzi Chinom, które posyłają do niego jakiegoś pacholka. Pekin nie

chciał być oskarżony o klepanie się po plecach z rządem w Pretorii. Zresztą vice versa.

Pozostawało pytanie: czego chcą? Czy ma to coś wspólnego z Tajwanem? Zabawne, bo współpraca z Tajwańczykami niczym nie zaowocowała.

No, może jednak spotka się z tym posłańcem.

– Umieram z ciekawości – powiedział sam do siebie i uśmiechnął się, choć prawdę mówiąc, nie miał żadnych powodów do radości.

Aby nie dopuścić do naruszenia etykiety, oczywistego w sytuacji, gdy prezydent podejmuje jakiegoś chłopca na posyłki, Botha postanowił rozwiązać problem następująco: zaaranżuje spotkanie z kimś o statusie tego Chińczyka, po czym sam niby przypadkiem do nich dołączy. A wy tu? Można się przysiąc? Coś w tym stylu.

Botha zadzwonił do szefa supertajnego programu produkcji broni jądrowej i polecił, by przyjął gościa z Chin, który zabiega o spotkanie z prezydentem. Inżynier ma go zabrać na safari i zaprosić na dobrą kolację. Przy stole ma uzmysłwić Chińczykowi, że z południowoafrykańską sztuką inżynierii wojskowej należy się liczyć. O broni jądrowej niech jednak nie wspomina. Najważniejsze, by do Chińczyka dotarło ich przesłanie. Należy okazać siłę, ale nie mówić otwartym tekstem. Przypadkiem prezydent Botha będzie akurat w pobliżu. Jeść też coś trzeba, więc chętnie do nich dołączy.

– O ile inżynier Westhuizen nie ma nic przeciwko temu?

Inżynier miał mętlik w głowie. Musi podjąć gościa, z którym nie chce spotkać się prezydent. Ma mu opowiedzieć, jak się sprawy mają, a jednocześnie nic nie mówić. Na dodatek prezydent, który nie chce się z tym gościem spotkać, pojawi się, by się z nim spotkać.

Pojął z tego tyle, że powinien natychmiast zaprosić prezydenta na kolację, którą prezydent właśnie sam zaplanował. Ale zrozumiał też, że grozi mu kompromitacja.

– Pan prezydent jest oczywiście mile widziany na kolacji! – powiedział inżynier Westhuizen. – Jasna sprawa! A właściwie kiedy jest ta kolacja? No i gdzie?

W ten sposób zmartwienie Deng Xiaopinga w Pekinie stało się problemem inżyniera Westhuizena w Pelindabie. Westhuizen nie miał mianowicie zielonego pojęcia o projekcie, którym kierował. Gadanie o niczym i zgrywanie bystrego, gdy jest dokładnie odwrotnie, to nie lada wyzwanie. Pozostawało mu zabrać ze sobą tejakjejtam w roli służącej i tragarza. Będzie dyskretnie dostarczać inżynierowi sensowne informacje na temat projektu i tak ważyć słowa, by za dużo o nim nie opowiedzieć. Albo za mało.

Tajakjejtam poradzi sobie z tym doskonale.

Jak zresztą ze wszystkim, czego się ta cholera tknie.

* * *

Przed safari z Chińczykiem oraz kolacją, na której miał się pojawić sam prezydent, sprzątaczką inżyniera została dokładnie poinstruowana, jak ma się zachowywać. Na wszelki wypadek, by zapobiec kłopotom, w tworzeniu instrukcji pomagała inżynierowi Nombeko.

Miała być cały czas pod ręką i w odpowiednich momentach szeptać mu do ucha mądrości pasujące do kontekstu toczącej się rozmowy. Poza tym miała milczeć i zachowywać się tak, jakby jej nie było, co zresztą było zgodne z prawdą.

Dziewięć lat wcześniej Nombeko została skazana na siedem lat służby u inżyniera. Gdy kara dobiegła końca, postanowiła mu o tym nie przypominać. Woli już być żywa w niewoli niż martwa na wolności.

Wkrótce jednak miała się znaleźć za ogrodzeniami i polem minowym, dziesiątki kilometrów od strażników i ich nowych owczarków. Jeśli uda jej się uciec, automatycznie stanie się najbardziej poszukiwaną osobą w RPA. Policja, służby specjalne i wojsko będą jej wszędzie szukać. No, może nie w Bibliotece Narodowej w Pretorii. Bo tam zamierzała wybrać się najpierw.

Pod warunkiem że uda jej się uciec.

Westhuizen był tak uprzejmy i poinformował ją, że kierowca, a zarazem przewodnik podczas safari, będzie miał broń i otrzymał rozkaz strzelania nie tylko do agresywnych lwów, ale też do uciekających sprzątaczek, gdyby takie się pojawiły. Ze względów bezpieczeństwa także inżynier postanowił schować do kabury pistolet. Glock 17, kaliber 9×19, z siedemnastoma nabojami w magazynku. Nie można by tym powalić słonia ani nawet nosorożca, ale ważącą pięćdziesiąt pięć kilogramów pomagierkę na pewno.

– O przepraszam, pięćdziesiąt trzy – sprostowała pomagierka.

Nombeko rozważała, czyby przy jakiejś sprzyjającej okazji nie stworzyć szuflady w biurze inżyniera, w której przechowywał swój pistolet, i nie wysypać z niego tych siedemnastu naboji. Porzuciła jednak ów pomysł. Gdyby ten pijaczyna jakimś cudem to odkrył, jej ucieczka zakończyłaby się, zanimby się w ogóle rozpoczęła.

Postanowiła nie działać pochopnie, wyczekiwać odpowiedniej okazji, a gdy ta się nadarzy, uciec co sił w nogach do buszu. I starać się nie zarobić przy okazji kulki w plecy od kierowcy. Ani nie natknąć się na któreś z tych zwierząt, na które należy się natknąć na safari.

Kiedy zatem miałyby się nadarzyć ta odpowiednia okazja? Na pewno nie podczas kolacji, kiedy kierowca będzie czujny, a inżynier wciąż na tyle trzeźwy, by móc trafić w coś poza własną stopą. Może zaraz po safari, a tuż przed kolacją, kiedy Westhuizen będzie już dostatecznie mocno wcięty i podenerwowany przed spotkaniem z tym swoim prezydentem, a kierowca zakończy już wielogodzinną służbę.

Tak, właśnie wtedy. Należało tylko wybrać odpowiedni moment i go wykorzystać.

* * *

Wszystko było gotowe do safari. Chińczyk przyprowadził ze sobą tłumacza. A ten na swoje nieszczęście poszedł nierozważnie za potrzebą w wysoką trawę. Do tego w sandałach.

– Pomocy, umieram! – wrzasnął, gdy poczuł ukłucie w dużym palcu lewej nogi i zobaczył oddalającego się skorpiona.

– Nie powinien był pan wchodzić w trawę w takich butach, a właściwie to bez butów w ogóle nie powinien pan tam wchodzić, zwłaszcza że wieje – skomentowała Nombeko.

– Pomocy, umieram! – krzyknął znów tłumacz.

– A co ma do tego fakt, że wieje? – zainteresował się inżynier, którego mało obchodziło zdrowie tłumacza, zaciekawilo natomiast to, co powiedziała Nombeko.

Ona zaś wyjaśniła, że przy takiej pogodzie owady chowają się przed wiatrem w trawie, a skorpiony wychodzą ze swoich kryjówek na łowy. Dziś na drodze jednego z nich znalazł się duży palec u nogi.

– Pomocy, umieram – jęknął tłumacz.

Nombeko zdała sobie sprawę, że biadolący tłumacz faktycznie tak myśli.

– Jestem pewna, że pan nie umiera – powiedziała. – Skorpion był niewielki, a pan jest słusznej budowy. Ale na wszelki wypadek powinien pan pojechać do szpitala, żeby panu porządnie opatrzyli ranę. Wkrótce palec zrobi się trzy razy większy i zsinieje. Będzie boleć jak diabli, proszę wybaczyć wyrażenie. I tak już nici z pana tłumaczenia.

– Pomocy, umieram – po raz czwarty powtórzył tłumacz.

– Jeszcze chwila, a będę panu tego życzyć – powiedziała Nombeko. – Zamiast się mazać, niech pan doceni, że to był tylko skorpion, a nie na przykład kobra. Przy okazji dowiedział się pan, że w Afryce nie sika się bezkarnie, gdzie popadnie. Wszędzie znajdzie pan jakieś urządzenia sanitarne. Tam, skąd pochodzę, stoją poustawiane w szeregach.

Tłumacz zamilkł na kilka sekund, zszokowany myślą, że skorpion, od którego ukąszenia miał umrzeć, mógł być kobrą, za której sprawą na pewno by umarł. W tym czasie przewodnik załatwił samochód z kierowcą dla tłumacza.

Nieszczęśnika ukąszonego przez skorpiona położono na tylnym siedzeniu land rovera, gdzie natychmiast powrócił do głośnego biadolenia. Kierowca wzniósł oczy ku niebu i odjechał.

Inżynier i Chińczyk popatrzyli na siebie.

– I co teraz? – wymamrotał pod nosem w języku afrikaans inżynier.

– I co teraz? – wymamrotał pod nosem w języku wu Chińczyk.

– Pan Chińczyk może z Jiangsu? – w tym samym języku zapytała Nombeko. – Może z Jiangyan?

Chińczyk, który urodził się i dorastał w Jiangyan w prowincji Jiangsu, nie wierzył własnym uszom.

Pomyśleć, że ta cholerna jakiejtam wciąż musi działać inżynierowi Westhuizenowi na nerwy. Teraz papie tu z gościem z Chin w jakimś niezrozumiałym języku, a on, inżynier Westhuizen, w ogóle nie kontroluje przebiegu rozmowy.

– Przepraszam, ale co tu się dzieje?

Nombeko wyjaśniła, że przypadkiem ona i gość mówią w tym samym języku. Ona może więc zastąpić tłumacza, który zamiast wykonywać swoją robotę, jęczy w szpitalu z sinym palcem u nogi. O ile pan inżynier się zgodzi. A może woli, żeby siedzieli przez cały dzień i wieczór w milczeniu?

Nie, na to inżynier nie miał najmniejszej ochoty. Ale chciał, by takiejtam skupiła się wyłącznie na tłumaczeniu. Pogaduszki z Chińczykiem są nie na miejscu.

Nombeko obiecała, że postara się nie ucinać sobie z Chińczykiem pogawędek. Prosi jednak o zrozumienie, jeśli akurat będzie zmuszona odpowiedzieć panu Chińczykowi na pytanie. Pan inżynier sam przecież wciąż ją poucza, że tak właśnie ma robić. Wszystko chyba układało się pomyślnie.

– Teraz pan inżynier może mówić, co mu się żywnie podoba na temat zaawansowanej technologii zbrojeniowej, a także na inne tematy, w których czuje się niepewnie. Jeśli się panu inżynierowi coś wyrwie – a tego nie możemy przecież wykluczyć, prawda? – będę to mogła skorygować w tłumaczeniu.

No i zasadniczo takiejtam znowu miała rację. A ponieważ nie dorastała mu do pięt, nie było powodu, by czuł się urażony. Życ to znaczy przeżyć, pomyślał inżynier. Dzięki temu zbiegowi okoliczności wzrosły szanse na to, że i z kolacji z Chińczykiem i prezydentem inżynier wyjdzie cało.

– Jeśli się spiszesz, może dostaniesz nową szczotkę – powiedział.

Safari, podczas którego doszło do bliskiego spotkania z wielką piątką Afryki, można było uznać za udane. Korzystając z postoju na kawę, Nombeko uprzedziła Chińczyka, że za pięć godzin niby przypadkiem dołączy do nich prezydent Botha. Chińczyk podziękował za informację i obiecał, że będzie udawał zaskoczonego. Nombeko nie zdradziła, że wszyscy będą dość zaskoczeni, kiedy tłumaczka na zastępstwie zniknie nagle podczas kolacji w domku myśliwskim. A potem niech tam sobie siedzą i gapią się jeden na drugiego.

Nombeko wysiadła z land rovera, żeby towarzyszyć inżynierowi w restauracji. Myślała już tylko o mającej nastąpić wkrótce ucieczce. Może zwieje przez kuchnię i wyjdzie z tyłu budynku? Gdzieś tak między daniem głównym a deserem?

Inżynier przerwał jej rozmyślenia. Zatrzymał się i pokazał na nią palcem.

– A to co? – zapytał.

– To? – odpowiedziała Nombeko. – No ja. Jakmitam.

– Nie, idiotko. Mam na myśli to, co masz na sobie.

– Kurtka.

– A dlaczego masz ją na sobie?

– Bo należy do mnie. Czyżby pan inżynier wysączył dziś za dużo brandy?

Inżynier nie miał już siły napominać swojej sprzątaczkii.

– Chodzi o to, o ile masz tyle rozumu, by mnie wysłuchać, że ta kurtka jest paskudna.

– Tylko taką mam, panie inżynierze.

– Nic mnie to nie obchodzi. Podczas spotkania z prezydentem nie możesz wyglądać, jakbyś wyszła prosto ze slumsów.

– Ale to przecież prawda – odparła Nombeko.

– Natychmiast zdejmij tę kurtkę i zostaw ją w samochodzie! Pośpiesz się, prezydent czeka.

Do Nombeko dotarło, że z planowanej ucieczki nici. W kurtce zaszyła przecież diamenty, za które miała żyć – o ile będzie jej to

dane. A jeśli chce bez nich uciec przed południowoafrykańską niesprawiedliwością... równie dobrze może zostać tutaj. Z prezydentami, Chińczykami, bombami oraz inżynierami. I dalej czekać, co przyniesie los.

Na początek inżynier Westhuizen opowiedział prezydentowi o przygodzie ze skorpionem. Całe szczęście, że był na tyle przewidujący, aby zabrać ze sobą służącą, która, tak się składa, zna język Chińczyka.

Czarna Południowoafrykanka znająca chiński? Czy to przypadkiem nie ta sama osoba, która serwowała wino musujące i dyskutowała na temat trytu podczas jego wizyty w Pelindabie? P.W. Bocie nie chciało się jednak drażnić tematu, już i tak zmagał się z bólem głowy. Zadowolił się oświadczeniem inżyniera, że tłumaczka nie stanowi zagrożenia bezpieczeństwa, bo nigdy nie opuszcza ośrodka.

Jak przystało na prezydenta, P.W. Botha przejął inicjatywę w rozmowie przy kolacji. Zaczął od zaprezentowania dumnej historii RPA. Tłumaczka Nombeko pogodziła się z myślą, że z dziewięciu lat w niewoli zrobi się więcej. Wobec braku nowych pomysłów na to, jak ową sytuację zmienić, tłumaczyła wiernie słowa prezydenta.

A ten mówił dalej o dumnej historii RPA. A Nombeko wiernie tłumaczyła.

Prezydent mówił jeszcze więcej o dumnej historii RPA. Nombeko nie chciało się już przekazywać Chińczykowi informacji, bez których spokojnie mógł się obyć. Zamiast tego zaproponowała:

– Jeśli pan Chińczyk chce, mogę dalej tłumaczyć brednie tego pyszałka. A jeśli nie, powiem w skrócie: chcę wam powiedzieć, że świetnie im idzie konstruowanie zaawansowanej broni i w związku z tym wy, Chińczycy, powinniście się z nimi liczyć.

– Dziękuję panience za szczerłość – odpowiedział Chińczyk. – Ma panienska zupełną rację. Wiem już wystarczająco dużo na temat

tęgo, jak wspaniałe jest wasz kraj. Proszę przetłumaczyć, że jestem wdzięczny za ów jakże interesujący wykład z historii.

Kolacja trwała w najlepsze. Bliżej dania głównego nadeszła pora, by inżynier Westhuizen też trochę się pochwalił. Jego wywód był pogmatwanym, nietrzymającym się kupy technicznym bełkotem. Westhuizen tak się zapętlił, że nawet prezydent stracił wątek (to było właśnie to szczęście inżyniera, które sprzyjało mu, aż sprzyjać przestało). Trudno było przełożyć bajdurzenie inżyniera, mimo że Nombeko robiła, co mogła. W końcu powiedziała:

– Oszczędzę panu Chińczykowi tych bzdur, które plecie inżynier. W skrócie: wiedzą, jak skonstruować broń jądrową, mają już kilka sztuk, mimo nieudolności inżyniera. Nigdzie jednak nie kręcą się żadni Tajwańczycy, nie słyszałam też o żadnej bombie przeznaczonej na eksport. Proszę teraz powiedzieć im coś miłego, a potem – jeśli można – zaproponować, aby i tłumaczka mogła coś przegryźć. Umieram z głodu.

Chiński wysłannik był urzeczony Nombeko. Miło się uśmiechnął, wyraził swój podziw dla wiedzy Westhuizena. Nie chciałby absolutnie okazywać braku szacunku dla południowoafrykańskich obyczajów, jednak zgodnie z chińskimi nie do pomyślenia jest, aby ktoś siedzący przy stole nie jadł wraz z pozostałymi. Oświadczył, że czuje się niezręcznie, gdy tak doskonała tłumaczka nie posila się razem z nimi. Czy pan prezydent pozwoli zatem, by podzielił się z nią swoją kolacją?

Prezydent Botha pstryknął i zamówił dodatkową porcję dla przedstawicielki tubylczej ludności. Niech już coś zje, skoro ma to uszczęśliwić gościa. Rozmowa szła chyba zresztą w dobrym kierunku. A Chińczyk sprawiał wrażenie uległego.

Po kolacji:

- 1) Chiny wiedziały, że RPA dysponuje bronią jądrową;
- 2) Nombeko zyskała oddanego przyjaciela w osobie sekretarza partii chińskiej prowincji Guizhou;
- 3) inżynier van der Westhuizen przetrwał kolejny kryzys, ponieważ...
- 4) P.W. Botha, który też o niczym nie miał pojęcia, był zadowolony z rozwoju wypadków.

A wreszcie, co równie ważne:

5) mimo że dwudziestopięcioletnia Nombeko Mayeki pozostawała więźniem Pelindaby, po raz pierwszy w życiu najadła się do syta.

Rozdział 6

O Holgerze i Holgerze oraz o pękniętym sercu

Zgodnie z planem Ingmara Holger od dnia urodzin miał być chowany w duchu republikańskim. Na jednej ze ścian pokoiku dziecięcego zawiesił portret Charles'a de Gaulle'a i Franklina D. Roosevelta, jeden obok drugiego, nie zważając na to, że ci dwaj szczerze się nienawidzili. Na drugiej ścianie zagościł Fin Urho Kekkonen. Wszyscy trzej jegomości znaleźli się tam, bo zostali wybrani przez obywateli. Byli prezydentami.

Ingmarowi słabo robiło się na samą myśl o tym, że ktoś mógł być przywódcą całego narodu wyłącznie z racji urodzenia i został skazany na osobistą tragedię wynikającą z tego, iż od dnia narodzin wbijano mu do głowy określone przekonania, pozbawiając go tym samym szansy na obronę. Toż to znęcanie się nad dzieckiem, pomyślał Ingmar i na wszelki wypadek zawiesił na ścianie pokoju jeszcze nienarodzonego Holgera wizerunek byłego argentyńskiego prezydenta Juana Perona.

Zmartwieniem wciąż śpieszącego się Ingmara był obowiązek szkolny, któremu podlegał Holger. Wiadomo, chłopak musi nauczyć się czytać i pisać. Ale poza tym wbijają im tam do głów same bzdury: wiedzę religijną, geografię i tak dalej. Wszystko to będzie zabierać cenny czas, który można by przeznaczyć na prowadzone w domu nauczanie o tym, że króla – ewentualnie na drodze demokratycznej – należy zdetronizować i zastąpić przedstawicielem narodu wybranym przez obywateli.

– *Ewentualnie* na drodze demokratycznej? – zdziwiła się Henrietta.

– Nie czepiaj się słówek, moja droga – odpowiedział Ingmar.

Początkowo, gdy w ciągu kilku minut Holger przyszedł na świat nie jeden, ale dwa razy, ich dotychczasowe problemy z logistyką jeszcze się pogłębiły. Ale – podobnie jak wielokrotnie wcześniej –

Ingmar porażkę przekuł w sukces. Wpadł na pomysł tak rewolucyjny, że po czterdziestu sekundach namysłu postanowił przedstawić go małżonce.

Wykombinował mianowicie, że Holger i Holger będą uczęszczać do szkoły naprzemiennie. Ponieważ poród odbył się w domu, wystarczyło zarejestrować jedno z dzieci, a istnienie drugiego utrzymać w tajemnicy. Okoliczność sprzyjającą stanowił fakt, że podczas akcji porodowej Ingmar wyrwał ze ściany kabel telefoniczny, więc nie można było wezwać położnej jako świadka.

Pomysł Ingmara zakładał, że Holger 1 będzie uczęszczał do szkoły w poniedziałki, a Holger 2 pozostanie w domu, aby pobierać u ojca republikańskie nauki. We wtorek chłopcy będą się zamieniać miejscami i tak dalej. Docelowo mieliby przyswoić konieczną porcję wiedzy ogólnej i odpowiednią tej o istotnym znaczeniu.

Henrietta miała nadzieję, że się przesłyszała. Chciał, żeby przez całe życie trzymali w tajemnicy istnienie jednego z chłopców? Przed szkołą? Przed sąsiadami? Przed całym światem?

– Coś w tym rodzaju – potwierdził Ingmar. – Ku chwale republiki.

Ze szkołą nie ma zresztą co przesadzać. Od zbyt wielu książek można zwyczajnie zgłupieć. Sam został księgowym, a mołem książkowym nie był.

– Pomocnikiem księgowego – poprawiła go Henrietta, na co usłyszała, że znów czepia się słówek.

Czymże się jeszcze zamartwia? Tym, co powiedzą sąsiedzi i otoczenie? Rany boskie. Tu w lesie nie mają przecież żadnych sąsiadów. Poza Johanem na wzgórzu. Ale ten tylko nielegalnie poluje na łosie. I nawet mięsem się nie podzieli. A otoczeniem i tak nie ma się co przejmować. Gdziekolwiek spojrzeć, tylko monarchie i dynastie.

– A ty? – powiedziała Henrietta. – Zwolnisz się z pracy, żeby siedzieć w domu z którymś z chłopców? Mam być jedyną żywicielką rodziny?

Ingmar wyraził swoje ubolewanie z powodu wąskich horyzontów Henrietty. No jasne, że musi rzucić posadę na poczcie. Nie może przecież pracować na dwa etaty. Zamierza poświęcić się rodzinie.

Chętnie na przykład pomoże w kuchni. Utrzymywanie moszny w odpowiednio niskiej temperaturze nie jest już przecież konieczne.

Henrietta odpowiedziała, że jedynym powodem, dla którego Ingmar w ogóle docierał do kuchni, jest ciasnota ich mieszkania. Jakoś uda jej się pogodzić pracę krawcowej, gotowanie i zmienianie pieluch, byleby tylko Ingmar i jego moszna trzymali się z daleka od jej garnków.

Po czym mimo wszystko uśmiechnęła się. Był przecież taki pełen wigoru.

Ingmar zwolnił się już nazajutrz. Mógł odejść jeszcze tego samego dnia, otrzymawszy odprawę w wysokości trzech pensji. Wieczorem jego zazwyczaj spokojni koledzy i koleżanki z działu ekonomicznego urzędu pocztowego zorganizowali z tej okazji spontaniczną imprezę.

Był rok 1961. Ten sam, w którym w Soweto, lata świetlne stąd, urodziła się niezwykle utalentowana dziewczynka.

* * *

W pierwszych latach życia Holgera i Holgera Ingmar spędzał czas na przeszkadzaniu żonie w domu oraz urządzaniu rozmaitych republikańskich wybryków. Wstąpił także do klubu republikańskiego pod moralnym przywództwem wielkiego Wilhelma Moberga. Literacka legenda Moberg zżymał się na wszystkich tych podstępnych socjalistów i liberałów, którzy w programach swoich partii optowali za republiką i nic potem w tej sprawie nie robili.

Ingmar nie chciał przedwcześnie się wychylać, odczekał więc z prezentacją swoich pomysłów do drugiego spotkania klubu. Wtedy zaproponował, że chętnie zajmie się administrowaniem funduszami klubu, które następnie przeznaczy na porwanie i ukrycie następcy tronu. W ten sposób przerwie dopływ pretendentów do tronu.

Po kilku sekundach konsternacji i milczenia, które zapanowały wokół republikańskiego stołu, Moberg osobiście przepędził Ingmara, na do widzenia sprzedając mu kopniaka w tyłek.

Kopniak wymierzony prawą stopą przez Moberga i będący jego konsekwencją upadek ze schodów sprawiły Ingmarowi ból. Ale poza tym nic się nie stało, pomyślał, gdy kuśtykał do domu. Niech sobie siedzą w tym swoim republikańskim klubie wzajemnej adoracji. On miał już lepsze pomysły.

Wstąpił na przykład do bezpłciowej partii socjaldemokratycznej. Od kiedy Per Albin Hansson za pomocą horoskopów przeprowadził naród przez koszmar drugiej wojny światowej, socjaldemokraci byli w Szwecji u władzy. Sam Hansson jeszcze przed wojną wybił się właśnie na walce o republikę. Lecz kiedy ten stary bojownik ruchu antyalkoholowego był już na tyle ustawiony, żeby móc w tej sprawie podjąć jakieś decyzje, zamiast postępować w zgodzie ze swoimi przekonaniem, wolał grać z kumplami w pokera i popijać grog. Było to tym bardziej przykre, że Hansson musiał przecież wykazać się sporym sprytem, skoro przez lata jego żona i kochanka – a z każdą miał dwójkę dzieci – pozostawały w dobrych stosunkach.

Ingmar miał zamiar wspiąć się możliwie najwyżej w socjaldemokratycznej hierarchii, by któregoś dnia na drodze parlamentarnej przegnać tego przeklętego króla, gdzie pieprz rośnie. Sowieciom udało się wysłać w kosmos psa, mogą więc następnym razem to samo – z korzyścią dla wszystkich – zrobić z szefem szwedzkiego państwa, pomyślał Ingmar i udał się do biura partii w Eskilstunie; biuro partii socjaldemokratycznej w Södertälje sąsiadowało z lokalem należącym do komunistów teścia.

Kariera Ingmara u socjaldemokratów okazała się jeszcze krótsza niż ta w klubie republikańców. Zapisał się do partii w czwartek, a już w sobotę miał rozdawać ulotki pod sklepem monopolowym. Problem w tym, że zainteresowany sprawami świata oddział partii w Eskilstunie zażądał ustąpienia Ngo Dinh Diema z Sajgonu. Lecz przecież Diem był prezydentem! Do tego doszedł do władzy po tysiącu lat panowania cesarskiej dynastii.

Jasne, nie wszystko było jak należy. Gadano na przykład, że jego brat zaczął sobie mózg opium i wyhalucynował dwa miliony

dodatkowych wyborców Diema, gdy odpowiadał za przeliczanie głosów podczas wyborów prezydenckich w Wietnamie.

Pewnie, tak być nie powinno. Ale żeby z tego powodu żądać dymisji prezydenta?

Ingmar wyrzucił ulotki do rzeki Eskilstuny, po czym wydrukował własne, w których w imieniu socjaldemokratów wyrażał uznanie dla Diema i pełnych werwy amerykańskich żołnierzy.

Szkoda wyrządzona partii socjaldemokratycznej okazała się jednak znikoma. Tak się bowiem złożyło, że trzech z czterech członków regionalnego zarządu już z samego rana w sobotę załatwiało sprawunki w monopolowym. Ulotki Ingmara wylądowały więc w kubie na śmieci zamiast w rękach potencjalnych wyborców, a Ingmara poproszono o natychmiastowe zdanie książeczki partyjnej, której zresztą jeszcze nie zdążył sobie wyrobić.

* * *

Lata płynęły, Holger i Holger rośli i szczęśliwie dla ich taty Ingmara byli niemal identyczni.

Mama Henrietta spędzała dni na szyciu, paleniu kojących nerwy johnów silverów i obdarowywaniu miłością wszystkich swoich trojga dzieci. Najstarsze z nich – Ingmar – większość czasu spędzało na śpiewaniu chłopcom republikańskich hymnów, a poza tym organizowało sporadycznie najazdy na Sztokholm, by siać zamęt w szeregach monarchistycznych. Za każdym razem, kiedy to ostatnie miało miejsce, Henrietta musiała od nowa odkładać pieniądze do cukiernicy, której nigdy nie udawało jej się dostatecznie dobrze ukryć.

Mimo osobistych niepowodzeń Ingmar mógł zaliczyć lata sześćdziesiąte do dość udanych, zwłaszcza jeśli chodzi o jego sprawę. W Grecji na przykład rządy przejęła junta wojskowa, przepędzając do Rzymu króla Konstantyna II wraz z jego dworem. Wszystko wskazywało na to, że grecka monarchia to już historia, a kraj czeka świetlana gospodarcza przyszłość.

Przykłady Wietnamu i Grecji przekonały Ingmara, że do osiągnięcia celu potrzebna jest przemoc. Rację miał on, a nie Wilhelm Moberg. Wciąż, mimo upływu lat, czuł tamtego kopniaka w tyłek. Żałosny pisarzyna.

Król Szwecji też mógł się wyprowadzić do Rzymu, gdyby nie chciał dołączyć w kosmosie do Łajki. Wieczorami miałby towarzystwo. Wszystkie te cholerne rodziny królewskie są przecież ze sobą spowinowaczone.

Za pasem był kolejny nowy rok. 1968 miał należeć do Ingmara – tak obwieścił rodzinie w te święta Bożego Narodzenia. Oraz do republiki.

– Świetnie – powiedziała Henrietta i otworzyła prezent od ukochanego męża. Nie miała żadnych oczekiwań, a jednak, mimo wszystko.

Oprawiony w ramkę portret islandzkiego prezydenta Ásgeira Ásgeirssona.

Dla Henrietty, która właśnie miała rzucić palenie.

Jesienią 1968 roku Holger i Holger weszli w system szkolnictwa szwedzkiego zgodnie z zasadą co drugiego dnia, którą Ingmar ustalił, gdy okazało się, że jest ich więcej niż jeden.

Nauczyciela dziwiło trochę, że Holger tego, czego nauczył się w poniedziałek, następnego dnia już nie pamiętał, wiedza z wtorku wyparowywała już w środę, a znów powracała poniedziałkowa. Chłopak w sumie jednak nieźle sobie radził, no i jak na swój wiek przejawiał spore zainteresowanie polityką. Nauczyciel był więc o niego spokojny.

W kolejnych latach cała ta szalona sytuacja trochę się uładziła, jako że dla Ingmara ważniejsze było nauczanie w domu niż ganień za królem. A jeśli już gdzieś się wybierał, to zawsze z dziećmi. Zwłaszcza że jedno z nich potrzebowało dodatkowej porcji uwagi; to, na które od początku wołano Holger 2 i które zaczęło wykazywać oznaki kryzysu wiary. Zupełnie inaczej sprawa się miała w wypadku Pierwszego.

Przypadek sprawił, że to właśnie Holger 1 został zarejestrowany, to on miał paszport, podczas gdy Drugi w świetle prawa nie istniał. Pozostawał jakby w rezerwie. Jediną cechą odróżniającą Drugiego od Pierwszego był jego talent do nauki. Dlatego zawsze gdy nadchodziła pora sprawdzianu, do szkoły, niezależnie od harmonogramu, szedł Holger 2. Poza tym jednym razem, gdy został w domu z gorączką. Kilka dni później nauczyciel geografii poprosił, by wyjaśnił, dlaczego Pireneje umieścił w Norwegii.

Henrietta miała świadomość niedoli Drugiego, która i ją unieszczęśliwiała. Czyżby dla jej ukochanego wariata faktycznie nie było żadnych granic?

– Jasne, że są granice, droga Henrietto – uspokoił ją Ingmar. – Nawet o tym trochę ostatnio rozmyślałem. Nie jestem już taki pewien tego, że uda się za jednym zamachem wpłynąć na cały naród.

– Cały naród? – zdziwiła się Henrietta.

– Za jednym zamachem – odpowiedział Ingmar.

Szwecja była idealnie podłużna. Ingmar zaczął się bawić myślą, że mógłby reformować kraj partiami. Zacząłby od południa i kierował się na północ. Mógł też oczywiście zacząć od góry, tyle że tam akurat panuje taki paskudny ziąb. Komu by się chciało zmieniać ustrój w czterdziestostopniowym mrozie?

Henriette bardziej niepokoiło to, że Pierwszy nie miał żadnych rozterek. Oczy mu tylko błyszczały. Tym mocniej, im większe bzdury wygadywał Ingmar. Postanowiła udaremnić kolejne wariactwa męża. W przeciwnym razie sama zwariuje.

– Od teraz siedzisz w domu, inaczej wynocha! – oznajmiła Ingmarowi.

Ingmar kochał Henriette, toteż uszanował jej ultimatum. Nauczanie wciąż jednak odbywało się według ustalonego schematu, podobnie jak nigdy niekończące się wywody Ingmara na temat dawnych i współczesnych prezydentów. Szaleństwo trwało w najlepsze i wciąż dawało się we znaki Henriecie. Ale Ingmar

zaprzestał swoich wypadów – aż do dnia, w którym chłopcy ukończyli szkołę.

Wtedy znów go naszło i pojechał do Sztokholmu, by demonstrować pod Zamkiem Królewskim, gdzie właśnie urodził się książę.

Wtedy miarka się przebrała. Henrietta poprosiła Holgera i Holgera do kuchni.

– Wszystko wam teraz opowiem, dziatki kochane – powiedziała.

Tak też uczyniła.

Jej opowieść trwała dwadzieścia papierosów. Rozpoczęła się od spotkania z Ingmarem w sądzie w Södertälje w 1943 roku. Starła się nie oceniać postępowania ich ojca, mówiła tylko, jak było, włącznie z tym, jak pomylił nowo narodzone dzieci, przez co nie dało się określić, które przyszło na świat jako pierwsze.

– Być może ty byłeś drugi – zwróciła się do Pierwszego – ale nie wiem tego na pewno. Nikt nie wie.

Sądziła, że wszystko rozumie się samo przez się, a synowie wyciągną właściwe wnioski.

Miała połowiczną rację.

Obaj Holgerowie wysłuchali jej historii. Jeden potraktował ją jak podanie o bohaterze, mężczyźnie pełnym patosu, który niezmordowanie walczy z przeciwnościami losu. Dla drugiego zaś była to kronika wydarzeń prowadzących do nieuchronnego upadku.

– Tyle miałam do powiedzenia – zakończyła Henrietta. – Zależało mi, żebyście to usłyszeli. Zastanówcie się nad tym, co wam powiedziałam, nad tym, jak ma wyglądać wasze życie. Może powrócimy do tematu przy śniadaniu?

Tej nocy Henrietta modliła się do Boga, choć była córką lokalnego działacza komunistycznego. Modliła się, by synowie wybaczyli jej, by wybaczyli Ingmarowi. Żeby wszystko dało się naprawić, by można było zacząć żyć normalnie. Modliła się do Boga, żeby pomógł jej, gdy zwróci się do władz z podaniem o przyznanie obywatelstwa niemal osiemnastoletniemu, nowo narodzonemu mężczyźnie. Modliła się, by wszystko się ułożyło.

– Ach, dobry Boże – westchnęła Henrietta.

I zasnęła.

Następnego dnia Ingmara wciąż nie było. Henrietta czuła zmęczenie, gotując kaszę dla siebie i dzieci. Miała pięćdziesiąt dziewięć lat, ale wyglądała na więcej. Było jej ciężko. Pod każdym względem. Wszystkim się niepokoiła. Dzieci usłyszały jej historię. Teraz czekała na sąd. Ich i boży.

Matka i synowie zasiedli znów do stołu. Holger 2 widział, czuł i rozumiał. Holger 1 nie widział, nie rozumiał. Za to czuł. Czuł, że trzeba pocieszyć Henriette.

– Nie martw się, mamó – powiedział. – Obiecuję, że nigdy się nie poddam! Dopóki żyję, będę walczył w imieniu taty. Dopóki żyję! Słyszysz, mamó?

Henrietta usłyszała. I to było dla niej zbyt wiele. Serce jej pękło. Z żalu. Z powodu wyrzutów sumienia. Zduszonych marzeń, wizji i wyobrażeń. Bo prawie nic nie potoczyło się w jej życiu tak, jak pragnęła. Bo przez trzydzieści dwa lata żyła w niepokojach. I z powodu właśnie złożonej przez syna deklaracji, że to szaleństwo nigdy się nie skończy. A przede wszystkim z powodu wszystkich tych czterystu sześćdziesięciu siedmiu tysięcy dwustu johnów silverów bez filtra wypalonych od jesieni 1947 roku.

Henrietta była wojowniczką. Kochała swoje dzieci. Ale jak serce pęka, to człowiek nie ma szans. Rozległy zawał w kilka sekund zakończył jej życie.

* * *

Holger 1 nigdy nie pojął, że on, Ingmar i papierosy zabili matkę. Drugi zastanawiał się, czyby mu tego nie powiedzieć, ale zrezygnował, domyślając się, że to nie poprawi sytuacji. Za sprawą nekrologu w dzienniku „Länstidningen Södertälje” po raz pierwszy dotarło do niego, jak bardzo nie istnieje.

Ukochana żona
i matka
Henrietta Qvist
pozostawiła nas

pograżonych w żalu
Södertälje, 15 maja 1979 roku

INGMAR

Holger

—

Vive la République

Rozdział 7

O bombie, której nie było, i o inżynierze, którego też wkrótce miało nie być

Nombeko ponownie znalazła się za dwoma płotami pod napięciem dwunastu tysięcy woltów. Czas płynął. Bardziej od faktu, że kara w rzeczywistości nie miała granicy, irytowało ją to, że od początku nie zdawała sobie z tego sprawy.

Kilka lat po powstaniu pierwszej bomby równolegle wyprodukowano drugą i trzecią. A po upływie kolejnych dwudziestu miesięcy także czwartą i piątą. Zespoły pracowały obecnie niezależnie od siebie; nie wiedziały nawet o swoim istnieniu. Ostateczna kontrola gotowych już egzemplarzy wciąż należała do inżyniera. Ponieważ bomby przechowywane były w jednym z pancernych magazynów przylegających do biura inżyniera, nikt mu w tym nie przeszkadzał. Mogła mu więc asystować jego sprzątaczką, nie wywołując przy tym niczyjego zdziwienia. Pomijając już to, kto komu asystował.

Zaplanowano i zabudżetowano w sumie sześć bomb, po trzy megatony każda. Niestety, szef projektu, inżynier Engelbrecht van der Westhuizen, nad niczym już nie panował – czy zresztą kiedykolwiek to robił? – ponieważ każdego dnia już o dziesiątej rano był pijany w sztok. Jego pomagierka była natomiast zbyt zajęta sprzątaniami i ukradkowym czytaniem książek w bibliotece, by za każdym razem zdążyć przyjść mu z odsieczą. Nigdy zresztą nie dostała obiecanej nowej szczotki, przez co szorowanie podłogi zajmowało jej dużo czasu.

Po wyprodukowaniu bomby czwartej i piątej nadal równolegle toczyły się prace obu zespołów. Co oznaczało, że powstała bomba szósta – *oraz siódma!*

Przez pomyłkę, w tym bałaganie, nad którym nikt nie panował, wyprodukowano więc o jedną bombę za dużo, bombę poza

wszelkimi protokołami.

Istniała zatem bomba, która nie istniała.

Kiedy sprzątaczką inżyniera odkryła to uchybienie, poinformowała szefa, który zmartwił się na tyle, na ile miał ku temu powody. Bomby, których nie było, nie powinny istnieć, w przeciwnym razie pojawiają się problemy. Inżynier nie mógł przecież ot tak w tajemnicy przed prezydentem i rządem zutylizować bomby. Zresztą nie wiedziałby jak. Nie zamierzał też zespołów badawczych o źle policzonych bombach informować.

Nombeko pocieszała inżyniera Westhuizena, że być może pojawią się kolejne zamówienia na bomby. Wówczas ta nieistniejąca mogłaby nadal nie istnieć w jakimś trudnym do odnalezienia miejscu do czasu, aż będzie mogła istnieć.

– Też o tym pomyślałem – odpowiedział inżynier, choć w rzeczywistości pomyślał, że sprzątaczką podrosła i zrobiła się całkiem apetyczna.

Bomba, której nie było, została więc ukryta w pustym dotąd magazynie obok sześciu jak najbardziej istniejących bomb. Wstęp miał tam tylko inżynier. No i oczywiście tajakjejtam.

Przez te ponad dziesięć lat spędzonych za dwoma płotami ośrodka badawczego Nombeko przeczytała wszystko, co warto było przeczytać z dość skromnego zbioru biblioteki w Pelindabie. I większość tego, co warte przeczytania nie było.

Sytuacji nie poprawiał fakt, że miała już prawie dwadzieścia sześć lat i była kobietą w pełnym tego słowa znaczeniu. A z tego, co wiedziała, biali i czarni nadal nie mogli się ze sobą zadawać, tak bowiem nakazał Bóg w Księdze Rodzaju, w interpretacji Kościoła reformowanego. Nie żeby w ośrodku był interesujący ją obiekt, z którym chciałyby się zadać. A jednak fantazjowała o jakimś mężczyźnie, o tym, co mogliby razem robić. Zwłaszcza niektóre rzeczy. Widziała to na rysunkach, w literaturze nieco lepszego sortu niż to, co w 1924 roku stworzył brytyjski profesor-od-pokoju-na-świecie.

Lepiej jednak żyć bez czegoś w rodzaju bliskości za płotami ośrodka badawczego niż nie żyć za tymi samymi płotami. Wówczas doświadczy jedynie bliskości robaków w ziemi, w której ją zakopią.

Nombeko posłuchała więc wewnętrznego głosu i nie przypominała inżynierowi o tym, że z siedmiu lat zrobiło się jedenaście. Jest, jak jest.

Jeszcze przez jakiś czas.

* * *

Południowoafrykańskie siły zbrojne otrzymywały coraz większe dofinansowanie od państwa, którego nie było na to stać. Doszło do tego, że jedną piątą fatalnie niezrównoważonego krajowego budżetu przeznaczano na wydatki związane z obronnością, a wszystko to przy kolejnych embargach, które narzucano na kraj. Jedną z największych bolączek w zbiorowej świadomości narodu południowoafrykańskiego było to, że kraj zmuszony był grać w futbol i rugby sam ze sobą, bo nikt inny się do tego nie kwapił.

Naród jednak jakoś sobie radził. Embargo handlowe nie obejmowało w końcu całego świata. Wiele krajów występowało wręcz przeciwko zwiększaniu sankcji. W tym duchu wypowiadała się premier Thatcher w Londynie i prezydent Reagan w Waszyngtonie. Podkreślali oni, że każda nowa sankcja odbije się przede wszystkim na najuboższych. Albo, jak to ujął szwedzki przywódca Umiarkowanej Partii Koalicyjnej, Ulf Adelsohn: „Jeśli zbojkotujemy towary z RPA, ci biedni Murzyni zostaną bez pracy”.

Tak naprawdę pies był pogrzebany gdzie indziej. Dla Thatcher, Reagana (tak jak i zresztą dla Adelsohna) problemu nie stanowiło to, że nie podobał im się apartheid; już od kilkadziesiąt lat rasizm był politycznie przegrany. Nie, tu chodziło raczej o to, co ma być zamiast niego. I tak na przykład wybór między apartheidem a komunizmem nie był już taki prosty. Choć na przykład nie dla Reagana, który jeszcze jako przewodniczący amerykańskiego związku zawodowego aktorów walczył o to, by nie wpuszczać komunistów do Hollywood. Jak by to wyglądało, gdyby wydając

teraz kolejne miliardy dolarów na wyścig zbrojeń zmierzający do uśmiercenia sowieckiego komunizmu, pozwolił rządzić komunistom w RPA? Poza tym ci dranie Południowoafrykańczycy mieli teraz broń jądrową, nawet jeśli temu zaprzeczali.

W gronie tych, którzy byli przeciwko takiemu cackaniu się Thatcher i Reagana z apartheidem, znajdowali się szwedzki premier Olof Palme oraz przewodnik Libii po socjalizmie Muammar Kaddafi. Palme ryczał: „Apartheidu nie można zreformować, apartheid należy całkowicie wyeliminować!”. Wkrótce potem sam został wyeliminowany przez szaleńca, który nie do końca wiedział, gdzie jest i dlaczego zrobił to, co zrobił. Albo wprost przeciwnie. Nigdy tego nie wyjaśniono.

Natomiast Kaddafi jeszcze przez wiele lat cieszył się dobrym zdrowiem. Południowoafrykańskiemu ruchowi oporu ANC przesyłał statkami tony broni i głośno wypowiadał się na temat szlachetnej walki z białym reżimem w Pretorii, dając jednocześnie w swoim pałacu schronienie ludobójcy, Idiemu Aminowi.

Sytuacja niespodziewanie się zmieniła, gdy świat po raz kolejny pokazał, jak potrafi być dziwny. W USA demokraci i republikanie połączyli siły i podjęli wspólne działania z Palmem i Kaddafim, a jednocześnie przeprowadzili przewrót parlamentarny przeciwko własnemu prezydentowi. Kongres przeforsował ustawę zakazującą handlu z RPA oraz inwestycji w tym regionie. Wstrzymano loty między Johannesburgiem a USA, a wszyscy ci, którzy się na nie decydowali, musieli liczyć się z tym, że samolot zostanie zestrzelony.

Thatcher i inni przywódcy zaczęli przeczuwać, na co się zanoszą. Nikt nie chciał grać w przegrywającej drużynie, więc coraz więcej krajów stawało po stronie USA, Szwecji i Libii.

RPA w swojej dotychczasowej postaci zaczynała chwiać się w posadach.

Zamknięta w ośrodku badawczym Nombeko miała ograniczone możliwości śledzenia rozwoju wypadków na świecie. Jej chińskie przyjaciółki nadal wiedziały niewiele więcej niż to, że piramidy

znajdują się w Egipcie, a znajdowały się tam przecież już od dłuższego czasu. Inżynier również nie był w tej sferze zbyt pomocny. Jego ogląd rzeczywistości ograniczał się do utyskiwań:

– No a teraz na dodatek te pedały w Kongresie wprowadziły embargo.

Nombeko nie mogła też w nieskończoność szorować i tak już przetartej do białości podłogi w poczekalni, gdzie stał telewizor.

Czasem udawało jej się obejrzeć jakieś migawki z wiadomości telewizyjnych. Na szczęście była spostrzegawcza. Widziała, że coś się dzieje. Świadczyło o tym to, że nic już się nie działo. Nikt nie biegał po korytarzach, ośrodka nie odwiedzali ani premierzy, ani prezydenci. Sygnałem alarmowym była też ilość spożywanego przez inżyniera alkoholu, która z dużej stała się jeszcze większa.

Nombeko podejrzewała, że wkrótce inżynier będzie mógł na pełen etat skupić się na swojej brandy, siedzieć sobie i wspominać lata, gdy udawało mu się jeszcze wmawiać wszystkim dookoła, że się na czymś zna. W fotelu obok mógłby zresztą zasiąść jego prezydent, mamrocząc pod nosem, że to przez czarnych kraj poszedł na dno. Wołała nie myśleć, jaki los ją czeka.

– Zastanawiam się, czy przypadkiem gęś i jemu podobni w końcu nie przejrzeni na oczy – rzekła pewnego wieczoru Nombeko do swoich trzech przyjaciółek. Powiedziała to w płynnym dialekcie wu.

– Czas najwyższy – odpowiedziały Chinki. W niewiele mniej płynnym języku khosa.

* * *

Dla P.W. Bothy nastały ciężkie czasy. Ale jak na Wielkiego Krokodyla przystało, nieźle radził sobie na głębokiej wodzie, ponad powierzchnię wystawiając jedynie nozdrza i ślepia.

Mógł oczywiście przeprowadzić reformy; trzeba iść przecież z duchem czasu. Ludzie od dawna dzielili się na czarnych, białych, kolorowych i Hindusów. Dwóm ostatnim grupom przyznał więc prawo do głosowania. Czarnym zresztą też, ale już nie w Republice Południowej Afryki, lecz w ich macierzach.

Złagodził także restrykcje dotyczące współistnienia ras w życiu publicznym. Czarni i biali mogli teraz, przynajmniej teoretycznie, siedzieć na tej samej ławce w parku. Mogli, przynajmniej teoretycznie, chodzić do tych samych kin i oglądać w tym samym czasie ten sam film. Mogli też, przynajmniej teoretycznie, wymieniać się płynami ustrojowymi (także w praktyce, ale wówczas odbywało się to za pieniądze albo dochodziło do tego przemocą).

Poza tym jednak prezydent dążył do centralizacji władzy, ograniczenia praw człowieka i wprowadzenia cenzury prasy. Redakcje mogą mieć pretensje tylko do siebie, skoro nie mają dość rozsądku, by publikować sensowne teksty. Kiedy kraj chwieje się w posadach, potrzeba silnego przywództwa, a nie jakiegoś wodolejstwa w stylu a-teraz-się-wszyscy-obejmijmy.

Ale cokolwiek Botha zrobił, i tak było źle. Gospodarka państwa rozwijała się w zwolnionym tempie, po czym zupełnie wyhamowała, a w końcu zaczęła się uwstecznić. Wysyłanie wojska w celu stłumienia każdego niepokoju w niemal każdej dzielnicy slumsów też kosztowało. Czarnuchy były ze wszystkiego niezadowolone. Botha zaproponował na przykład temu przekłętemu Nelsonowi Mandeli, że go ułaskawi, jeśli zgodzi się na współpracę z rządem. „Przestań się stawiać” było jedynym warunkiem Bothy. „To ja już wolę zostać tutaj”, odpowiedział ten drań po dwudziestu latach w więzieniu na wyspie. No i został.

Z czasem stało się jasne, że jedyną zmianą, jaką wraz z nową konstytucją wprowadził P.W. Botha, było to, że z premiera przekształcił się w prezydenta. A Mandela – w jeszcze większą ikonę.

Poza tym było po staremu. No nie. Poza tym było jeszcze gorzej.

Botha miał już tego wszystkiego dość. Dotarło do niego, że władza rzeczywiście może trafić w ręce ANC. A w takim razie... kto dobrowolnie wsadzi sześć sztuk broni jądrowej w łapska komunistycznej organizacji murzyńskiej? Lepiej już zdemontować broń i zrobić z tego PR-owy numer! „Bierzemy odpowiedzialność” i tak dalej. A wszystko to na oczach Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej IAEA.

To był jakiś pomysł. Prezydent nie dojrzał jeszcze do jego realizacji, ale na wszelki wypadek zadzwonił do inżyniera w Pelindabie, by go postawić w stan gotowości. Czyżby inżynier już o dziewiątej rano był na bani? Nie, to niemożliwe.

* * *

Mały błąd w obliczeniach inżyniera van der Westhuizen (przez który z sześciu bomb zrobiło się siedem) stał się nagle przerażającą tajemnicą. Prezydent wspomniał, że być może sześć bomb zostanie zniszczonych. Sześć bomb. Siódma nie. Bo ona nie istniała.

Inżynier mógł się przyznać do błędu i do trzymania go w tajemnicy przez ponad rok – po czym odejść w niesławie z minimalną emeryturą. Albo obrócić sprawę na swoją korzyść. I zdobyć finansową niezależność.

Inżyniera ogarnął lęk. Który minął, gdy ostatnie pół litra ulubionej brandy trafiło do jego krwiobiegu. Potem wybór był już prosty.

Znał się na zegarku. Wiedział, że wybiła odpowiednia godzina. Pora poważnie porozmawiać z agentami Mosadu, panami A i B.

– Ty, jakcitam – wymamrotał. – Przyrowadź tych dwóch Żydków. Dobijemy targu!

Engelbrecht van der Westhuizen przeczuwał, że jego rola powoli się kończy, rządy w kraju już wkrótce może przejąć ANC, a jego nie czeka już żadna kariera. Należało więc zająć się własnym podwórkiem, póki się jeszcze miało jakieś podwórko.

Tajakiejtam poszła poszukać agentów, którzy od czasu do czasu nadzorowali proces produkcji z ramienia partnera izraelskiego. Kiedy tak szła korytarzami, myślała sobie, że inżynier zamierza pójść o krok za daleko. A nawet dwa.

Agenci Mosadu A i B zostali zaproszeni do biura inżyniera. Nombeko stanęła tam, gdzie inżynier zawsze chciał, żeby stała, kiedy robiło się gorąco.

Westhuizen zabrał głos.

– No, Żyd numer jeden i Żyd numer dwa, szalom! Proszę siadać. Skuszą się panowie na przedpołudniową brandy? Ty, jakcitam, polej naszym przyjaciołom!

Nombeko szepnęła agentom, że jeśli chcą, może ich poczęstować wodą. Chcieli.

Inżynier van der Westhuizen wyjaśnił, jak sprawy wyglądają, że zawsze miał w życiu szczęście i dzięki temu szczęściu znalazł się w posiadaniu bomby atomowej, o której istnieniu nikt nie wie i której nikomu nie będzie brakować. Właściwie powinien ją zatrzymać i wysłać do pałacu prezydenckiego, jak ten terrorysta Mandela już się tam urządzi, ale jest już trochę za stary na prowadzenie wojny w pojedynkę.

– No i zastanawiam się, czy panowie Żyd A i Żyd B nie mogliby zapytać Żyda szefa w Jerozolimie, czyby nie chciał kupić bomby o trochę większej mocy? Cena jak dla przyjaciół. Chociaż nie. Sprzedam ją wam za trzydzieści milionów dolarów. Dziesięć milionów za megatonę. Zdrówko! – powiedział inżynier, dopił brandy i z niezadowoleniem spojrzął na pustą butelkę.

Agenci Mosadu A i B grzecznie podziękowali za ofertę i obiecali zapytać, jak rząd w Jerozolimie zapatruje się na robienie interesów z panem Westhuizenem.

– Nikomu nie będę nadskakiwał – powiedział inżynier. – Jak nie wy, to kto inny. A teraz żegnam, nie mam czasu z wami gadać.

Po czym wypuścił się na poszukiwanie butelki, pozostawiając w biurze tejakjejtam i obu agentów Mosadu. Nombeko wiedziała, co to oznaczało dla Izraelczyków.

– Przepraszam, że pytam, ale czy panu inżynierowi właśnie przestało dopisywać szczęście?

Nie dodała „oraz mnie”. Ale tak właśnie pomyślała.

– Zawsze podziwiałem pani intelekt, panno Nombeko – powiedział agent Mosadu A. – Z góry dziękuję za zrozumienie.

Nie dodał: „Pani też jest w opałach”. Ale tak właśnie pomyślał.

To nie tak, że Izrael nie chce skorzystać z propozycji inżyniera – wręcz przeciwnie. Chodzi raczej o to, że sprzedający jest kompletnie nieobliczalnym nałogowym alkoholikiem. Stwarzałby ogromne zagrożenie bezpieczeństwa, gdyby dobił z nimi targu, a potem

rozповідаł na prawo i lewo, skąd ma pieniądze. Jednak trudno było tak po prostu nie skorzystać z propozycji, bo co wtedy stanie się z bombą? Inżynier jest pewnie rzeczywiście gotów sprzedać bombę komukolwiek.

Dlatego musiało się stać to, co się stało. Agent Mosadu A zlecił jakiemuś biedakowi ze slumsu w Pretorii kradzież samochodu, datsuna laurela rocznik 1983. W podziękowaniu nieszczęśnik dostał pięćdziesiąt randów (zgodnie z umową) oraz kulkę w łeb (z inicjatywy agenta).

Za pomocą tegoż samochodu agent A położył kres szczęściu inżyniera, śmiertelnie potracając go, gdy ten kilka dni później wracał z baru, do którego zaglądał, kiedy kończył mu się zapas brandy.

Przez tego pecha, który właśnie stał się udziałem inżyniera, samochód przejechał go ponownie, gdy A zatrzymał się i wrzucił wsteczny bieg, a następnie po raz trzeci, kiedy agent odjeżdżał w pośpiechu.

Inżynier – o ironio – szedł akurat chodnikiem.

To już wszystko? – pomyślał między drugim a trzecim potęgnięciem, dokładnie tak jak Nombeko jedenaście lat wcześniej.

I faktycznie, to było wszystko.

* * *

Agent B odwiedził Nombeko wkrótce po tym, jak informacja o śmierci inżyniera dotarła do ośrodka. Zdarzenie wciąż traktowano jako wypadek, ale sytuacja mogła ulec zmianie, gdy wypowiedzą się świadkowie i eksperci.

– Chyba musimy porozmawiać, panno Nombeko – oświadczył. – Obawiam się, że mamy niewiele czasu.

Nombeko nic nie odpowiedziała, za to intensywnie myślała. Gwarant jej fizycznego dobrego samopoczucia, pijaczyna van der Westhuizen, nie żył. Wkrótce coś podobnego spotka i ją. Jeśli szybko czegoś nie wymyśli.

I wymyśliła. Powiedziała:

– Zgoda. Czy może pan przyjść z kolegą do biura inżyniera dokładnie za trzydzieści minut?

Agent B od dawna wiedział, że panna Nombeko ma łeb na karku. Wiedział też, że rozumie, jak kłopotliwe jest jej położenie. Mieli więc nad nią przewagę.

Panna Nombeko miała dostęp do kluczy i wolno jej było poruszać się po najbardziej tajnych korytarzach. I to ona miała umożliwić agentom przejęcie bomby. W zamian mieli jej zaserwować niewinne kłamstewko.

Obietnicę, że będzie żyła.

Tymczasem zapewniła sobie dodatkowe pół godziny. Po co? Agent potrafił rozgryźć prawie wszystko, ale nie to. Pół godziny to w końcu tylko pół godziny, nawet jeśli im się śpieszy. Południowoafrykańskie służby bezpieczeństwa lada chwila połapią się, że inżynier został zamordowany. A wtedy wywiezienie trzymegatonowej bomby z ośrodka będzie znacznie trudniejsze, nawet dla agenta współpracujących z nim służb bezpieczeństwa.

Ale pół godziny to w końcu tylko pół godziny. Agent B skinął głową.

– Widzimy się zatem o dwunastej zero pięć.

– O dwunastej zero sześć – poprawiła go Nombeko.

Przez trzydzieści minut Nombeko po prostu czekała.

Agenci przyszli o umówionej porze. Nombeko siedziała w fotelu przy biurku inżyniera. Poprosiła, by usiedli naprzeciwko niej. Było inaczej niż zwykle. Młoda czarnoskóra kobieta w fotelu dyrektorskim w samym sercu południowoafrykańskiego apartheidu.

Nombeko rozpoczęła spotkanie. Powiedziała, że – jak rozumie – panowie agenci przyszli po siódmą bombę atomową, tę, która nie istnieje. A może źle zrozumiała?

Agenci nie odpowiedzieli. Nie chcieli tak bez ogródek mówić prawdy.

– Porozmawiajmy szczerze. Zanim będzie za późno.

Agent A skinął głową i powiedział, że panna Nombeko wszystko dobrze rozumiała. Jeśli z jej pomocą Izrael zdobędzie bombę, pomogą jej wydostać się z Pelindaby.

– I nie zostanę, tak jak inżynier, potrącona przez samochód? – zapytała Nombeko. – Albo zastrzelona i zakopana gdzieś na sawannie?

– Ależ panno Nombeko! Włos pani z głowy nie spadnie – skłamał agent. – O co też nas pani podejrzewa?

Nombeko wydawała się usatysfakcjonowana obietnicą agenta. Dodała, że już raz ją potrącono i to jej w zupełności wystarczy.

– W jaki sposób zamierzacie wywieźć bombę, jeśli można wiedzieć? Oczywiście pod warunkiem że ją wam udostępnię.

Agent B odpowiedział, że to akurat nie powinno nastęczać trudności, pod warunkiem że się pośpieszą. Skrzynię z bombą można zaadresować na izraelskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych w Jerozolimie i jeszcze w bazie oznaczyć jako przesyłkę dyplomatyczną. Poczta dyplomatyczna jest przesyłana przez ambasadę w Pretorii co najmniej raz w tygodniu. Nadanie paczki o nieco większych gabarytach nie będzie stanowiło problemu. O ile południowoafrykańskie służby bezpieczeństwa nie wzmocnią bezpieczeństwa i nie otworzą skrzyni, a z tym Nombeko i agenci muszą się liczyć, kiedy tylko wyjdzie na jaw, w jaki sposób zginął inżynier.

– Za ten czyn szczególnie panom agentom dziękuję – szczerze, a zarazem podstępnie powiedziała Nombeko. – Właściwie który z panów dostąpił tego zaszczytu?

– To bez znaczenia – odpowiedział agent A, który był sprawcą. – Co się stało, to się nie odstanie. A panna Nombeko doskonale rozumie, że było to konieczne.

Nombeko zrozumiała. Zrozumiała, że agenci właśnie wpadli w zastawioną przez nią pułapkę.

– A w jaki sposób zamierzają panowie zapewnić mnie, biedulce, bezpieczeństwo?

Agenci planowali ukrycie Nombeko w bagażniku ich samochodu. O ile procedury się nie zmienią, nie ma żadnego ryzyka. Przez te wszystkie lata izraelska służba bezpieczeństwa w Pelindabie znajdowała się poza wszelkimi podejrzeniami.

Potem należało już tylko wjechać do buszu, wyjąć dziewczynę z bagażnika i sprzedać jej kulkę w czoło, skroń albo szyję,

w zależności od tego, jak bardzo będzie wierząc.

Trochę to przykre, pod wieloma względami panna Nombeko była bowiem wyjątkową kobietą i podobnie jak agenci spotykała się ze źle skrywaną pogardą inżyniera, opierającą się jedynie na jego chorym przekonaniu, że jest kimś lepszym. Szkoda dziewczyny, ale mają teraz większe zmartwienia.

– Zamierzamy wywieźć panią w bagażniku – powiedział agent A, przemilczając całą resztę, która miała nastąpić potem.

– Dobrze – odparła Nombeko. – Ale to nie wystarczy. – Po czym dodała, że nie zamierza ruszyć palcem w sprawie interesującej panów agentów, jeśli najpierw nie otrzyma od nich biletu lotniczego do Trypolisu.

– Do Trypolisu? – zgodnie wykrzyknęli agenci A i B. – A dlaczego akurat tam?

Nombeko nie miała w zanadru dobrej odpowiedzi. Przez wszystkie te lata wyobrażała sobie jedynie Bibliotekę Narodową w Pretorii. Teraz jednak nie będzie mogła się tam wybrać. Musi wyjechać za granicę. A Kaddafi w Libii wspiera chyba ANC?

Nombeko odpowiedziała, że dla odmiany chciałaby znaleźć się w jakimś przyjaźnie nastawionym kraju, a Libia taka jej się wydaje. Jednak jeśli panowie agenci mają lepszą propozycję, chętnie ją rozważy.

– Tylko nie Tel Awiw ani Jerozolima. Zamierzam przeżyć co najmniej tydzień.

Agent Mosadu A był pod coraz większym wrażeniem kobiety w fotelu dyrektora naprzeciwko. Powinien mieć się na baczności, żeby nie postawiła na swoim. Dziewczyna musi zrozumieć, że jest na straconej pozycji – jeśli chodzi o wywiezienie jej z bazy, nie ma wyboru i musi zaufać agentom, którym przecież ufać nie może. I niech sobie pomyśli, że będzie mogła mieć wpływ na bieg wydarzeń i obrócić sytuację na swoją korzyść. Na jej nieszczęście nie będzie etapu numer dwa ani trzy. Po otwarciu bagażnika dziewczyna wyruszy w drogę na tamten świat. A wówczas nie będzie miało znaczenia, dokąd jest bilet. Może być i do Trypolisu. Albo na księżyc.

Najpierw jednak trzeba odegrać ten teatrzyk.

– No, Libia brzmi nieźle – powiedział agent A. – Oprócz Szwecji to tam właśnie najgorliwiej protestują przeciwko południowoafrykańskiemu apartheidowi. Panienka od ręki dostanie tam azyl.

– No proszę! – powiedziała Nombeko.

– Chociaż Kaddafi też ma swoje za uszami – ciągnął agent.

– Jak to?

Agent A ochoczo opowiedział o szaleńcu z Trypolisu, który kiedyś obrzucił Egipt granatami tylko dlatego, że tamtejszy prezydent wszedł w kontakt z Izraelem. Czemu by nie okazać troski i nie wzbudzić zaufania panny Nombeko, aż do tego nieuchronnego strzału w tył głowy.

– Kaddafi, podobnie jak Republika Południowej Afryki, stara się o broń jądrową. Tyle że na razie nic z tych starań nie wychodzi.

– Ojoj – skomentowała Nombeko.

– Może się pocieszyć co najmniej dwudziestoma tonami gazu musztardowego i największą na świecie fabryką broni chemicznej.

– Ajajaj.

– Do tego zakazał działalności opozycyjnej, strajków i demonstracji.

– Ojej.

– No i zabija wszystkich swoich przeciwników.

– Czy on ma w ogóle jakieś ludzkie cechy? – zapytała Nombeko.

– Ależ tak – odparł agent. – Udzielił schronienia byłemu dyktatorowi Idiemu Aminowi, gdy ten musiał uciekać z Ugandy.

– Coś o tym czytałam.

– Jeśli pani chce, mogę jeszcze opowiedzieć o tym i owym – powiedział agent A.

– Nie za bardzo – odparła Nombeko.

– Proszę mnie dobrze zrozumieć, panno Nombeko. Martwimy się o panią, zależy nam, by nic się pani nie stało, nawet jeśli właśnie sugerowała pani, że nie można nam ufać. Przyznaję, że ta sugestia obu nas dotknęła. No ale jeśli chce pani jechać do Trypolisu, możemy to pani załatwić.

Ale się nabrała, pomyślał agent A.

Ale się nabrała, pomyślał agent B.

Ale bzdura, w życiu większej nie słyszałam, pomyślała Nombeko. A w końcu miałam do czynienia i z asystentami z Wydziału Higieny Miasta Johannesburga, i z zapijaczonymi inżynierami o wypaczonym obrazie samego siebie. Agenci się o nią martwią? Może i pochodziła z Soweto, nic nie miała, za to łeb na karku to i owszem. Libia nie wydawała się już atrakcyjna.

– No to może Szwecja? – zapytała.

Brzmi nieźle, pomyśleli agenci. Wprawdzie właśnie zabili im premiera, ale zwykli obywatele mogą się tam czuć bezpiecznie. No i Szwedzi chętnie wpuszczają Południowoafrykańczyków, jeśli ci twierdzą, że są przeciwnikami apartheidu. A Nombeko chyba się do nich zalicza.

Nombeko przytaknęła. Potem milczała. Wiedziała, gdzie leży Szwecja. Prawie pod biegunem północnym. Daleko od Soweto. No i dobrze. Daleko od wszystkiego, co dotychczas składało się na jej życie. Czego może jej tam brakować?

– Jeśli jest coś, co panienka Nombeko chciałaby zabrać ze sobą do Szwecji, może będziemy mogli jakoś pomóc – zaproponował agent B, chcąc zaskarbić sobie zaufanie dziewczyny.

Jeszcze chwila i prawie wam uwierzę, pomyślała Nombeko. Ale tylko prawie. Byłoby to wysoce nieprofesjonalne z waszej strony, gdybyście nie próbowali mnie zabić, jak tylko otrzymacie to, na czym wam zależy.

– Miło byłoby mieć przy sobie karton suszonego mięsa antylopy – powiedziała. – W Szwecji chyba raczej próżno szukać antylop.

No, raczej tak, przyznali agenci A i B. Zaraz załatwią druczki z adresami na małą i dużą paczkę. Bomba zostanie wysłana do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Jerozolimie przez ambasadę w Pretorii. Mięso antylopy panienka Nombeko będzie mogła odebrać w Ambasadzie Izraela w Sztokholmie.

– Umowa stoi? – zapytał agent A, pewien, że wszystko załatwione.

– Tak – odpowiedziała Nombeko. – Umowa stoi. Ale jest jeszcze jedna sprawa.

Jeszcze jedna sprawa? Agent A dobrze znał się na swojej robocie. Teraz pomyślał, że ich radość ze zwycięstwa była przedwcześnie.

– Wiem, że czas nagli – powiedziała Nombeko – ale zanim wyruszymy, muszę jeszcze coś załatwić.

– Załatwić?

– Widzimy się ponownie za godzinę, o trzynastej dwadzieścia. Musicie się pośpieszyć, jeśli macie do tego czasu uwinąć się z biletami i mięsem antylopy – powiedziała Nombeko i wyszła z pokoju do pomieszczenia za biurkiem inżyniera, do którego agenci nie mieli dostępu.

Agenci zostali sami.

– Czyżbyśmy jej nie docenili? – A zapytał B.

B wyglądał na zatroskanego.

– Ty załatw bilety, a ja się zajmę mięsem.

* * *

– Wiecie, co to jest? – zapytała Nombeko, kładąc na biurku inżyniera Westhuizena nieoszlifowany diament.

Agent A znał się na wielu rzeczach. Bez problemu potrafił na przykład oszacować wiek glinianej gęsi z czasów dynastii Han i określić, że pochodzi z Afryki Południowej lat 70. Od razu też wiedział, że ma przed sobą okaz wart około miliona szekli.

– Widzę – odpowiedział. – Do czego panna Nombeko zmierza?

– Do czego zmierzam? Do Szwecji. A nie do dołu za krzakiem na sawannie.

– I dlatego chce nam pani dać diament? – zapytał agent B, który w odróżnieniu od agenta A nadal chyba nie doceniał Nombeko.

– Panie agencie, za kogo mnie pan właściwie uważa? Tym diamentem pragnę tylko uwiarygodnić to, że po naszym ostatnim spotkaniu wywiozłam stąd pewną paczuszkę. Musicie teraz rozstrzygnąć, czy wierzycie, że mi się to udało za pomocą takiego oto diamentu. Dzięki kolejnemu otrzymałam potwierdzenie, że paczka dotarła do odbiorcy. Rozstrzygnijcie sami, czy wierzycie, że któryś z dwustu pięćdziesięciu dumnych i słabo opłacanych pracowników Pelindaby przystał na moją propozycję. Albo czy nie wierzycie.

– Nie rozumiem – powiedział agent B.

– Obawiam się najgorszego – wymamrotał agent A.

– Tak jest – powiedziała Nombeko z uśmiechem. – Nagrałam naszą wcześniejszą rozmowę, podczas której przyznaliście się do zamordowania południowoafrykańskiego obywatela oraz do próby kradzieży południowoafrykańskiej szatańskiej broni. Jestem przekonana, że obaj panowie rozumieją, jakie to będzie miało konsekwencje dla was i dla waszego kraju, jeśli taśma zostanie odtworzona w... no właśnie. To, dokąd ją wysłałam, zachowam dla siebie. Ale przez mojego przekupionego kuriera adresat potwierdził, że dotarła na miejsce. Czyli tu już jej nie ma. Jeśli odbiorę taśmę w ciągu dwudziestu czterech, nie, przepraszam, dwudziestu trzech godzin i trzydziestu ośmiu minut – na zabawie czas tak szybko płynie – mają panowie moje słowo, że o niej zapomnę.

– A w przeciwnym razie zostanie upubliczniona? – dopowiedział A.

Nombeko nie traciła czasu na odpowiedź.

– To chyba już wszystko. Fajnie będzie się przekonać, czy przeżyję podróż w bagażniku. W każdym razie szanse na to chyba wzrosły. Z zera.

Wstała, poprosiła, żeby w ciągu trzydziestu minut paczkę z mięsem antylopy dostarczono do działu poczty wychodzącej. Ona z kolei dopilnuje, żeby to samo stało się z większą paczką, która znajduje się tuż za ścianą. Poza tym będzie wdzięczna za odpowiednią dokumentację, pieczętki, formularze i tak dalej, potrzebne, by paczki nie dostały się w niepowołane ręce i nie wywołały kryzysu dyplomatycznego.

A i B podnieśli się z kwaśnymi minami i wyszli.

* * *

Izraelscy agenci analizowali właśnie zaistniałą sytuację. Byli skłonni uwierzyć, że ta przekłeta sprzątaczką rzeczywiście ma nagrania, ale powątpiewali w to, że udało jej się je przeszmużlować z Pelindaby. Najwidoczniej miała co najmniej jeden nieoszlifowany diament,

a skoro miała jeden, to mogła też mieć ich więcej. A jeśli tak faktycznie było, to możliwe, że jeden z zaufanych pracowników ośrodka uległ pokusie i skorzystał z okazji, by do końca życia zabezpieczyć finansowo siebie i swoją rodzinę. Może tak, może nie. Z jednej strony sprzątaczką (nie używali już jej imienia, ponieważ byli na nią wściekli) przebywała w ośrodku już od jedenastu lat, a z drugiej agenci nigdy nie widzieli jej z jakimkolwiek białym poza nimi samymi. Czyżby któryś z dwustu pięćdziesięciu pracowników zaprzedał duszę kobiecie, którą za jej plecami nazywali *czarnuchem*?

Gdy do tego wszystkiego agenci dodali jeszcze wątek seksualny, to znaczy możliwość – czy raczej ryzyko – że sprzątaczką dodała do puli także swoje wdzięki, uznali, że ich szanse maleją. Ktoś, kto jest na tyle niemoralny, by załatwiać jej sprawy w zamian za diament, bez skrupułów mógłby też ją wydać. Ale ktoś, kto oprócz tego liczy na seksualną przygodę, strzela sobie w stopę. Czy w co tam akurat trafi. Podsumowując, agenci A i B uznali, że istnieje sześćdziesięcioprocentowe ryzyko, iż Nombeko rzeczywiście ma asa w rękawie, i czterdziestoprocentowe, że go nie ma. Ta proporcja nie była korzystna. Szkody, jakie mogła wyrządzić im i – przede wszystkim! – państwu Izrael, były trudne do oszacowania.

Dlatego postanowili, że sprzątaczką zgodnie z planem wyjedzie w bagażniku, zgodnie z planem otrzyma bilet do Szwecji, zgodnie z planem dziesięć kilo mięsa antylopy zostanie wysłane do Sztokholmu – oraz że nie dostanie zaplanowanej kulki w tył głowy. Albo w czoło. Albo w co tam jeszcze. Żywa nadal stanowiła zagrożenie. Martwa stanowiłaby jednak dużo większe.

Dwadzieścia dziewięć minut później Nombeko odebrała od agenta A obiecane bilety lotnicze i mięso antylopy oraz dwa komplety wymaganych druczków na przesyłki dyplomatyczne. Podziękowała i oznajmiła, że za kwadrans będzie gotowa do wyjazdu. Chciałaby się tylko upewnić, czy odpowiednio nadano paczki. A przez to rozumiała – ale tego głośno nie powiedziała – poważną rozmowę z trzema Chinkami.

– Jedna duża i jedna mała paczka? – zapytała młodsza siostra, najbardziej z całej trójki kreatywna. – Czy panienska Nombeko będzie miała coś przeciwko temu, jeśli...

– No właśnie – weszła jej w słowo Nombeko. – Te paczki mają zostać wysłane gdzie indziej, nie do waszej matki w Johannesburgu. Mała powędruje do Sztokholmu, jest dla mnie, więc jej nie ruszajcie. Duża ma trafić do Jerozolimy.

– Do Jerozolimy? – zdziwiła się średnia siostra.

– To w Egipcie – wyjaśniła najstarsza.

– Wyjeżdżasz? – zapytała najmłodsza.

Nombeko zachodziła w głowę, jak to się stało, że inżynier powierzył tym trzem pocztę.

– Tak, ale nic nikomu nie mówcie. Niedługo zostanę stąd przemycona. Wyjeżdżam do Szwecji. Pora się pożegnać, dobre z was były przyjaciółki.

Uściskały się.

– Uważaj na siebie, Nombeko – powiedziały Chinki w języku khosa.

– 再见 – odpowiedziała Nombeko. – Do widzenia!

Po czym weszła do biura inżyniera, otworzyła szufladę biurka i wyjęła swój paszport.

– Poproszę na Market Theatre, plac targowy w centrum Johannesburga – powiedziała Nombeko do agenta A, gramoląc się do bagażnika samochodu na dyplomatycznych numerach.

Zwracała się do niego jak pierwszy lepszy klient do pierwszego lepszego taksówkarza. Robiła wrażenie kogoś, kto zna Johannesburg jak własną kieszeń i wie, dokąd zmierza. A tak naprawdę chwilę wcześniej przewertowała pierwszą z brzegu książkę z biblioteki w Pelindabie i natrafiła na to prawdopodobnie najbardziej zatłoczone miejsce w kraju.

– Rozumiem – powiedział agent A. – Robi się.

I zamknął bagażnik.

Zrozumiał, że Nombeko nie doprowadzi ich do osoby, która ma taśmę, i nie będą mogli ich obojga zabić. Zrozumiał też, że gdy już

dotrą na miejsce, Nombeko w ciągu dwóch minut wtopi się w tłum. Zrozumiał, że Nombeko wygrała.

Pierwszą rundę.

Ale gdy bombę przejmą w Jerozolimie, nie będzie już żadnych dowodów. A taśmę mogą sobie puszczać dowolną ilość razy, gdziekolwiek. Wystarczy zaprzeczać. Wiadomo, że wszyscy są przeciwko Izraelowi i od czasu do czasu muszą się pojawić takie nagrania. Dawanie im wiary jest po prostu niedorzeczne.

Pora więc na drugą rundę. Bo z Mosadem się nie zadziera.

* * *

Samochód z agentami wyjechał z Pelindaby o godzinie 14.10 w czwartek 12 listopada 1987 roku. O 15.01 przez te same bramy przejechał transport z pocztą. Opóźniony o jedenaście minut; konieczna była zmiana samochodu z uwagi na przesyłkę o wyjątkowo dużych gabarytach.

O godzinie 15.15 oficer prowadzący śledztwo w sprawie śmierci inżyniera Westhuizeny uznał, że było to morderstwo. Trzech niezależnych świadków zeznało to samo. W dodatku dwóch z nich to byli biali.

Ich wersję potwierdziły dokonane przez śledczego oględziny miejsca wypadku. Ślady opon przecinały poharataną twarz inżyniera w trzech miejscach. Musiały po niej przejechać co najmniej trzy opony. Ale że zwykły samochód z każdej strony ma po dwie, to albo inżyniera przejechał więcej niż jeden samochód, albo – co zgodnie twierdzili świadkowie – kilkakrotnie ten sam.

Minęło kolejnych piętnaście minut – o godzinie 15.30 w ośrodku badawczym zaostrożono procedury dotyczące bezpieczeństwa. Czarnoskórą sprzątaczkę przy zewnętrznych strażach, sprzątaczkę w głównym skrzydle G oraz trzy Azjatki z kuchni należało zwolnić w trybie natychmiastowym. Wszystkie należało poddać analizie ryzyka, po czym ewentualnie puścić wolno. Wjeżdżające i wyjeżdżające pojazdy miały być dokładnie kontrolowane, nawet jeśli za kółkiem będzie siedział naczelny dowódca armii!

* * *

Na lotnisku Nombeko podążała ze strumieniem ludzi i dopiero po przejściu przez kontrolę bezpieczeństwa uświadomiła sobie, że została jej poddana. Już po fakcie zdała też sobie sprawę z tego, że wykrywacz metali nie wyłapał diamentów zaszytych w podszewce jej kurtki.

Ponieważ agenci Mosadu kupowali bilet w ostatniej chwili, pozostały tylko najdroższe miejsca. Takie też zajmowała Nombeko. Personelowi pokładowemu chwilę zajęło wytłumaczenie jej, że kieliszek Champagne de Pompadour Extra Brut jest wliczony w cenę biletu. Podobnie jak serwowane zaraz potem jedzenie. Grzecznie, lecz stanowczo odesłano ją na miejsce, gdy próbowała pomóc w zbieraniu naczyń pozostałych pasażerów.

Z sytuacją oswoiła się w okolicy deseru – malin zapiekanych w migdałach – który popiła filiżanką kawy.

– Czy mogę zaproponować brandy do kawy? – uprzejmie zapytała stewardesa.

– Poproszę! – odpowiedziała Nombeko. – A mają państwo klipdrift?

Wkrótce zasnęła; spała wygodnie i smacznie – oraz długo.

Na lotnisku Arlanda w Sztokholmie postępowała zgodnie z instrukcjami tak elegancko oszukanych agentów Mosadu. Podeszła do funkcjonariusza służby granicznej, który się napatoczył jako pierwszy, i wystąpiła o azyl polityczny. Jako powód podała przynależność do zakazanej organizacji ANC. Brzmiało to zdecydowanie lepiej niż pomaganie służbom bezpieczeństwa obcego państwa w kradzieży broni jądrowej.

Wstępne przesłuchanie szwedzka służba graniczna przeprowadziła w jasnym pomieszczeniu z widokiem na pas startowy. Za oknem działało się coś, czego Nombeko nigdy wcześniej nie widziała. Padał śnieg. Pierwszy w tym roku śnieg, w samym środku południowoafrykańskiego lata.

Rozdział 8

O meczu, którego wynik pozostał nierozstrzygnięty, i o przedsiębiorcy, któremu nie dane było pożyć

Ingmar i Holger 1 byli zgodni co do tego, że najlepszym sposobem, by uczcić pamięć matki, będzie kontynuacja ich walki. Holger 2 był pewien, że ojciec i brat są w błędzie, ale zapytał jedynie, kto według nich ma zarabiać na dom i życie.

Ingmar zmarszczył czoło i przyznał, że ta kwestia nie należała ostatnio do jego priorytetów. W cukiernicze Henrietty było jeszcze kilka stukoronowych banknotów. Wkrótce jednak znikną, podobnie jak Henrietta.

Z braku innych pomysłów były urzędnik pocztowy postanowił ubiegać się o możliwość powrotu do pracy jako pomocnik głównego księgowego. Ten odpowiedział, że za żadne skarby nie pozwoli, by Qvist zatrął mu ostatnie dwa lata przed emeryturą.

Sytuacja była stosunkowo trudna jeszcze przez kilka dni. Wtedy zmarł teść Ingmara.

Ten gniewny komunista, który nigdy nie zobaczył swoich wnuków (ani nie dopadł Ingmara), odszedł w wieku osiemdziesięciu jeden lat, do cna zgorzkniały. Utracił córkę, żona odeszła, a wokół kwitł kapitalizm. A że już go nie było, nie musiał patrzeć, jak wszystko, co posiadał, przechodzi w ręce Holgerów i Ingmara. Dziedziczył Holger 1, ten, który istniał.

Lider partii komunistycznej w Södertälje poza działalnością polityczną parał się także importem i sprzedażą produktów ze Związku Radzieckiego. Do końca swoich dni objeżdżał szwedzkie targowiska, gdzie wraz z proradziecką propagandą wciskał ludziom swoje towary. Zarówno jedno, jak i drugie wzbudzało małe zainteresowanie, jednak niewielka finansowa nadwyżka starczała na artykuły pierwszej potrzeby, w tym kolorowy telewizor, dwie wizyty

w monopolowym tygodniowo i trzy tysiące koron miesięcznie w darze dla partii.

Holger 1 w spadku otrzymał samochód ciężarowy w dobrym stanie oraz służący dziadkowi za magazyn i wypełniony różnymi rzeczami garaż. Przez te wszystkie lata stary w szybszym tempie kupował towary, niż je sprzedawał. Znaleźli tam czerwony kawior, kwaszone ogórki i wędzonego kryła. A także gruzińską herbatę, białoruski len, rosyjskie walonki i eskimoską skórę z foki. Poza tym rozmaite emaliowe naczynia, w tym charakterystyczny zielony śmietnik wyposażony w pedał. Były też rosyjskie wojskowe furazerki i uszanki, w których nie sposób zmarznąć. A także gumowe termofory i kieliszeczki do wódki z namalowanymi jarzębinkami. Oraz plecione ze słomy buty w rozmiarze czterdzieści siedem.

Wygrzebali jeszcze pięćset sztuk manifestu komunistycznego w języku rosyjskim i dwieście uralskich szali z koziej wełny. Oraz cztery skóry z tygrysa syberyjskiego.

Wszystko to i jeszcze więcej Ingmar oraz chłopcy znaleźli w garażu dziadka. I dwuipółmetrowy posąg Lenina z karelskiego granitu.

Gdyby teść Ingmara nadal żył i do tego miał ochotę porozmawiać z zięciem, zamiast go udusić, zdradziłby, że figurę tę kupił tanio w Pietrozawodsku od artysty, który popełnił ten błąd, że nadał wielkiemu wodzowi ludzkie cechy. Stalowszare spojrzenie Lenina wyrażało raczej zakłopotanie, a ręka, która miała wskazywać prosto w przyszłość, wyglądała, jakby *machała* do ludu, który Lenin miał prowadzić. Prezydent miasta, które zamówiło pomnik, wściekł się na jego widok. Nakazał artyście usunąć dzieło, grożąc, że w przeciwnym razie uczyni to z jego autorem.

Wtedy właśnie pojawił się teść Ingmara, akurat w trakcie jednej ze swoich kupieckich podróży. Dwa tygodnie później figura *machała* do ściany jego garażu w Södertälje.

Ingmar i Pierwszy buszowali wśród tych garażowych bogactw i radośnie rechotali. To przecież wystarczy, by przez kilka lat utrzymać rodzinę!

Drugi nie był zachwycony takim obrotem spraw. Miał nadzieję, że śmierć matki na coś się zda, że coś się zmieni.

- Lenin nie ma chyba jakiejś szczególnej wartości rynkowej – spróbował, ale zaraz został uciszony.
- Ale z ciebie pesymista – powiedział tata Ingmar.
- No właśnie, ale z ciebie pesymista – przyłączył się Pierwszy.
- Podobnie jak manifest komunistyczny po rosyjsku – dokończył Drugi.

Towary z garażu wystarczyły na utrzymanie rodziny przez osiem lat. Tata Ingmar i bliźniacy poruszali się śladem teścia Ingmara, czyli z targu na targ. Mogli przeżyć na jakim takim poziomie przede wszystkim dzięki temu, że komuniści w Södertälje nie mieli już udziału w przychodach. Tak samo zresztą jak urząd skarbowy.

Przez wszystkie te lata Drugi marzył o innym życiu. Pocieszał się tym, że brat i ojciec, zajęci handlowaniem, nie mieli czasu na realizację obłąkańczego republikańskiego projektu.

Po ośmiu latach została im już tylko dwuipółmetrowa figura Lenina z karelskiego granitu oraz czterysta dziewięćdziesiąt osiem z pięciuset egzemplarzy manifestu komunistycznego po rosyjsku. Jeden Ingmar wcisnął jakiemuś ślepcowi podczas jarmarku w Mariestad. Drugi został zużyty podczas podróży na jarmark Malma Marken, kiedy to Ingmar dostał rozstroju żołądka i musiał zatrzymać samochód, by przykucnąć w rowie.

Co było dowodem na to, że Holger 2 jednak miał rację.

– I co teraz? – zapytał Holger 1, który przez całe swoje życie nie wpadł na żaden pomysł.

– Cokolwiek, byleby nie miało to nic wspólnego z dworem królewskim – odpowiedział Holger 2.

– Ależ wręcz przeciwnie – powiedział Ingmar. – Ostatnio zdecydowanie za mało się zajmowaliśmy tą sprawą.

Plan Ingmara mający zapewnić im przeżycie zakładał przeróbkę figury Lenina. Ingmar zauważył mianowicie, że Lenina i szwedzkiego króla łączy niezwykle podobieństwo. Należało tylko odrąbać wąsy i bródkę, obłuc nos, a z czapki zrobić fale na włosach – i Władimir Iljicz Uljanow przeistoczy się w Jego Królewską Mość!

– Masz zamiar sprzedać dwuipółmetrowy posąg króla? – zdziwił się Holger 2. – Czyżbyś był zupełnie pozbawiony zasad?

– Nie bądź bezczelny, mój ty odszczepieńcu. Potrzeba matką wynalazków. Tego nauczyłem się już w młodości, gdy byłem zmuszony skonfiskować rower pewnego żołnierza Armii Zbawienia. On też zresztą miał na imię Holger.

Holgerowie nie mają nawet pojęcia, ciągnął, ilu w tym kraju jest nawiedzonych stronników króla. Taka statua może więc pójść za dwadzieścia, a nawet trzydzieści tysięcy. A może i za czterdzieści. Potem można by jeszcze sprzedać ciężarówkę.

Ingmar zabrał się do roboty. Przez cały tydzień przycinał, szlifował, polerował. I, o dziwo, udało mu się. Gdy Holger 2 zobaczył rezultat pracy ojca, nie mógł mu odmówić zaradności. Ani też zdolności artystycznych.

Teraz pozostawało tylko sprzedać dzieło. Ingmar zamierzał przymocować rzeźbę do ciężarówki i objechać majątki hrabiów i baronów w rejonie Sztokholmu, licząc na to, że któryś z nich dojdzie do wniosku, iż nie wyobraża sobie życia bez króla ze szwedzko-karelskiego granitu w swoim ogródku.

Ważny był sposób zamocowania rzeźby. Król nie mógł przecież jechać z tyłu. Holger 1 rwał się do pomocy, byleby ojciec poinstruował go, co i jak ma robić. Drugi stał w milczeniu z rękami w kieszeniach spodni.

Ingmar popatrzył na swoich chłopców i doszedł do wniosku, że nie może dopuścić, by któryś z synów spaprał sprawę. Tatuś sam się tym zajmie.

– Cofnijcie się trochę i nie przeszkadzajcie – powiedział. Potem zamocował liny wzdłuż i wszerz zgodnie z jakimś skomplikowanym systemem wiązań.

Potem rozpoczął wciąganie. Samodzielnie dźwignął posąg króla aż do krawędzi naczepy.

– Jeszcze odrobinę – powiedział z zadowoleniem wróg króla na chwilę przed tym, jak zerwała się jedna z lin.

Właśnie tam i właśnie wtedy zakończyła się długa życiowa batalia Ingmara Qvista.

Król pokłonił mu się unieżenie, po raz pierwszy spojrział mu prosto w oczy i powoli, ale nieodwołalnie runął na swego stwórcę.

Ingmar zginął na miejscu, uderzony przez króla, król zaś rozpadł się na cztery części.

Holger 1 wpadł w rozpacz. Obok niego stał Drugi, zakłopotany tym, że zupełnie nic nie czuje. Patrzył na swego martwego ojca i na szczątki króla obok.

Mecz pozostał nierozstrzygnięty.

Kilka dni później w gazecie „Länstidningen Södertälje” można było przeczytać:

Z bólem i żalem
żegnam mojego ukochanego ojca
Ingmara Qvista
Södertälje, 4 lipca 1987 roku
HOLGER

–
Vive la République!

* * *

Holgerowie byli identyczni. A zarazem zupełnie różni.

Pierwszy ani przez sekundę nie kwestionował powołania ojca. Drugi zaczął w nie powątpiewać już w wieku siedmiu lat. Kiedy miał dwanaście lat, wiedział już, że tata ma nierówno pod sufitem. Po śmierci mamy coraz częściej nie akceptował pomysłów Ingmara.

Nigdy jednak nie odszedł. Z biegiem lat czuł coraz większą odpowiedzialność za ojca. I Pierwszego oczywiście; byli przecież bliźniakami. Taką więź niełatwo zerwać.

Trudno powiedzieć, dlaczego bracia tak bardzo się różnili. Może miało to coś wspólnego z tym, że Holger 2 – ten, który tak naprawdę nie istniał – był ogólnie uzdolniony, czego nie można było powiedzieć o Pierwszym.

Dlatego to właśnie Drugi przystępował do wszystkich pisemnych i ustnych sprawdzianów, to Drugi zdał za brata egzamin na prawo jazdy i nauczył go prowadzić. Zdobył nawet uprawnienia do prowadzenia samochodu ciężarowego. Ciężarówka Volvo F406 stanowiła w zasadzie jedyny dobytek braci. To znaczy: dobytek Holgera 1. Bo aby coś posiadać, trzeba przecież istnieć.

Po śmierci ojca Drugi zastanawiał się, czyby nie zgłosić w urzędzie swojego istnienia, a potem może pójść na studia. Znalazłby sobie dziewczynę, którą mógłby pokochać. I z którą mógłby się kochać. Jak by to było?

Uzmysłowił sobie jednak, że to nie takie proste. Czy miałby jakiś pożytek z dobrego świadectwa ukończenia liceum? Czy to przypadkiem nie byłoby świadectwo jego brata? Oficjalnie Holger 2 nie ukończył chyba nawet podstawówki?

Poza tym było wiele ważniejszych spraw do załatwienia. Na przykład zadbanie, aby obaj Holgerowie mogli najeść się do syta. Holger 1 istniał naprawdę, miał paszport i prawo jazdy. W związku z tym powinien poszukać pracy.

– Pracy?!

– No, jakiejś roboty. Nie ma nic dziwnego w tym, że dwudziestosześcioletni ludzie chodzą do pracy.

Holger 1 zaproponował, by zajął się tym Drugi, podszywając się pod Pierwszego. Mniej więcej tak jak za czasów szkolnych. Drugi jednak powiedział, że po tym, jak król zabił ich ojca, pora, by dzieciństwo pozostawić za sobą. Nie zamierzał załatwiać spraw brata, a tym bardziej taty Ingmara.

– Nie król, tylko Lenin – sprostował naburmuszony Holger 1.

Drugi rzekł na to, że nie obchodzi go, kto spadł na Ingmara, choćby to był nawet Mahatma Gandhi. To już historia. Pora zacząć budować przyszłość. Najchętniej wspólnie z ukochanym bratem, ale tylko jeśli obieca, że porzuci wszystkie pomysły o zmianie ustroju. Pierwszy mruknął, że w ogóle nie ma żadnych pomysłów.

Holger 2 zadowolił się tą odpowiedzią i przez kolejne dni zastanawiał się, jak dalej pokierować ich życiem.

Przede wszystkim potrzebowali pieniędzy, by móc włożyć coś do garnka.

Rozwiązaniem było pozbycie się garnka. I całej reszty.

Domek pod Södertälje zmienił więc właściciela, a bracia zamieszkali w przyczepie swojego volva F406.

Ale że sprzedali nie jakiś tam pałac, tylko zwykły domek, w dodatku mocno zaniedbywany od czasu, gdy tacie Ingmarowi odbiło jakieś czterdzieści lat wcześniej, formalny właściciel – Holger 1 – otrzymał za niego jedynie sto pięćdziesiąt tysięcy koron. Wkrótce znów zostaną bez pieniędzy, jeśli czegoś nie wymyślą.

Pierwszy zastanawiał się, ile warta może być górna ćwiartka rzeźby taty. Aby zapobiec podobnym dyskusjom w przyszłości, Drugi chwycił młotek i rozbił dzieło w drobny mak. Kiedy już było po wszystkim, zapowiedział, że spali pozostałe czterysta dziewięćdziesiąt osiem egzemplarzy manifestu komunistycznego w języku rosyjskim. Najpierw się jednak przejdzie; chce pobyć sam.

– A ty lepiej pod moją nieobecność za dużo nie myśl.

* * *

A może spółka akcyjna Holger & Holger? Czy to jest jakiś pomysł? Działalność przewozowa? Mają przecież ciężarówkę. Tyle mają. Samochód ciężarowy.

W lokalnej gazecie Holger 2 zamieścił ogłoszenie: „Niewielka firma przewozowa poszukuje zleceń”. Natychmiast odezwał się sprzedawca poduszek z Gnesty, który potrzebował pomocy, ponieważ jego poprzedni dystrybutor nie tylko zapominał o co piątym transporcie, lecz także o co drugiej wpłacie do urzędu skarbowego. Z tego też powodu musiał się przeprowadzić do zakładu karnego w Arnö. Według państwa dystrybutor potrzebował osiemnastu miesięcy, by się zresocjalizować. Jednak według sprzedawcy poduszek, który znał prawdziwą naturę dystrybutora, mogło to potrwać dłużej. Tak czy siak, dystrybutor siedział tam, gdzie siedział, a sprzedawca pilnie potrzebował kogoś na jego miejsce.

Firma Gnesta Puch & Pierzyna SA przez lata produkowała poduszki dla hoteli, szpitali i różnych instytucji. Początkowo

interesy szły dobrze, potem gorzej, w końcu wcale. Wtedy przedsiębiorca zwolnił czterech pracowników i postanowił importować poduszki z Chin. Wiodło mu się jako tako, ale robota była męcząca, a on czuł, że siły już nie te. Ten spracowany człowiek był już wszystkim zmęczony. Ciągnął swój biznes wyłącznie dlatego, że zapomniał, iż życie to nie tylko praca.

Holger 1 i 2 spotkali się z przedsiębiorcą w jego firmie na peryferiach Gnesty. Miejsce było podłe. Po jednej stronie ulicy stał magazyn i przeznaczony do rozbiórki budynek, a po drugiej stronie od lat nieczynny warsztat ceramiczny. Posesja sąsiadowała ze złomowiskiem. Poza tym okolica była opuszczona.

Ponieważ mówił Holger 2, a Holger 1 milczał – tak jak mu nakazał Drugi – przedsiębiorca przekonał się do tego potencjalnie nowego rozwiązania dystrybucyjnego. Mieszkania w przeznaczonym do rozbiórki budynku nie były może siódmym cudem świata, ale jeśli bracia chcą, mogą zająć jedno, a nawet dwa. Przedsiębiorca mieszkał w centrum miasteczka.

Wyglądało na to, że wszystko jakoś się ułoży. Wtedy jednak urząd emerytalno-skarbowy w przesłanym przedsiębiorcy liście zawiadomił go, że lada dzień, wraz z ukończeniem sześćdziesięciu pięciu lat, będzie mógł przejść na emeryturę. Coś podobnego. To wspaniałe! Pora oddać się uciechom życia emeryta – o tym właśnie marzył przedsiębiorca. Kto wie, może nawet trochę pobaluje. Nie imprezował od lata sześćdziesiątego siódmego, kiedy to wybrał się do Sztokholmu, by potańczyć w Nalen. Już na miejscu dowiedział się jednak, że popularny klub taneczny został zamknięty i przerobiony na kościół.

Informacja o emeryturze ucieszyła przedsiębiorcę; Holgera i Holgera zmartwiła.

Bracia nie mieli jednak nic do stracenia. Drugi postanowił więc pójść za ciosem. zaproponował, że Holger & Holger SA przejmie firmę przedsiębiorcy, w tym magazyn, budynek i warsztat ceramiczny. W zamian przedsiębiorca będzie do końca życia otrzymywał trzydzieści pięć tysięcy koron miesięcznie.

– Taki dodatek do emerytury – wyjaśnił Holger 2. – Nie mamy gotówki, żeby wykupić pana przedsiębiorcę.

Świeżo upieczony emeryt przemyślał sprawę. I ponownie przemyślał. Po czym oznajmił:

– Niech będzie! Zejdźmy do trzydziestu tysięcy. Mam tylko jeden warunek!

– Warunek? – zdziwił się Holger 2.

– No więc jest taka sprawa... – zaczął przedsiębiorca.

W zamian za obniżenie ceny Holgerowie zobowiązali się do przejęcia odpowiedzialności za amerykańskiego inżyniera, którego przed czternastu laty przedsiębiorca znalazł w warsztacie ceramicznym. Ukrywający się Amerykanin w czasie wojny w Wietnamie budował wojskowe tunele. Wielokrotnie był pod ostrzałem Wietkongu, został poważnie ranny i trafił w końcu do szpitala w Japonii. Doszedł do siebie, przekopał się przez podłogę szpitalnej sali i uciekł na Hokkaido, skąd dopłynął na gapę trawlerem do radzieckiej granicy, przesiadł się na patrolujący wybrzeże sowiecki statek, dotarł do Moskwy, następnie do Helsinek i dalej do Sztokholmu. Tam otrzymał azyl polityczny.

W Sztokholmie jednak dezenter wszędzie widział CIA. Był kłębkiem nerwów i żył w przekonaniu, że w końcu dopadną go i zmuszą do powrotu na wojnę. W końcu zabłąkał się na szwedzką wieś, dotarł do Gnesty, zobaczył nieczynny warsztat ceramiczny, zakradł się do środka i zasnął pod brezentem. To, że trafił akurat tam, nie mogło być dziełem przypadku. W głębi duszy był bowiem garncarzem. Inżynierem i wojskowym został, bo taką przyszłość zaplanował dla niego ojciec.

W warsztacie ceramicznym sprzedawca poduszek nie gromadził jednak ceramiki, tylko papiery księgowo, które nie powinny ujrzeć światła dziennego. Zaglądał tam kilka razy w tygodniu. Pewnego dnia wśród segregatorów dostrzegł przerażoną twarz – to był właśnie ów Amerykanin. Przedsiębiorca zlitował się nad nim, pozwolił mu zostać, ale pod warunkiem że przeprowadzi się do któregoś mieszkania w ruderze przy Fredsgatan 5. Jeśli chciał tchnąć życie w warsztat – proszę bardzo. Ale drzwi do pomieszczenia bez okien miały pozostać zamknięte.

Przestraszony Amerykanin przyjął propozycję, po czym natychmiast i bez zgody przedsiębiorcy zaczął kopać tunel z mieszkania na parterze przy Fredsgatan 5 do warsztatu po drugiej stronie ulicy. Kiedy przedsiębiorca go na tym nakrył, Amerykanin wyjaśnił, że potrzebuje drogi ucieczki na wypadek, gdyby do drzwi zapukało CIA. Przekopanie tunelu zajęło mu kilka lat. Zanim go dociągnął do warsztatu, wojna już dawno się skończyła.

– Ma nierówno pod sufitem, ale jest w pakiecie – oznajmił przepracowany przedsiębiorca. – Nikomu nie zawadza. Z tego, co wiem, żyje z wyrobu naczyń, które sprzedaje po okolicznych bazarach. Świr, ale nieszkodliwy dla nikogo oprócz siebie samego.

Holger 2 miał wåtpliwości. Nie potrzebował kolejnych wariactw. Wystarczał mu w zupełności brat i scheda po ojcu. Tyle że taki układ umożliwiał braciom zamieszkanie w ruderze. Prawdziwy dom zamiast materaca w przyczepie ciężarówki.

Postanowił więc przejąć odpowiedzialność za amerykańskiego garncarza ze zszarganymi nerwami, a wszystko, co posiadał były już przedsiębiorca, zostało przepisane na nowo powstałą spółkę akcyjną Holgera 1.

W końcu ten przepracowany człowiek mógł sobie po prostu odpocząć! Następnego dnia pojechał do Sztokholmu, żeby zażyć kąpieli na legendarnej pływalni Sturebadet, a następnie przegryźć śledzika i golnąć sobie w Sturehof. Zapomniał jednak, że po tym, jak był tu ostatni raz, w zatłoczonej stolicy ruch z lewostronnego zmieniono na prawostronny. Nie zauważył też zresztą, że to samo miało miejsce w Gneście. Kiedy wchodził na Birger Jarlsgatan, spojrzał w złą stronę.

– Życie, oto nadchodzę! – ogłosił.

I natychmiast wpadł pod autobus.

– Ale strasznie – powiedział Holger 1, gdy ta informacja dotarła do braci.

– Tak. I tanio – skonstatował Holger 2.

Holgerowie postanowili złożyć wizytę amerykańskiemu garncarzowi, opowiedzieć mu o umowie zawartej z tragicznie

zmarłym dystrybutorem poduszek i poinformować, że może nadal mieszkać tam, gdzie mieszka, bo to część umowy z nieżyjącym już przedsiębiorcą, a umów należy dotrzymywać.

Holger 2 zapukał do drzwi.

W środku panowała cisza.

Holger 1 także zapukał.

– Jesteście z CIA? – usłyszeli.

– Nie, z Södertälje – odpowiedział Holger 2.

Po kilku sekundach ciszy drzwi powoli się otworzyły.

Spotkanie przebiegło pomyślnie. Amerykanin podszedł do braci z rezerwą, ale przekonał się do nich, gdy wspomnieli, że co najmniej jeden z nich też ma dość skomplikowaną sytuację życiową. Amerykanin otrzymał wprawdzie azyl, potem jednak nie meldował się u szwedzkich władz i bał się nawet myśleć, co warte jest jego prawo do azylu.

Garncarz pogodził się z tym, że przeznaczony do rozbiórki budynek ma nowego właściciela, i zdecydował się pozostać. W końcu niewiele wskazywało na to, że panowie Holgerowie są na usługach amerykańskich służb bezpieczeństwa. A w zasadzie nic, bo jacy by tam w tym CIA byli szczeni, to jednak nie nasyłaliby na niego dwóch identycznych agentów o tym samym imieniu i nazwisku.

Amerykanin rozważał propozycję Holgera 2, by podjąć u braci pracę w charakterze kierowcy, i nawet by się zgodził, pod warunkiem że samochód będzie na fałszywych numerach rejestracyjnych. Chciał w ten sposób uniemożliwić zlokalizowanie go przez CIA, gdyby akurat uchwycił go obiektyw jednej z tysięcy rozmieszczonych w całym kraju ukrytych kamer.

Holger 2 pokręcił głową, ale na wszelki wypadek nakazał Pierwszemu, by ten ukradł w nocy kilka tablic rejestracyjnych. Kiedy jednak garncarz zażądał przemalowania samochodu na czarno, aby łatwiej mu było zgubić Amerykanów, kiedy gdzieś na leśnej drodze wpadną na jego ślad, Drugi poczuł, że to go przerasta.

– Przemyślałem sprawę i uznałem, że sami poradzimy sobie z dystrybucją poduszek. Mimo wszystko dziękuję.

Garncarz spojrział na niego ze zdziwieniem. Dlaczego tak nagle się rozmyślił?

* * *

Mimo tych zmian na lepsze Holger 2 był raczej niezadowolony z życia. Z zazdrością odkrył, że Pierwszy ma dziewczynę. Według Drugiego ona zresztą też miała nierówno pod sufitem. No ale przecież swój ciągnie do swego. Miała może z siedemnaście lat i wszystko ją wkurzało, może z wyjątkiem Holgera 1. Poznali się w centrum Gnesty, gdzie młoda gniewna jednoosobowo demonstrowała przeciwko skorumpowanemu systemowi bankowemu. Jako samozwańcza reprezentantka nikaraguańskiego prezydenta Daniela Ortegi ubiegała się o pożyczkę w wysokości pół miliona koron. Jednak dyrektor banku – skądinąd ojciec młodej gniewnej – powiedział, że pożyczek nie udziela się przez pośredników i że prezydent Ortega musi osobiście przyjechać do Gnesty, wylegitymować się i wykazać zdolność kredytową.

Zdolność kredytową? A jakimi zdolnościami może się pochwalić dyrektor banku, który w ten sposób odwraca się plecami do swojej jedynej córki?

Stąd ta demonstracja. Która miała zresztą dość ograniczony zasięg, ponieważ przyglądał jej się jedynie stojący w drzwiach banku ojciec dziewczyny, dwóch żuli czekających na otwarcie sklepu monopolowego oraz Holger 1, który wybrał się do centrum po plaster i spirytus po tym, jak uderzył się w kciuk, próbując załatać dziurę w podłodze ich nowego lokum.

Nietrudno się domyślić, co o tym wszystkim myślał ojciec dziewczyny. Żule fantazjowali natomiast, co mogliby kupić w monopolowym za pół miliona (bardziej zuchwały z nich stawiał na sto butelek wódki Explorer). Na Holgerze 1 dziewczyna zrobiła piorunujące wrażenie. Walczyła za *prezydenta*, a ten z kolei – skłócony z USA i większością świata – walczył z wieloma przeciwnościami losu.

Kiedy dziewczyna zakończyła swoją demonstrację, podszedł do niej, przedstawił się i zwierzył z marzenia o obaleniu szwedzkiego króla. Po pięciu minutach wiedzieli, że są sobie przeznaczeni. Dziewczyna podeszła do swojego nieszczęsnego ojca, który nadal stał w drzwiach banku, i poinformowała go, że może się wypchać, bo ona wyprowadza się do... no, jak mu tam. Do Holgera!

Drugi musiał się przenieść ze wspólnego mieszkania braci do jeszcze bardziej zapuszczonego lokalu naprzeciwko. A życie dalej toczyło się swoim nieciekawym torem.

Aż któregoś dnia Holger 2 trafił z transportem poduszek do kwatery dla uchodźców Państwowego Urzędu Imigracyjnego w Upplands Väsby na północ od Sztokholmu. Kiedy zaparkował przed magazynem, na ławce nieopodal dostrzegł siedzącą samotnie czarnoskórą kobietę, która pewnie dopiero co tu przyjechała. Nie myśląc o niej więcej, wniósł swoje poduszki. Kiedy wychodził, dziewczyna odezwała się do niego. Uprzejmie jej odpowiedział, ona zaś spontanicznie wyraziła swoje zdziwienie tym, że tacy mężczyźni w ogóle istnieją.

Ten komentarz trafił go prosto w serce. Dlatego powiedział to, co powiedział:

– *Szkopuł w tym, że ja nie istnieję.*

Gdyby wiedział, co go czeka, szybko wziąłby nogi za pas.

Część 3

*Teraźniejszość to część wieczności, która oddziela zakres rozczarowania
od zakresu nadziei.*
Ambrose Bierce

Rozdział 9

O spotkaniu, pomyłce i nieoczekiwanym pojawieniu się

Nombeko przedstawiła się jako południowoafrykańska bojowniczką o wolność, za której głowę wyznaczono nagrodę. Takich w Szwecji lubiano, wkrótce więc wpuszczono ją do kraju. Pierwszy przystanek: ośrodek dla uchodźców Carlsund w Upplands Väsby na północ od Sztokholmu.

Już czwarty dzień z rzędu siedziała w chłodzie na ławce przed budynkiem numer siedem, owinięta brązowym kocem opatrzonym napisem „Urząd Imigracyjny”, i zastanawiała się, co zrobić ze zdobytym właśnie bezmiarem wolności. Miała już dwadzieścia sześć lat. Fajnie byłoby poznać jakichś miłych ludzi. *Normalnych* ludzi. Albo chociaż jakiegoś jednego *normalnego* człowieka. Który pomógłby jej poznać Szwecję.

Co poza tym? No cóż, tutaj też chyba jest jakaś biblioteka narodowa. Nawet jeśli większość tego, co znalazłaby na półkach, jest pewnie napisana w niezrozumiałym dla niej języku. Ten normalny człowiek, który zaznajomi ją ze Szwecją, będzie musiał nauczyć ją też szwedzkiego.

Nombeko zawsze dobrze się myślało, kiedy mogła sobie pożuć mięso antylopy. Którego nie mogła uświadczyc w Pelindabie. Może dlatego aż jedenaście lat zajęło jej wykombinowanie, jak się stamtąd wydostać.

Ciekawe, czy mięso dotarło już do Ambasady Izraela. Czy ona odważy się tam w ogóle pojechać? Dlaczego by nie? Nagranie, którym groziła agentom, nadal spełniało swoją rolę, mimo że – tak jak wcześniej – nie istniało.

W tym momencie na plac zajechała ciężarówka z czerwoną przyczepą. Samochód zaparkował przed magazynem. Wskoczył z niego mężczyzna w wieku Nombeko i zaczął wnosić do środka zafoliowane poduszki. Nosił tak długo, aż opróżnił przyczepę,

a jakaś kobieta, najwyraźniej odpowiedzialna za magazyn, podpisała mu jakiś świstek. Kobieta, która za coś odpowiadała. Może i biała, ale jednak.

Nombeko podeszła do mężczyzny i powiedziała, że chciałyby go o coś zapytać. Musi to jednak zrobić po angielsku, bo nie zna szwedzkiego. Chyba że on zna język khosa albo wu?

Mężczyzna spojrzał na Nombeko i odpowiedział, że mogą rozmawiać po angielsku. O pozostałych językach nigdy nie słyszał. W czym może jej pomóc?

– A tak w ogóle to dzień dobry – powiedział i wyciągnął rękę. – Jestem Holger.

Oślupiała Nombeko podała mu dłoń na powitanie. Biały mężczyzna, który wie, jak się zachować?

– Nombeko – przedstawiła się. – Pochodzę z Republiki Południowej Afryki. Jestem uchodźczynią polityczną.

Holger wyraził swoje współczucie z powodu losu Nombeko i powitał ją w Szwecji. Czy nie jest jej zimno? Jeśli chce, może poprosić w magazynie o dodatkowy koc.

Czy nie jest jej zimno? Dodatkowy koc? O co tu chodzi? Czyżby Nombeko udało się spotkać owego normalnego człowieka zaledwie kilka sekund po tym, gdy w ogóle odważyła się o tym zamarzyć? Nie mogła się powstrzymać i nie wyrazić tego, jak miło jest zaskoczona:

– Pomyśleć, że tacy ludzie jak pan w ogóle istnieją.

Holger spojrzał na nią smętnie.

– Szkopuł w tym, że ja nie istnieję – powiedział.

Co takiego? – zdziwiła się Nombeko. I to właśnie powiedziała:

– Co takiego?

– Nie istnieję – odpowiedział Holger. – Ja nie istnieję.

Nombeko zmierzyła go wzrokiem od góry do dołu i od dołu do góry. Oczywiście: kiedy w końcu pojawia się ktoś zasługujący na jej szacunek – ten ktoś nie istnieje.

Nie ciągnęła tego tematu i zapytała go, czy wie może, gdzie jest Ambasada Izraela.

Ten, który nie istniał, nie rozumiał, czego uchodźczyni z Republiki Południowej Afryki może szukać w Ambasadzie Izraela,

ale uznał, że to nie jego sprawa.

– Myślę, że w centrum. Jadę w tym kierunku. Może pannę Nombeko podwieźć? Nie chciałbym być natrętny...

Znów był taki normalny. Przepraszał niemal, że żyje. Co było właściwie bez sensu, skoro nie istniał.

Nombeko postanowiła zachować czujność. Uważnie mu się przyjrzała. Wyglądał na sympatycznego. Mówił do rzeczy, był uprzejmy.

– Tak, będę wdzięczna – odpowiedziała w końcu. – Proszę chwilkę poczekać. Pójdę tylko po nożyczki.

Kierowali się na południe, w stronę Sztokholmu. Mężczyzna – ma na imię Holger, prawda? – okazał się rozmowny. Opowiadał o szwedzkich wynalazkach, o Nagrodzie Nobla, o Björnie Borgu...

Nombeko miała wiele pytań. Czy Björn naprawdę wygrał pięć Wimbledonów z rzędu? To fantastyczne! A co to jest ten Wimbledon?

Czerwona ciężarówka przyjechała na miejsce. Storgatan 31. Nombeko wysiadła, podeszła do portiera, przedstawiła się i zapytała, czy czeka na nią przesyłka z Republiki Południowej Afryki.

Tak, właśnie dotarła. Bardzo dobrze, że panienska już jest, bo ambasada nie może przechowywać tego typu paczek. Powiedziawszy to, portier zwrócił się do kierowcy Nombeko i poprosił, by wycofał samochód na rampę za rogiem. A panienska niech lepiej zostanie; musi podpisać kilka dokumentów. Gdzie też się one podziały?

Nombeko próbowała zaprotestować. Paczki nie trzeba ładować do ciężarówki, zamierza ją wziąć pod pachę. Jakoś znajdzie drogę powrotną do ośrodka. Ale portier tylko się uśmiechnął, machając przy tym na Holgera. I ponownie wetknął nos w stopy papierów.

– Popatrzmy... Ależ ze mnie bałaganiarz. Tu też nie... Może tu?

Chwilę to trwało. W końcu dopełnili wszystkich formalności, paczka leżała w ciężarówce, a Holger był gotów do wyjazdu.

Nombeko pożegnała się z portierem i zajęła miejsce w kabinie samochodu.

– Możesz mnie po prostu podrzucić na przystanek autobusowy – powiedziała.

– Nic z tego nie rozumiem – zdziwił się Holger.

– Jak to?

– Mówiłaś, że chcesz odebrać paczkę z dziesięcioma kilogramami mięsa antylopy.

– No i? – powiedziała Nombeko i ścisnęła nożyczki w kieszeni.

– A ta waży jakąś tonę.

– Tonę?

– Całe szczęście, że podjechałem ciężarówką.

Nombeko siedziała przez chwilę w milczeniu. Przetrawiała informację. Po czym powiedziała:

– Oj, niedobrze.

– Co? – zapytał Holger.

– No, wszystko.

* * *

Agent Mosadu A miał dobry humor. Był poranek, a on siedział w pokoju hotelowym w Johannesburgu. Kolega z Pelindaby miał niedługo objąć nową posadę w Buenos Aires. Po śniadaniu A zamierzał udać się na lotnisko Jan Smuts International i polecieć do domu na zasłużone wakacje. Potem wybierze się do Szwecji i zrobi ze sprzątaczką to, co musi zrobić i co chętnie robi.

Zadzwoił telefon. A zdziwił się, ale odebrał. Usłyszał głos ministra spraw zagranicznych Peresa. Ten znany był z tego, że od razu przechodził do rzeczy.

– Dlaczego u licha przysłałeś mi dziesięć kilogramów koniny? – zapytał swojego agenta.

Agent Mosadu A od razu połapał się, co zaszło.

– Ogromnie przepraszam, panie ministrze. Zaszła potworna pomyłka. Natychmiast się tym zajmę!

– Jak można do cholery pomylić to, co miałem dostać, z dziesięcioma kilogramami końskiego mięsa? – zapytał Szymon Peres.

– Mięsa antylopy, gwoli ścisłości – sprostował agent A i od razu tego pożałował.

Agent Mosadu A uwolnił się na jakiś czas od swojego rozgniewanego ministra spraw zagranicznych i zadzwonił do Ambasady Izraela w Sztokholmie. Tam połączono go z portierem.

– Za żadne skarby nie dopuście, żeby wążąca osiemset kilogramów przesyłka z Republiki Południowej Afryki opuściła ambasadę. *Nawet jej nie dotykajcie*, dopóki nie przyjadę!

– Po co te nerwy – powiedział portier. – Przemiała czarnoskóra pani właśnie podjechała ciężarówką i pokwitowała odbiór. Niestety, nie wiem, jak się nazywała. W całym tym zamieszaniu nie mogę znaleźć pokwitowania.

Agent Mosadu A nigdy nie przeklinał. Został głęboko wierzący, odebrał surowe wychowanie i został nauczony, co wypada mówić, a czego nie. Teraz odłożył słuchawkę, usiadł na łóżku i warknął:

– Kurwa jego jebana mać.

Agent A zaczął sobie wyobrażać, w jaki sposób ukatrupi Nombeko Mayeki. Najbardziej podobały mu się warianty przewidujące śmierć powolną.

* * *

– Bomba atomowa? – zapytał Holger.

– Bomba atomowa – odpowiedziała Nombeko.

– Broń jądrowa?

– To też. Nombeko uznała, że Holger zasługuje na to, by poznać całą historię, skoro stało się to, co się stało. Dlatego opowiedziała mu o Pelindabie, o tajnym projekcie jądrowym, o sześciu bombach, z których zrobiło się siedem, o inżynierze Westhuizenie, o jego farcie, chlaniu, o nieszczęśliwym zgonie inżyniera, o agentach Mosadu, skrzyni z antylopim mięsem, która miała dotrzeć do Sztokholmu, i o znacznie większej paczce, tej, którą teraz więzli,

a która miała trafić do Jerozolimy. I choć nie wdawała się w szczegóły, Holger miał już przybliżony obraz sytuacji.

Rozumiał wszystko poza tym, że mogła zajść aż taka pomyłka. Nombeko i agenci mieli się zająć dwiema przesyłkami, małą i gigantyczną, co w tym trudnego?

Nombeko pewna nie była, ale miała swoje podejrzenia. Poczta w ośrodku badawczym zajmowały się trzy sympatyczne, ale niezbyt rozgarnięte i całkiem zwariowane Chinki. Nombeko przypuszczała, że dwie paczki do zaadresowania naraz to było dla nich o jedną za dużo. No i sprawy potoczyły się nie tak jak trzeba.

– Delikatnie mówiąc – skomentował Holger i zatrwożył się.

Nombeko milczała. Holger ciągnął:

– A zatem ty oraz agenci prawdopodobnie najlepszego wywiadu na świecie powierzyliście zaadresowanie przesyłek trzem nierozgarniętym, zwariowanym dziewczynom.

– Jest w tym niemało racji – przyznała Nombeko. – Jeśli już musimy być tacy czepialscy, a biorąc pod uwagę zaistniałą sytuację, może powinniśmy.

– Kto powierza pocztę wychodzącą osobom, którym nie można ufać?

– Oraz przychodzącą – dodała Nombeko. – No, inżynier. Jeden z najgłupszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałam. Może i potrafił czytać, ale nic ponadto. Przypominał mi jednego paskudnego, nierozgarniętego asystenta z Wydziału do spraw Higieny Miasta Johannesburga. Miałam z nim trochę do czynienia jako nastolatka.

Holger milczał, ale mózg pracował mu na pełnych obrotach. Wszyscy, którzy musieli kiedyś przewozić na pace bombę atomową, znają to uczucie.

– Zawrócimy i oddamy bombę Izraelczykom? – zapytała Nombeko.

Holger ocknął się z mentalnego odrętwienia.

– Nigdy w życiu! – odpowiedział.

On też swoje przeszedł i jest w szczególnej sytuacji. Chodzi o to, Nombeko, że tak jakby nie istnieje, o czym już wspominał. Kocha jednak swój kraj. I nie ma takiej możliwości, aby z własnej woli

przekazał broń jądrową izraelskiej czy jakiegokolwiek innej służbie bezpieczeństwa – na *szwedzkiej ziemi*.

– Nigdy w życiu! – powtórzył. – A ty nie możesz wrócić do ośrodka dla uchodźców. Jestem pewien, że Izraelczycy będą tam szukać ciebie i bomby.

Nombeko przyjęła do wiadomości to, co powiedział. Najbardziej jednak zainteresowała ją powtarzająca się informacja o jego nieistnieniu.

– To długa historia – mruknął Holger.

Nombeko pogrążyła się w rozmyślaniach. W sprawie swojej przyszłości doszła na razie do tego, że jako wolna kobieta chciałaby poznać jakichś normalnych ludzi, bo dotychczas nie miała ku temu okazji. Wtedy pojawił się ten na pozór zwyczajny Szwed. Miły. Troskliwy. Oczytany. Który twierdził, że nie istnieje.

Holger przerwał jej rozmyślenia, mówiąc:

– Mieszkam w przeznaczonym do rozbiórki budynku w Gneście.

– Miło – powiedziała Nombeko.

– Co powiesz na to, by się do mnie wprowadzić?

Nombeko doszła do wniosku, że nożyczki nie będą w obecności Holgera potrzebne. Budynek w... jak to było? Gneście? No cóż, pomyślała. Połowę życia przemieszkała w slumsie, drugą zamknięta za dwoma płotami. Przeznaczony do wyburzenia budynek to coś jakby oczko wyżej.

Ale czy Holger jest pewien, że chce mieć na głowie broń jądrową i uchodźczynię? Oraz deptającą jej po piętach służbę bezpieczeństwa obcego państwa?

Holger niczego nie był pewien. Ale zdał sobie sprawę, że polubił tę osobę. Nie mógł jej posłać prosto w szpony Mosadu.

– Nie – powiedział. – Nie jestem. Pytanie jednak pozostaje.

Nombeko polubiła z kolei Holgera. O ile było tu cokolwiek do lubienia.

– Nie jesteś więc na mnie zły za tę bombę atomową?

– E tam – powiedział Holger. – Zdarza się.

Droga z Ambasady Izraela położonej w dzielnicy Östermalm do E4 i dalej na południe biegła przez Norrmalm i Kungsholmen.

Przez okno samochodu Holger i Nombeko widzieli najwyższy wieżowiec w Szwecji, wysoki na osiemdziesiąt cztery metry budynek redakcji „Dagens Nyheter”. Holger nie mógł przestać myśleć o tym, co by się z nim stało, gdyby bomba eksplodowała. W końcu nie wytrzymał:

– Jak bardzo by było źle, gdyby było naprawdę źle?

– To znaczy? – zapytała Nombeko.

– No, gdybym na przykład wjechał teraz w słup, a bomba by wybuchła... co by się stało? Podejrzewam, że nam byłoby nie do śmiechu, ale na przykład ten tam budynek zawaliłby się?

Nombeko odparła, że faktycznie nie wyszliby z tego cało. Wieżowiec zresztą też nie. Bomba zmiotłaby większość tego, co znajduje się w promieniu... no... jakichś pięćdziesięciu ośmiu kilometrów.

– Większość tego, co znajduje się w promieniu pięćdziesięciu ośmiu kilometrów? – powtórzył Holger.

– Tak. A raczej wszystko.

– W obrębie pięćdziesięciu ośmiu kilometrów? Zrównałaby z ziemią Sztokholm, największe szwedzkie miasto?

– Nie mam pojęcia, jak duży jest Sztokholm, ale skoro to największe miasto w kraju, to chyba duży. Należałoby też wziąć pod uwagę pewne aspekty...

– Jakie aspekty?

– Poza samą kulą ognia. Takie jak fala uderzeniowa, promieniowanie, kierunek wiatru. I takie sprawy jak... powiedzmy, że wjedziesz w słup i bomba wybuchnie...

– Powiedzmy, że jednak nie wjadę – przerwał jej Holger i mocniej ścisnął oburącz kierownicę.

– No, to tylko taki przykład. Przypuszczam, że wówczas spłoną wszystkie szpitale w okolicy. I wtedy kto będzie się zajmował setkami tysięcy ciężko rannych ludzi z zewnętrznych stref działania wybuchu?

– No kto? – zapytał Holger.

– Na pewno nie ty i nie ja – odpowiedziała Nombeko.

Holger poczuł, że chce jak najszybciej wydostać się z tego pięćdziesięcioośmiokilometrowego promienia. Wyjechał na drogę E4 i przyspieszył. Nombeko zmuszona była przypomnieć mu, że póki będzie miał w samochodzie to, co ma, od bezpiecznej strefy nadal będzie go dzielić pięćdziesiąt osiem kilometrów, niezależnie od tego, jak szybko i jak daleko odjedzie.

Holger zwolnił, chwilę pomyślał i zapytał, czy w takim razie Nombeko nie mogłaby rozbroić bomby, skoro była przy jej powstawaniu. Nombeko odparła, że na nieszczęście bomba, którą wiozą, należy do tak zwanych operacyjnych. By ją unieszkodliwić, potrzeba czterech, pięciu godzin. Tego czasu zabrakło, gdy nagle zaczęło im się śpieszyć tam, w Republice Południowej Afryki. Na domiar złego instrukcja rozbrojenia znajduje się w rękach Izraelczyków. A – jak Holger sam rozumie – trudno im będzie teraz zadzwonić do Jerozolimy i poprosić o jej przefaksowanie.

Holger skinął głową. Wyglądał na zmartwionego. Pocieszy go może to, że bomba jest bardzo solidna, więc nawet jeśli zdarzy im się zjechać z drogi, istnieją spore szanse na to, że i on, ona i największe szwedzkie miasto Sztokholm wyjdą z tego cało.

– Tak sądzisz? – zapytał Holger.

– Lepiej jednak tego nie sprawdzać – odpowiedziała Nombeko. – Dokąd właściwie jedziemy? Do Gnesty?

– Tak. A tam będziemy musieli przekonać mojego brata, żeby nie wykorzystał tego, co mamy w przyczepie, do obalenia ustroju.

* * *

Holger faktycznie mieszkał w domu przeznaczonym do rozbiórki. Całkiem ładny, pomyślała Nombeko. Był to budynek w kształcie litery L, czteropiętrowy, połączony z magazynem także w kształcie litery L. Z czworokątnego dziedzińca na ulicę prowadziło tylko jedno wąskie przejście.

Według Nombeko wyburzenie budynku byłoby marnotrawstwem. To prawda, w drewnianych schodach prowadzących na piętro, gdzie miała zamieszkać, zdarzały się dziury. Holger uprzedził ją też, że

w niektórych oknach zamiast szyb są deski. Oraz że ciągnie od szpar w drewnianej fasadzie. Jednak koniec końców było to o niebo lepsze lokum niż buda w Soweto. Już choćby dlatego, że podłoga to były deski, a nie ubita ziemia.

Dzięki szynom, wysiłkowi i pomysłowości Holgerowi i Nombeko udało się wyciągnąć bombę z ciężarówki i umieścić ją w rogu magazynu, w którym leżało całe mnóstwo poduszek. Nie rozmawiali o tym z Holgerem, ale nie trzeba było być szczególnie bystrym – choć akurat Nombeko była – aby domyślić się, że to nimi handlował.

Skrzynia z bombą stała teraz w kącie magazynu i nie stwarzała bezpośredniego zagrożenia. O ile nie zajmie się któraś z łatwo palnych poduszek, jest nadzieja, że Nyköping, Södertälje, Flen, Eskilstuna, Strängnäs i Sztokholm oraz okolice przetrwają. Nie mówiąc o Gneście.

Kiedy tylko bomba znalazła się w magazynie, Nombeko postanowiła dowiedzieć się tego i owego. Co to za brednie to nieistnienie Holgera? Co to za historia z jego bratem? Dlaczego sądzi, że brat mógłby mieć chrapkę na bombę i wykorzystać ją w celu obalenia ustroju? Kim on właściwie jest? Gdzie się podziewa? I jak się nazywa?

– Ma na imię Holger – odpowiedział Holger. – Jest pewnie gdzieś niedaleko. Mieliśmy szczęście, że nie było go tu, kiedy męczyliśmy się z tą skrzynią.

– Holger? – zdziwiła się Nombeko. – Holger i Holger?

– Tak. Można powiedzieć, że on to ja.

Pora, by Holger jej to wyjaśnił, inaczej nic tu po niej. Bombę może sobie zatrzymać, ona ma jej już po dziurki w nosie.

Na skrzyni umościła sobie posłanie z poduszek i poprosiła, by stojący na dole Holger wszystko jej opowiedział. A właściwie ujęła to krócej:

– Opowiadaj!

Nie wiedziała, czego się spodziewać, ale gdy po czterdziestu minutach Holger skończył, poczuła ulgę.

– Toż to pikuś. Nie wyobrażasz sobie, ilu Południowoafrykańczyków nie ma papierów i tym samym nie

istnieje. Ja istnieję tylko dlatego, że ten przygłup inżynier, dla którego harowałam, musiał mi je dla swojej wygody wyrobić.

Holger 2 przyjął pocieszenie Nombeko i też usadowił się pośród poduszek na skrzyni. Dużo tego wszystkiego jak na jeden raz. Najpierw ta bomba w skrzyni pod nimi, potem jego spowiedź.

– To co, zostajesz czy wyjeżdżasz? – zapytał Holger 2.

– Zostaję – odpowiedziała Nombeko. – A mogę?

– Tak – odparł Holger 2. – Ale teraz potrzebuję trochę spokoju.

– Ja też.

Ułożyła się wygodnie naprzeciwko swojego nowego przyjaciela. W tym momencie coś zaskrzypiało i ze skrzyni oderwała się jedna z desek.

– Co to? – zapytał Holger. W tym momencie odpadła kolejna deska i wysunęła się kobieca ręka.

– Mam pewne przypuszczenia – powiedziała Nombeko.

Natychmiast się one potwierdziły, gdy ze skrzyni wypełzły, mrużąc oczy, trzy Chinki.

– Cześć – powiedziała najmłodsza z sióstr, ujrzawszy Nombeko.

– Masz coś do jedzenia? – zapytała średnia siostra.

– I do picia? – dodała najstarsza.

Rozdział 10

O nieprzekupnym premierze i marzeniu, by porwać króla

Czy ten szalony dzień nigdy się nie skończy? Drugi usiadł na swoim pościeli z poduszek i przyglądał się trzem dziewczynom, które właśnie wyczołgały się ze skrzyni.

– Co tu się dzieje? – zapytał.

Nombeko zamartwiała się o dziewczyny, o to, co się z nimi stanie, gdy środki bezpieczeństwa w Pelindabie zostaną zaostrome. Bała się, że ich udziałem stanie się los, który jej był pisany.

– Nie wiem, co nas czeka w najbliższej przyszłości – odpowiedziała, bo w życiu nigdy nie ma nic pewnego. – Teraz w każdym razie wiemy już, w jaki sposób mała i duża paczka zamieniły się miejscami. Piękna ucieczka, dziewczęta!

Po czterech dobach w skrzyni z bombą, dwoma kilogramami zimnego ryżu i pięcioma litrami wody Chinki umierały z głodu. Poszły więc z Holgerem do jego mieszkania, gdzie po raz pierwszy w życiu spróbowały blodpuddingu z borówkami.

– Smakuje trochę jak glina, z której kiedyś robiłyśmy gęsi – powiedziała średnia z sióstr. – Można prosić o dokładkę?

Po jedzeniu wszystkie trzy zostały położone w szerokim łóżku Holgera. Dowiedziały się, że zamieszkają w jedynym wolnym i możliwym do zasiedlenia lokalu, tym na samej górze. Najpierw trzeba będzie jednak załatać dziurę w ścianie dużego pokoju.

– Przykro mi, że dziś musicie spać w takiej ciasnocie – powiedział Holger 2 do śpiących już dziewcząt.

* * *

Budynek przeznaczony do wyburzenia powinien zostać wyburzony i wyburzony zostanie. W budynkach przeznaczonych do rozbiórki

ludzie przebywają tylko w drodze wyjątku.

Dlatego co najmniej zastanawiający był fakt, że w przewidzianej do rozbiórki ruderze w Gneście w prowincji Sörmland mieszkał amerykański garncarz, dwóch bardzo podobnych, a zarazem niepodobnych do siebie braci, pewna młoda gniewna kobieta, południowoafrykańska zaginiona uchodźczyni oraz trzy zwariowane Chinki.

Wszyscy oni mieszkali w nieposiadającej broni jądrowej Szwecji. Z bombą atomową o mocy trzech megaton za ścianą.

Dotychczas na liście krajów dysponujących bronią nuklearną figurowały Stany Zjednoczone, Związek Radziecki, Wielka Brytania, Francja, Chiny i Indie. Łączną liczbę głowic bojowych eksperci szacowali na jakieś sześćdziesiąt pięć tysięcy. Ci sami eksperci nie byli już tak zgodni co do tego, ile razy można by za pomocą owej broni unicestwić planetę; ładunki miały przecież różną siłę rażenia. Pesymiści stawiali na czternaście–szesnaście razy. Optymiści na góra dwa.

Do wyżej wymienionych krajów należało też dodać RPA. Oraz Izrael, choć oba kraje nie chciały zdradzić, jak naprawdę sprawy się mają. Być może także Pakistan, który po tym, jak Indie zdetonowały jedną sztukę broni jądrowej, odgrażał się, że wyprodukuje własną.

No i Szwecję. Nawet jeśli kraj miał tę broń niedobrowolnie. I sam o tym nie wiedział.

* * *

Holger i Nombeko pozostawili śpiące Chinki i udali się do magazynu, by w spokoju porozmawiać. Tam w skrzyni stała sobie bomba. Z tymi poduszkami wyglądała niemal jak kącik relaksacyjno-wypoczynkowy, choć cała sytuacja była mało odprężająca.

Oboje znów rozsiedli się każde na swoim krańcu skrzyni.

– Bomba – powiedział Holger 2.

– Której nie możemy tu przecież trzymać tak długo, aż nie będzie stanowić zagrożenia – dopowiedziała Nombeko.

W Drugim obudziła się nadzieja.

– A ile to by potrwało?

– Dwadzieścia sześć tysięcy dwieście lat – odpowiedziała Nombeko. – Plus minus trzy miesiące.

Drugi i Nombeko zgodnie doszli do wniosku, że czekanie dwadzieścia sześć tysięcy dwieście lat to jednak zbyt długo, nawet jeśli margines błędu działałby na ich korzyść. Drugi objaśnił Nombeko, jakim politycznym dynamitem była bomba. Szwecja to kraj neutralny i – we własnym odczuciu – reprezentujący wszelkie cnoty moralne. W kraju, który od 1809 roku nie angażował się w żadną wojnę, wierzono niezbitnie, że nie ma on broni jądrowej.

Według Holgera 2 należało, po pierwsze, przekazać bombę władzom, po drugie, uczynić to na tyle sprawnie, żeby nie zaczęto o tym plotkować. Po trzecie, manewr ten należało przeprowadzić prędko, aby brat Drugiego wraz z przyległością nie zdążył niczego zmalować.

– Dobrze – zgodziła się Nombeko. – Kto jest u was szefem państwa?

– Król – odpowiedział Holger. – Ale to nie on podejmuje decyzje.

Szef, który nie podejmuje decyzji. Trochę jak w Pelindabie. Inżynier robił to, co mu kazała Nombeko, sam o tym nie wiedząc.

– Kto w takim razie podejmuje decyzje?

– No, premier.

Holger wyjaśnił, że premier Szwecji nazywa się Ingvar Carlsson. Został nim z dnia na dzień, kiedy jego poprzednika, Olofa Palmego, zamordowano w centrum Sztokholmu.

– Zadzwoń do Carlssona – zaproponowała Nombeko.

Tak też uczynił. Skontaktował się z kancelarią rządu. Poprosił o połączenie z premierem i po chwili usłyszał w słuchawce jego asystentkę.

– Dzień dobry, nazywam się Holger – powiedział Holger. – Chciałbym pomówić z Ingvarem Carlssonem w pewnej niecierpiącej zwłoki sprawie.

– Ach tak, a o co chodzi?

– Tego nie mogę niestety zdradzić, to ściśle tajne.

W czasach rządów Olofa Palme jego nazwisko figurowało w książce telefonicznej. Każdy obywatel, który chciał z nim porozmawiać, mógł zadzwonić do niego do domu. A on odbierał, jeśli tylko akurat nie usypiał dziecka albo nie jadł kolacji.

Tak było w starych dobrych czasach. Ale te skończyły się 28 lutego 1986 roku, kiedy niemający ochrony Palme po wyjściu z kina otrzymał śmiertelny strzał w plecy. Jego następcę chroniono więc przed hołotą. Pan Holger rozumie chyba, że ona, jego sekretarka, pod żadnym pozorem nie może łączyć obcych ludzi z szefem rządu?

– Ale to ważne.

– Tak może powiedzieć każdy.

– Bardzo ważne.

– Przykro mi. Proszę napisać list do...

– Tu chodzi o bombę atomową – oznajmił Holger.

– Co takiego? Czy to groźba?

– Nie, u licha! Wręcz przeciwnie! Chociaż tak, bomba to groźba, dlatego chciałbym się jej pozbyć.

– Chce się pan pozbyć bomby atomowej? I dzwoni pan do premiera, by mu ją podarować?

– Tak, ale...

– Ludzie często chcieliby coś podarować premierowi. W ubiegłym tygodniu na przykład pewien dość natrętny jegomość z pewnej firmy chciał mu przesłać pralkę. Premier nie przyjmuje jednak prezentów. Tyczy się to także... bomb atomowych. To na pewno nie pogroźki?

Holger ponownie zapewnił, że nie ma złych zamiarów. Zrozumiał jednak, że nie zostanie połączony z premierem, podziękował więc za nic i pożegnał się.

Potem za radą Nombeko zadzwonił do króla. Połączono go z sekretarzem dworu, który odpowiedział mu podobnie jak asystentka premiera, tyle że bardziej wyniośle.

W innym, lepszym świecie premier (albo przynajmniej król) odebrałby telefon, wysłuchał Holgera 2, natychmiast udał się do Gnesty, gdzie odebrałby bombę wraz z opakowaniem. A to wszystko, zanim potencjalnie wywrotowy brat Holgera 2 zdążyłby

odkryć skrzynię, zaczął zadawać pytania i – Boże uchroni – postanowił myśleć.

W innym, lepszym świecie.

W tym świecie jednak Pierwszy i młoda gniewna wkroczyli do magazynu. Przyszli, bo zastanawiali się, dlaczego z lodówki Drugiego zniknął blondpudding, którym chcieli się poczęstować, i dlaczego w mieszkaniu pełno jest śpiących Chinek. Teraz doszły kolejne pytania: kim jest czarnoskóra kobieta siedząca na skrzyni? I co to za skrzynia, na której siedzi?

Z mowy ciała nowo przybyłych Nombeko odczytała, że chodzi o nią i o skrzynię. Powiedziała, że chętnie włączy się do rozmowy, jeśli będą mówić po angielsku.

– Jesteś Amerykanką? – zapytała młoda gniewna i dodała, że nienawidzi Amerykanów.

Nombeko odparła, że jest Południowoafrykanką i że uważa, iż nienawiść do wszystkich Amerykanów musi być dość uciążliwa, zważywszy, że jest ich tak wielu.

– Co tam macie w tej skrzyni? – zapytał Holger 1.

Odpowiedzią Holgera 2 był brak odpowiedzi. Wyjaśnił za to, że trzy Chinki w mieszkaniu oraz ta oto kobieta są politycznymi uchodźczyniami i przez jakiś czas pozostaną u nich. Drugi wyraził też ubolewanie, że blondpudding skończył się, zanim Pierwszy zdążył go zwędzić.

Faktycznie, było to dość irytujące. No, ale co to za skrzynia? Co w niej jest?

– Moje rzeczy osobiste – powiedziała Nombeko.

– Twoje rzeczy osobiste? – powtórzyła za nią młoda gniewna tonem dającym do zrozumienia, że żąda wyjaśnień.

Nombeko zauważyła, że trudna do powstrzymania ciekawość na dobre zagościła w oczach Pierwszego i jego dziewczyny. Czas pokazać, kto tu rządzi.

– Moje rzeczy osobiste – powiedziała – które przyjechały aż z Afryki. Podobnie jak ja. Jestem miła, a przy tym nieobliczalna. Kiedyś jednemu takiemu, co się nie umiał zachować, wbiłam w udo nożyczki. Innym razem... zrobiłam to samo. Temu samemu facetowi zresztą, z tym że wbiłam inne nożyczki w drugie udo.

Holger 1 i jego dziewczyna nie ogarniali sytuacji. Kobieta mówiła przyjaznym tonem, a jednocześnie sugerowała, że potrafi zaatakować nożyczkami, jeśli nie odczepią się od jej skrzyni. Pierwszy wziął więc młodą gniewną pod rękę, wymamrotał w imieniu obojga do widzenia, po czym sobie poszli.

– W dolnej szufladzie lodówki mam chyba jeszcze falukorv! – zawołał za nimi Drugi. – O ile nie zamierzacie kupić sobie czegoś do jedzenia.

Holger 2, Nombeko i bomba znów zostali sami. Drugi wyjaśnił Nombeko, że oto właśnie – jak się pewnie domyśliła – poznała jego brata republikanina oraz porywczą dziewczynę tegoż republikanina.

Nombeko pokiwała głową. Tych dwoje na tym samym kontynencie z bombą atomową to mało bezpieczne rozwiązanie. Jeszcze gorzej w tym samym kraju. A teraz w dodatku mieszkają z nią pod jednym dachem. Ona i Drugi muszą się tym pilnie zająć. Teraz jednak pora odpocząć. Mają za sobą długi i pełen wrażeń dzień.

Holger 2 był podobnego zdania. Długi i pełen wrażeń.

Podał Nombeko koc i poduszkę, po czym z materacem pod pachą zaprowadził ją do jej mieszkania. Otworzył drzwi, wstawił materac i oświadczył, że to nie pałac, ma jednak nadzieję, że jej się tu spodoba.

Nombeko podziękowała, pożegnała się i zastygła w drzwiach. Stała tak i dumiała.

Na progu nowego życia, pomyślała. W którym jednak nie brak problemów w postaci bomby atomowej na karku oraz jednego albo i dwóch depczących jej po piętach i gotowych na wszystko agentów Mosadu.

A jednak. Ma teraz własne mieszkanie zamiast budy w Soweto. Nigdy więcej nie będzie się musiała zajmować gównem, no i nie jest już uwięziona za dwoma ogrodzeniami razem z inżynierem, który niemal samodzielnie utrzymywał przemysł gorzelniany.

Prawda, Biblioteka Narodowa w Pretorii jest dla niej bezpowrotnie stracona. Ale już nie jej odpowiednik – biblioteka w Gneście. Według Holgera 2 całkiem przyzwoita.

Co poza tym?

Najchętniej odwiozłaby tę cholerną bombę z powrotem do Ambasady Izraela. Zostawiłaby ją na ulicy, poinformowała portiera i związała. Później mogłaby ponownie zwrócić się do szwedzkich służb imigracyjnych, otrzymać pozwolenie na pobyt, studiować, a z czasem zdobyć szwedzkie obywatelstwo.

A potem? Mogłaby na przykład zostać szwedzką ambasadorką w Pretorii. Jej pierwszą decyzją byłoby wówczas zaproszenie prezydenta Bothy na kolację bez jedzenia.

Nombeko uśmiechnęła się do swoich rojeń.

W rzeczywistości Holger był skłonny przekazać bombę wyłącznie szwedzkiemu premierowi. Ewentualnie królowi. Żaden z nich nie chciał go jednak wysłuchać.

Holger był najnormalniejszą osobą, jaką dotychczas spotkała. Całkiem sympatyczną, po prostu. Nombeko zamierzała więc uszanować jego decyzję.

Chyba już taki jej los, że pomijając Holgera, otaczają ją wyłącznie wariaci. Czy jest sens z tym walczyć? Tyle że: jak zaakceptować wariata?

Weźmy na przykład tego amerykańskiego garncarza, o którym opowiadał jej Holger. Czy powinna pozwolić mu trwać w jego szaleństwie? A może lepiej złożyć mu wizytę i wyjaśnić, że nie jest wysłanniczką CIA tylko dlatego, że mówi po angielsku?

A co począć z chińskimi dziewczętami, które od dawna były już raczej dorosłymi kobietami, mimo że ich zachowanie na to nie wskazywało? Wkrótce przyjdą do siebie po podróży, błodpuddingu i porządnej dawce snu. Na ile Nombeko jest za nie odpowiedzialna?

Prostsza wydaje się sprawa z bratem Holgera. Należy trzymać go z dala od bomby. To samo tyczy się jego dziewczyny. Tego akurat musi dopilnować osobiście.

Sprzątaczką z Pelindaby zdała sobie sprawę, że także w Szwecji będzie musiała to i owo posprzątać i ogarnąć, zanim rozpocznie nowe życie. Opanowanie języka było kwestią nadrzędną. Nombeko nie mogła znieść myśli, że przebywa dwa kilometry od biblioteki, z której nie ma żadnego pożytku. Równie ważna była ochrona bomby. No i niestety, w towarzystwie szalonego garncarza oraz trzech beztroskich i nierozsądnych dziewcząt raczej nie zazna

spokoju. Liczyła jednak, że starczy jej też czasu na jedyne towarzystwo, które naprawdę doceniała: chodzi oczywiście o Holgera 2.

Najpierw jednak musiała się wyspać. Nombeko weszła do mieszkania i zamknęła za sobą drzwi.

* * *

Następnego dnia rano Nombeko odkryła, że Holger 1 wyjechał wcześniej z poduszkami do Göteborga i zabrał ze sobą młodą gniewną. Trzy Chinki obudziły się, zjadły falukorv i ponownie zasnęły. Holger 2 zajmował się papierkową robotą w nowym kąciku wypoczynkowym w magazynie (pilnując przy okazji bomby). Nombeko nie mogła mu w niczym pomóc, ponieważ wszystkie dokumenty były po szwedzku.

– Może zapoznam się z garncarzem? – zapytała.

– Powodzenia – odpowiedział Holger 2.

– Kto tam? – zapytał garncarz zza drzwi.

– Mam na imię Nombeko – powiedziała Nombeko. – Nie jestem z CIA, za to po piętach depcze mi Mosad, proszę więc mnie wpuścić.

Ponieważ garncarz reagował neurotycznie jedynie na amerykański wywiad, spełnił jej prośbę.

Okoliczność łagodzącą stanowiło to, że gość był kobietą, do tego czarną. Porozsiewani po świecie amerykańscy agenci przybierali wprawdzie różne formy i kolory, ale standardem był biały mężczyzna koło trzydziestki.

Kobieta udowodniła też, że zna język rdzennych mieszkańców Afryki. No i była w stanie podać tak wiele szczegółów z dzieciństwa w Soweto, że chyba faktycznie się tam wychowała.

Z kolei Nombeko zafascynowała paranoja garncarza. Postanowiła, że będzie składała Amerykaninowi częste, ale krótkie wizyty, by zbudować między nimi więź.

– Do jutra – powiedziała na odchodnym.

Piętro wyżej Chinki znów się obudziły. W spiżarni znalazły pieczywo chrupkie, które akurat pogryzały, gdy dołączyła do nich Nombeko.

Zapytała je, co zamierzają, a w odpowiedzi usłyszała, że jeszcze nie zdążyły się nad tym zastanowić. Może pojedą do wuja Cheng Tāo. Mieszka niedaleko. W Bazylei. Nie, w Bernie. A może to jest Bonn. Albo Berlin. Wuj specjalizuje się w produkcji antyków i na pewno potrzebuje rąk do pracy.

W bibliotece w Pelindabie Nombeko przyswoiła sobie wiele informacji, na przykład na temat geografii Europy i miast leżących na tym kontynencie. Miała więc powody przypuszczać, że ani Bazylea, ani Berno, Bonn czy Berlin nie leżą w pobliżu Szwecji. I że znalezienie wuja nie będzie takie proste, nawet jeśli uda im się ustalić, w jakim mieście mieszka. Albo przynajmniej, na dobry początek, w jakim kraju.

Dziewczęta odparły, że jedyne, czego potrzebują, to samochód i trochę pieniędzy. Z resztą sobie poradzą. Nieważne, czy chodzi o Bonn, czy o Berlin, zawsze przecież można się rozpytać. To w każdym razie gdzieś w Szwajcarii.

Pieniądzy Nombeko miała w bród. Choć nie w dosłownym sensie. Podszewka jej jedynej od czasów Soweto kurtki nadal skrywała majątek. Wyskubała więc jeden z diamentów i poprosiła jubilera w Gneście o wycenę. Ten niestety został wcześniej oszukany przez pracownika obcego pochodzenia i teraz podzielał powszechne przekonanie, że cudzoziemcom nie można ufać. Dlatego kiedy do jego zakładu wkroczyła mówiąca po angielsku czarnoskóra kobieta i położyła na ladzie nieoszlifowany diament, wyprosił ją, grożąc, że wezwie policję.

Nombeko nie miała najmniejszej ochoty na bliski kontakt z przedstawicielem szwedzkiego wymiaru sprawiedliwości. Zabrała diament, przeprosiła za kłopot i poszła.

Dziewczyny same będą musiały na siebie zarobić i jakoś zorganizować sobie samochód. Nombeko może im pomóc, ale na więcej liczyć nie mogą.

Po południu wrócił Holger 1 z młodą gniewną. Spizarnię Drugiego zastał opróżnioną i nie miał wyboru – musiał pójść po zakupy. Dzięki temu Nombeko miała wreszcie okazję, by porozmawiać w cztery oczy z młodą gniewną.

Jej plan zakładał działanie w dwóch etapach. Najpierw chciała dobrze poznać wroga – czyli młodą gniewną i Holgera 1 – by następnie, dosłownie i w przenośni, odciągnąć ich od bomby.

– O, Amerykanka – przywitała ją młoda gniewna.

– Mówiłam już, że jestem Południowoafrykanką. A jakie ty masz lepsze od innych pochodzenie?

– Szwedzkie, oczywiście.

– To pewnie można się u ciebie napić kawy. Chociaż wolałabym herbatę.

Może dostać herbatę, choć w zasadzie wolałaby podać kawę. Warunki pracy na południowoamerykańskich plantacjach kawy są o niebo lepsze niż te na indyjskich uprawach herbaty. Chyba że to wszystko jakieś brednie. W tym cholernym kraju ludzie kłamią na potęgę.

Nombeko usiadła w kuchni młodej gniewnej i powiedziała na dobry początek, że ludzie kłamią w najlepsze we wszystkich krajach. Po czym zadała proste i neutralne pytanie:

– Jak się miewasz?

W odpowiedzi usłyszała dziesięciminutowy wywód. Otóż młoda gniewna miewała się źle.

Okazało się, że gniewa się dosłownie na wszystko. Na to, że kraj nadal jest uzależniony od energii jądrowej. I ropy. Na zmianę biegu rzek. Hałaśliwe i przebrzydłe wiatraki. Gniewa się na to, że Szwedzi zamierzają wybudować most do Danii. Na Duńczyków za to, że są Duńczykami. Na hodowców norek za to, że są hodowcami norek. Zresztą, na wszystkich hodowców zwierząt. Na tych, co jedzą mięso. Na tych, co tego nie robią (tu Nombeko straciła na chwilę orientację). Na wszystkich kapitalistów. Na niemal wszystkich komunistów. Na ojca, bo pracuje w banku. Na matkę, bo wcale nie pracuje. Na babcię, bo ma arystokratycznych przodków. Na samą siebie za to, że haruje niewolniczo, zamiast zmieniać świat. I na świat, który nie ma do zaoferowania żadnej sensownej harówki.

Była też wściekła na to, że mieszkają z Holgerem za darmo w jakimś pustostanie i że z tego powodu nie może odmówić płacenia czynszu. Jezu, jak ona by chciała stanąć na barykadzie! A najbardziej ze wszystkiego wściekało ją to, że nie mogła znaleźć żadnej sensownej barykady.

Nombeko pomyślała, że młoda gniewna powinna nająć się na kilka tygodni do pracy jako czarna opróżniaczka latryn, dzięki czemu zyskałaby zupełnie nową perspektywę.

– A jak ty właściwie masz na imię?

Pomyśleć, że młoda gniewna mogła się jeszcze bardziej rozgniewać. Nosila mianowicie imię tak paskudne, że nie chciało jej ono przejść przez gardło.

Nombeko jednak nalegała.

– Celestine! – rzuciła w końcu młoda gniewna.

– Ojej, jak ładnie!

– Pomysł ojca. Dyrektora banku. Ja pierdzielę!

– Jak można więc na ciebie wołać, żeby się nie narażać? – zapytała Nombeko.

– Obojętnie jak, byle nie Celestine – powiedziała Celestine. – A ty jak masz na imię?

– Nombeko.

– Też nieźle.

– Dziękuję – odparła Nombeko. – Dolejesz mi herbaty?

Ponieważ Nombeko nazywała się, jak się nazywała, po kolejnej herbacie Celestine pozwoliła jej zwracać się do siebie po imieniu. I podać sobie na pożegnanie rękę w podziękowaniu za herbatę i pogawędkę. W drodze powrotnej, na schodach, Nombeko podjęła decyzję, że z rozmową z Holgerem 1 poczeka do następnego dnia. Poznawanie wroga było dość wyczerpujące.

Największą korzyścią ze spotkania z tą, która nie chciała nazywać się tak, jak się nazywała, była zgoda Celestine na to, by Nombeko korzystała z jej karty bibliotecznej. Tego właśnie potrzebowała zbiegła uchodźczyni polityczna. Młoda gniewna ostrzegła ją jednak, że w bibliotece w Gneście znajdzie wyłącznie burżuazyjną propagandę. No, może poza *Kapitałem* Karola Marksa, książką

niezupełnie burżuazyjną. Ale akurat ta jest dostępna wyłącznie po niemiecku.

Podczas premierowej wizyty w bibliotece Nombeko wypożyczyła podręcznik do nauki szwedzkiego z kasetą.

Holger 2 dał jej magnetofon. Trzy pierwsze lekcje odsłuchali wspólnie na wyłożonej poduszkami skrzyni w magazynie.

„Cześć. Co słychać? Jak się masz? Dobrze” – mówił głos z magnetofonu.

– Ja też – powiedziała Nombeko, która szybko się uczyła.

Jeszcze tego samego popołudnia uznała, że czas zająć się Holgerem 1. Odnalazła go i od razu przeszła do rzeczy.

– Chodzą słuchy, że masz republikańskie poglądy?

Zgadza się. Wszyscy powinni takie mieć. Monarchia to nieszczęście. Problem w tym, że Holger cierpi na rozpaczliwy brak pomysłów.

Nombeko powiedziała, że także republika ma swoje złe strony. Na przykład południowoafrykańska. No, ale przyszła tutaj, żeby mu pomóc.

Miała na myśli pomoc w odsunięciu Pierwszego od bomby, ale chytrze pozostawiła przestrzeń dla dowolnych interpretacji.

– Byłoby strasznie miło, gdyby panna Nombeko spróbowała mi pomóc – powiedział Pierwszy.

Zgodnie z planem, który zaczął jej kiełkować w głowie, Nombeko poprosiła, by opowiedział jej o republikańskich przemyśleniach, jakie towarzyszyły mu od dnia, kiedy król przygnoił ich ojca.

– Nie król, tylko Lenin!

Holger 1 przyznał, że nie jest tak bystry jak brat, ale ma jeden pomysł. Chciałby mianowicie porwać króla helikopterem, wciągnąć go na pokład bez jego ochrony, gdzieś go wywieźć i zmusić do abdykacji.

Nombeko spojrzała na Pierwszego. To jest ten jego pomysł?

– Tak. I co panna Nombeko o tym myśli?

Tego pod żadnym pozorem nie mogła mu powiedzieć. Powiedziała więc:

– Pomysł wymaga chyba dopracowania.

– To znaczy?

No, na przykład skąd chce wziąć helikopter, kto będzie go pilotował, skąd porwą króla, dokąd go wywiozą, w jaki sposób zmuszą do abdykacji. I tak dalej.

Holger 1 milczał. Spuścił wzrok.

Do Nombeko dotarło, że rozum został podzielony między braci niezbyt sprawiedliwie, zdecydowanie z korzyścią dla Drugiego. Tego też głośno nie powiedziała.

– Daj mi tydzień albo dwa. Pomyślę nad tym. Będzie dobrze. Teraz muszę porozmawiać z twoim bratem. Dla odmiany.

– Dziękuję, panno Nombeko – odpowiedział Holger 1. – Bardzo dziękuję!

Nombeko zdała Drugiemu relację ze spotkania z Pierwszym. Powiedziała, że nawiązała z nim dialog i że zamierza wpłynąć na niego i sprawić, by przestał rozmyślać o skrzyniach z tajemniczą zawartością. Jej jeszcze niedopracowany plan zakładał wmówienie Pierwszemu, że jest bliski obalenia ustroju, podczas gdy tak naprawdę oddali się od bomby.

Holger 2 pokiwał z aprobatą głową i powiedział, że wszystko się ułoży.

Rozdział 11

O tym, jak zupełnie przypadkowo wszystko pomyślnie się ułożyło

Chinkom, które w Pelindabie odpowiadały za wyżywienie, szybko znudziły się blodpudding, falukorv i chrupkie pieczywo. Otworzyły więc jadłodajnię dla siebie i dla pozostałych mieszkańców domu przy Fredsgatan. A ponieważ świetnie gotowały, Holger 2 z radością finansował tę działalność z nadwyżek ze sprzedaży poduszek.

Za namową Nombeko Drugiemu udało się nakłonić młodą gniewną, by zajęła się ich dystrybucją, mimo że początkowo negocjacje szły jak po grudzie. Dziewczyna zainteresowała się dopiero wtedy, gdy się dowiedziała, że będzie musiała nielegalnie prowadzić ciężarówkę na fałszywych numerach.

Istniały przecież trzy megatony powodów, by młoda gniewna nie ściągnęła na Fredsgatan policji (nawet jeśli sama tego nie pojmowała). Tablice rejestracyjne tej poza tym niewinnej ciężarówki były kradzione. Samochód nie doprowadzi więc nikogo do Gnesty. Problemem mogło być jedynie to, że kierowca miał siedemnaście lat i nie posiadał prawa jazdy. Dlatego młoda gniewna została poinstruowana, by niczego nie zdradzała, a już absolutnie swojego nazwiska, gdyby akurat została zatrzymana przez policję. Młoda gniewna miała poważne wątpliwości, czy w towarzystwie policjantów będzie potrafiła milczeć. Ma bowiem o nich zbyt niskie mniemanie.

Holger 2 zasugerował, że mogłaby zanucić jakąś piosenkę. Wkurzy ich i niczego dzięki temu nie wypaple.

I tak od słowa do słowa Drugi i młoda gniewna ustalili, że w razie jej zatrzymania przedstawi się jako Édith Piaf, będzie zgrywać wariatkę (Drugi uznał zresztą, że ma ku temu predyspozycje) i zanuci *Non, je ne regrette rien*. I jak najszybciej zadzwoni po Holgera. Rozmowa telefoniczna może się zresztą ograniczyć do samej piosenki; Drugi będzie wiedział, o co chodzi.

I tyle. Niech młoda gniewna myśli, że Holger 2 przyjdzie jej z odsieczą. W rzeczywistości, gdy dziewczyna będzie z dala od nich, on jakoś wywiezie bombę z magazynu.

Młodej gniewnej spodobał się pomysł.

– O rany, fajnie będzie wodzić gliny za nos. Nienawidzę faszystów – ucieszyła się i obiecała opanować tekst francuskiego przeboju.

Tak bardzo się ożywiła, że Holger musiał jej uzmysłować, iż chodzi przede wszystkim o to, by nie wpaść w ręce policji, a praca dystrybutora poduszek nie polega na tym, by trafić do ciupy.

Młoda gniewna przytaknęła. Już mniej entuzjastycznie.

– Zrozumiano?

– Tak, do cholery.

Mniej więcej w tym samym czasie Nombeko nieoczekiwanie udało się skłonić Holgera 1, by zaczął myśleć o czymś innym niż skrzynia w magazynie. By utrzymać ten stan, wymyśliła, że wyśle go na kurs pilotażu. Nie upatrywała tu żadnych zagrożeń. Ryzyko, że kiedykolwiek uda mu się zrealizować jego tak zwany pomysł, było minimalne.

Zwykłemu kursantowi uzyskanie licencji pilota zajmuje minimum rok. W wypadku tego konkretnego kandydata należałoby się liczyć z okresem około czterech lat. Pierwszy musiałby zdać egzaminy z prawa lotniczego, bezpieczeństwa wykonywania lotów, osiągow, planowania lotu, meteorologii, nawigacji, procedur operacyjnych, a także test z zasad lotu. Osiem egzaminów, których według Nombeko Holger 1 nie miał prawa zaliczyć. Po kilku miesiącach będzie miał dość, o ile go wcześniej nie wywalą.

Nombeko ponownie przemyślała sprawę. I poprosiła Drugiego o pomoc. Przez kilka dni oboje wertowali gazety w poszukiwaniu ciekawych ogłoszeń.

Na koniec trzeba było jeszcze przeprowadzić małą operację plastyczną. Czy też, jak to się mówi, „podrobić dokumenty”. Należało sprawić, by wybitnie niewykwalifikowany brat Drugiego wydawał się kimś zupełnie innym.

Zgodnie z instrukcjami Nombeko Drugi formułował, wycinał i doklejał. Kiedy już była zadowolona z rezultatu, podziękowała za pomoc i udała się do Holgera 1.

– Może byś tak poszukał pracy – zagadnęła.

– A fe – odpowiedział Pierwszy.

Nombeko ma jednak na myśli nie byle jaką pracę. Firma oferująca przewozy helikopterem – Helikoptertaxi SA w Brommie – poszukuje człowieka do wszystkiego oraz do kontaktów z klientami. Jeśli Pierwszy dostanie tę pracę, będzie mógł poznać odpowiednich ludzi i podejrzeć u pilotów, jak się prowadzi helikopter. Kiedy nadejdzie pora, będzie gotów.

Powiedziała to, sama nie wierząc w ani jedno swoje słowo.

– Genialny pomysł! – ucieszył się Holger 1. Ale jak według panny Nombeko miałyby zdobyć tę pracę?

Otóż, Holgerze, biblioteka w Gneście zakupiła właśnie nowe ksero, dzięki któremu można skopiować w kolorze wszystko, czego dusza zapragnie. I pokazała mu świadectwo pracy oraz doskonałe referencje wystawione na nazwisko Pierwszego (a przy okazji także Drugiego). Trochę musieli się przy tym napocić i wydrzeć parę stron z publikacji Politechniki Królewskiej w Sztokholmie.

– Politechniki *Królewskiej*? – zdziwił się Holger 1.

Nombeko nie powiedziała głośno tego, co pomyślała. Ciągnęła:

– Oto potwierdzenie twojego wykształcenia zdobytego na Politechnice Królewskiej, na królewskim wydziale maszynowym. Jesteś inżynierem i wiesz bardzo dużo o maszynach latających.

– Tak?

– I przepracowałeś cztery lata w charakterze asystenta kontrolera ruchu lotniczego na lotnisku Sturup pod Malmö. Oraz cztery lata jako recepcjonista w Taxi Skåne.

– Ale ja przecież... – zaczął Pierwszy. Nie miał szans dokończyć zdania.

– Aplikuj na to stanowisko – poleciła mu Nombeko. – Nie myśl. Aplikuj.

Tak też uczynił. I dostał posadę.

Holger 1 był zadowolony. Nie porwał króla helikopterem. Nadal nie miał ani licencji pilota helikoptera, ani pojazdu, ani pomysłu. Pracował za to w pobliżu helikoptera (a nawet trzech), od czasu do czasu pobierał u pilotów bezpłatne lekcje pilotażu i, zgodnie z planem Nombeko, utrzymywał swoje szalone marzenie przy życiu.

Z powodu nowej pracy przeprowadził się do przestronnej kawalerki w Blackebergu, spory kawałek od Brommy. Obecnie bomba nie zaprzętała więc głowy niemądrego brata Holgera 2. Najlepiej, gdyby jego jeszcze bardziej niemądra dziewczyna przeprowadziła się tam razem z nim. Ona jednak przeniosła właśnie swoje zainteresowania z energetyki (wszystkie znane źródła energii były złem wcielonym) na emancypację kobiet. W jej mniemaniu polegała ona na tym, że jako siedemnastoletnia dziewczyna będzie kierować ciężarówką i dźwigać więcej poduszek naraz niż faceci. Dlatego pozostała w pustostanie oraz przy swojej niewolniczej harówce, a z ukochanym Holgerem żyła w związku na odległość.

Do spraw, które zaczęły się pomyślnie układać, należała także kondycja amerykańskiego garncarza. Nombeko zauważyła, że ze spotkania na spotkanie staje się coraz mniej spięty. Dobrze robiła mu też możliwość wyżalenia się przed kimś na CIA. Nombeko chętnie słuchała. Opowieści garncarza były równie interesujące co historyjki Thabo. Według garncarza amerykański wywiad był wszędzie. Nombeko dowiedziała się na przykład, że nowe centrale telefoniczne korporacji taksówkowych w całej Szwecji wyprodukowano w San Francisco. Garncarz nie miał na to żadnych dowodów. Obdzwoniwszy jednak z budki telefonicznej wszystkie korporacje w kraju, ustalił, że co najmniej jedna z nich nie przestawiła się na system służb amerykańskich. Borlänge Taxi na przykład nadal korzysta ze starego systemu.

– Dobrze, żeby to panna Nombeko wiedziała, w razie gdyby gdzie się wybierała.

Ponieważ Nombeko nie miała pojęcia, gdzie leży Borlänge, tę bzdurę, w odróżnieniu od wielu innych, puściła mimo uszu.

Stary dezenter z Wietnamu miał więc nie tylko niestabilną psychikę, ale też urojenia. Posiadał za to wyjątkowy talent do tworzenia pięknych przedmiotów z fajansu i gliny glazurowanej w różnych odcieniach napalmowej żółci. To z nimi właśnie jeździł po bazarach. Ilekroć potrzebował pieniędzy, wsiadał w autobus albo zamawiał taksówkę korporacji Borlänge Taxi i wyruszał na jakiś bazar. Nigdy pociągiem. Wiadomo, CIA i Koleje Krajowe to jedna banda. Zabierał ze sobą dwie ciężkie jak ołów walizy wypchane autorską kolekcją. I wyprzedawał wszystko do ostatniej sztuki, bo ceny miał symboliczne. Kiedy korzystał z usług Borlänge Taxi, zawsze był na minusie. Dwieście dwadzieścia kilometrów taksówką nie jest przecież za darmo. Do spraw, o których garncarz nie miał zielonego pojęcia, zaliczały się debety, kredyty oraz własny talent.

* * *

Po jakimś czasie Nombeko potrafiła już całkiem nieźle porozumiewać się po szwedzku z Holgerami i Celestine. Z Chinkami rozmawiała w języku wu, a z amerykańskim garncarzem po angielsku. Z biblioteki w Gneście wypożyczała tyle książek, że jako Celestine musiała podziękować za miejsce w zarządzie Towarzystwa Literackiego w Gneście (TLG).

Poza tym starała się spędzać jak najwięcej czasu z Holgerem 2. Pomagała mu w księgowości oraz radziła, jak ekonomizować zakupy, sprzedaż i dostawy. Drugi był z tej pomocy bardzo zadowolony. Aż wreszcie w lecie 1988 roku dotarło do niego, że dziewczyna potrafi liczyć. To znaczy: *liczyć*. Stało się to któregoś pięknego czerwcowego poranka. Holger wszedł do magazynu i na powitanie usłyszał:

- Osiemdziesiąt cztery tysiące czterysta osiemdziesiąt.
- Dzień dobry – powiedział. – Co takiego?

Holger nieraz psioczył, że wypalony przedsiębiorca zmarł, nie dokonawszy porządnego przekazania firmy. Nie wiadomo było na przykład, ile właściwie mają poduszek.

A teraz Nombeko wręcza mu te cztery zapisane karteczki. Holger się wylegiwał, a ona w tym czasie krokami przemierzyła i obliczyła wielkość magazynu, zmierzyła objętość poduszki, coś tam pomnożyła i otrzymała ten wynik.

$$\frac{\left(\left[20 \cdot 7 \cdot 6 \cdot \frac{1,6}{2} \right] + \left[7 \cdot 12 \cdot 6 \cdot \frac{1,6}{2} \right] + \left[\left(\frac{9 \cdot \frac{1,60}{2}}{2} + \frac{6 \cdot \frac{1,60}{2}}{2} \right) \cdot 7 \cdot (20 + 12) \right] - 3 \cdot 3 \cdot 9 \cdot \frac{1,6}{2} - 2 \cdot 3 \cdot 2 \right)}{0,5 \cdot 0,6 \cdot 0,05} =$$

$$\frac{(672 + 403,2 + 1,2 \cdot 7 \cdot 32 - 3 \cdot 3 \cdot 9 \cdot \frac{1,60}{2} - 2 \cdot 3 \cdot 2)}{0,5 \cdot 0,6 \cdot 0,05} =$$

$$\frac{(672 + 403,2 + 268,8 - 64,8 - 12)}{0,015} =$$

$$\frac{1\,267,2}{0,015} = 84\,480$$

Holger rzucił okiem na pierwszą kartkę i nic z tego nie zrozumiał. Nombeko pocieszyła go, że to normalne. Równanie należy postrzegać całościowo.

– Spójrz na to – powiedziała i pokazała kolejną kartkę.

$$\text{Pojemność magazynu} = (A \cdot B + C \cdot D) \cdot E + \left(\frac{(F - E) \cdot C}{2} \right) \cdot (A + D)$$

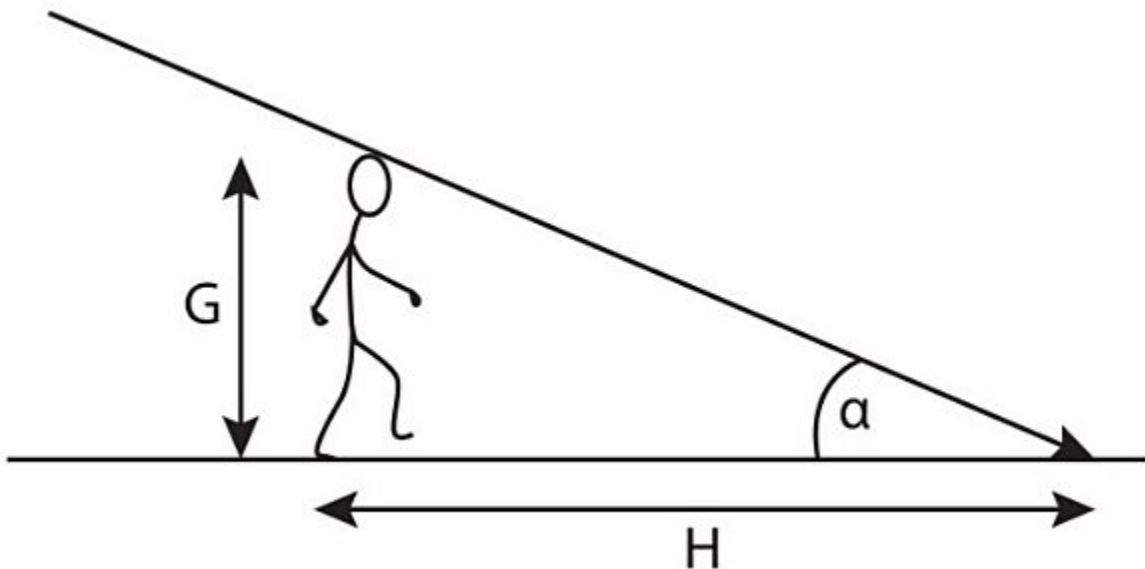
$$(A \cdot C + B \cdot D) \cdot \text{Cień } E \cdot \frac{G}{H} + \left(\frac{\left(\left(\text{Cień } F + \frac{G}{H} \right) - \left(\text{Cień } E + \frac{G}{H} \right) \right) \cdot C}{2} \right) \cdot (A + D) =$$

$$\left[A \cdot C \cdot \text{Cień } E \cdot \frac{G}{H} \right] +$$

$$\left[B \cdot D \cdot \text{Cień } E \cdot \frac{G}{H} \right] +$$

$$\left[\left(\frac{\left(\left(\text{Cień } F \cdot \frac{G}{H} \right) - \left(\text{Cień } E \cdot \frac{G}{H} \right) \right)}{2} \right) \cdot C \cdot (A + D) \right]$$

- Cień E? – Tylko tyle potrafił powiedzieć Holger.
- Zmierzyłam objętość poddasza, gdy pokazało się słońce. Wskazała na kolejną kartkę.
- Co to za ludzik? – zapytał Holger 2, któremu znów nie przyszło do głowy nic mądrego.



– Ja – odparła Nombeko. – Może trochę biała na twarzy, ale poza tym, jak na mój gust, jestem do siebie podobna. Od kiedy inżynier był tak miły i wyrobił mi paszport, wiem, ile mam wzrostu. Musiałam jedynie ustalić stosunek długości mojego cienia do długości poddasza. W tym kraju słońce jest idealnie nisko. Licho wie, co bym zrobiła w okolicy równika. Albo gdyby padał deszcz.

Ponieważ Holger nadal nic nie pojmował, Nombeko spróbowała jeszcze raz.

– To dziecinnie proste – powiedziała i już miała mu pokazać kolejną kartkę, kiedy Holger jej przerwał:

– Nie, wcale nie. Uwzględniłaś poduszki na skrzyni?

– Tak. Wszystkie piętnaście.

– A tę na łóżku w twoim pokoju?

– O tej akurat zapomniałam.

Rozdział 12

O uprawianiu miłości na bombie atomowej i zróżnicowanej wycenie

Sytuacja życiowa Holgera 2 i Nombeko była skomplikowana. Jednak w owym czasie nie oni jedni znaleźli się w kłopotliwym położeniu. Na całym świecie zarówno rządy, jak i stacje telewizyjne dumały, jak by się tu ustosunkować do pomysłu uroczystego koncertu, który miał się odbyć w czerwcu 1988 roku z okazji siedemdziesiątych urodzin Nelsona Mandeli. Mandela był przecież terrorystą i mógł nim spokojnie pozostać, tyle że światowe gwiazdy myślały zgoła inaczej i zapowiedziały swój udział w koncercie. A ten miał się odbyć na londyńskim stadionie Wembley.

Trzeba to było zaaprobować, a jednocześnie zanegować. Amerykańska stacja Fox Television, która wyemitowała retransmisję koncertu, usunęła na przykład wszystkie wstawki polityczne, zarówno w formie wypowiedzi, jak i piosenek, żeby nie narazić się Coca-Coli, która wykupiła czas reklamowy przed emisją i po niej.

Mimo to koncert obejrzało sześćset milionów widzów w sześćdziesięciu siedmiu krajach. Tylko jedno państwo zupełnie przemilczało owo wydarzenie. Republika Południowej Afryki.

* * *

Podczas odbywających się kilka miesięcy później wyborów do szwedzkiego parlamentu socjaldemokratom z Ingvarem Carlssonem na czele udało się utrzymać władzę.

Niestety.

Nie żeby Holger 2 i Nombeko mieli jakieś ideologiczne sympatie i antypatie. Skoro jednak Carlsson pozostał na swoim miejscu, nie było sensu ponownie wydzwaniać do kancelarii rządu. A więc i bomba była nadal tam, gdzie była.

Największe zainteresowanie wzbudziło wejście do parlamentu stosunkowo nowej Partii Zielonych. Zdecydowanie mniej uwagi poświęcono temu, że nieistniejące ugrupowanie Rozwalić To Całe Gówno otrzymało jeden nieważny głos od pewnej osiemnastolatki z Gnesty.

Siedemnastego listopada 1988 minął dokładnie rok, od kiedy Nombeko dołączyła do ekipy zamieszkującej budynek przeznaczony do rozbiórki. Z tej okazji na skrzyni w magazynie czekała na nią niespodzianka w postaci tortu. Wprawdzie trzy Chinki przyjechały tu tego samego dnia, one jednak nie zostały zaproszone. Był tylko Holger i Nombeko, tak jak chciał Holger. I Nombeko.

Ależ ten Holger uroczy, pomyślała Nombeko i pocałowała go w policzek.

Przez całe swoje dorosłe życie Holger 2 marzył o tym, by istnieć, i to tak naprawdę. Pragnął normalnego życia, żony i dziecka oraz uczciwej pracy. Czegokolwiek, byleby to nie miało związku z poduszkami. Ani z dworem królewskim.

Mama-tata-dziecko... to by było coś. Sam nie miał normalnego dzieciństwa. Jego koledzy z klasy wieszali na ścianach plakaty z Batmanem i zespołem Sweet, a on musiał patrzeć na portret fińskiego prezydenta.

Czy jednak kiedykolwiek uda mu się znaleźć potencjalną matkę dla ewentualnych dzieci, która stworzyłaby z nim hipotetyczną rodzinę? Taką, która w dodatku zadowoli się tym, że tata owszem istnieje dla niej i dla dzieciaków, ale już nie dla innych. I że z tego właśnie powodu rodzina mieszka w przewidzianej do wyburzenia ruderze. Oraz że dzieci będą się mogły bawić co najwyżej w wojnę na poduszki wokół bomby atomowej.

Nie, co do tego nie ma żadnej pewności.

Jedyne, co jest pewne, to że czas mija.

I tu w głowie Holgera powstała jednak pewna myśl. Uzmysłowił sobie, że... Nombeko... w pewnym sensie nie istnieje, podobnie jak on. A w sprawę bomby jest uwikłana jeszcze bardziej. No i jest po prostu... cudowna.

A teraz ten pocałunek w policzek.

Drugi już wiedział. Nie tylko była tą, której pragnął bardziej niż jakiegokolwiek innej, była też jedyną dostępną. Jeśli nie skorzysta z tej szansy, kolejnej już być może nie będzie.

– A więc, Nombeko – zaczął.

– Tak, drogi Holgerze?

Drogi? Jest nadzieja!

– Gdybym... gdybym tak zechciał przysunąć się trochę bliżej...

– Tak?

– To czy wtedy wyjmiesz nożyczki?

Nombeko zapewniła go, że nożyczki zostały w szufladzie w kuchni, tam, gdzie ich miejsce. Szczerze mówiąc, od dawna marzyła, żeby Holger właśnie to zrobił, to znaczy bliżej się przysunął. Wkrótce oboje skończą dwadzieścia osiem lat. Nombeko przyznała, że nigdy nie była z żadnym mężczyzną. Z Soweto wyruszyła jako dziecko, potem przez jedenaście lat żyła w zamknięciu w towarzystwie odpychających przedstawicieli zakazanej rasy. Ale na szczęście to, co zakazane tam, tu zakazane nie jest. No i Nombeko odnosi wrażenie, że Holger jest dokładnym przeciwieństwem swojego brata. Więc jeśli chce... to ona też.

Holger z trudem łapał oddech. To, że jest dokładnym przeciwieństwem swojego brata, było najpiękniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek usłyszał. On też nie ma doświadczenia w... tych sprawach. Nigdy jakoś... przez całą tę historię z tatą... czy Nombeko naprawdę...

– Możesz już być cicho i po prostu przyjść tutaj? – przerwała mu Nombeko.

Wiadomo, ten, kto nie istnieje, doskonale pasuje do kogoś w podobnym położeniu. Nombeko już po kilku dniach zbiegła przecież z ośrodka dla uchodźców w Upplands Väsby. I zapadła się pod ziemię. Od roku zarejestrowana jako zaginiona, jest nic nieznaczącym wtrętem w szwedzkim systemie. Nie zdążyła też uzyskać formalnego prawa pobytu.

Holger z kolei wciąż nie zrobił nic w sprawie swojego nieistnienia. To takie skomplikowane. Zwłaszcza ze względu na Nombeko. Jeśli urzędnicy, chcąc potwierdzić jego wersję, zaczną mu

się bliżej przyglądać, wszystko może się zdarzyć. A co, jeśli znajdą Nombeko i bombę? W obu wypadkach młodzi ryzykują, że utracą szczęście rodzinne, zanim się ono w ogóle pojawiło.

Dlatego dziwna mogła się wydawać decyzja, którą dość wcześnie powzięli Holger i Nombeko: jeśli pojawi się dziecko, to się pojawi. A jeśli się nie pojawi, to będą pragnęli, by się pojawiło.

Nombeko marzyła o córce, która nie będzie musiała od piątego roku życia dźwigać kupy i której matka nie będzie żyć na rozpuszczalniku do czasu, gdy już żyć przestanie. Holgerowi płęć była obojętna, najważniejsze, by dzieciak nie przechodził prania mózgu.

– Czyli dziewczynka, która może myśleć, co chce, na temat króla?
– podsumowała Nombeko i jeszcze bliżej przysunęła się do leżącego wśród poduszek na skrzyni Holgera.

– Mająca ojca, który nie istnieje, i matkę uciekinierkę. Niezły start
– dodał Holger.

Nombeko przysunęła się jeszcze bliżej.

– Jeszcze raz? – zapytał Holger. – Tak, chętnie.

Ale na skrzyni? Holger trochę się niepokoił, ale Nombeko zapewniła go, że bomba nie eksploduje, niezależnie od tego, ile eksplozji przydarzy się jemu.

* * *

Talenty kulinarne Chinek zasługiwały na uznanie. Ale w mieszczącej się w salonie mieszkania na czwartym piętrze stołówce rzadko kiedy była cała ekipa. Holger 1 pracował w Brommie. Celestine często przebywała w trasie z poduszkami. Amerykański garncarz korzystał głównie ze swoich zapasów konserw, by nie narażać się na niepotrzebne ryzyko (tylko on wiedział jakie). Zdarzało się też, że gdy Drugi i Nombeko mieli ochotę na romantyczną randkę, to szli do któregoś z lokali w centrum Gnesty.

Gdyby w języku wu istniało określenie „puszczać ciepło w komin”, to właśnie tak dziewczyny mogłyby opisać to, co właśnie

robiły. Nikt im też za ich robotę nie płacił. No i nie były ani trochę bliżej wyjazdu do wuja w Szwajcarii.

Naiwne dziewczęta postanowiły więc otworzyć restaurację z prawdziwego zdarzenia. Tym bardziej że jedyną chińską knajpę w Gneście prowadził Szwed, dla niepoznaki zatrudniający dwie Tajki. Przyrzędzanie chińszczyzny przez Tajki powinno być prawnie zakazane. W ogłoszeniu zamieszczonym w lokalnej gazecie zapraszały więc na Fredsgatan do nowo otwartej restauracyjki Mały Pekin.

– Zobacz to – powiedziały z dumą, pokazując Holgerowi 2 ogłoszenie.

Gdy Drugi już się uspokoił, wyjaśnił, że nie mogą bez wymaganych pozwoleń otworzyć restauracji w przeznaczonym do wyburzenia budynku, którego nie powinny zamieszkiwać, w kraju, w którym nie mają prawa być. Pomijając już fakt, że są na dobrej drodze, by złamać co najmniej osiem z najbardziej restrykcyjnych przepisów Urzędu Kontroli Żywności.

Dziewczyny spojrzały na niego ze zdziwieniem. A co jakiś urząd ma do tego, gdzie i jak ktoś gotuje swoje jedzenie i komu je sprzedaje?

– Witamy w Szwecji – odpowiedział Drugi, dobrze znający kraj, który jednak nie znał jego.

Na szczęście ogłoszenie było niewielkich rozmiarów, do tego po angielsku. Jedynym gościem, który pojawił się wieczorową porą, była kierowniczką Wydziału Środowiska. Przyszła nie po to, żeby coś zjeść, ale aby zamknąć to coś, co najwyraźniej właśnie zostało otwarte.

Jednak już w bramie spotkała Holgera 2, który uspokoił ją i wyjaśnił, że ogłoszenie jest jakimś głupim żartem. W pustostanie nie ma oczywiście żadnej restauracji, nikt tu rzecz jasna nie mieszka. To magazyn, w którym przechowywane są przeznaczone na sprzedaż poduszki.

A może pani kierowniczką chciałaby zakupić dwieście poduszek? Może to dla Wydziału Środowiska za dużo, ale sprzedawane są w takim właśnie pakiecie i Holger obawia się, że mniejsza liczba nie wchodzi w grę.

Nie, urzędniczka nie reflektuje na poduszki. W Wydziale Środowiska w Gneście za punkt honoru poczytują sobie niespanie w czasie pracy i jak widać, również po pracy. Niemniej jednak zadowolili się wyjaśnieniem Drugiego i poszła sobie.

W ten sposób, chwilowo, udało się zażegnać niebezpieczeństwo. Holger 2 i Nombeko zdali sobie jednak sprawę z tego, że muszą coś zrobić z Chinkami, które zaczynają niepokoić się o swoją przyszłość.

– Przecież mieliśmy już wcześniej trik z odwracaniem uwagi – powiedział Drugi, mając na myśli pracę Pierwszego przy helikopterach i radość jego dziewczyny z nielegalnego prowadzenia ciężarówki na kradzionych tablicach. – Może i teraz się uda?

– Niech pomyślę – odparła Nombeko.

Następnego dnia Nombeko wybrała się do garncarza. Tego ranka usłyszała, że wszystkie rozmowy telefoniczne w Szwecji są nagrywane i analizowane przez specjalny personel zajmujący całe piętro w kwaterze głównej amerykańskich służb wywiadowczych w Wirginii.

– To musi być jakieś gigantyczne piętro – skomentowała Nombeko.

Kiedy garncarz ciągnął swój niedorzeczny wywód, myśli Nombeko powędrowały do Chinek. Co takiego mogłyby robić, skoro restauracja nie wchodzi w grę? Na czym się znają?

Na pewno na truciach psów. I to nawet za dobrze. Nombeko nie upatrywała jednak w tym talencie żadnego finansowego potencjału, jeśli chodzi o Gneść i okolice.

Potrafiły też wyrabiać gęsi z czasów dynastii Han. Może to jakiś trop? Po drugiej stronie ulicy jest warsztat ceramiczny. Wraz z szalonym garncarzem. Może by tak spiknąć go z dziewczynami?

W głowie Nombeko zakiełkowała pewna myśl.

– Spotkanie dziś o piętnastej – zakomunikowała garncarzowi, zaabsorbowanemu swoimi dywagacjami na temat podsłuchów.

– W jakiej sprawie?

– O piętnastej – powtórzyła Nombeko.

O umówionej porze zapukała ponownie do drzwi znerwicowanego Amerykanina. Przyproceedziła ze sobą Chinki.

- Kto tam? – zapytał garncarz przez drzwi.
- Mosad – odparła Nombeko.

Garncarz nie miał poczucia humoru, ale rozpoznał głos Nombeko i otworzył.

Amerykanin i Chinki spotkali się dotychczas zaledwie kilka razy. Ze względów bezpieczeństwa garncarz przedkładał swoje konserwy nad smakowite obiady i kolacje Chinek. Na dobry początek Nombeko wmmówiła mu, że dziewczyny wywodzą się z mniejszości Cao Bằng w północnym Wietnamie. Tam spokojnie uprawiały sobie opium, zanim zostały wygnane przez tych podłych Amerykańców.

– Bardzo mi przykro – powiedział garncarz. Wyglądało na to, że kupił bajeczkę Nombeko.

Głos zabrała najstarsza z sióstr. Opowiedziała, jak to kiedyś z powodzeniem produkowały liczące dwa tysiące lat wyroby gliniane. Obecnie nie mają niestety dostępu do warsztatu, poza tym projektantka dzieł – ich matka – została w Republice Południowej Afryki.

- W Republice Południowej Afryki?
- W Wietnamie.

Najstarsza siostra prędko mówiła dalej. Jeśli pan garncarz udostępni dziewczętom warsztat ceramiczny i zechce zająć się wyrobem dzieł z czasów dynastii Han, one z wielką chęcią posłużą radą w kwestii formy tychże przedmiotów. Ponadto znają się na wykańczaniu wyrobów glinianych i wiedzą, co zrobić, by stworzyć autentyczne gęsi z czasów dynastii Han. No, prawie autentyczne.

Aha. Dotąd garncarz na wszystko się godził. Mniej gładko szło ustalanie cen. W jego opinii trzydzieści dziewięć koron to górna granica. Dla dziewczyn z kolei granica ta przebiegała w okolicy trzydziestu dziewięciu tysięcy. Dolarów.

Właściwie to Nombeko nie chciała się wtrącać. Ale w końcu zasugerowała:

- Może spotkacie się jakoś w pół drogi?

Współpraca dobrze im się układała. Amerykanin szybko nauczył się wytwarzać nie tylko gęsi, ale też konie z czasów dynastii Han. Każdemu z nich Chinki obtłukiwały jedno ucho, aby wyglądały na bardziej autentyczne.

Kiedy gęsi i konie były już gotowe, dziewczyny zakopywały je za warsztatem, obkładały kurzym nawozem i oblewały moczem, by przez trzy tygodnie postarzały się o dwa tysiące lat. Grupa uzgodniła w końcu dwie odrębne kategorie cenowe. Trzydzieści dziewięć koron za dzieła oferowane na szwedzkich bazarach i trzydzieści dziewięć tysięcy dolarów za te ze świadectwem autentyczności, sporządzanym przez najstarszą z sióstr. Fałszerskiego rzemiosła nauczyła ją matka, a matkę z kolei jej brat, mistrz nad mistrzami: Cheng Tāo.

Wszyscy zaakceptowali ten kompromis. Interes szedł świetnie. Już w pierwszym miesiącu znaleźli chętnych na dziewiętnaście sztuk. Osiemnaście opchnęli na targu w Kiviku, dziewiętnastą zaś w Domu Aukcyjnym Bukowskiego.

Prowadzenie sprzedaży dzieł za pośrednictwem owej szacownej firmy ze Sztokholmu nie było proste, jeśli nie chciało się trafić do paki, a Nombeko i dziewczyny już raz tego zasmakowały. Dlatego za pośrednictwem Towarzystwa Chińskiego dotarły do pewnego emerytowanego ogrodnika. Po trzydziestu latach spędzonych w Szwecji zamierzał wrócić do Shenzhen. W zamian za dziesięcioprocentową prowizję odgrywał w kontaktach z firmą aukcyjną rolę sprzedawcy. Bo chociaż certyfikaty autentyczności autorstwa najstarszej z sióstr były bez zarzutu, zawsze istniało ryzyko, że po roku lub dwóch prawda ujrzy światło dzienne. Gdyby tak się stało, długie ramię sprawiedliwości musiałyby wyciągnąć się aż do Shenzhen. Tam zaś mieszkało jedenaście milionów ludzi, co czyniło z aglomeracji idealne miejsce dla każdego Chińczyka, który nie chciał być odnaleziony przez szwedzką policję.

Nobeko zajmowała się księgowością. Siedziała także w nieoficjalnym zarządzie tej jeszcze bardziej nieoficjalnej firmy.

– W ciągu pierwszego miesiąca rozliczeniowego zarobiliśmy siedemset dwie korony ze sprzedaży na bazarach oraz dwieście siedemdziesiąt trzy tysiące minus prowizja na aukcji –

zakomunikowała wszystkim. – Koszty wyniosły sześćset pięćdziesiąt koron za podróż w obie strony na bazar w Kiviku.

Finansowy wkład garncarza w tym pierwszym miesiącu wyniósł zatem pięćdziesiąt dwie korony netto. Nawet do niego dotarło, że jeden ze sposobów dystrybucji opłacał się zdecydowanie bardziej. Tyle że z usług domu aukcyjnego nie można było korzystać zbyt często. Gdyby kolejna gęś z czasów dynastii Han pojawiła się zaraz po tym, jak poprzednia poszła pod młotek, firma aukcyjna natychmiast nabrałaby podejrzeń, nieważne, jak wiarygodny byłby certyfikat autentyczności. Raz do roku w zupełności wystarczy. O ile uda im się znaleźć kolejnego powracającego w rodzinne strony figuranta.

Za pierwszą nadwyżkę Chinki kupiły do spółki z Amerykaninem używanego volkswagena busa. Podnieśli cenę do dziewięćdziesięciu dziewięciu koron; na więcej garncarz nie był w stanie się zgodzić. Do wspólnego interesu dorzucił też kolekcję swoich dzieł w kolorze napalmowej żółci. Wyciągali teraz około dziesięciu tysięcy koron miesięcznie i oczekiwali na kolejną transakcję z Domem Aukcyjnym Bukowskiego. To im w zupełności wystarczało. Tanio przecież mieszkali.

Rozdział 13

O pewnym serdecznym spotkaniu i o człowieku, który został tym, czym go zwali

Jeszcze trochę czasu musi minąć, zanim jeden z mieszkańców domu przy Fredsgatan 5 dokona swoich dni.

Holger 1 był zadowolony z pracy w Helikoptertaxi. Doskonale radził sobie z odbieraniem telefonów i parzeniem kawy. Od czasu do czasu pobierał także lekcje pilotażu w którymś z trzech helikopterów. Za każdym razem wyobrażał sobie, że to przybliży go do porwania króla.

Jego młoda i gniewna dziewczyna jeździła po Szwecji ciężarówką na fałszywych numerach. Żyła nadzieją, że kiedyś trafi na jakąś rutynową kontrolę.

Trzy Chinki i Amerykanin wędrowali z bazaru na bazar i sprzedawali zabytkowe dzieła po dziewięćdziesiąt dziewięć koron za sztukę. Na początku Nombeko towarzyszyła im, by pilnować interesu. Kiedy jednak okazało się, że wszystko idzie jak po maśle, coraz częściej zostawała w domu. Jako uzupełnienie sprzedaży bazarowej, mniej więcej raz do roku, do Bukowskiego trafiało nowe dzieło pamiętające czasy dynastii Han, zawsze chętnie kupowane.

Plan Chinek zakładał załadowanie busa po sufit wyrobami z gliny i wyjazd do wuja w Szwajcarii, jak tylko zaoszczędzą trochę pieniędzy. Albo dużo. Już im się tak nie śpieszyło. W tym kraju (jak mu tam) żyło się całkiem dostatnio i miło.

Przy Chinkach garncarz rzadziej cierpiał na neurozę. Mimo to nadal raz w miesiącu przeczesywał warsztat ceramiczny w poszukiwaniu ukrytych mikrofonów. Nigdy ich nie znajdował. Ani jednego. Nigdy. Podejrzane.

W wyborach do parlamentu w 1991 roku partia Rozwalić To Całe Gówno otrzymała kolejny nieważny głos. Więcej wyborców zagłosowało z kolei na Umiarkowaną Partię Koalicyjną. Szwecja

miała nowego premiera. Holger 2 mógł do niego zadzwonić, by zaproponować mu coś, czego z pewnością nie chciał, a co pewnie mimo wszystko by przyjął. Niestety, premier Bildt nie miał okazji, by się do tej propozycji ustosunkować, ponieważ jego asystent był podobnego zdania co asystentka poprzedniego premiera w kwestii tego, które rozmowy łączyć, a których nie. Kiedy zaś Holger próbował u tego samego co cztery lata wcześniej króla, ten sam sekretarz odpowiedział to samo co wcześniej. Chyba tylko jeszcze bardziej wyniośle.

Nombeko miała zrozumienie dla zasady, jaką kierował się Drugi: bomba miała zostać przekazana premierowi i tylko premierowi. Wyjątkiem był król, gdyby się akurat napatoczył.

Minęły jednak cztery lata, zmienił się rząd i Nombeko pojęła, że trzeba być kimś wyjątkowym, aby zbliżyć się do szwedzkiego premiera, nie wywołując przy tym wielkiej afery. Najlepiej prezydentem innego kraju albo szefem firmy zatrudniającej co najmniej trzydzieści, czterdzieści tysięcy pracowników.

Albo artystą. W tym roku dziewczyna o imieniu Carola śpiewająca o tym, że porwał ją wicher, wygrała konkurs piosenki, który transmitowały stacje telewizyjne na całym świecie. Nombeko nie wiedziała, czy potem Carola spotkała się z premierem. Na pewno wysłał jej telegram.

Albo gwiazdą sportu. Ten cały Björn Borg też był w swoim czasie podejmowany przez premiera. Teraz pewnie też by go przyjął.

Chodziło o to, by być kimś. Czyli tym, czym Holger 2 nie był. Ona z kolei była, ale nielegalnie.

A jednak od czterech lat żyła na wolności. Pragnęła, by tak pozostało. Dlatego była skłonna pogodzić się z tym, że bomba stoi tam, gdzie stoi, skoro już musi. Tymczasem co tydzień zaliczała kolejną półkę w lokalnej bibliotece.

Holger 2 rozwinął działalność importową i poszerzył ofertę o ręczniki i mydło do hoteli. Gdy kiedyś planował życie z dala od ojca Ingmara, poduszki, ręczniki i mydło nie znajdowały się na liście jego marzeń. Na razie jednak musiał się tym zadowolić.

* * *

Na początku 1993 roku w Białym Domu i na Kremlu humory nieco się poprawiły. USA i Rosja uczyniły kolejny krok na drodze do współpracy supermocarstw w sprawie wzajemnej kontroli arsenału broni jądrowej, a umowa Start II zakładała dalsze rozbrojenie. George Bush i Borys Jelcyn uznali, że świat stał się bezpieczniejszy.

Żaden z nich nigdy nie był w Gneście.

Tego lata skończyła się dobra passa Chinek. Pewien marszand z Söderköping odkrył, że na bazarach w całym kraju ktoś sprzedaje autentyczne gęsi z czasów dynastii Han. Kupił dwanaście sztuk i poszedł z nimi do Bukowskiego w Sztokholmie. Przyszedł po dwieście dwadzieścia pięć tysięcy koron za sztukę, a wyszedł w kajdankach. W firmie trudno im było uwierzyć w kolejnych dwanaście gęsi z czasów dynastii Han poza tymi pięcioma, które dotychczas sprzedali.

Gazety rozpisywały się o usiłowaniu oszustwa. Wieści dotarły również do Nombeko, która natychmiast podzieliła się nimi z Chinkami i zakazała im zbliżać się do Bukowskiego, niezależnie od tego, czy miały figuranta, czy nie.

– Ale dlaczego? – zastanawiała się najmłodsza z sióstr, która nigdy nigdzie nie dostrzegала zagrożeń.

Nombeko powiedziała, że trudno to wyjaśnić komuś, kto sam jeszcze tego nie pojął. Niech lepiej posłuchają jej rady.

Do dziewczyn dotarło, że ich przygoda dobiegła końca. Zaoszczędziły już sporo pieniędzy. A jeśli mają się trzymać cen garniarza, to niewiele więcej zarobią.

Załadowały więc do busa dwieście sześćdziesiąt świeżo wyprodukowanych dzieł z gliny z epoki przed Chrystusem, wyściskały Nombeko i udały się do Szwajcarii do wuja Cheng Tāo i jego antykwariatu. Figurki gęsi zamierzały sprzedawać po czterdzieści dziewięć tysięcy dolarów za sztukę, a koni po siedemdziesiąt dziewięć tysięcy. Miały też ze sobą trochę innych dzieł, tak nieudanych, że można je było uznać za jeszcze bardziej

unikatowe. Dziewczęta wyceniły je na od stu sześćdziesięciu do trzystu tysięcy dolarów za sztukę. Amerykański garncarz znów zaczął jeździć po bazarach, gdzie to samo sprzedawał po trzydziści dziewięć koron. Zadowolony, że nie musi zawierać cenowych kompromisów.

Żegnając się z dziewczętami, Nombeko przyznała im rację co do cen, które były według niej rozsądne, biorąc pod uwagę wiek i urodę dzieł, zwłaszcza dla klienta o niewprawnym oku. Jednak z uwagi na to, że Szwajcarzy nie są tak łatwowierni jak Szwedzi, poradziła siostrze, by szczególnie zadbały o jakość wykonania certyfikatów autentyczności.

Najstarsza uspokoiła Nombeko. Wuj jest, jaki jest, ale w sztuce sporządzania fałszywych certyfikatów nie ma sobie równych. Wprawdzie kiedyś w Anglii zamknęli go na cztery lata, ale winny był pewien partacz z Londynu, który wystawił tak niestaranny autentyczny certyfikat autentyczności, że ten sfałszowany przez wuja przy tamtym wydał się zbyt dobry. Ów partacz odsiedział w pudle trzy miesiące, zanim Scotland Yard ustalił, jak było naprawdę: ten fałszywy certyfikat, w odróżnieniu od oryginału, wcale fałszywy nie był.

Cheng Tāo dostał nauczkę. Przestał być perfekcjonistą. Mniej więcej na tej samej zasadzie co Chinki, które obtłukiwały jedno ucho konikom z czasów dynastii Han, by podbić cenę. Wszystko będzie dobrze – zapewniały.

– Anglia? – zdziwiła się Nombeko, zastanawiając się, czy dziewczyny pojmują różnicę między Wielką Brytanią a Szwajcarią.

Nie, to już historia. W czasie odsiadki wuj dzielił celę ze szwajcarskim oszustem matrymonialnym, który był tak pioruńsko dobry w tym, co robił, że dostał dwa razy dłuższą odsiadkę niż wuj. Przez pewien czas Szwajcarowi niepotrzebna była więc jego tożsamość. Wypożyczył ją wujowi, choć tak po prawdzie ten wziął ją sobie bez pytania. Nie zawsze bowiem pytał o pozwolenie, gdy coś pożyczał. W dniu, w którym skończyła się jego kara, za murami więzienia czekali na niego policjanci. Mieli go deportować do Liberii, bo to stamtąd przyjechał do Anglii. Wtedy okazało się, że Chińczyk nie był Afrykaninem, tylko Szwajcarem. Odesłali go więc

do Bazylei. Czy też Berna. Albo do Bonn. W każdym razie do Szwajcarii.

– Do widzenia, droga Nombeko – pożegnały się dziewczyny w języku khosa, który jeszcze trochę pamiętały, i odjechały.

– 祝你好运! – zawołała Nombeko za busem. – Powodzenia!

Kiedy tak patrzyła za oddalającymi się dziewczynami, przez chwilę zastanawiała się, jakie są statystycznie szanse na to, że trzem nielegalnym chińskim uchodźczyniom niepotrafiącym odróżnić Bazylei od Berlina uda się przejechać przez Europę nieubezpieczonym volkswagenem busem, dotrzeć do Szwajcarii i odnaleźć wuja. I że nie trafią za kratki.

Ponieważ Nombeko miała już nigdy nie zobaczyć dziewcząt, nie dowiedziała się, że postanowiły jechać prosto przed siebie, aż natrafią na kraj, którego szukają. Wszędzie roіło się od znaków kierujących we wszystkie strony świata. Kto by się potrafił w tym połapać! Nombeko nie dowiedziała się też, że wyglądający na turystyczny volkswagen bus na szwedzkich numerach prześlizgnął się przez wszystkie kontrole graniczne, w tym kontrolę na przejściu między Austrią a Szwajcarią. Ani że pierwszą rzeczą, którą dziewczyny zrobiły już w Szwajcarii, było odwiedzenie najbliższej chińskiej restauracji, by tam spytać właściciela, czy nie zna może pana Cheng Tāo. Właściciel oczywiście o nikim takim nie słyszał, ale znał kogoś, kto powinien znać kogoś, kto z kolei znał kogoś, kto mógł go znać, a ten znał kogoś, kto twierdził, że ma brata, który wynajmuje pokój komuś o tym nazwisku. Dziewczęta odnalazły swojego wuja na przedmieściach Bazylei. Powitanie po latach było serdeczne.

Tego jednak Nombeko nigdy się nie dowiedziała.

* * *

Wszyscy pozostali mieszkańcy domu przy Fredsgatan 5 wciąż byli przy życiu. Holger 2 i Nombeko coraz bardziej mieli się ku sobie. Ona zauważyła, że jest szczęśliwa jedynie w towarzystwie Holgera. On z kolei odczuwał bezgraniczną dumę za każdym razem, gdy

Nombeko się odzywała. Była najmądrzejszą osobą, jaką znał. I najpiękniejszą.

Napędzani pragnieniem dziecka, ambitnie działali wśród poduszek w magazynie. Mimo ewentualnych komplikacji, które oznaczałoby jego pojawienie się, rosła ich frustracja związana z tym, że to jednak nie następuje. Tak jakby ugrzęźli w martwym punkcie i tylko dziecko mogło im pomóc.

W końcu zaczęli winić bombę. Gdyby tylko się jej pozbyli, od razu pojawiłoby się dziecko. Rozum podpowiadał im, że powiązanie bomba – dziecko jest dość naciągane, jednak coraz częściej kierowali się emocjami, a coraz rzadziej zdrowym rozsądkiem. Raz w tygodniu na przykład przenosili swoją erotyczną działalność do warsztatu ceramicznego. Nowe miejsce, nowe możliwości. Albo i nie.

Nombeko wciąż miała w kurtce, której już nie nosiła, dwadzieścia osiem nieoszlifowanych diamentów. Po pierwszej nieudanej próbie przed kilku laty nie chciała narażać siebie ani pozostałych na ryzykowne wyprawy w poszukiwaniu kupca. Teraz jednak znów zaczęła o tym rozmyślać. Bo gdyby tak mieli z Holgerem mnóstwo pieniędzy, łatwiej byłoby im dotrzeć do tego upierdliwego premiera. Szkoda, że Szwecja jest tak beznadziejnie nieskorumpowana, bo można by to było jakoś załatwić za pomocą łapówek.

Holger przytaknął i zamyślił się. Pomysł nie był wcale głupi. Natychmiast więc wprowadził go w życie. Wykreślił numer Umiarkowanej Partii Koalicyjnej, przedstawił się jako Holger i oznajmił, że zastanawia się nad przekazaniem dwóch milionów koron na rzecz ugrupowania. Jedynym warunkiem jest spotkanie w cztery oczy z jej przewodniczącym (czyli premierem).

Propozycja wzbudziła spore zainteresowanie w szeregach partii rządzącej. Z pewnością można by zorganizować spotkanie z Carlem Bildtem. Niech tylko pan Holger powie, kim jest, co miałoby być przedmiotem rozmowy, poda nazwisko i adres.

– Pragnąłbym zachować anonimowość – oświadczył Holger.

Rozumieją, oświadczyli oni, muszą jednak zachować pewne środki ostrożności. W grę wchodzi bezpieczeństwo

przewodniczącego partii, który przy okazji piastuje stanowisko premiera.

Holger szybko przeanalizował sytuację. Mógł przecież podać się za swojego brata, który mieszka w Blackebiegu i pracuje w Helikoptertaxi SA w Brommie.

– A zagwarantujecie mi spotkanie z premierem? – upewnił się.

Tego obiecać nie mogą, ale zrobią, co w ich mocy.

– Czyli mam podarować dwa miliony, by potem *może* się z nim spotkać? – zapytał Holger.

Coś w tym rodzaju. Pan Holger z pewnością rozumie.

No właśnie nie rozumie. Sfrustrowany faktem, że tak trudno jest porozmawiać ze zwykłym premierem, poradził tamtym, by znaleźli sobie jakiegoś innego frajera, od którego wyłudzą kasę. Pożyczył Umiarkowanej Partii Koalicyjnej przegranej w najbliższych wyborach i się rozłączył.

W tym czasie Nombeko intensywnie rozmyślała. Premier nie siedzi przecież przez całą dobę w swojej kancelarii. Spotyka się z ludźmi. Począwszy od szefów państw innych krajów, po sztab własnych współpracowników. Poza tym występuje jeszcze w telewizji. I wypowiada się na prawo i lewo. Najchętniej na prawo.

To, że Holgerowi i Nombeko uda się przeistoczyć w szefów obcych państw, było mało prawdopodobne. Prędzej już znajdą pracę w kancelarii rządu albo w jej pobliżu, choć i to jest niełatwe. Drugi mógłby pójść na studia. Należało tylko najpierw odbębnić egzamin kompetencyjny. Pod nazwiskiem brata mógł studiować, co dusza zapagnie. Jedynie to mogło go zaprowadzić w kręgi premiera. Biznes poduszkowy nie byłby im już potrzebny, gdyby spieniężyli majątek ukryty w kurtce Nombeko.

Drugi przemyślał to, co powiedziała. Politolog? A może ekonomista? To wymagałoby kilku lat na uniwersytecie. Które być może donikąd go nie zaprowadzą. Alternatywą było czekanie w nieskończoność. Przynajmniej do czasu, gdy do Pierwszego dotrze, że nigdy nie nauczy się pilotować helikoptera, a młodej gniewnej nie znudzi się czekanie na dzień, w którym złapie ją policja. Zakładając oczywiście, że ten pokręcony Amerykanin czegoś już nie zmalował.

Tak czy siak, Drugi zawsze chciał iść na studia.

Nombeko przytuliła swojego Holgera na dowód, że teraz przynajmniej – wobec braku dziecka – mają coś na kształt planu. To było przyjemne uczucie.

Pozostawało tylko znaleźć bezpieczny sposób na spieniężenie diamentów.

* * *

Dumając nad tym, jak by tu dotrzeć do jakiegoś handlarza diamentami, idąca spacerkiem Nombeko wpadła prosto na rozwiązanie. Miało to miejsce na chodniku przed biblioteką w Gneście.

Naprawdę nazywał się Antonio Suarez. Wraz z rodzicami uciekł z Chile po zamachu stanu w 1973 roku. Tego nazwiska nie znał jednak prawie nikt nawet z kręgu jego znajomych. Wołali na niego po prostu „Jubiler”, choć był wszystkim, tylko nie jubilerem. Kiedyś jednak pracował jako ekspedient w jedynym sklepie jubilerskim w Gneście. No i wykombinował, że zostanie napadnięty przez własnego brata.

Skok się udał. Niestety, następnego dnia brat zabalował, na mocnej bani zasiadł za kółkiem i został zatrzymany przez policjantów, którzy zauważyli samochód jadący ze zbyt dużą prędkością, a do tego zygzakiem.

Brat, z natury romantyk, wyraził swoje uznanie dla piersi pani policjantki, za co zarobił w gębę. To z kolei sprawiło, że natychmiast się w niej zakochał; nie ma nic bardziej pociągającego niż baba z ikrą. Odłożył alkomat, w który kazała mu dmuchnąć znieważona policjantka, wyjął z kieszeni wart dwieście tysięcy koron pierścioneł z brylantem i się oświadczył.

Zamiast oczekiwanej zgody dostał kajdanki i gratisowy transport do najbliższego aresztu.

Idąc po nitce do kłębka, za kratki wsadzono też brata pirata drogowego. Mimo że wszystkiego się wypierał.

– Nigdy nie widziałem tego mężczyzny – oświadczył prokuratorowi w sądzie w Katrineholm.

– Ale to przecież pana brat? – zdziwił się prokurator.

– To prawda, ale nigdy go nie widziałem.

Prokurator był jednak dobrze przygotowany. Dysponował między innymi wspólnymi zdjęciami braci z dzieciństwa, a także bardziej aktualnymi fotografiami. Wspólny adres zameldowania braci też był okolicznością obciążającą, podobnie jak to, że większość łupu znaleziono w ich wspólnej szafie. Poza tym praworządni rodzice sprawców zeznawali na ich niekorzyść.

Ten, którego odtąd zwali Jubilerem, dostał cztery lata, podobnie jak brat. Po odsiadce ten ostatni wrócił do Chile, Jubiler zaś utrzymywał się ze sprzedaży taniej biżuterii importowanej z Boliwii.

Odkładał, by – gdy już uzbiera milion – przejść na emeryturę i zamieszkać w Tajlandii. To właśnie na bazarach, gdzie sprzedawał biżuterię, poznał Nombeko. Nie żeby byli dobrymi znajomymi, ale witali się zawsze skinieniem głowy.

Niestety, szwedzcy klienci bazarów nie poznali się na boliwijskich srebrnych serduszkach z plastiku. Po dwóch latach harówki Jubiler wpadł w depresję. Wszystko wydawało mu się do niczego (takie zresztą było). W pogoni za milionem udało mu się zaoszczędzić zaledwie sto dwadzieścia pięć tysięcy. Miał dość. Pewnego sobotniego popołudnia pogrążony w depresji pojechał do Solvalli i wszystkie pieniądze postawił na zakład V75, najwyżej płatny porządek obejmujący wszystkie gonitwy. Zamierzał przepuścić cały swój majątek, a następnie zalec na ławce w parku w Humlegården, by tam oczekiwać na śmierć.

Wtedy konie jeden za drugim zaczęły biec tak, jak powinny (jak nigdy dotąd). I kiedy było już po wszystkim, jedyny zwycięzca z siedmioma właściwie obstawionymi gonitwami mógł zainkasować trzydzieści sześć milionów siedemset tysięcy. Z czego dwieście tysięcy od ręki.

Jubiler zaniechał pomysłu, aby dokonać żywota na ławce w parku w Humlegården. Zamiast tego udał się do Café Opera, by się urząnąć.

Poszło mu nadzwyczaj dobrze. Następnego popołudnia obudził się w apartamencie w hotelu Hilton przy Slussen, nagusieńki, pomijając

skarpetki i slipy. Jego pierwszą myślą było – biorąc pod uwagę obecność majtek – że minionej nocy nie bawił się tak dobrze, jak by mógł. Niewiele potrafił jednak na ten temat powiedzieć, bo niczego nie pamiętał.

Zamówił śniadanie do pokoju. Zanim podano mu jajecznicę z szampanem, postanowił, co zrobi ze swoim życiem. Porzucił myśl o wyjeździe do Tajlandii. Zostanie w Szwecji i rozkręci interes.

Jubiler zostanie jubilerem.

Z czystej przekory zajął lokal sąsiadujący ze sklepem, w którym kiedyś się szkolił i który potem obrabował. A że Gnesta to Gnesta, gdzie jeden jubiler to już i tak dużo, w niespełna rok wygryzł swojego byłego szefa, skądinąd tego samego, który chciał powiadomić policję, gdy odwiedziła go Nombeko.

Pewnego dnia w maju 1994 roku w drodze do pracy Jubiler wpadł pod biblioteką na czarnoskórą kobietę. Czy oni się już kiedyś nie spotkali?

– Jubilerze! – zawołała Nombeko. – Wieki całe. Co tam u ciebie?

Ach tak, to ona jeździła z tym szurniętym Amerykaninem i trzema Chinkami, z którymi nie szło się dogadać.

– A dziękuję – odpowiedział. – Zamieniłem boliwijskie srebrne serduszka z plastiku na prawdziwe świecidełka, że tak powiem. Mam tu w mieście sklep jubilerski.

Nombeko była zachwycona. Hop-siup i nagle miała kontakty w jubilerskich kręgach. Do tego z kimś mającym dość elastyczne sumienie, a może w ogóle pozbawionym sumienia.

– Fantastycznie – powiedziała. – To teraz już *pan jubiler!* Może chciałby pan ubić interes? Tak się składa, że mam na składzie nieoszlifowane diamenty i chętnie wymienię je na pieniądze.

Jubiler pomyślał, że niezbadane są wyroki boskie. Z jednej strony zawsze się do Boga modlił, z drugiej rzadko otrzymywał coś w zamian. Ten nieszczęsny napad też nie ułatwiał mu stosunków z górą. Aż tu nagle Pan zsyła mu gwiazdkę z nieba.

– Moje zainteresowanie nieoszlifowanymi diamentami jest niezwykle duże, panno... Nombeko, dobrze pamiętam, prawda?

Dotąd interesy nie szły tak, jak to sobie wyobrażał Jubiler. Teraz mógł jednak porzucić plan, by ponownie obrabować samego siebie.

Trzy miesiące później spieniężono i sprzedano dalej wszystkie dwadzieścia osiem diamentów. Nombeko i Holger mieli plecak wypchany pieniędzmi. Dziewiętnaście milionów sześćset tysięcy koron – gdyby nie musieli przeprowadzać transakcji tak dyskretnie, dostaliby piętnaście procent więcej. Holger 2 stwierdził jednak:

– Dziewiętnaście milionów sześćset tysięcy to w końcu dziewiętnaście milionów sześćset tysięcy.

Poza tym zgłosił się na jesienny egzamin kompetencyjny. Słońce świeciło, a ptaszki śpiewały.

Część 4

Życie nie musi być proste, byleby tylko nie było pozbawione treści.
Lise Meitner

Rozdział 14

O niemile widzianych gościach i nagłym zgonie

Wiosną 1994 roku Republika Południowej Afryki została pierwszym i jak dotąd jedynym krajem na świecie, który wyprodukował własną broń atomową, po czym z niej zrezygnował. Zupełnie dobrowolnie pozwolono na demontaż programu nuklearnego, tuż zanim zmuszona do tego była większość przekazała władzę czarnym. Trwało to kilka lat i odbywało się pod nadzorem Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, która po zakończeniu całego procesu potwierdziła, że sześć południowoafrykańskich bomb atomowych już nie istnieje.

Siódma, ta, której nigdy nie było, nadal istniała. Wkrótce jednak miała zmienić lokalizację.

Zaczął się od tego, że młodej gniewnej sprzykrzyło się czekanie na to, aż złapie ją policja. Co oni, do cholery, wyprawiają? Przekracza prędkość, przejeżdża ciągłe linie, trąbi na przechodzące przez ulicę staruszki. A jednak przez te wszystkie lata nie zainteresował się nią żaden funkcjonariusz policji. W tym kraju są tysiące gliniarzy. Wszyscy oni powinni iść do diabła, a Celestine wciąż nie miała okazji, by to któremuś z nich powiedzieć.

Myśl, by zaśpiewać *Non, je ne regrette rien*, wciąż była zbyt przyjemna, żeby rzucać robotę. Coś jednak musi się w końcu wydarzyć. Nie chce któregoś dnia obudzić się i stwierdzić, że stała się częścią systemu. Rany, kilka dni wcześniej Holger 2 zaproponował, by zrobiła prawo jazdy na pojazdy ciężarowe. To by przecież wszystko popsuło!

Młoda gniewna powodowana frustracją pojechała do Holgera 1 do Brommy i oświadczyła, że *natychmiast* muszą coś zrobić.

– Coś? – zdziwił się Holger 1.

– Tak. Namieszać.

– Ale co przez to rozumiesz?

Tego młoda gniewna sama dokładnie nie wiedziała. Udała się jednak do najbliższego sklepu i kupiła egzemplarz tego burżuazyjnego szmatławca „Dagens Nyheter”, będącego na usługach władzy. Niech to szlag!

Zaczęła przeglądać dziennik. Wertowała go i wertowała. To, co wyczytała, nastroiło ją jeszcze bardziej bojowo. A już naprawdę wściekła się po przeczytaniu artykułu na stronie siedemnastej.

– Patrz! – Pokazała Holgerowi 1 gazetę. – Tego nie możemy zaakceptować!

Otóż stosunkowo niedawno powstała partia Szwedzcy Demokraci zamierzała nazajutrz zorganizować demonstrację na placu Sergela. Trzy lata wcześniej partia otrzymała 0,09 procent głosów w wyborach parlamentarnych, a to według młodej gniewnej o wiele za dużo. Wyjaśniła swojemu chłopakowi, że partią kierują kryptorasiści pod wodzą byłego nazisty. I mają fioła na punkcie dworu królewskiego!

Młoda gniewna uznała, że demonstracja Szwedzkich Demokratów bardziej niż czegokolwiek innego potrzebuje kontrademonstracji!

I to właśnie pogląd partii na kwestię króla i królowej sprawił, że Holger 1 zapalił się do pomysłu młodej gniewnej. Jak dobrze po tylu latach znów móc głosić poglądy taty Ingmara!

– I tak mam jutro wolne – odparł. – Jedziemy do Gnesty, musimy się przygotować!

Kiedy weszła Nombeko, Holger 1 i młoda gniewna tworzyli właśnie plakaty. Dostrzegła napisy: „Szwedzcy Demokraci won ze Szwecji”, „Precz z dworem królewskim”, „Na Księżyc z królem” i „Szwedzcy Demokraci to przygłupy”.

Nombeko sporo czytała o tej partii, pokręciła więc głową. Bycie eksnazistą nie przeszkadza przecież w robieniu kariery politycznej. Eksfaszystami pod koniec dwudziestego wieku byli prawie wszyscy południowoafrykańscy premierzy. Wprawdzie Szwedzcy Demokraci otrzymali zaledwie ułamek procenta głosów, ale ich strategia polega

na straszaniu, a według Nombeko strach ma przyszłość, zawsze miał.

Dlatego nie zgadza się z hasłem „Szwedzcy Demokraci to przygłupy”. Wręcz przeciwnie, być nazistą, a jednocześnie unikać tego określenia to całkiem sprytnie postępowanie.

W odpowiedzi młoda gniewna uraczyła Nombeko wywodem na temat swoich podejrzeń co do nazistowskich poglądów Nombeko.

Nombeko opuściła wytwórców plakatów i udała się do Drugiego, by mu uzmysłwić, że chyba mają problem. Nieszczęsny brat Drugiego i jego dziewczyna wybierają się na rozróbę do Sztokholmu.

– A było już tak spokojnie – westchnął Holger 2, nieświadom nadchodzących nieszczęść.

* * *

Głównym przemawiającym podczas demonstracji Szwedzkich Demokratów był sam przewodniczący partii. Stał z mikrofonem na prowizorycznym podium i opowiadał o szwedzkich wartościach oraz o tym, co im zagraża. Żądał między innymi, by zakazano imigracji i przywrócono karę śmierci, w Szwecji zakazaną od listopada 1910 roku.

Słuchało go około pięćdziesięciu wyznających podobne poglądy i bijących mu brawo osób. A tuż za nimi stała młoda kobieta i jej chłopak z jeszcze zwiniętymi plakatami. Zamierzali rozpocząć kontrdemonstrację zaraz po przemówieniu lidera partii, by ich nie zakrzyczano.

W pewnej chwili okazało się jednak, że Celestine chce się nie tylko wojować, ale też sikać. Szepnęła Holgerowi na ucho, że musi się wymknąć do pobliskiego Kulturhuset i że zaraz wróci.

– A wtedy damy im popalić – dodała i pocałowała swojego Holgera w policzek.

Niestety, wkrótce mówca umilkł, bo powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia. Publiczność zaczęła się rozchodzić. Holger 1 uznał, że w tej sytuacji musi działać w pojedynkę. Rozwinął

pierwszy plakat, odsłaniając napis „Szwedzcy Demokraci to przygłupy”. Sam wolałby najpierw pokazać „Na Księżyc z królem”, ale Celestine upodobała sobie akurat ten.

Plakat pobył na widoku zaledwie kilka sekund, zanim przyuważyli go dwaj młodzi szwedzcy demokraci. To, co przeczytali, nie spodobało im się.

Mimo że obaj żyli z zasiłku chorobowego, błyskawicznie dopadli Holgera, wyrwali mu plakat i próbowali go podrzeć. Kiedy im się to nie udało, jeden z nich zaczął go gryźć, dowodząc tym samym, że treść na afiszu bynajmniej nie mija się z prawdą.

W końcu z kolegą obalili Holgera na ziemię i zaczęli po nim skakać i deptać go swoimi czarnymi glanami. Przestali, kiedy się zmęczyli. Zmaltretowany Holger leżał na ziemi, ale miał jeszcze dość sił, by wystękać w stronę oprawców: – *Vive la République* – czym ponownie ich sprowokował. Nie żeby zrozumieli, co powiedział, coś jednak powiedział, w związku z czym należała mu się powtórka z rozrywki.

Kiedy zmęczyli się po raz drugi, postanowili pozbyć się tego wraku człowieka. Przeciągnęli Holgera za włosy przez cały plac, aż do wejścia do metra. Tam rzucili go przed kontrolerem biletów, po czym zabrali się do niego po raz trzeci. Ledwie mogący się ruszać Holger 1 dostał kilka dodatkowych kopniaków i rozkaz, by spierdalał do metra i nigdy więcej nie pokazywał swojej parszywej mordy na powierzchni ziemi.

– – po raz drugi odpowiedział zbity na kwaśne jabłko Holger, co jeden z napastników skwitował dosadnie:

– Pierdolony obcy – i obaj demokraci spokojnie się oddalili.

Holger leżał tak u wejścia do metra, aż pomógł mu dziennikarz Telewizji Szwedzkiej. Przygotowywał materiał poświęcony skrajnie prawicowym partiom, których akcje zaczynają iść w górę.

Dziennikarz zapytał Holgera, kim jest i jaką organizację reprezentuje. Zmaltretowana i skołowana ofiara przedstawiła się jako Holger Qvist z Blackebergu, reprezentant wszystkich obywateli tego kraju, cierpiących pod jarzmem monarchii.

– A więc jest pan republikaninem?

– *Vive la République* – po raz trzeci w ciągu czterech minut powiedział Holger.

Młoda gniewna załatwiła potrzebę i wyszła z Kulturhuset. Przecisnęła się przez tłum, odepchnęła reportera i pociągnęła swojego chłopaka za sobą na dół, by wsiąść w pociąg do Gnesty.

I tu historia mogłaby się zakończyć, gdyby nie towarzysząca dziennikarzowi fotoreporterka, której udało się zarejestrować pobicie. W odpowiednim momencie zrobiła zbliżenie udreżonej twarzy Holgera, gdy ten leżał na ziemi, szepcząc swoje *Vive... la... République* po akcji przebywających na rencie szwedzkich demokratów.

Pobicie w okrojonej wersji trwało trzydzieści dwie sekundy i tego samego wieczora wraz z krótkim wywiadem zostało wyemitowane w telewizji. Ponieważ były to niezwykle dramatyczne trzydzieści dwie sekundy, w ciągu dwudziestu sześciu godzin stacja sprzedała reportaż do trzydziestu trzech krajów. Tym sposobem ponad miliard widzów na całym świecie zobaczyło, jak Holger 1 dostaje łomot.

* * *

Następnego dnia Holgera obudził ból w każdej części ciała. Nie miał chyba jednak żadnych złamań, postanowił więc pójść do pracy. Przed południem miały polecieć dwa z trzech helikopterów. Zawsze było przy tym sporo papierkowej roboty.

Spóźnił się dziesięć minut. Szef, a jednocześnie jeden z pilotów, odesłał go do domu.

– Widziałem pana wczoraj w telewizji. Jak po tym wszystkim jest pan w ogóle w stanie utrzymać się na nogach? Do domu, kurować się, u licha. Proszę wziąć wolne – nakazał szef i odleciał pierwszym robinsonem 66 w kierunku Karlstad.

– Straszysz pan tylko ludzi, jak ty wyglądasz, szalony człowieku – dodał drugi pilot i drugim robinsonem 66 udał się do Göteborga.

Holger pozostał sam na sam z pozbawionym pilota śmigłowcem Sikorsky 76. Nie czuł się na siłach, by jechać teraz do domu.

Pokuśtykał więc do kuchni, nalał sobie kawy i wrócił do swojego biurka. Sam nie wiedział, co powinien czuć. Z jednej strony był dotkliwie pobity. A z drugiej pokazane w telewizji zdjęcia zrobiły furorę! Może to doprowadzi do republikańskiej rewolty w całej Europie?

Do Holgera dotarło, że każda licząca się stacja telewizyjna informowała o tym wydarzeniu. Dostał co prawda porządne manto, ale wyszedł z tego świetny materiał. Holger pękał z dumy.

Wtedy do biura wmaszerował jakiś mężczyzna. Niezapowiedziany.

Spojrzał na Holgera, a ten od razu pomyślał, że wolałby uniknąć tego człowieka i tej sytuacji. To było jednak niemożliwe; spojrzenie nieznanego mężczyzny było tak stanowcze, że Holger bał się poruszyć.

– W czym mogę pomóc? – zapytał z niepokojem.

– Proszę pozwolić, że się przedstawię – powiedział po angielsku mężczyzna. – Moje nazwisko to nie pańska sprawa. Reprezentuję służbę bezpieczeństwa, której nazwa nie powinna pana obchodzić. Wkurzam się, gdy ktoś mnie okrada. A kiedy ktoś kradnie mi bombę atomową, wkurzam się jeszcze bardziej. Co gorsza, moja wściekłość wzbiera już od dość dawna. Krótko mówiąc, jestem *potwornie wściekły*.

Holger Qvist nic nie rozumiał. Dobrze znał to uczucie i nigdy nie było ono przyjemne. Mężczyzna o stanowczym spojrzeniu i równie stanowczym głosie wyjął z teczki dwa zdjęcia i położył je na biurku Holgera. Na pierwszym wyraźnie było widać Holgera 2 na rampie przeładunkowej, na drugim, jak z jakimś mężczyzną za pomocą wózka widłowego ładuje do ciężarówki wielką skrzynię. Tę skrzynię. Zdjęcia były datowane na 17 listopada 1987 roku.

– To pan – powiedział agent i wskazał brata Holgera. – A to należy do mnie – dodał i wskazał na skrzynię.

* * *

Przez siedem lat agent Mosadu A cierpiał katusze z powodu zaginionej broni jądrowej. Z wielką determinacją starał się ją zlokalizować. Skupił się na dwóch tropach. Z jednej strony próbował odnaleźć złodzieja, z drugiej nadstawiał uszu, czy gdzieś w Europie Zachodniej albo w jakiejś innej części świata ktoś nie chce sprzedać bomby atomowej. Jeśli nie uda się odnaleźć bomby przez złodzieja, to może przez pasera.

Agent A najpierw pojechał z Johannesburga do Sztokholmu. Na początek przejrzał filmy z monitoringu w Ambasadzie Izraela. Kamera przy bramie zarejestrowała Nombeko Mayeki kwitującą u stróża odbiór paczki. A może nastąpiła fatalna pomyłka? W takim razie dlaczego przyjechała ciężarówką? Dziesięć kilogramów mięsa antylopy zmieściłoby się z powodzeniem w koszyku rowerowym.

Gdyby to jednak była pomyłka, Nombeko, odkrywszy ją, na pewno by wróciła. Na jej obronę przemawiał fakt, że kamery nie zarejestrowały, by była przy załadunku. W tym czasie podpisywała dokumenty przy stróżówce za rogiem.

Nie, nie miał żadnych wątpliwości. Wielokrotnie odznaczany agent Mosadu został oszukany po raz drugi w swojej karierze. Przez sprzątaczkę. Tę samą co za pierwszym razem.

No, ale był cierpliwy. Któregoś dnia, wcześniej czy później, znów się spotkają. A wtedy, droga Nombeko Mayeki, pożałujesz, że nie jesteś kimś innym. Gdzie indziej.

Kamera przy bramie ambasady zarejestrowała również numery rejestracyjne czerwonej ciężarówce użytej do kradzieży bomby. Kamera przy rampie dostarczyła z kolei wyraźnych zdjęć pomagającego Nombeko białego mężczyzny w jej wieku. Agent A wydrukował różne ujęcia.

Śledztwo nabrało tempa. Okazało się, że tego samego dnia, kiedy odebrała bombę, Nombeko Mayeki zniknęła z ośrodka dla uchodźców w Upplands Väsby. Od tamtej pory jest uznawana za zaginioną.

Numer tablic rejestracyjnych doprowadził agenta do niejakiej Agnes Salomonsson w Alingsås. Tam okazało się, że samochód jest wprawdzie czerwony, ale nie jest to ciężarówka, tylko fiat ritmo. Tablice były zatem kradzione. Sprzątaczką jest profesjonalistką.

Agentowi A pozostało jeszcze przekazać zdjęcia kierowcy ciężarówki Interpolowi. To jednak nic mu nie dało. Mężczyzna nie był członkiem żadnej z grup nielegalnych handlarzy broni. A jednak woził swoją ciężarówką bombę atomową.

Agent A wyciągnął więc logiczny, acz niewłaściwy wniosek, że bomba opuściła już terytorium Szwecji i że teraz powinien zbadać wszelkie dostępne tropy międzynarodowe. I że ten mężczyzna doskonale wiedział, co Nombeko Mayeki robi.

Sprawę komplikowało to, że oprócz południowoafrykańskiej bomby po świecie błąkało się więcej egzemplarzy broni jądrowej. Po rozpadzie Związku Radzieckiego tu i ówdzie wciąż pojawiały się bomby atomowe – zarówno fikcyjne, jak i prawdziwe. W 1991 roku wywiad donosił o kradzieży broni jądrowej w Azerbejdżanie. Widząc dwa pociski, złodzieje wybrali ten lżejszy. W rezultacie wywieźli pustą łuskę. Tym samym dowiedli, że ludzie kradnący bomby atomowe niekoniecznie mają więcej rozumu niż zwykli śmiertelnicy.

W 1992 roku agent A podążył tropem Uzbeka Szawkata Abdużaparowa, byłego pułkownika armii sowieckiej. Ten porzucił w Taszkencie żonę i dzieci, zapadł się pod ziemię, po czym po trzech miesiącach pojawił się w Szanghaju, oferując na sprzedaż bombę za piętnaście milionów dolarów. Cena sugerowała, że w grę wchodzi coś, co może wyrządzić sporo szkód. Jednak zanim agent A dotarł na miejsce, Abdużaparowa znaleziono w zbiorniku w porcie ze śrubokrętem w szyi. Po bombie nie było śladu. I nigdy jej nie odnaleziono.

W 1994 roku agent A musiał objąć posadę w Tel Awiwie. Stanowisko może i nie było kiepskie, ale zdecydowanie niższe od tego, które mógłby piastować, gdyby nie tamta południowoafrykańska wpadka. Agent nigdy się jednak nie poddał i nie ruszając się z kraju, badał różne tropy. W pamięci przechowywał obraz Nombeko i nieznanego mężczyzny w ciężarówce. Aż tu nagle, poprzedniego wieczora, coś takiego! Po siedmiu latach! Podczas krótkiej i kompletnie nieinspirującej misji w Amsterdamie. W wiadomościach telewizyjnych leci relacja z zamieszek na jakimś placu w Sztokholmie. Członkowie jakiegoś

nacjonalistycznego ugrupowania niosą gdzieś kontrdemonstranta. Wciągają go do tunelu metra. Kopia ciężkimi buciorami. Jest zbliżenie na ofiarę. Toż to on!

Mężczyzna z czerwonej ciężarówki!

Jak podali w wiadomościach: Holger Qvist, Blackeberg, Szwecja.

* * *

– Przepraszam – zdziwił się Holger – ale o jaką bombę atomową chodzi?

– Nie wystarczyło ci wczorajsze lanie? – odpowiedział agent A. – Dopij swoją kawkę, jeśli chcesz, byle szybko, bo za pięć sekund jedziemy do Nombeko Mayeki, gdziekolwiek ona jest.

Holger 1 myślał i myślał, aż głowa jeszcze bardziej go rozboleła. A więc mężczyzna po drugiej stronie biurka pracuje dla wywiadu obcego państwa. I bierze Holgera 1 za Holgera 2. Oraz poszukuje Nombeko. Która ukradła mu... bombę atomową.

– Skrzynia! – powiedział nagle Holger 1.

– No właśnie, gdzie ją masz? – zapytał agent A. – Gadaj, gdzie jest skrzynia z bombą!

Holgerowi w tym momencie objawiła się cała prawda. W magazynie przy Fredsgatan przez siedem lat trzymali, nic o tym nie wiedząc, marzenie wszystkich rewolucjonistów. Przez siedem lat miał pod ręką być może jedyny środek, za pomocą którego dałoby się zmusić króla do abdykacji.

– A żeby cię piekło pochłonęło – wymamrotał Holger 1, z rozpędu po angielsku.

– Co takiego? – zapytał agent A.

– Nie pana – wytłumaczył się Holger. – Tylko pannę Nombeko.

– Czuję to co pan – powiedział agent – ale nie wierzę, że to rzeczywiście nastąpi. Dlatego musi mnie pan *teraz* do niej zaprowadzić. Gdzie ona jest? Gadaj pan.

Agent A polegał na swoim władczyim głosie. Teraz w dodatku trzymał w dłoni pistolet.

Holger pomyślał o swoim dzieciństwie. O batalii taty. O tym, jak sam stał się jej częścią. I że nie potrafił jej kontynuować. A teraz na domiar złego uświadomił sobie, że rozwiązanie przez cały czas znajdowało się na wyciągnięcie ręki.

Zadręczał się nie tym, że stał oko w oko z agentem obcego wywiadu, gotowym strzelać do niego, jeśli nie doprowadzi go do Nombeko i jej skrzyni, ale świadomością, że został oszukany przez południowoafrykańską dziewczynę brata. I że na wszystko jest już za późno. Każdego dnia przez siedem lat mógł dokończyć dzieło ojca. Ale o tym nie wiedział.

– Pan chyba nie dosłyszał mojego pytania? Może strzał w kolano poprawi panu słuch?

Strzał w kolano, nie między oczy. Na razie był potrzebny obcemu. Ale co będzie potem? Jeśli doprowadzi mężczyznę z pistoletem na Fredsgatan, ten weźmie ważącą tonę skrzynię pod pachę i po prostu się pożegna? Raczej nie. Wręcz przeciwnie – wszystkich ich pozabija. Najpierw jednak każe im załadować skrzynię do czerwonej ciężarówki.

Wszystkich ich pozabija, jeśli Holger nie zrobi tego, co zrobić powinien. Nagle to zrozumiał. Jedyne, o co teraz mógł jeszcze zawalczyć, to prawo brata i Celestine do życia.

– Zaprowadzę pana do Nombeko – powiedział w końcu Holger 1.
– Ale musimy tam polecieć helikopterem, jeśli mamy zdążyć. Ona zamierza uciec z bombą.

Nie wiadomo, skąd przyszło mu do głowy kłamstwo o pośpiechu. Można je było określić mianem pomysłu. Pierwszego, na jaki wpadł; wreszcie, ucieszył się Holger. I ostatniego, bo właśnie teraz robi w końcu w życiu coś sensownego. A mianowicie zginie.

Agent A nie zamierzał dać się po raz trzeci wyrolować przez sprzątaczkę i jej bandę. Gdzie tu może być hak? Czyżby Nombeko zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie naraził ją Holger Qvist, pojawiając się w telewizji? Czy to dlatego pakuje się i ucieka? Agent potrafił odróżnić gęś z czasów dynastii Han od szmiry, nieoszlifowany diament od taniego szkiełka. Potrafił o wiele więcej.

Ale nie potrafił pilotować helikoptera. Musiałby zdać się na pilota, czyli na tego tu mężczyznę. W kabinie znajdowałyby się wówczas dwie osoby, jedna za sterami, druga z bronią w ręku.

Agent A zdecydował się jednak polecieć. Najpierw jednak postanowił skontaktować się z B, na wypadek gdyby coś poszło nie po jego myśli.

– Podaj mi dokładne współrzędne miejsca, gdzie przebywa sprzątaczką – powiedział.

– Sprzątaczką? – zdziwił się Holger 1.

– Panna Nombeko.

Holger zrobił to, o co go poproszono. Dzięki komputerowi zajęło mu to kilka sekund.

– Dobrze. Nigdzie się nie ruszaj. Muszę się z kimś skontaktować. A potem wylatujemy.

Agent A miał nowoczesny sprzęt w postaci zaawansowanego telefonu komórkowego, z którego wysłał koledze B zaszyfrowaną wiadomość. Poinformował go, gdzie się dokładnie znajduje, a także z kim i dokąd się wybiera oraz w jakiej sprawie.

– Ruszamy – powiedział, kiedy skończył.

Przez te wszystkie lata w Helikoptertaxi Holger 1 wylatał z kolegami pilotami co najmniej dziewięćdziesiąt godzin. Teraz jednak po raz pierwszy zupełnie samodzielnie miał zasiąść za sterami. Jego życie dobiegło końca, doskonale to wiedział. Najchętniej w swoją ostatnią drogę zabrałby ze sobą tę przekłętą Nombeko – czy dobrze słyszał, że agent nazwał ją sprzątaczką? Na pewno nie brata. Ani nie cudowną Celestine.

Kiedy tylko znalazł się w niekontrolowanej przestrzeni powietrznej, wzbił się na wysokość sześciuset metrów i przyśpieszył do dwustu trzydziestu kilometrów na godzinę. Podróż miała trwać niespełna dwadzieścia minut. Zbliżając się do Gnesty, Holger nie zniżył się do lądowania. Zamiast tego włączył autopilota i skierował się na wschód, utrzymując wysokość i prędkość. Odpiął pas bezpieczeństwa, odwiesił słuchawki i przeszedł na tył kabiny.

– Co pan wyczynia? – zapytał agent, ale Holger 1 nie zamierzał odpowiadać.

Otworzył tylne drzwi – agent nadal siedział na przednim siedzeniu. Żeby się obrócić i zobaczyć, co Holger kombinuje, musiałby najpierw odpiąć czteropunktowy pas. Ale jak to zrobić? Nie było to proste, a czas naglił. Pas go trzymał, agent wił się i złorzeczył:

– Jeśli wyskoczysz, strzelę!

Holger 1, zazwyczaj mało błyskotliwy, zadziwił teraz samego siebie:

– Żebym na pewno był martwy, kiedy spadnę na ziemię? W jaki sposób według pana agenta poprawi to pana sytuację?

Agent A ogarnęła złość. Miał właśnie zostać pozostawiony sam w powietrzu w pojeździe, którym nie potrafi kierować. Wykpiony przez pilota, który zamierzał popełnić samobójstwo. Powiercił się jeszcze, uwięziony pasem, próbując przełożyć broń z prawej dłoni do lewej – i upuścił pistolet!

Broń wylądowała na podłodze za tylnym siedzeniem i ześlizgnęła się prosto do stojącego w przeciagu, gotowego do skoku Holgera. Zaskoczony, podniósł pistolet i włożył go do kieszeni, życząc panu agentowi powodzenia w nauce obsługi helikoptera S-76.

– Wielka szkoda, że zostawiliśmy w biurze instrukcję obsługi.

Nie miał nic więcej do powiedzenia, więc wyskoczył. Przez sekundę czuł wewnętrzny spokój. Ale tylko przez sekundę.

Potem zdał sobie sprawę, że mógł użyć broni.

Typowe, pomyślał o swoim postępowaniu Holger 1. Zazwyczaj błędne, zawsze zbyt powolne.

Jego spadające ciało przyspieszyło do dwustu czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę. Od twardej jak kamień matki Ziemi dzieliło go sześćset metrów.

– Żegnaj, okrutny świecie. Tato, idę do ciebie – powiedział Holger, sam siebie nie słysząc, zagłuszany przez świst powietrza.

Agent A został w sterowanym automatycznie helikopterze, lecącym nad Bałtykiem na wschód z prędkością ponad dwustu kilometrów. Nie miał pojęcia, jak wyłączyć autopilota i jakie kroki potem podjąć. Paliwa starczy mu na jakieś sto pięćdziesiąt

kilometrów. Do granicy z Estonią ma trzysta. A wcześniej tylko morze.

Agent A spojrzał na mrowie przycisków, lampek i urządzeń. Obejrzał się. Drzwi nadal stały otworem. Nie było nikogo, kto potrafiłby sterować pojazdem. Ten idiota wziął pistolet i skoczył. Ziemia znikła spod helikoptera, zastąpiła ją woda. Całe mnóstwo wody.

W trakcie swojej długiej kariery agent nieraz wpadał w tarapaty. I zawsze potrafił zachować zimną krew. Długo analizował swoje położenie. W końcu powiedział:

– O mamó!

* * *

Przeznaczony do rozbiórki budynek przy Fredsgatan 5 w Gneście był przeznaczony do rozbiórki od niemal dwudziestu lat. Aż w końcu przyszła kryśka na Matyska. Zaczęło się od tego, że kierowniczka Wydziału Środowiska wyszła na spacer z psem. Humor miała podły. Poprzedniego wieczora z uzasadnionych powodów wyrzuciła z domu swojego chłopaka. Nastrój popsuło jej dodatkowo to, że psiak pognał za jakąś spuszczoną ze smyczy suką. Wszyscy osobnicy płci męskiej są tacy sami, niezależnie od tego, czy mają dwie, czy cztery nogi.

Podczas porannego spaceru musiała więc nadłożyć drogi. Zanim odnalazła swojego napalonego psiaka, przypadkiem odkryła, że w przeznaczonym do rozbiórki budynku przy Fredsgatan 5 mieszkają jacyś ludzie. W tym samym, w którym kilka lat wcześniej podobno miała się otworzyć restauracja chińska.

Czyżby została wtedy oszukana? Najbardziej ze wszystkiego nie znosiła swojego byłego oraz bycia oszukiwaną. Zostać oszukaną przez swojego byłego – to było oczywiście najgorsze. Ale teraz sprawy też nie wyglądały najlepiej.

W 1992 roku, kiedy Gnesta odłączyła się od gminy Nyköping, zaplanowano tu dzielnicę przemysłową. Gmina zamierzała zająć się tą okolicą, ale wciąż coś stawało na przeszkodzie. To jednak nie

oznacza, że ludzie mogą tu sobie mieszkać, jak im się żywnie podoba. Wszystko wskazywało też na to, że w starej garncarni po drugiej stronie ulicy prowadzono nielegalną działalność gospodarczą. Bo niby dlaczego kubeł na śmieci przy drzwiach pełen był pustych worków po glinie garncarskiej?

Kierowniczka Wydziału Środowiska należała do osób, które uważają nielegalną działalność gospodarczą za coś niemal równoznacznego z anarchią.

Najpierw wyładowała frustrację na psie, następnie wróciła do domu, do stojącej w kuchni miski wrzuciła pokarm, pożegnała się z Achillesem, który po zaspokojeniu swoich seksualnych żądz spał sobie w najlepsze; typowy facet. Potem jego pani wyszła do pracy, by wspólnie z kolegami i koleżankami ukrócić te praktyki rodem z Dzikiego Zachodu.

Kilka miesięcy później, gdy urzędnicze i polityczne młyny przemieliły sprawę, właściciel nieruchomości, firma Holger & Holger SA, został poinformowany, że zgodnie z rozdziałem drugim, paragraf piętnasty stosownej ustawy nieruchomości przy Fredsgatan 5 zostanie wywłaszczona, opróżniona, a w końcu zburzona. Z chwilą, gdy postanowienie ogłoszono w gazecie, gmina wywiązała się ze swoich zobowiązań, ale kierowniczka, a zarazem właścicielka napalonego psa, kierując się zwykłą ludzką przyzwoitością, postanowiła powiadomić jeszcze o tym listownie wszystkich ewentualnych mieszkańców nieruchomości.

List trafił do skrzynki w czwartkowe przedpołudnie 14 sierpnia 1994 roku. Oprócz różnych paragrafów pismo zawierało też informację dla ewentualnych mieszkańców, że do 1 grudnia muszą się wyprowadzić.

Jako pierwsza list przeczytała jak zawsze wściekła Celestine. Wcześniej tego ranka pomachała na pożegnanie swojemu zmasakrowanemu chłopakowi; mimo wydarzeń dnia poprzedniego uparł się, że pojedzie do pracy.

Teraz znów się wkurzyła. Popędziła do Nombeko, wymachując tym okropnym papierem. Pozbawieni uczuć urzędnicy wyrzucają

zwykłych, uczciwych ludzi na bruk!

– Tyle że my nie jesteśmy ani szczególnie zwykli, ani uczciwi – powiedziała Nombeko. – Chodź ze mną i z Holgerem do kącika wypoczynkowego w magazynie, zamiast wkurzać się o taką pierdołę. Właśnie zamierzaliśmy się napić przedpołudniowej herbaty. Ty możesz z powodów politycznych pić kawę. Obgadamy to na spokojnie.

Na spokojnie? Teraz, kiedy w końcu – w końcu! – pojawiła się barykada, na której może stanąć? Niech Nombeko i Holger piją sobie tę swoją pierdoloną herbatkę w swoim pierdolonym kąciku. Ona zamierza zorganizować protest! Stańmy do walki z uciskiem!

Młoda gniewna zmięła urzędowe pismo, po czym wściekła (jakżeby inaczej?) wypadła na dziedziniec. Z czerwonej ciężarówki Holgerów odkręciła kradzione tablice rejestracyjne, usiadła w kabinie, uruchomiła samochód i wycofała go tak, by zablokował portal łączący magazyn z Fredsgatan 5 i prowadzący na wspólny dziedziniec. Zaciągnęła hamulec ręczny, wyslizgnęła się przez boczną szybę, wrzuciła kluczyki do studzienki kanalizacyjnej i przebiła wszystkie opony pojazdu, żeby uniemożliwić jego przestawienie i tym samym udaremnić wszelkie próby dotarcia do budynku.

Uczyniwszy pierwszy wojenny krok przeciwko społeczeństwu, z tablicą rejestracyjną pod pachą wróciła do Holgera i Nombeko, by im oznajmić, że czas kończyć picie herbatki (czy raczej kawy) w kąciku wypoczynkowym, bo oto rozpoczyna się okupacja budynku! Po drodze zgarnęła Amerykanina. Chciała, by zebrali się w możliwie jak największym gronie. Szkoda tylko, że jej ukochany Holger jest akurat w pracy. Trudno. Do boju!

Holger 2 i Nombeko siedzieli obok siebie na bombie, kiedy do magazynu wpadła Celestine, ciągnąc za sobą niczego nieświadomego garncarza.

– To wojna! – oznajmiła.

– Ach tak? – zdziwiła się Nombeko.

– CIA? – zapytał garncarz.

– Dlaczego masz przy sobie tablice rejestracyjne mojego samochodu? – spytał Holger 2.

– Są przecież kradzione – odpowiedziała młoda gniewna. – Uznałam, że...

W tym momencie nad głowami usłyszeli jakiś łoskot. To Holger 1, pokonawszy dystans sześciuset metrów z prędkością ponad dwustu kilometrów na godzinę, wpadł przez spróchniały dach magazynu – i wylądował na pięćdziesięciu tysiącach sześciuset czterdziestu poduszkach.

– Cześć, kochanie! – rozpromieniła się młoda. – Sądziłam, że jesteś w Brommie?

– To ja żyję? – zdziwił się Holger 1 i chwycił się za bark. Po pobiciu była to jedyna część jego ciała, która go nie bolała. Teraz tymże barkiem zawadził o dachówkę. Dach momentalnie ustąpił pod jego ciężarem i impetem upadku z dużej wysokości.

– Na to wygląda – odparła Nombeko. – Ale dlaczego właściwie wszedłeś przez dach?

Holger 1 ucałował Celestine w policzek. Potem poprosił brata o podwójną whisky. Albo nie, potrójną. Musi opróżnić szklaneczkę, sprawdzić, czy wszystkie organy są na swoim miejscu, pozbierać myśli, pobyć przez chwilę sam. Potem wszystko opowie.

Holger 2 i pozostali spełnili życzenie Pierwszego i pozostawili go samego z whisky, poduszkami oraz skrzynią.

Młoda gniewna sprawdziła, czy okupacja doprowadziła do jakichś zamieszek. Nie. Nic dziwnego. Po pierwsze, mieszkają przy mało ruchliwej ulicy na obrzeżach dzielnicy przemysłowej, w sąsiedztwie składowiska złomu. Po drugie, nie wszyscy przecież domyślają się, że stojąca w bramie ciężarówka z przebitymi oponami oznacza okupację.

Okupacja, którą nikt się nie interesuje, nie zasługuje na to miano. Młoda gniewna postanowiła skierować sprawy na właściwy tor. Przedzwoniła w parę miejsc. Najpierw do dziennika „Dagens Nyheter”, potem do Radia Sörmland, a w końcu do „Södermanlands Nyheter”. W „DN” jej wywody skwitowano ziewnięciem. Z perspektywy Sztokholmu Gnesta leży prawie na końcu świata. W redakcji Radia Sörmland w Eskilstunie przełączono ją do Nyköping. Tam z kolei poproszono ją, by zadzwoniła po przerwie obiadowej. Najbardziej zainteresowali się w „Södermanlands

Nyheter”. Zmienił jednak nastawienie, gdy okazało się, że na miejscu nie ma policji.

– Czy tę pani okupację można w ogóle nazwać okupacją, skoro nikt poza panią nie twierdzi, że coś jest okupowane? – odpowiedział filozoficznie usposobiony (i prawdopodobnie leniwy) redaktor gazety.

Młoda gniewna poleciła wszystkim trzem dziennikarzom, by poszli do diabła. Po czym zadzwoniła na policję. Odebrała jakąś nieszczęsna telefonistka na posterunku w Sundsvall.

– Policja, w czym mogę pomóc?

– Cześć, podła glino – przywitała się młoda gniewna. – Nadeszła pora, byśmy roznieśli w drobny mak to całe kapitalistyczne społeczeństwo złodziei. Władza ma wrócić do ludu!

– O co chodzi? – zapytała przerażona telefonistka, która zresztą nie była policjantką.

– Zaraz się dowiesz, głupia krowo. Zajęliśmy pół Gnesty. A jeśli nasze żądania nie zostaną spełnione...

Tu młoda gniewna straciła wątek. Skąd jej się wzięło to „pół Gnesty”? Czego żądają? I co zrobią, jeśli żądania nie zostaną spełnione?

– Pół Gnesty? – zdziwiła się telefonistka. – Przełączę panią...

– Fredsgatan pięć – przerwała jej młoda gniewna. – Głucha jesteś?

– Dlaczego okupujecie... a tak poza tym, kim właściwie jesteście?

– Nie twój interes. Jeśli nasze żądania nie zostaną spełnione, skoczmy jeden po drugim z dachu, a krew zaleje całą okolicę.

Pytanie, kto był bardziej zaskoczony: telefonistka czy sama Celestine.

– Ależ proszę pani... – powiedziała telefonistka. – Proszę nie odkładać słuchawki. Łączę z...

Dalej nie doszła, bo młoda gniewna rzuciła słuchawką. Powiadomiła w każdym razie policję. Ale nie powiedziała tego, co myślała, że powie, o ile w ogóle myślała. No, ale teraz okupacja jest już faktem. I dobrze.

W tym momencie do drzwi pokoju Celestine zapukała Nombeko. Holger 1 wyłopał swoją podwójną czy też potrójną whisky i jakoś

się pozbierał. Chce im coś powiedzieć. Celestine jest proszona do magazynu, ma przyprowadzić garncarza.

– Wiem, co kryje skrzynia – zaczął Holger 1.

Rozumiejąca prawie wszystko Nombeko tego akurat nie zrozumiała.

– Jak to? – zdziwiła się. – Wpadasz przez dach i ni z tego, ni z owego oznajmiasz, że wiesz coś, czego nie wiedziałeś przez siedem lat. Byłeś w niebie i zawróciłeś? Z kim w takim razie tam rozmawiałeś?

– Zamknij gębę, pierdolona sprzątaczko – powiedział Holger i Nombeko natychmiast zrozumiała, że Pierwszy musiał być w kontakcie z Mosadem, ewentualnie podczas swojej wycieczki do nieba mógł wpaść na inżyniera. Przeciw temu drugiemu przemawiał fakt, że inżynier przebywał raczej w zgoła innym miejscu.

Holger 1 ciągnął swoją opowieść o tym, jak to siedział samotnie w biurze, mimo że polecono mu, by wrócił do domu, aż tu nagle w drzwiach pokazał się agent obcego wywiadu i zażądał, by Holger doprowadził go do Nombeko.

– Chyba do *sprzątaczki*? – poprawiła go Nombeko.

Grożąc mu pistoletem, mężczyzna zmusił go, by wszedł do jedyne go dostępnego helikoptera, po czym zarządził kurs do Gnesty.

– Czy to oznacza, że w każdej chwili może tu wpaść przez dach wkurzony agent obcego wywiadu? – zapytał Holger 2.

Nie, to im nie grozi. Agent zmierza właśnie nad otwarte morze i wkrótce do niego wpadnie, gdy już skończy mu się paliwo. Holger z kolei skoczył z helikoptera, by uratować życie bratu i Celestine.

– No i mnie – dodała Nombeko. – Taki efekt uboczny.

Holger 1 przeszył ją wzrokiem i powiedział, że wolałby wylądować na głowie Nombeko niż na poduszkach. W życiu brakowało mu szczęścia.

– Chyba jednak miałeś właśnie odrobinę szczęścia – zauważył Holger 2, niezwykle poruszony tym, co się wydarzyło.

Celestine rzuciła się swojemu bohaterowi w ramiona, wyściskała go i wycalowała. Nie mogła już wytrzymać.

- Powiedz, co jest w skrzyni. Mów, mów, mów!
- Bomba atomowa – odpowiedział Holger 1.

Celestine puściła swojego wybawiciela i ukochanego. Zastanowiła się przez ułamek sekundy i podsumowała sytuację krótko:

- Oj.

Nombeko zwróciła się w stronę Celestine, garncarza i Holgera 1 i oświadczyła, że w obliczu tego, czego się właśnie dowiedzieli, ważne jest, by nie ściągali na Fredsgatan niczyjej uwagi. Jeśli po magazynie zaczną biegać różni ludzie, może się zdarzyć wypadek. I to nie byle jaki wypadek.

– Bomba atomowa? – zdziwił się garncarz, który wszystko słyszał, ale nie ogarniał.

– Biorąc pod uwagę to, co teraz wiem, śmiem twierdzić, że moglibyśmy się obyć bez działań, które właśnie podjęłam – oznajmiła Celestine.

- Co? – powiedziała Nombeko.

Na ulicy rozległo się wołanie przez megafon.

- Policja! Jeśli ktoś jest w środku, niech poda swoją tożsamość!

– No właśnie, tak jak wspomniałam – dodała młoda gniewna.

- CIA! – powiedział garncarz.

– Dlaczego CIA miałyby się pojawić tylko dlatego, że jest tu policja? – zapytał Holger 1.

- CIA! – powtórzył garncarz kolejny raz i jeszcze kolejny.

– Chyba się zaciął – powiedziała Nombeko. – Kiedyś spotkałam tłumacza, któremu przytrafiło się to samo po tym, jak skorpion ukąsił go w palec u nogi.

Garncarz jeszcze kilka razy powiedział to samo, po czym zamilkł. Siedział na krześle i gapił się przed siebie z otwartymi ustami.

- Sądziłem, że już mu lepiej – powiedział Holger 2.

Znów usłyszeli głos z megafonu:

– Policja! Jeśli ktoś tam jest, niech się pokaże! Wjazd jest zablokowany, rozważamy wejście do środka siłą. Otrzymaliśmy informację i traktujemy ją bardzo poważnie!

Młoda gniewna opowiedziała wszystkim, co zrobiła, a mianowicie, że rozpoczęła okupację budynku, jako broni używając między innymi ciężarówki. Poinformowała o tym policję. I trochę im nagadała, to fakt.

– Co zrobiłaś z moim samochodem? – zapytał Holger 2.

– Twoim? – zdziwił się Holger 1.

Młoda gniewna poradziła Drugiemu, żeby nie czepiał się szczegółów. Tu chodzi o obronę istotnych demokratycznych wartości i jedna przebita opona to w tym kontekście nic. Skąd miała wiedzieć, że sąsiedzi przechowują w magazynie bomby atomowe?

– Bombę. W liczbie pojedynczej – sprostował Holger 2.

– O mocy trzech megaton – dodała dla równowagi Nombeko.

Garncarz syknął coś, czego nie można było dosłyszeć, prawdopodobnie nazwę służby bezpieczeństwa, z którą miał na pieńku.

– Chyba jednak nie czuje się lepiej – skomentowała Nombeko.

Holger 2 nie chciał przedłużać dyskusji na temat ciężarówki. Co się stało, to się nie odstanie. Zastanawiał się tylko, jakimi demokratycznymi zasadami kierowała się Celestine. Chodziło zresztą o *cztery* marne przebite opony, nie o jedną, ale to też przemilczał. Tak czy siak, sytuacja była skomplikowana.

– Gorzej chyba być nie może – powiedział.

– Czyżby? – odparła Nombeko. – Popatrz na garncarza. Coś mi się zdaje, że nie żyje.

Rozdział 15

O zamordowaniu już martwego mężczyzny i dwojgu oszczędnych ludziach

Wszyscy spojrzeli najpierw na garncarza, a następnie na Nombeko. Wszyscy poza garncarzem, który patrzył przed siebie.

Nombeko zrozumiała, że życiowe plany jej i Drugiego po raz kolejny trzeba odłożyć na nieokreśloną przyszłość, może nawet zupełnie z nich zrezygnować. A żale nad tym, co nigdy nie nastąpiło, pozostawić na potem, jeśli to potem w ogóle nastąpi.

Teraz przede wszystkim trzeba powstrzymać policjantów. Z co najmniej dwóch powodów. Jednym jest ryzyko, że sforsują południową ścianę magazynu i wwiercą się albo wspawają prosto w trzymegatonową bombę.

– Ale by byli zdziwieni – powiedział Holger 2.

– Nie, jak już, to martwi – poprawiła go Nombeko. – Drugi problem to te zwłoki na krześle.

– À propos garncarza – powiedział Holger 2. – Czy on przypadkiem nie wykopał tunelu, którym miał zamiar uciec, gdyby przyszło po niego CIA?

– Dlaczego w takim razie tego nie zrobił, tylko usiadł i umarł? – zapytał Holger 1.

Nombeko wyraziła uznanie dla tunelowego pomysłu Drugiego, a Pierwszemu odpowiedziała, że pewnie któregoś dnia sam się o tym przekona. Postanowiła poszukać tunelu, o ile w ogóle istnieje, sprawdzić, dokąd prowadzi i czy pomieści bombę atomową. Czasu mieli niewiele, nie wiadomo było, kiedy tamci na zewnątrz się rozkręcą.

– Za pięć minut wkraczamy do budynku! – powiedział przez megafon jeden z policjantów.

Pięć minut to oczywiście za mało, by:

- 1) odszukać tunel domowej roboty,
- 2) dowiedzieć się, dokąd prowadzi,
- 3) posiłkując się szynami, linami i fantazją, tak wszystko zorganizować, by uciekając, móc zabrać bombę.

Jeśli się zmieści. W tunelu, który być może nie istnieje.

Młoda gniewna miała coś na kształt wyrzutów sumienia, o ile w ogóle była do tego zdolna. Podczas rozmowy z policją słowa padały trochę, jak chciały.

Teraz pomyślała, że można by to obrócić na ich, mieszkańców, korzyść.

– Wiem chyba, jak możemy zyskać nieco czasu – powiedziała.

Nombeko zachęciła ją, by jak najszybciej opowiedziała im o swoim pomysle, bo za cztery i pół minuty policja może zacząć wiercić w bombie.

No więc, zaczęła Celestine, trochę ją poniosło podczas rozmowy z glinami, nawet jeśli to oni zaczęli, bo gdy zadzwoniła, odpowiedzieli słowem „policja”. Wypowiedzianym zresztą niezwykle prowokacyjnym tonem.

Nombeko poprosiła Celestine, by przeszła do rzeczy.

No tak, do rzeczy. Chodzi o to, że gdyby mieszkańcy spełnili groźby, o których wspomniała policji, te gnoje tam mogłyby się nieźle zdziwić. Byłoby to dość... no, jak to się mówi... nieetyczne. Ale garncarz nie miałby chyba nic przeciwko temu.

Młoda gniewna opowiedziała o swoim pomysle. Co o tym sądzą?

– Pozostały cztery minuty – powiedziała Nombeko. – Pierwszy, ty bierzesz za nogi, a ty, Drugi za głowę. Ja przytrzymam tułów.

W momencie, kiedy Pierwszy i Drugi podźwignęli dziewięćdziesięciopięciokilogramowego byłego garncarza, zadzwoniła służbowa komórka Holgera 1. Szef poinformował go, że skradziono jeden z helikopterów. Oczywiście tuż po tym, jak Holger pojechał do domu lizać rany. W przeciwnym razie na pewno udaremniłby kradzież. Czy mógłby zawiadomić policję i skontaktować się z ubezpieczycielem? Nie? Pomaga znajomemu w przeprowadzce? No dobrze, niech tylko nie dźwiga ciężarów.

* * *

Dowodzący akcją zdecydował, że nowe wejście wytną w południowej ścianie magazynu. Groźby brzmiały dramatycznie. Nie wiadomo, kto tam szaleje. Najłatwiej byłoby, gdyby usunęli za pomocą traktora blokującą bramę ciężarówkę. Ale samochód to może być przecież pułapka, podobnie zresztą jak okna w budynku. Najbezpieczniej będzie utorować sobie drogę przez ścianę.

– Uruchom agregat, Björkman – rozkazał.

W tym momencie za firanką jednego z okien na poddaszu mignęła jakaś postać. Słabo ją było widać, ale słyszać i owszem:

– Nie dopadniecie nas! Jeśli wtargniecie do środka, skoczymy jeden po drugim! Słyszycie? – wrzasnął Holger 2 dzikim i przepełnionym desperacją tonem.

Dowódca powstrzymał Björkmana. Kto się tak drze? O co mu chodzi?

– Kim jesteście? Czego chcecie? – zapytał przez megafon.

– Nigdy nas nie dopadniecie! – ponownie odezwał się głos zza firanki.

Wtedy w oknie pokazał się jakiś mężczyzna i przechylił się przez parapet. Czy ktoś mu pomaga...? Ma zamiar skoczyć? Zamierza skoczyć i zabić się tylko dlatego, że...

Ożeż kurwa!

Mężczyzna skoczył. I sfrunął na asfalt. Tak jakby był wolny od wszelkich trosk, jakby postanowił, że zrobi to, co właśnie zrobił. Podczas spadania nie wydał z siebie żadnego głosu. Nie machał rękami.

Runął na głowę. Trzask i głuchy stuk. Mnóstwo krwi. Na pewno nie przeżył.

Natychmiast zaniechano forsowania ściany.

– Niech to szlag – powiedział pracujący przy agregacie policjant, który na ten widok dostał mdłości.

– Co teraz, szefie? – zapytał jego kolega po fachu, który zresztą też nie czuł się najlepiej.

– Przerywamy akcję – odpowiedział dowódca, który prawdopodobnie czuł się najgorzej z całej trójki. – Ściągamy ze Sztokholmu Krajową Jednostkę do Zadań Specjalnych.

* * *

Amerykański garncarz miał tylko pięćdziesiąt dwa lata. Przez całe życie prześladowały go wspomnienia z wojny w Wietnamie, dręczyły go także urojenia prześladowcze. Ale kiedy Nombeko i Chinki pojawiły się w jego życiu, wszystko zaczęło się układać. Prawie znikły jego paranoidalne lęki, poziom adrenaliny nie był już tak wysoki, a organizm odzwyczaił się od tego, że musi sobie z nią radzić. Kiedy więc ci, których miał za agentów CIA, zapukali do drzwi, wszystko potoczyło się tak szybko, że poziom adrenaliny nie zdążył zająć pozycji obronnych, które mogłyby ochronić jego organizm. Garncarz dostał migotania komór serca. Jego źrenice rozszerzyły się, a serce przestało bić.

W takiej sytuacji człowiek wygląda najpierw, jakby nie żył, po czym faktycznie umiera. A jeśli na dodatek tenże człowiek zostaje wyrzucony głową w dół z okna na czwartym piętrze na asfalt – wtedy umiera po raz kolejny, o ile wcześniej tego nie zrobił.

Holger 2 zarządził powrót do magazynu i trzydziestosekundową chwilę ciszy dla tego, którego już między nimi nie było. Podziękował także za nieocenioną pomoc w tych trudnych okolicznościach. Następnie przekazał dowództwo Nombeko. Ona podziękowała mu za zaufanie i poinformowała, że odnalazła oraz zlustrowała tunel garncarza. Wygląda na to, że po śmierci pomoże im nie raz, ale dwa razy.

– Nie tylko wykopał długie na sto czterdzieści metrów przejście do warsztatu po drugiej stronie ulicy. Utrzymał je także w dobrym stanie, pociągnął do niego prąd, zapewnił zapasowe lampy naftowe, zgromadził zapas konserw i wody na kilka miesięcy... Krótko mówiąc: miał naprawdę nierówno pod sufitem.

– Niech spoczywa w spokoju – powiedział Holger 1.

– Czy tunel jest dostatecznie szeroki? – zapytał Holger 2.

– Skrzynia się zmieści – odparła Nombeko. – Zostanie jeszcze trochę miejsca.

Rozdzieliła zadania. Celestine miała przejść się po mieszkaniach, zabrać wszystko, co mogłoby do nich doprowadzić, resztę zostawić.

– Poza jedną rzeczą – dodała. – W moim pokoju leży plecak. Są w nim ważne przedmioty. Przydadzą nam się w przyszłości.

Dziewiętnaście milionów sześćset tysięcy ważnych przedmiotów, pomyślała.

Zadaniem Holgera 1 było przejść tunelem do warsztatu ceramicznego i przyprowadzić wózek. Drugiemu zaś uprzejmie poleciła, by na powrót przekształcił kącik relaksacyjny w zwykłą skrzynię.

– Zwykłą? – zdziwił się.

– Do roboty, kochanie.

Wszyscy zabrali się do pracy.

Tunel stanowił wybitny przykład paranoidalnej sztuki inżynierskiej. Wysokie sklepienie, proste ściany, sprawiający wrażenie solidnego system chroniących przed zawaleniem krzyżujących się belek. Prowadził do piwnicy warsztatu ceramicznego, a kończył się wyjściem na tyły budynku, niewidocznym dla powiększającej się zgrai ludzi na Fredsgatan 5.

Ważąca osiemset kilogramów bomba atomowa jest dokładnie tak trudna do przetransportowania czterokołowym wózkiem, jak się to mogło wydawać. A jednak po niespełna godzinie znajdowała się na przecznicy Fredsgatan, dwieście metrów od rozgorączkowanego tłumu przed budynkiem, pod który właśnie zajechała Krajowa Jednostka do Zadań Specjalnych.

– Zwiewamy stąd – powiedziała Nombeko.

Holgerowie i Nombeko pchali wózek, a młoda gniewna sterowała drażkiem.

Poruszali się powoli po bocznej, asfaltowej drodze, kierując się w głąb sörmlandzkiej wsi. Kilometr od oblężonej Fredsgatan. Dwa kilometry. I tak dalej.

Bywało, że wszystkim, oprócz Celestine, było bardzo ciężko. Ale po trzech kilometrach, gdy już przetaszczyli wózek przez niemal niedostrzegalny wierzchołek, odetchnęli z ulgą. Wreszcie droga zaczęła opadać lekko w dół. Pierwszy, Drugi i Nombeko zafundowali sobie zasłużony odpoczynek.

Trwał kilka sekund.

Nombeko pierwsza zdała sobie sprawę, co się święci. Wrzasnęła do Holgerów, by docisnęli z drugiej strony. Drugi zrozumiał i szybko jej usłuchał, do Pierwszego też chyba dotarło. Tyle że akurat przystanął, żeby się podrapać po tyłku, i został nieco z tyłu.

To, że Pierwszy się zagapił, nie wpłynęło jednak znacząco na rozwój wypadków. Za późno było już w momencie, gdy osiemset kilo zaczęło toczyć się w dół.

Celestine poddała się ostatnia. Wybiegła przed bombę i próbowała jeszcze jakoś pokierować wózkiem. Ale ostatecznie także ona zdała sobie sprawę, że to próżny trud. Wtedy zablokowała drążek i odskoczyła. Potem pozostawało już tylko przyglądać się, jak trzy megatony broni masowej zagłady toczą się z góry po wąskiej wiejskiej drodze. Wraz z przywiązany do skrzyni plecakiem z dziewiętnastoma milionami sześciuset tysiącami koron.

– Ktoś ma jakiś pomysł, jak w dziesięć sekund znaleźć się pięćdziesiąt osiem kilometrów stąd? – zapytała Nombeko, patrząc za oddalającą się bombą.

– Pomysły nie są moją mocną stroną – przypomniał Holger 1.

– Za to potrafisz drapać się po tyłku – powiedział jego brat i pomyślał, że jak na ostatnie w życiu te słowa są dość dziwne.

Dwieście metrów dalej droga nieznacznie skręcała w lewo. W odróżnieniu od bomby na kółkach, która toczyła się dalej po linii prostej.

* * *

Pan i pani Blomgren doskonale się dobrali – oboje uważali oszczędność za najwyższą z cnót. Od prawie czterdziestu dziewięciu lat Margareta krótko trzymała swojego Harry'ego, on zaś równie

krótko trzymał ich wspólną kasę. Sami uważali siebie za odpowiedzialnych. Każda postronna osoba nazwałaby ich skąpymi.

Przez całe życie Harry parał się handlem złomem. Jako dwudziestopięciolatek odziedziczył po ojcu złomowisko. Ostatnią rzeczą, jaką ojciec zrobił, zanim wpadł pod chryslera new yorkera, było zatrudnienie pewnej młodej dziewczyny do pracy w księgowości. Spadkobierca Harry uważał to za okropne marnotrawstwo. Aż kiedyś dziewczyna – Margareta właśnie – zaproponowała pobieranie opłaty za wystawienie faktury i odsetek za zwłokę. Harry od razu się w niej zakochał, oświadczył się i został przyjęty. Wesele odbyło się na złomowisku. Trzech pozostałych pracowników firmy nowożeńcy zaprosili za pośrednictwem ogłoszenia na tablicy w korytarzu. Na imprezę składkową.

Nie mieli dzieci. Oznaczałyby dodatkowe koszty, które Harry i Margareta podliczali w nieskończoność, aż nie mieli już powodu, żeby liczyć.

Za to ułożyło im się z mieszkaniem. Przez dwadzieścia lat żyli pod jednym dachem z mamą Margarety w jej domu w Ekbacce. Wreszcie stara zmarła. Z natury była zmarzluchem i przez te wszystkie lata wciąż narzekała, że Harry i Margareta zimą za słabo grzeją i nawet od środka szyby zasnuwają się szronem. Teraz było jej lepiej tam, gdzie nie ma szronu – głęboko w ziemi na cmentarzu w Herrljundze. Harry i Margareta zgadzali się też co do tego, że nie warto wydawać pieniędzy na kwiaty.

Matka Margarety miała sympatyczne hobby: na niewielkim pastwisku przy drodze wypasała trzy owce. Jeszcze zanim staruszka zdążyła ostygnąć – choć nigdy nie było jej szczególnie ciepło – Harry i Margareta zarznęli owieczki i je skonsumowali. A pozostawiona na pastwę losu rozeschnięta owczarnia butwiała.

W końcu małżonkowie przeszli na emeryturę, sprzedali złomowisko, pokończyli odpowiednio siedemdziesiąt i siedemdziesiąt pięć lat i postanowili zrobić coś z rudera na pastwisku. Harry rozbierał budę, a Margareta układała na stosie deski. Następnie wszystko podpalili. Harry pilnował ogniska uzbrojony w gumowy wąż, w razie gdyby ogień zaczął się rozprzestrzeniać. Przy boku miał, jak zawsze, żonę Margarete.

Wtedy usłyszeli łoskot. Wążąca osiemset kilogramów bomba atomowa w skrzyni na kółkach wjechała przez ogrodzenie na dawne pastwisko państwa Blomgrenów i zatrzymała się dopiero w ognisku.

– Co u licha? – zdziwiła się pani Blomgren.

– Nasz płot! – dodał pan Blomgren.

Po czym zamilkli i patrzyli na pędzącą za wózkiem i skrzynią czwórkę ludzi.

– Dzień dobry – przywitała się Nombeko. – Czy mógłby pan być tak miły i zagasić ten ogień? Niezwłocznie.

Harry Blomgren nie odpowiedział. Stał niewzruszony.

– Niezwłocznie – powtórzyła Nombeko. – Czyli teraz!

Ale stary nie ruszał się ze swojego miejsca. W ręku trzymał niewłączony wąż ogrodowy. Drewniane elementy wózka zaczynały się tlić. Plecak płonął w najlepsze.

Harry Blomgren otworzył usta.

– Woda nie jest za darmo – powiedział.

W tym momencie rozległ się huk.

Przy pierwszej eksplozji Nombeko, Celestine, Holger i Holger doznali czegoś, co przypominało zatrzymanie akcji serca, które jakąś godzinę temu przerwało życie garncarza. Ale w odróżnieniu od niego doszli do siebie, gdy dotarło do nich, że w powietrze wyleciała opona wózka, a nie cała okolica.

To samo stało się po chwili z oponą drugą, trzecią i czwartą. Harry Blomgren nadal odmawiał polania skrzyni i plecaka wodą. Najpierw chciałby się dowiedzieć, kto mu zwróci za ogrodzenie. No i za wodę.

– Pan chyba nie do końca rozumie powagę sytuacji – powiedziała Nombeko. – W skrzyni znajduje się... materiał łatwo palny. Jeśli za bardzo wzrośnie temperatura, to się źle skończy. Potwornie źle. Proszę mi wierzyć!

Odpuściła już sobie plecak. Dziewiętnaście milionów sześćset tysięcy koron poszło z dymem.

– A dlaczego miałbym wierzyć jakiejś dzikusce i jej bandzie? Proszę najpierw powiedzieć, kto mi zwróci pieniądze za uszkodzony płot!

Do Nombeko dotarło, że wiele tu nie wskóra. Dlatego zwróciła się o pomoc do Celestine. Której młoda gniewna ochoczo udzieliła. Żeby nie przedłużać, oświadczyła:

– Zgaś ten ogień, inaczej cię zabiję!

W oczach dziewczyny Harry Blomgren zobaczył, że to nie żarty, natychmiast więc jej posłuchał.

– Nieźle, Celestine – pochwaliła ją Nombeko.

– Moja dziewczynka – powiedział z dumą Holger 1.

Holger 2 zmilczał to. Pomyślał jednak, że to typowe: kiedy młoda gniewna w końcu powiedziała i zrobiła coś, z czego mogli mieć pożytek, musiała to być groźba śmierci.

Wózek był w połowie zwęglony, skrzynia miała osmalone krawędzie, po plecaku nie było śladu. Ale ogień został ugaszony. Świat był uratowany. Harry'emu Blomgrenowi powrócił rezon.

– Możemy w końcu przejść do kwestii rekompensaty?

Nombeko i Holger 2 jako jedyni wiedzieli, że mężczyzna, który chce dyskutować o zwrocie kosztów, właśnie puścił z dymem dziewiętnaście milionów sześćset tysięcy koron, bo chciał zaoszczędzić wodę. Z własnej studni.

– Pytanie, kto komu powinien zrekompensować straty – mruknęła Nombeko.

Rano ona i jej Holger mieli konkretną wizję przyszłości. Kilka godzin później ich byt był zagrożony, dwukrotnie. Obecne położenie plasowało się gdzieś pomiędzy. Twierdzić teraz, że życie jest usłane różami, byłoby według Nombeko lekką przesadą.

Harry i Margareta Blomgrenowie nie chcieli wypuścić nieproszonych gości, zanim nie wywalczą tego, co im się należy. Ale zrobiło się już późno. Harry zadowolili się ich wyjaśnieniami, że nie mają gotówki. Trochę było w plecaku, który właśnie spłonął. Teraz muszą poczekać, aż utworzą bank. Potem zajmą się wózkiem i zabiorą swoją skrzynię.

– No właśnie, à propos skrzyni – zainteresował się Harry Blomgren. – Co w niej jest?

– Nie interesuj się, dziadu – odpowiedziała młoda gniewna.

– Moje rzeczy osobiste – wyjaśniła Nombeko.

Wspólnymi siłami przenieśli osmaloną skrzynię z pozostałości wózka na przyczepę Harry’ego i Margarety. Nombeko udało się, dzięki wielu namowom i przy niewielkiej pomocy Celestine, skłonić pana Blomgrena, żeby zrobił w garażu miejsce dla skrzyni. W przeciwnym razie byłaby widoczna z drogi, a wtedy Nombeko nie zmrużyłaby oka.

W Ekbacce znajdował się domek dla gości, który państwo Blomgrenowie wynajmowali niemieckim turystom do czasu, aż trafili na czarną listę pośrednika za to, że pobierali dodatkowe opłaty za każdą pierdołę. Zainstalowali nawet automat na monety w toalecie.

Od tego czasu domek stał nieużywany, włączając w to automat (dziesięciokoronowa moneta za jedną wizytę w toalecie). Teraz można tam było zakwaterować intruzów.

Holger 1 i Celestine ulokowali się w salonie, a Drugi i Nombeko zajęli sypialnię. Margareta Blomgren zademonstrowała z niejaką rozkoszą, jak działa toaleta na monety, podkreślając przy tym, że nie życzy sobie, by sikano w ogrodzie.

– Można rozmienić? – zapytał Holger 1, któremu chciało się siku, i wręczył pani Blomgren stukoronowy banknot.

– Nawet nie waż się żądać opłaty za rozmienianie – ostrzegła młoda gniewna.

Ponieważ Margareta Blomgren nie miała odwagi tego powiedzieć, pieniądze nie zostały rozmienione. Kiedy się ściemniło i nic nie było widać, Pierwszy załatwił swoją potrzebę pod krzakiem bzu. Niestety, było jednak widać, bo państwo Blomgrenowie pogasili w kuchni światła i stali w oknie z lornetkami.

To, że niepożądani goście staranowali im wózkiem płot, było oczywiście niestosowne. Nie zrobili tego jednak z rozmysłem. To, że potem groźbami zmusili małżonków do marnotrawienia wody, by zapobiec spaleni ich mienia, było osobliwe i podchodziło pod czyn przestępczy. W najgorszym razie można to jednak wytłumaczyć ich desperacją.

Ale żeby celowo, wbrew wyraźnym instrukcjom stanąć przy krzewie bzu i oddawać mocz w ogrodzie – to było tak szokujące, że Harry i Margareta Blomgrenowie nie mogli opanować oburzenia. Toż to kradzież, gorszące zachowanie, kto wie, czy nie najgorsza rzecz, jaka im się kiedykolwiek przytrafiła.

– Ci chuligani zrujniają nas finansowo – powiedziała Margareta Blomgren.

Harry Blomgren pokiwał głową.

– Tak. Musimy coś z tym zrobić, zanim będzie za późno.

Nombeko, Celestine i Holgerowie położyli się spać. W tym czasie kilka kilometrów dalej Krajowa Jednostka do Zadań Specjalnych szykowała się do tego, by wkroczyć do budynku przy Fredsgatan 5. Na policję zadzwoniła Szwedka, a za firanką na czwartym piętrze stał szwedzkojęzyczny mężczyzna, ten, który potem skoczył. Zwłoki zostaną poddane obdukcji. Tymczasowo przechowywane są w stojącej na ulicy karetce. Po pierwszych oględzinach wiedzą, że to biały, mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna.

Były zatem co najmniej dwie osoby okupujące budynek. Policjanci, którzy obserwowali całe zajście, twierdzą, że za firanką widzieli więcej ludzi, ale pewności nie mieli.

Operacja rozpoczęła się w czwartek 14 sierpnia 1994 roku o godzinie 22.32. Wkroczyli z trzech stron, używając gazu, buldożera i helikoptera. Młodzi mężczyźni byli poddani dużej presji. Żaden z nich nie uczestniczył jeszcze w tak trudnej akcji, nic więc dziwnego, że w całym zamieszaniu oddali trochę strzałów. Jeden wzniecił nawet pożar w magazynie z poduszkami. Dym prawie uniemożliwił jakiejkolwiek działania.

Następnego ranka w kuchni państwa Blomgrenów dotychczasowi mieszkańcy domu przy Fredsgatan 5 dowiedzieli się z telewizji, jaki finał miał ów dramat.

Według wysłanych na miejsce zdarzenia reporterów programu informacyjnego *Ekot* toczyło się tam coś przypominającego wojnę. Co najmniej jeden z członków grupy operacyjnej został postrzelony w nogę, trzech inni zatruli się gazem. Wart dwanaście milionów

helikopter przymusowo lądował na tyłach nieczynnego warsztatu ceramicznego, ponieważ gęsty dym ograniczał widoczność. Buldożer spłonął, podobnie jak budynek, magazyn, cztery wozy policyjne i karetka pogotowia, w której na obdukcję czekało ciało samobójcy.

W sumie jednak akcję uznano za udaną. Wyeliminowano wszystkich terrorystów. Nadal jednak nie wiadomo ilu, ponieważ ich ciała strawił pożar.

– Rany boskie – jęknął Holger 2. – Krajowa Jednostka do Zadań Specjalnych tocząca wojnę sama ze sobą.

– Tak czy siak wygrali. To świadczy o pewnych kompetencjach – powiedziała Nombeko.

Przy śniadaniu państwo Blomgrenowie ani słowem nie wspomnieli, że trzeba będzie za nie zapłacić. Wręcz przeciwnie – milczeli. Zawzięcie. Jakby zawstydzeni. To wzbudziło podejrzliwość Nombeko, bo bardziej bezczelnych ludzi jeszcze nie spotkała. A przecież z różnymi ludźmi miała już do czynienia.

Miliony poszły z dymem. Na szczęście Holger 2 miał jeszcze na koncie osiemdziesiąt tysięcy (na nazwisko brata). Dodatkowo na koncie firmowym znajdowało się około czterystu tysięcy koron. Teraz muszą tylko spłacić tych okropnych ludzi, wynająć samochód z przyczepą i przenieść bombę z jednej przyczepy do drugiej. Po czym odjechać. Dokąd – to jeszcze należało ustalić. Byleby jak najdalej od Gnesty i Blomgrenów.

– Wczoraj wieczorem widzieliśmy, jak sikaliście w ogrodzie – wypaliła nagle pani Blomgren.

Pieprzony Holger 1, pomyślała Nombeko.

– Nie miałam pojęcia – powiedziała. – Bardzo mi przykro. Proponuję dodać dziesięć koron do naszego długu, o którym, jak sądziłam, mieliśmy właśnie porozmawiać.

– To już nie będzie konieczne – odparł Harry Blomgren. – Ponieważ nie można wam ufać, sami zrekompensowaliśmy sobie straty.

– Jak to? – zdziwiła się Nombeko.

– Materiały łatwo palne. Bzdury! Przez całe życie miałem do czynienia ze złomem. I niech mnie kule biją, złom się nie pali – ciągnął Harry Blomgren.

– Otworzyli państwo skrzynię? – zapytała Nombeko, przeczuwając najgorsze.

– Zaraz wam poprzegryzam gardła – wściekła się młoda gniewna, aż Holger 2 musiał ją siłą przytrzymać.

Sytuacja przerastała Holgera 1, więc po prostu wyszedł. Poza tym musiał odwiedzić ten sam krzaczek bzu co poprzedniego wieczora. Harry Blomgren odsunął się od młodej gniewnej. Cóż za odpychająca kobieta.

I mówił dalej to, co miał do powiedzenia. Słowa same wylatywały mu z ust, ćwiczył całą noc.

– Nadużyliście naszej gościnności, nie oddaliście nam pieniędzy, zasikaliście nasz ogród. Nie można wam ufać. Nie mieliśmy wyboru i sami zapewniliśmy sobie zwrot długu, od którego zamierzaliście się wykpić. Pozbyliśmy się waszego złomu.

– Pozbyliście się? – zapytał Holger 2 i wyobraził sobie zdetonowaną bombę atomową.

– Pozbyliśmy się – powtórzył Harry Blomgren. – W nocy wywieźliśmy starą bombę na złomowisko. Korona za kilogram. Fakt, według najniższej taryfy, ale zawsze coś. Ledwo uda się pokryć koszty naprawy szkód, które wyrządziliście. A nie doliczam do tego opłaty za nocleg w domku dla gości. I nie myślcie, że powiem wam, które to złomowisko. Dość już nabroiliście.

Kiedy Holger 1 powstrzymywał młodą gniewną przed popełnieniem podwójnego morderstwa, do Nombeko i jej ukochanego dotarło, że starzy nie mają pojęcia, iż to, co nazywali złomem, w rzeczywistości było dość nową i w pełni sprawną bombą.

Harry Blomgren oświadczył, że ponieważ została im niewielka nadwyżka pieniędzy, kwestię zużytej wody, zniszczonego płotu i zasikanego ogrodu można uznać za niebyłą. Pod warunkiem że od teraz będą sikać tylko i wyłącznie w toalecie. I że nie spowodują kolejnych szkód.

Holger 1 zmuszony był wynieść młodą gniewną. W ogrodzie udało mu się nieco ją uspokoić. Ale nadal warczała, że nie może

znieść widoku starego i starej. Oraz tego, co zrobili i powiedzieli.

Takiej reakcji Harry i Margareta Blomgrenowie nie przewidzieli, kiedy w nocy wieźli bombę na swoje dawne złomowisko, które teraz należało do ich dawnego współpracownika, Rune Runessona. Ta niezrównoważona kobieta postradała zmysły. Krótko mówiąc, oboje nie na żarty się wystraszyli. Z kolei Nombeko, która nigdy jeszcze nie była naprawdę wściekła, teraz była naprawdę wściekła. Zaledwie kilka dni temu ona i Drugi zaplanowali swoją przyszłość. Po raz pierwszy mieli wiarę, mieli nadzieję, mieli dziewiętnaście milionów sześćset tysięcy koron. Z tego wszystkiego nie zostało im nic oprócz państwa Blomgrenów.

– Drogi panie Blomgren – zaczęła. – Czy mogłabym zaproponować ugodę?

– Ugodę? – zdziwił się Harry Blomgren.

– Tak. Mój złom ma dla mnie szczególną wartość, panie Blomgren. Proponuję, aby pan Blomgren w ciągu dziesięciu sekund wyznał, dokąd go wywiózł. W zamian obiecuję, że powstrzymam kobietę w ogrodzie przed przegryzieniem wam gardeł.

Błady Harry Blomgren milczał. Nombeko ciągnęła:

– Jeśli potem pożyczycy nam pan swój samochód na czas nieokreślony, damę słowo, że kiedyś ewentualnie go oddamy oraz że nie rozbijemy waszej puszki na monety i nie podpalimy waszego domu.

Margareta Blomgren otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale powstrzymał ją mąż.

– Cicho, Margareto, ja się tym zajmę.

– Moje dotychczasowe propozycje były zawoalowane – mówiła dalej Nombeko. – Czy pan Blomgren chce, żebyśmy zmienili ton?

Taktyką Harry’go Blomgrena było milczenie. Margareta jeszcze raz spróbowała. Ale Nombeko była pierwsza:

– Czy to przypadkiem nie pani Blomgren uszyła ten obrus?

Pytanie zbiło Margaretę z tropu.

– Owszem – odpowiedziała.

– Piękny – stwierdziła Nombeko. – Czy pani Blomgren chciałaby, żebyśmy wetknęli go jej do gardła?

Holger 1 i młoda gniewna przysłuchiwali się tej wymianie zdań, stojąc w ogrodzie.

– Moja dziewczynka – powiedział Holger 2.

Jak wiadomo, nieszczęścia chodzą parami. Bomba została przewieziona na jedyne na świecie złomowisko, na którym nie powinna się znaleźć – to przy Fredsgatan 5 w Gneście. Harry Blomgren był teraz przekonany, że stawką jest ich życie. Dlatego w końcu zdradził, gdzie przewieźli bombę. Liczyli, że kupi ją od nich Rune Runesson, ale na miejscu zastali chaos. Dwa budynki w odległości zaledwie pięćdziesięciu metrów od złomowiska stały w płomieniach. Droga była w kilku miejscach zablokowana i nie dało się wjechać na podwórze Runessona.

Sam Runesson wstał i zjawił się w firmie, by przyjąć tę nocną dostawę. Przyczepę ze złomem musieli zostawić na ulicy, tuż za barierkami. Runesson obiecał zadzwonić, kiedy zostaną usunięte. Dopiero wtedy będą mogli sfinalizować transakcję.

– Dziękuję – powiedziała Nombeko, kiedy Harry Blomgren skończył. – A teraz, proszę, spieprzajcie, gdzie pieprz rośnie.

Po czym opuściła kuchnię państwa Blomgrenów, skrzyknęła wszystkich, młodą gniewną posadziła za kółkiem samochodu Harry’ego Blomgrena, Pierwszego na siedzeniu pasażera, a siebie i Drugiego na tylnej kanapie, by mogli przeprowadzić naradę strategiczną.

– No to w drogę – powiedziała i młoda gniewna ruszyła.

Obrała trasę przez tę część płotu państwa Blomgrenów, która była jeszcze nienaruszona.

Rozdział 16

O zaskoczonym agencie i uprawiającej ziemniaki hrabinie

Przez prawie trzy dziesięciolecia agent B wiernie służył Mosadowi i Izraelowi. Urodził się w Nowym Jorku w czasie wojny i w 1949 roku, wkrótce po utworzeniu państwa, jako dziecko przeprowadził się z rodzicami do Jerozolimy.

Już jako dwudziestolatek został wysłany na swoją pierwszą misję zagraniczną. Miał infiltrować lewicujących studentów Uniwersytetu Harvarda w Stanach Zjednoczonych, wyłapywać i analizować ich antyizraelskie nastroje.

Ponieważ rodzice dorastali w Niemczech, skąd uciekli w 1936 roku, by ratować życie, agent B posługiwał się biegle językiem niemieckim. Doskonale nadawał się więc do prowadzenia działalności w NRD lat siedemdziesiątych. Przez prawie siedem lat żył i pracował jako obywatel Niemiec Wschodnich. Musiał na przykład udawać kibica klubu piłkarskiego Karl-Marx-Stadt.

Ale udawał zaledwie przez kilka miesięcy. Wkrótce stał się bowiem równie zagorzałym fanem klubu, jak tysiące obiektów obserwacji wokół niego. I choć kapitalizm skopał komunizmowi tyłek, a miasto i drużyna zmieniły nazwę, uczucie B do klubu przetrwało. W dowód dyskretnego i nieco dziecinnego uwielbienia dla jednego z mało znanych, lecz obiecujących juniorów drużyny B działał teraz pod neutralnym, ale dobrze brzmiącym kryptonimem „Michael Ballack”. Pierwowzór był piłkarzem obunożnym, kreatywnym, dużo widzącym na boisku. Czekala go świetlana przyszłość. Agent B czuł ze swoim aliasem silne powinowactwo.

B stacjonował akurat w Kopenhadze, kiedy od A przyszła wiadomość o przełomowym wydarzeniu w okolicach Sztokholmu. A kiedy potem A już się nie odezwał, B otrzymał z Tel Awiwu polecenie, by podążyć jego śladem.

W piątek 15 sierpnia porannym lotem dotarł na lotnisko Arlanda, gdzie wynajął samochód. Pierwszy przystanek: adres, pod który poprzedniego dnia zamierzał udać się A. B starał się nie przekraczać dozwolonej prędkości, by nie splamić dobrego imienia obunożnego Ballacka.

Gdy dojechał wreszcie do Gnesty i ostrożnie skręcił we Fredsgatan, zastał tam – blokadę? Oraz doszczętnie spalone zabudowania, masę policjantów, wozy transmisyjne i zgraję gapiów.

A co to tam stoi na przyczepce? Czy to...? Niemożliwe. Po prostu niemożliwe. Ale czy to jednak może być...?

Nagle obok B wyrosła ona.

– Witam, panie agencie – powiedziała Nombeko. – Jak leci?

Nawet się nie zdziwiła, gdy ujrzała go za barierką, patrzącego na przyczepę z bombą, po którą przyjechała. Bo dlaczego agent nie miałby stać właśnie tam, właśnie wtedy, skoro wszystko inne, co mogło się wydarzyć, już się zdarzyło?

Agent B oderwał wzrok od bomby, odwrócił głowę i zobaczył – sprzątaczkę! Najpierw skradziona skrzynia na przyczepie, a teraz ta złodziejka. O co tu chodzi?

Nombeko odczuwała dziwny spokój. Miała świadomość tego, że agent jest bezradny i bez szans. Tuż obok nich znajdowało się co najmniej pięćdziesięciu funkcjonariuszy policji oraz dwieście innych osób, w tym połowa szwedzkich dziennikarzy.

– Ładny widok, nieprawdaż? – powiedziała i skinęła w stronę osmalonej skrzyni.

B milczał.

Obok Nombeko pojawił się Holger 2.

– Holger – powiedział i wyciągnął rękę, powodowany nagłym impulsem.

B spojrział na rękę, ale jej nie uściśnął. Zwrócił się do Nombeko:

– Gdzie mój kolega? – zapytał. – Tam, w pogorzeliśku?

– Nie. Z tego, co wiem, jeszcze niedawno był w drodze do Tallina. Nie wiem jednak, czy tam dotarł.

– Do Tallina?

– Tak, do Tallina – powiedziała Nombeko i dała młodej gniewnej znak, żeby wycofała samochód.

Podczas gdy Holger zapinał przyczepę, Nombeko tłumaczyła się przed agentem. Ma dużo spraw do załatwienia. Ona i jej przyjaciele muszą już jechać. Następnym razem powinni sobie dłużej pogadać. Jeśli oczywiście będą mieć to nieszczęście, że znów na siebie wpadną.

– Do widzenia, panie agencie – powiedziała Nombeko i usiadła na tylnym siedzeniu obok swojego Drugiego.

Agent B nie odpowiedział. Samochód z przyczepą odjeżdżał, a on rozmyślał.

Tallin?

* * *

B stał na Fredsgatan i próbował zrozumieć, co się właściwie wydarzyło.

Celestine skierowała się na północ. Pierwszy siedział obok niej, a Drugi dyskutował z Nombeko na tylnym siedzeniu. Kończyła im się benzyna. Młoda gniewna pomstowała, że ten stary, cholerny stary przyk, któremu zabrali samochód, nie pomyślał o tym. I zjechała na najbliższą stację benzynową.

Potem miejsce Celestine zajął Pierwszy. I tak nie ma już więcej płotów, które młoda gniewna mogłaby sforsować w gniewie. Nombeko zachęcała go zresztą, by zastąpił Celestine za kółkiem. Wystarczy już, że wiozą bombę atomową na przeładowanej przyczepie spiętej ze skradzionym samochodem. Niech chociaż auto prowadzi kierowca mający prawo jazdy.

Holger 1 jechał na północ.

– Dokąd zmierzasz, kochanie? – zapytała młoda gniewna.

– Nie wiem – odpowiedział Holger 1. – Nigdy nie wiedziałem.

Celestine rozmyślała. A może... mimo wszystko...?

– Do Norrtälje? – zasugerowała.

Nombeko przerwała naradę na tylnym siedzeniu. Głos Celestine zdradzał, że Norrtälje to nie jakaś pierwsza lepsza miejscowość.

– Dlaczego akurat do Norrtälje?

Celestine wyjaśniła, że tam właśnie mieszka jej babcia. Zdrajczyńi swojej klasy społecznej, trudno z nią wytrzymać. Ale okoliczności są, jakie są. Młoda gniewna jakoś przeżyje jedną noc w jej towarzystwie, o ile pozostali będą jej towarzyszyć. Babcia ma pole ziemniaków, może kilka wykopać i ich nimi nakarmić.

Nombeko poprosiła, by Celestine opowiedziała im o babci. W odpowiedzi usłyszała długą i dość składną historię.

Celestine nie widziała babci od ponad siedmiu lat. Przez ten czas ani razu ze sobą nie rozmawiała. Jako dziewczyna wakacje spędzała w Sjölidzie. Zawsze było... miło (słowo „miło” z trudem przeszło jej przez gardło; według niej nic takie nie jest). Jeszcze jako nastolatka Celestine zainteresowała się polityką. Zdała sobie sprawę, że żyje w społeczeństwie złodziei, gdzie tylko bogaci się bogacą. Ona zaś biedniała; ojciec obcinał jej kieszonkowe za każdym razem, kiedy nie chciała robić tego, co jej z matką kazali (prosilili na przykład, żeby przestała przy każdym śniadaniu nazywać ich kapitalistycznymi świniami). W wieku piętnastu lat wstąpiła do Partii Komunistycznej marksistów-leninistów (rewolucjonistów), częściowo ze względu na określenie w nawiasie. Kręciły ją rewolucyjne idee, chociaż nie miała pojęcia, jakiej właściwie pragnie rewolucji, od i do czego. Poza tym bycie marksistką-leninistką zaczynało być passé. Lewicę pokolenia '68 zastąpiła prawica lat osiemdziesiątych. Ustanowili nawet swój pierwszy maja, choć te mięczaki zdecydowały się na czwarty października.

Bycie passé, a zarazem buntowniczką najbardziej odpowiadało Celestine. To połączenie stanowiło poza tym doskonałe przeciwieństwo wszystkiego, w co wierzył jej ojciec. Tata był bowiem dyrektorem banku, a tym samym faszystą. Celestine wyobrażała sobie, jak ona i jej towarzysze wpadają do banku jej ojca i wymachując czerwonymi sztandarami, żądają nie tylko przywrócenia kieszonkowego Celestine, ale też zaległego kieszonkowego z odsetkami za okres, w którym nie było wypłacane.

Kiedy jednak na spotkaniu klubu zaproponowała, by lokalny oddział PKML(r) z wyżej wymienionych powodów udał się do siedziby Handelsbanken w Gneście, została wygwizdana, wyśmiana,

a wreszcie wykluczona z szeregów partii. Ugrupowanie zajmowało się wówczas głównie wspieraniem towarzysza Roberta Mugabe z Zimbabwe. Kraj właśnie odzyskał niepodległość i należało stworzyć państwo jednopartyjne. W tej sytuacji napady na szwedzkie banki, by odzyskać kieszonkowe członków PKML(r), nie wchodziło w rachubę. Przewodniczący regionalnego oddziału wyzwał ją od lesb (w tym czasie homoseksualizm był dla marksistów-leninistów czymś absolutnie najohydniejszym) i pokazał jej drzwi.

Wykluczona i bardzo młoda gniewna Celestine skupiła się więc na ukończeniu gimnazjum z najniższymi ocenami ze wszystkich przedmiotów; na znak protestu przeciwko rodzicom dołożyła wszelkich starań, by do tego doszło. Sprawdzian z angielskiego napisała na przykład po niemiecku, a w teście z historii, że epoka brązu rozpoczęła się 14 lutego 1972 roku.

Po ukończeniu szkoły położyła ojcu świadectwo na biurku, pożegnała się i przeprowadziła do babci w Roslagen. Mama i tata nie sprzeciwiali się, zakładali, że wcześniej czy później wróci. Miesiąc lub dwa wte czy wewte nie zrobią żadnej różnicy. Ocenę nie pozwalały jej dostać się do lepszego liceum – w ogóle do jakiegokolwiek liceum.

Babcia, już po sześćdziesiątce, ciężko pracowała na swoim odziedziczonym po rodzicach polu. Celestine pomagała jej, jak mogła. Nadal – podobnie jak w dzieciństwie – lubiła towarzystwo babci. Wtedy wybuchła bomba (niech Nombeko wybaczy to sformułowanie). Któregoś wieczora przy kominku babcia wyznała, że tak naprawdę jest *hrabiną*. Celestine nie miała o tym pojęcia. Co za cios!

– Jak to? – zupełnie szczerze zdziwiła się Nombeko.

– Chyba nie sądzisz, że mogłabym się bratać z klasą ciemniejszych? – powiedziała Celestine. Znów wpadła w ten tak dobrze znany Nombeko nastrój.

– Ale to przecież była twoja babcia? I nadal – jak rozumiem – jest?

Celestine odpowiedziała, że Nombeko nie jest w stanie tego pojąć. A ona, Celestine, nie zamierza się dalej rozwodzić na ten temat.

W każdym razie następnego dnia spakowała walizkę i wyjechała. Nie miała dokąd pójść, kilka nocy przespalała w kotłowni. Zorganizowała demonstrację pod bankiem ojca. Spotkała Holgera 1. Republikanina i syna urzędnika pocztowego niższego szczebla, który poległ w walce. Lepiej być nie mogło. To była miłość od pierwszego wejrzenia.

– A mimo to jesteś gotowa pojechać do babci? – zapytała Nombeko.

– Tak, a masz lepszy pomysł? W przyczepie wieziemy twoją pieprzoną bombę. Sama wolałabym pojechać do Drottningholm i zdetonować to ustrojstwo przed pałacem. Człowiek umarłby przynajmniej z godnością.

Nombeko zauważyła, że nie muszą jechać aż czterdziestu kilometrów do królewskiego pałacu, by unicestwić monarchię oraz wszystko inne. Mogą to zrobić na odległość. Pochwaliła za to jej pomysł z wizytą u babci.

– A zatem do Norrtälje – zarządziła i wróciła do rozmowy z Holgerem 2.

Drugi i Nombeko starali się zacierać za sobą wszelkie ślady, by uniemożliwić agentowi B ich ponowne odnalezienie.

Pierwszy musi więc jak najszybciej zwolnić się z pracy w Brommie. I nigdy już nie wracać do swojego mieszkania w Blackebergu. Krótko mówiąc, ma wziąć przykład z brata i istnieć możliwie jak najmniej.

Celestine też powinna przestać istnieć. Wcale jej się to nie uśmiechało. Jesienią miały się odbyć wybory do parlamentu, a potem głosowanie w sprawie członkostwa Szwecji w Unii Europejskiej. Brak adresu wiązał się z brakiem karty do głosowania, a bez niej nie mogła zagłosować na nieistniejącą partię Rozwalić To Całe Gówno. Jeśli chodzi o Unię, to zamierzała głosować na tak. Jeśli wszystko miałoby szlag trafić, lepiej, żeby Szwecja była w Unii.

Nombeko pomyślała, że wyprowadziła się z kraju, gdzie większość ludzi nie miała prawa do głosowania, do kraju, gdzie niektórzy mieć go nie powinni. Tak czy siak, postanowili, że młoda

gniewna założy sobie skrytkę pocztową gdzieś w okolicy Sztokholmu, a opróżniając ją, będzie pilnować, by nikt jej na tym nie przyłapał. To być może przesadna z ich strony dbałość o bezpieczeństwo, ale niestety dotąd wszystko, co mogło pójść źle, poszło źle.

W sprawie zacierania śladów niewiele więcej mogli zrobić. Należało jeszcze jak najszybciej skontaktować się z policją i porozmawiać o terrorystach, którzy podpalali siedzibę firmy dystrybuującej poduszki Holger & Holger. Lepiej dmuchać na zimne. Ale to potem. Teraz Nombeko zamknęła oczy, by trochę odsapnąć.

* * *

W Norrtälje zatrzymali się na chwilę, by kupić jedzenie, którym zamierzali wkraść się w łaski babci Celestine. Nombeko uznała wysyłanie gospodyni na pole po ziemniaki za kiepski pomysł.

Potem pojechali w stronę Vätö i za Nysätträ skęcili w szutrową drogę.

Sto metrów od miejsca, w którym kończyła się dróżka, mieszkała nieprzywykła do odwiedzin babcia. Kiedy więc zobaczyła wjeżdżający na posesję nieznany samochód z przyczepą, zanim wyszła na werandę, na wszelki wypadek uzbroiła się w sztucer po tatusiu.

Nombeko, Celestine i Holgerowie wysiedli z samochodu i zostali powitani przez starszą panią, która z uniesioną bronią poinformowała ich, że złodzieje i bandyci nie mają tu czego szukać. Nombeko, i tak już zmęczona, jeszcze bardziej opadła z sił.

– Jeśli musi już pani strzelać, to w ludzi, a nie w przyczepę.

– Cześć, babciu! – powiedziała młoda gniewna (o dziwo, całkiem radośnie).

Kiedy kobieta ujrzała swoją wnuczkę, odłożyła broń i wyściskała Celestine. Następnie przedstawiła się jako Gertrud i zapytała, kim są przyjaciele Celestine.

– Żadni tam przyjaciele – odpowiedziała Celestine.

– Mam na imię Nombeko – powiedziała Nombeko. – Trochę nam się sprawy pokomplikowały i bylibyśmy wdzięczni, gdyby dała się pani zaprosić na kolację w zamian za nocleg.

Kobieta rozważała przez chwilę to, co powiedziała Nombeko.

– Bo ja wiem – powiedziała w końcu. – No, ale jeśli powiecie, co z was za jedni i co serwujecie na kolację, to zobaczymy.

Jej wzrok spoczął na obu Holgerach.

– A ci, co wyglądają tak samo, co to za jedni?

– Jestem Holger – powiedział Holger 1.

– Ja też – przedstawił się Holger 2.

– Potrawka z kurczaka – oznajmiła Nombeko. – Co pani na to?

Potrawka z kurczaka – to słowo było kluczem do Sjölidy. Od czasu do czasu Gertrud zarzynała jedną ze swoich kurek, ale wiadomo, miło, jak ktoś poda człowiekowi jedzenie pod nos.

Nombeko zaczęła szykować kolację, a pozostali usiedli przy kuchennym stole. Gertrud nałała wszystkim, nie wyłączając kucharki, domowego piwa. Nombeko trochę się dzięki niemu ożywiła.

Celestine wyjaśniła babci, na czym polega różnica między Holgerem a Holgerem. Jeden to jej wspomniały chłopak, o drugim szkoda gadać. Nombeko ucieszyła się, że tak uważa, bo nigdy nie chciałyby się z nią zamienić.

Trudniej im było wyjaśnić, jak trafili do Sjölidy, jak długo zamierzają zostać i dlaczego ciągną za sobą przyczepę ze skrzynią. Gertrud zasadniczym tonem oznajmiła, że jeśli coś kombinują, niech to robią gdzie indziej. Celestine jest mile widziana, pozostali muszą jednak odejść.

– Pomówmy o tym przy jedzeniu – zaproponowała Nombeko.

Dwie szklanki piwa później potrawka była gotowa. Starsza pani zmiękla, zwłaszcza po tym, jak wzięła pierwszy kęs. Jednak nadal chciała wiedzieć, co się dzieje.

– Przy jedzeniu się mówi.

Nombeko zastanawiała się, jaką obrać strategię. Najłatwiej byłoby oczywiście nałgać, a potem jak najdłużej trzymać się tej

nieprawdziwej wersji.

Ale z Holgerem 1 i młodą gniewną na karku... ile czasu minie, aż coś wypałą? Tydzień? Dzień? Kwadrans? Co wtedy zrobi starsza pani, która jest być może taką samą choleryczką jak jej wnuczka? Nieważne, czy będzie miała przy sobie sztucer, czy nie.

Holger 2 spojrział z niepokojem na Nombeko. Nie ma chyba zamiaru jej *opowiedzieć*?

Nombeko uśmiechnęła się w odpowiedzi. Będzie dobrze. Statystycznie szanse na to są spore, biorąc pod uwagę, że dotąd sprawdzała się stara prawda, iż im dalej w las, tym ciemniej. Zresztą teraz faktycznie wylądowali w lesie.

– No, czekam, czekam – dopominała się Gertrud.

Nombeko zapytała, czy gospodyni gotowa jest pójść na pewien układ.

– Opowiem pani wszystko, od a do z. Potem nas pani stąd wyrzuci, to prawie pewne, choć chętnie byśmy zostali. Chyba że w zamian za moją szczerłość pozwoli nam pani tu przenocować. Więc? Proszę sobie dołożyć potrawki. Dolać piwka?

Gertrud skinęła głową. I oświadczyła, że w to wchodzi, pod warunkiem że powiedzą całą prawdę. Kłamstwa nie zdzierży.

– Żadnych kłamstw – obiecała Nombeko. – No, to jadę z tym koksem.

I pojechała.

Opowiedziała w skrócie całą historię, poczynawszy od Pelindaby. O tym, jak Holger i Holger stali się Holger & Holger. Oraz o bombie atomowej, która najpierw miała ochronić Republikę Południowej Afryki przed złymi komunistami, a następnie została wysłana do Jerozolimy, by ją chronić przed równie złymi Arabami, by w końcu trafić do Szwecji, gdzie nie miała przed czym chronić (Norwegowie, Duńczycy i Finowie nie byli postrzegani jako dostatecznie poważne zagrożenie), następnie zaś do magazynu w Gneście, który niestety spłonął. A teraz tak się nieszczęśliwie składa, że bomba stoi na zewnątrz, a oni muszą się gdzieś zatrzymać i poczekać, aż premier będzie miał na tyle rozsądku, by ich w końcu wysłuchać. Nie ściga ich policja, choć są ku temu powody. Narazili się jednak służbom bezpieczeństwa obcego państwa.

Nombeko skończyła swoją opowieść. Wszyscy oczekiwali na wyrok gospodyni.

– No tak – powiedziała po namyśle Gertrud. – Bomba nie może sobie leżeć pod drzwiami. Przenieście ją do stojącej za domem ciężarówce do przewozu ziemniaków, a potem wjedźcie samochodem do stodoły, żeby nikomu nie stała się krzywda, gdyby bomba nagle wybuchła.

– Ale to na niewiele się... – zaczął Holger 1, ale Nombeko mu przerwała.

– Od kiedy tu przyjechaliśmy, przykładnie milczałeś. Niech tak pozostanie.

Gertrud nie wiedziała, co to takiego służba bezpieczeństwa, ale już sama nazwa wzbudzała w niej poczucie bezpieczeństwa. A skoro policja nie depta im po piętach, niech już zostaną na chwilę albo dwie, w zamian za potrawkę z kurczaka od czasu do czasu. Albo pieczonego królika.

Nombeko obiecała, że jeśli pozwoli im zostać, będzie jeść potrawkę i królika przynajmniej raz w tygodniu. Holger 2, który w przeciwieństwie do Pierwszego nie był objęty zakazem wypowiedzania się, pomyślał, że zanim babcia się rozmyśli, należy skierować temat rozmowy z bomb i Izraelczyków na inny.

– Może teraz pani opowie coś o sobie – zaproponował.

– Ja? – zdziwiła się Gertrud. – Ojoj.

* * *

Na początek Gertrud wyznała, że tak naprawdę jest hrabiną, wnuczką fińskiego barona, marszałka i bohatera narodowego Carla Gustafa Emila Mannerheima.

– A fe – skomentował Holger 1.

– Twoim głównym zadaniem dziś wieczorem jest trzymać gębę na kłódkę – przypomniał jego brat. – Proszę mówić dalej, droga Gertrud.

No więc Gustaf Mannerheim dość wcześnie udał się do Rosji, gdzie przysiągł carowi dożgonną wierność. Obietnicy dotrzymywał

do chwili, kiedy w lipcu 1918 roku bolszewicy zamordowali zarówno cara, jak i całą jego rodzinę.

– No i dobrze – nie wytrzymał Holger 1.

– Cicho, powiedziałem! – zganił go brat. – Proszę mówić dalej, droga Gertrud.

No więc, w skrócie, Gustaf zrobił zawrotną karierę wojskową. Ale nie koniec na tym. W charakterze carskiego szpiega podróżował do Chin, zabijał tygrysy o paszczach, które potrafiłyby połknąć w całości człowieka, poznał dalajlamę i dowodził pułkiem.

W miłości miał mniej szczęścia. Chociaż ożenił się z ładną i dobrze sytuowaną Rosjanką serbskiego pochodzenia, urodziła im się córka, potem kolejna. A tuż przed końcem stulecia syn. Oficjalnie jednak podano, że mały przyszedł na świat martwy. A kiedy żona Gustafa nawróciła się na katolicyzm i wyjechała do Anglii, by złożyć śluby zakonne, ich szanse na kolejne potomstwo dramatycznie zmalały.

Gustaf wpadł w przygnębienie i aby zająć czymś myśli, udał się na wojnę rosyjsko-japońską, w czasie której wsławił się – rzecz jasna – jako bohater i został odznaczony Krzyżem Świętego Jerzego za niezwykle męstwo okazane na polu walki.

Tyle tylko że z tego, co wiadomo Gertrud, zmarły podczas narodzin chłopiec w rzeczywistości przeżył. Wersję z martwym noworodkiem przedstawiła swojemu stale nieobecnemu mężowi przyszła siostra zakonna. W rzeczywistości chłopak został wysłany do fińskiej rodziny zastępczej w Helsinkach, z karteczką z imieniem na przegubie.

– Čedomir? A niech to szlag! – zaklął nowy ojciec chłopca. – Nazwiemy go Tapio.

Tapio Mannerheim alias Virtanen nie odziedziczył po swoim biologicznym ojcu męstwa. Za to jego przybrany ojciec nauczył go wszystkiego, co sam umiał, a mianowicie fałszowania weksli bankowych.

Tapio już jako siedemnastolatek osiągnął w tej dziedzinie mistrzostwo. Kiedy jednak w ciągu kilku lat ojciec i jego przybrany syn zdążyli oszukać połowę Helsinek, obaj zrozumieli, że nazwisko Virtanen jest w ich fachu spalone.

Tapio wiedział o swoich arystokratycznych korzeniach i to on wpadł na pomysł, by z powodów biznesowych na powrót stać się Mannerheimem. Interesy szły lepiej niż kiedykolwiek. Do czasu, aż Gustaf Mannerheim powrócił z wyprawy myśliwskiej po Azji, gdzie wraz z królem Nepalu polował na dziką zwierzynę. Pierwsze, czego się dowiedział po przyjeździe, to że jakiś fałszywy Mannerheim oszukał bank, w którym on sam był prezesem.

W końcu aresztowano przybranego ojca Tapia. On sam zaś uciekł przez Wyspy Alandzkie do Roslagen w Szwecji. Tam używał nazwiska Virtanen, chyba że wystawiał weksle – wtedy Mannerheim brzmiało zdecydowanie lepiej.

Tapio w krótkim czasie poślubił cztery kobiety. Trzy pierwsze wyszły za hrabiego, a rozwiódł się z łajdakiem. Czwarta od początku знаła prawdziwą naturę Tapia Virtanena. Ona także sprawiła, że skończył z wekslami, zanim sprawy potoczyły się podobnie jak w Finlandii.

Pan i pani Virtanenowie kupili niewielkie gospodarstwo Sjölanda leżące na północ od Norrtälje i zainwestowali zarobione na drodze przestępczej pieniądze w trzy hektary ziemniaków, dwie krowy i czterdzieści kur. Wkrótce pani Virtanen zaszła w ciążę i w 1927 roku urodziła córkę Gertrud.

Lata mijały, na świecie wybuchła kolejna wojna, Gustafowi Mannerheimowi jak zwykle udało się wszystko, do czego się wzięł (poza sprawami miłosnymi). Znów okrzyknięto go bohaterem wojennym i narodowym, wkrótce został marszałkiem Finlandii, a w końcu prezydentem kraju. Oraz ozdobą znaczka w USA. W tym czasie jego nieznany syn z umiarkowanym dostojeństwem grzebał w szwedzkim kartoflisku.

Gertrud podrosła i miała tyle samo szczęścia w miłości co dziadek, gdy jako osiemnastolatka wybrała się do Norrtälje na potańcówkę. Tam na wódkę z napojem Loranga poderwał ją pewien pracownik stacji benzynowej. W efekcie pod rozłożystym rododendronem zaszła w ciążę. Romantyczny nastrój prysł po niespełna dwóch minutach.

Pracownik stacji otrzepał piasek z kolan, powiedział, że musi lecieć na ostatni autobus, i pożegnał się krótkim „Do zobaczenia, do usłyszenia”.

Niestety, ani się więcej nie widzieli, ani nie słyszeli. Za to dziewięć miesięcy później Gertrud urodziła córkę z nieprawego łoża. W tym samym czasie na raka zmarła jej matka. W Sjölidzie pozostał tata Tapio, Gertrud i mała Kristina. Ojciec i córka harowali dalej przy ziemniakach, a dziewczynka rosła i piękniała. Kiedy poszła do liceum w Norrtälje, matka przestrzegła ją przed złymi mężczyznami. Nieco później Kristina poznała Gunnara, który był ich zaprzeczeniem. Zostali parą, pobrali się, urodziła im się mała Celestine. Potem Gunnar został dyrektorem banku.

– A no tak, niech to szlag – wtrąciła młoda gniewna.

– Ty też lepiej stul pysk – powiedział Holger 2, ale łagodniejszym tonem, żeby nie spłoszyć Gertrud.

– Nie zawsze było różowo – podsumowała swoją opowieść Gertrud i dopiła piwo. – No, ale na szczęście jest Celestine. Wspaniale, że wróciłaś, kochanie.

Nombeko, która w ciągu ostatnich siedmiu lat przeczytała całą bibliotekę, wystarczająco dobrze znała historię Finlandii oraz biografię marszałka Mannerheima, by dostrzec słabe strony wersji Gertrud. Nie do końca oczywiste było dla niej na przykład to, że córka mężczyzny, który ubzdurał sobie, że jest synem barona, automatycznie staje się hrabiną. Jednak wykrzyknęła:

– A niech mnie! Siedzimy tu sobie i ucztujemy z hrabiną!

Hrabina Virtanen oblała się rumieńcem i poszła do spiżarki po coś jeszcze do picia. Holger 2 zauważył, że Pierwszy właśnie zamierza zgłosić zastrzeżenia do opowieści Gertrud. Drugi był jednak szybszy i nakazał mu mocniej niż kiedykolwiek trzymać gębę na kłódkę. Tu nie idzie o genealogię, tylko o nocleg.

* * *

Pole Gertrud leżało odłogiem, od kiedy przeszła na emeryturę. Miała niewielki samochód ciężarowy do przewozu ziemniaków, którym raz w miesiącu jeździła do Norrtälje po zakupy, a który poza tym stał zaparkowany za domem. Teraz, po przekształceniu w tymczasowy magazyn nuklearny, stanął w oddalonej o sto pięćdziesiąt metrów stodole. Na wszelki wypadek Nombeko skonfiskowała kluczyki. Po zakupy można było jeździć toyotą, którą państwo Blomgrenowie byli tak mili pożyczyć im na wieczne nieoddanie. Gertrud nie musiała się już nigdzie ruszać ze swojej Sjölidy, co jej bardzo odpowiadało.

W domu było dość miejsca dla wszystkich. Holger 1 i Celestine dostali pokój na piętrze obok sypialni Gertrud, a Drugi i Nombeko zostali zakwaterowani za kuchnią na parterze.

Nombeko i Holger 2 przeprowadzili z Pierwszym i Celestine poważną rozmowę. Żadnych demonstracji, żadnych pomysłów, by przenieść skrzynię. Krótko mówiąc, żadnych głupot. W przeciwnym razie ryzykują życie ich wszystkich, w tym Gertrud. Drugi wręcz zmusił brata, by ten przyrzekł, że nie będzie prowadził wywrotowej działalności ani próbował dobrać się do bomby. Pierwszy powiedział, że Drugi powinien się zastanowić, co powie ojcu, gdy spotka się z nim w niebie.

– Może: „Dziękuję za to, że zniszczyłeś mi życie”? – zaproponował Holger 2.

* * *

W najbliższy wtorek mieli spotkać się w Sztokholmie z policją. Z taką prośbą zwrócił się do policji Drugi. Podejrzewał, że i tak pojawią się pytania o mieszkańców budynku przy Fredsgatan 5 w ramach śledztwa zmierzającego do ustalenia tożsamości terrorystów, którzy nigdy nie istnieli, a tym bardziej tam nie spłonęli. Postanowił więc zaserwować policji jakąś wiarygodną bajeczkę. Drugiemu miała towarzyszyć młoda gniewna. Było to ryzykowne posunięcie, ale Nombeko uzmysłowiła jej, jakie nieszczęście sprowadzi na nich wszystkich, jeśli nie będzie

postępować zgodnie z ustaleniami. Celestine obiecała, że podczas rozmowy z pierdolonymi glinami nie nazwie ich tymi słowami.

Holger 2 przedstawił się nazwiskiem brata i zaprezentował jedyną pracownicę firmy Holger & Holger.

– Dzień dobry, Celestine – powiedział oficer policji i wyciągnął rękę na powitanie.

Celestine chwyciła ją i burknęła coś, co brzmiało jak „grmpf”, trudno bowiem jednocześnie mówić i gryźć się w język.

Na początek dowódca wyraził swoje ubolewanie z powodu tego, że ich firma wraz z magazynem i całą resztą doszczętnie spłonęła. Teraz to już sprawa ubezpieczalni, jak pan Qvist zapewne wie. Przykro mu także, że panna Celestine straciła pracę.

Śledztwo jest w powijakach, nie ustalili jeszcze na przykład, kim byli terroryści. Najpierw sądzili, że znajdą ich ciała w zgliszczach. Dotychczas natrafiono jedynie na ukryty tunel, którym być może uciekli. Tego jednak nie wyjaśniono, ponieważ helikopter Krajowej Jednostki do Zadań Specjalnych musiał awaryjnie lądować u jego wylotu.

Tymczasem pewna urzędniczka zeznała, że w budynku prawdopodobnie ktoś mieszkał. Czy pan Qvist wie coś może na ten temat?

Holger 2 był skonsternowany, tak jak ustalili. Firma Holger & Holger SA zatrudniała jednego pracownika w osobie obecnej tu panny Celestine. Dziewczyna odpowiadała za magazyn, administrację i jeszcze parę innych spraw. Holger zajmował się dystrybucją, na tyle, na ile pozwalał mu czas. Jak pan oficer może wie, pracował także w Helikoptertaxi SA w Brommie, choć w związku z pewnym przykrym incydentem zamierzał właśnie złożyć wypowiedzenie. Trudno mu sobie wyobrazić, by ktoś mieszkał w tej ruderze.

Zgodnie z planem młoda gniewna miała się teraz rozplakać.

– Droga Celestine – powiedział Holger. – Czy jest coś, o czym nie wiem?

Wtedy ona, pociągając nosem, wyznała, że pokłóciła się z mamą i tatą (co przecież było zgodne z prawdą) i zamieszkała na jakiś czas w jednym z tych obskurnych mieszkań, nie pytając Holgera o pozwolenie (to też po części było prawdą).

– A teraz pójdę do więzienia – załkała.

Holger 2 powiedział, że postąpiła lekkomyślnie, przez nią on, niczego nieświadom, siedzi tu i okłamuje pana oficera. Ale więzienie ci chyba nie grozi, jeśli już, to wysoki mandat. Jak pan oficer sądzi?

Ten odchrząknął i poinformował, że faktycznie zamieszkiwanie budynku przemysłowego jest prawnie zabronione. Ma to jednak niewiele, by nie powiedzieć nic wspólnego ze śledztwem w sprawie terrorystów. Panna Celestine może już przestać płakać, nikt się o tym nie dowie. Proszę, oto chusteczka.

Młoda gniewna wydmuchała nos i pomyślała, że gliniarz naprzeciwko niej jest – pomijając już całą resztę – skorumpowany. Przepięstwo powinno być chyba, do cholery, ścigane, niezależnie od wszystkiego? Głośno tego jednak nie powiedziała.

Holger 2 dodał, że firma już nie istnieje, a dzicy lokatorzy nie mieliby gdzie zamieszkać. Czy zatem sprawę można uznać za zamkniętą?

Tak. Oficer nie ma więcej pytań. Podziękował panu Qvistowi i młodej panie Celestine za to, że zadali sobie tyle trudu i go odwiedzili.

Holger także podziękował, a Celestine ponownie grmpnęła.

* * *

Po awanturze na placu Sergela, skoku z sześciuset metrów bez spadochronu, zamordowaniu zmarłego mężczyzny, ucieczce przed policją i zapobieżeniu eksplozji bomby atomowej nowi mieszkańcy Sjöolidy potrzebowali spokoju. Agent B natomiast dążył do czegoś zgoła odmiennego.

Kilka dni wcześniej pozwolił Nombeko i jej bandzie odjechać z bombą z Fredsgatan w Gneście. Nie żeby tego chciał; nie miał po prostu wyboru. Agent izraelskiego wywiadu wdający się w bójkę

o bombę atomową na szwedzkiej ulicy na oczach pięćdziesięciu policjantów – nie, to nie był najlepszy sposób służenia narodowi.

Sytuacja jednak nie była beznadziejna. Teraz B wiedział przecież, że bomba i Nombeko Mayeki są wciąż razem. W Szwecji. Było to tyleż jasne, co niepojęte. Bo co działo się z nią przez siedem lat? Gdzie jest teraz? I co robi?

Podając się za Michaela Ballacka, B zameldował się w hotelu w Sztokholmie. Zamierzał dokonać dogłębnej analizy sytuacji.

W miniony czwartek odebrał zaszyfowaną wiadomość od agenta A. Wynikało z niej, że A zlokalizował niejakiego Holgera Qvista (znanego mu z telewizji), który miał go doprowadzić do Nombeko Mayeki, tej przeklętej sprzątaczkii, która oszukała ich nie jeden, ale dwa razy. Potem A już się nie odezwał. A teraz nie odpowiada na wiadomości B. Prawdopodobnie więc nie żyje. Zachował się jednak wzorowo i zostawił B wiele tropów. Na przykład współrzędne miejsca, gdzie miała znajdować się bomba i sprzątaczkii. Oraz adres mieszkania Holgera w jakimś Blackebergu. I namiary na jego miejsce pracy w Brommie. W Szwecji wszystko jest chyba jawne – istny raj dla tajnego agenta.

B odnalazł najpierw siedzibę firmy tego Holgera przy Fredsgatan 5, której, jak się okazało, już nie było. Spłonęła doszczętnie poprzedniej nocy.

Najwyraźniej ktoś w ostatniej chwili wyciągnął bombę z płomieni, bo spoczywała tuż za barierkami w osmalonej skrzyni na wózku. Jeszcze bardziej dziwne było nagłe pojawienie się sprzątaczkii, która przywitała się z nim radośnie, zabrała bombę i odjechała.

Agent B zaraz potem też odjechał. Kupił kilka szwedzkich gazet i jakoś przez nie przebrnął. Ktoś, kto zna niemiecki i angielski, zrozumie po szwedzku pojedyncze słowa i kontekst. W Bibliotece Królewskiej znalazł też sporo artykułów w języku angielskim.

Ogień wybuchł prawdopodobnie podczas starcia z terrorystami. Tyle że naczelną terrorystką Nombeko stała sobie spokojnie za barierkami. Dlaczego jej nie przyskrzynili? W szwedzkiej policji nie

są chyba aż tak nieudolni, żeby po tym, jak uratowali z płomieni osiemsetkilogramowe pudło, nie próbowali dowiedzieć się, co zawiera, a potem pozwolili, by wywieźli je jacyś ludzie. Prawda?

A co z jego kolegą po fachu, agentem A? Wiadomo, zginął w płomieniach. Inny scenariusz był mało prawdopodobny. Mógł jeszcze pojechać do Tallina. Ale czego by tam szukał? I co o tym wie sprzątaczką?

Mężczyzna stojący obok niej przedstawił się jako Holger. Tego Holgera A jeszcze dzień wcześniej miał pod kontrolą. Czy udało mu się obezwładnić agenta A? I wysłać go do Tallina?

Nie, A nie żyje i koniec. A zatem sprzątaczką oszukała ich po raz trzeci. Jaka szkoda, że zginie tylko raz.

Agent B miał kilka tropów do rozpracowania. Te, które zostawił mu A, i te, na które wpadł sam. Na przykład numery rejestracyjne przyczepy, na której odjechała bomba. Należała do niejakiego Harry'ego Blomgrena, zamieszkałego nieopodal Gnesty. Agent postanowił złożyć mu wizytę.

Harry i Margareta Blomgrenowie bardzo słabo znali angielski i niewiele lepiej niemiecki. Agent zrozumiał tyle, że próbują nakłonić go, by zwrócił im pieniądze za staranowany płot i skradziony samochód z przyczepą. Widać myśleli, że reprezentuje sprzątaczkę.

W końcu agent zmuszony był dobyć pistoletu, by zaprowadzić porządek podczas przesłuchania.

Najwidoczniej sprzątaczką i jej banda wjechali prosto przez ich ogrodzenie i wprosili się na nocleg. Agent nie dowiedział się, co wydarzyło się później. Umiejętności językowe starszych państwa były tak kiepskie, że gdy mówili, miało się wrażenie, jakby ktoś wcześniej próbował poprzegryzać im gardła.

Ale najprawdopodobniej zawinili jedynie tym, że przypadkiem napatoczyli się sprzątaczkę. Chętnie sprzedałby im po kulce w łeb, choćby dlatego, że ich nie polubił. Jednak B nigdy nie zabijał, opierając się na tak słabych przesłankach. Dlatego też odstrzelił tylko obie stojące na kominku porcelanowe świnki pani Blomgren

i wyjaśnił, że to samo zrobi z państwem Blomgrenami, jeśli natychmiast nie zapomną o jego wizycie. Świnki kosztowały czterdzieści koron za sztukę i widok ich rozbitych na kawałki był dla państwa Blomgrenów bolesny. Jednak myśl o śmierci i tym samym o rozstaniu z niemal trzema milionami koron, które uzbierali przez lata, była jeszcze bardziej przykra. Dlatego skinęli głowami i poprzysięgli milczenie.

Agent szukał dalej. Okazało się, że Holger Qvist jest jedynym właścicielem firmy Holger & Holger SA mieszczącej się przy Fredsgatan 5. Firmy, której siedziba spłonęła. Terrorysty? Bzdura. Wiadomo, to sprawka tej cholernej sprzątaczką, która wyprowadziła w pole nie tylko Mosad, ale też Krajową Jednostkę do Zadań Specjalnych. Wyjątkowo irytująca kobieta. I godna przeciwniczka.

Qvist nadal był zameldowany w Blackebergu. Agent przez trzy dni obserwował jego mieszkanie. W tym czasie ani razu nie zapalono ani nie zgaszono świateł. Przez wrzutnię na listy widać było nieruszony stos reklam. A po Qviście ani śladu; nie wrócił do mieszkania od dnia, gdy coś się wydarzyło.

Narażając się na zdemaskowanie, B udał się do Helikoptertaxi SA. Przedstawił się jako Michael Ballack, dziennikarz niemieckiego tygodnika „Stern”, i zapytał, czy może przeprowadzić wywiad z panem Holgerem Qvistem.

Nie, Qvist zwolnił się po tym, jak został pobity. Pan Ballack wie oczywiście, co zaszło?

Gdzie może być teraz? Trudno powiedzieć. Może gdzieś w okolicy Gnesty, ma tam przecież firmę importującą poduszki. Za bardzo się nie angażował w jej działalność, ale regularnie jeździł do Gnesty w różnych sprawach. No i ma tam chyba dziewczynę.

– Dziewczynę? Wie pan, jak się nazywa?

Nie, tego nie wie. Chyba Celestine. Jakies takie oryginalne imię.

Okazało się, że w Szwecji zarejestrowane są dwadzieścia cztery kobiety noszące takie imię. Ale tylko jedna z nich, niejaka Celestine

Hedlund, jeszcze przed kilkoma dniami była zameldowana przy Fredsgatan 5 w Gneście.

– Czy to ty, Celestine, prowadziłaś wtedy czerwoną toyotę corollę z przyczepą? – powiedział do siebie agent. – Z Nombeko Mayeki i Holgerem Qvistem na tylnym siedzeniu? I jakimś mężczyzną na siedzeniu obok ciebie?

Trop Celestine rozgałęział się w czterech kierunkach. Na jej nazwisko zarejestrowano skrzynkę pocztową w Sztokholmie. Do niedawna była zameldowana przy Fredsgatan w Gneście. Wcześniej u niejkiej Gertrud Virtanen za Norrtälje. A dawniej w – jak się domyślał agent B – domu rodzinnym w Gneście. Wcześniej czy później agent B uda się pod jeden z tych czterech adresów.

Najmniej ciekawym obiektem do obserwacji była oczywiście kupa popiołu przy Fredsgatan. Najbardziej – skrytka pocztowa. Między nimi dom rodzinny oraz dom Gertrud Virtanen.

* * *

Nombeko dowiedziała się od Celestine, że przez pewien czas była zameldowana w Sjölidzie. Niedobrze. Jednak wydawało się mało prawdopodobne, żeby ścigający ich agent w ogóle wiedział o jej istnieniu.

Od dnia, w którym została potrącona przez pijanego inżyniera, nie miała zbytnio szczęścia. A o szczęściu, które ją właśnie spotkało, miała się nigdy nie dowiedzieć.

Agent B przez tydzień obserwował skrzynkę pocztową w Sztokholmie, a następnie równie długo dom rodziców Celestine. W obu wypadkach zupełnie niepotrzebnie. A kiedy miał się udać na obserwację najmniej obiecującego obiektu, tego za Norrtälje, jego szef w Tel Awiwie stracił cierpliwość. Uznał, że agent powoduje się osobistą chęcią odwetu, podczas gdy Mosad musi kierować się bardziej intelektualnie nacechowanymi przesłankami. Zawodowa złodziejka broni atomowej nie hasa przecież z bombą po szwedzkich lasach. Agent ma wracać do kraju. Natychmiast. Nie, nie wkrótce. Natychmiast.

Część 5

*Jeżeli masz wrażenie, że osoba, do której mówisz, wcale cię nie słucha,
nie denerwuj się. Może wpadło jej do ucha trochę puchu.*

Kubuś Puchatek

Rozdział 17

O niebezpieczeństwach wynikających z posiadania kopii samego siebie

W Republice Południowej Afryki pewien oskarżony o terroryzm mężczyzna po dwudziestu siedmiu latach wyszedł na wolność, otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla i został wybrany na prezydenta.

W tym czasie w Sjölidzie działo się zdecydowanie mniej. Dni przechodziły w tygodnie, a te w miesiące. Po lecie nastąpiła jesień, a po niej zima i wiosna. Porywczy agenci służb bezpieczeństwa obcego mocarstwa jakoś się nie pojawiali (jeden leżał na głębokości dwustu metrów na dnie Bałtyku, drugi siedział samotnie za biurkiem w Tel Awiwie).

Na jakiś czas Nombeko i Holger 2 przestali zadręczać się myślą o bombie i innych przykrych sprawach. Spacerowanie po lesie, zbieranie grzybów, wypadki na ryby łódką Gertrud – wszystko to miało na nich kojący wpływ.

A gdy ponownie nastąpiły ciepłe dni, starsza pani pozwoliła im zająć się polem.

Traktor i pozostałe maszyny były już nie pierwszej młodości, ale według obliczeń Nombeko interes powinien przynosić zyski w wysokości około dwustu dwudziestu pięciu tysięcy siedmiuset dwudziestu trzech koron rocznie. Nombeko zależało też na tym, żeby Pierwszy i Celestine mieli jakieś zajęcie (nie będą przychodziły im wtedy do głowy głupie pomysły). A i trochę grosza jako dopełnienie tej wiejskiej sielanki nie zaszkodziłoby, zwłaszcza że biznes poduszkowy i dziewiętnaście milionów sześćset tysięcy koron poszły z dymem.

Dopiero gdy spadł pierwszy śnieg, Nombeko na nowo podjęła z Drugim temat ich przyszłości.

– Całkiem nam tu dobrze, prawda? – zagaiła podczas nieśpiesznego niedzielnego spaceru.

– Dobrze nam tu – zgodził się Drugi.

– Szkoda tylko, że tak naprawdę nie istniejemy – ciągnęła Nombeko.

– W przeciwieństwie do bomby – zauważył Drugi.

Następnie długo dyskutowali o tym, jak zmienić obecny stan rzeczy, aż rozmowa zesłała na to, ile razy już na ten temat debatowali. Ale nieważne, ile razy wałkowali ten temat – zawsze dochodzili do jednego wniosku: nie mogą przekazać bomby pierwszemu lepszemu urzędnikowi w Norrtälje. *Muszą* nawiązać kontakt z władzami na najwyższym szczeblu.

– Mam znów zadzwonić do premiera? – zapytał Holger 2.

– Tylko po co? – odpowiedziała pytaniem Nombeko.

Próbowali już przecież trzykrotnie z dwiema różnymi asystentkami i dwa razy z tym samym marszałkiem dworu, za każdym razem otrzymując tę samą odpowiedź. Ani premier, ani król nie przyjmą nikogo z ulicy. Premier może by to uczynił, gdyby sprawa została najpierw szczegółowo przedstawiona drogą listowną. To jednak nie wchodziło w grę.

Nombeko wróciła do pomysłu, żeby Holger pod nazwiskiem brata zasiadł w szkolnej ławie, by zwiększyć swoje szanse na posadę w otoczeniu premiera.

Alternatywa w postaci pozostania w pustostanie, aż ten się zawali, była już nieaktualna, bo ów już nie istniał. Mogli natomiast nadal uprawiać ziemniaki w Sjölidzie. Ale choć to całkiem sympatyczne zajęcie, wizja przyszłości raczej marna.

– Tyle że absolwentem uczelni nie zostaje się w kwadrans – zauważył przytomnie Holger. – W każdym razie nie ja. Tobie może by się udało. Mnie zajmie to kilka lat. Poczekasz?

Jasne. Po tych wszystkich latach Nombeko ma już wprawę. Potrafi sobie wypełnić czas. Zostało jej jeszcze sporo do przeczytania w bibliotece w Norrtälje. Poza tym samo pilnowanie tych dwojga wariatów i starszej pani to zajęcie na pół etatu. No i trzeba zająć się polem.

– A więc ekonomia albo politologia – zaproponował Holger 2.

– Albo jedno i drugie – powiedziała Nombeko. – Skoro już się do tego zabierasz. Chętnie ci pomogę. Znam się na liczbach.

* * *

Kolejnej wiosny Drugi zdał w końcu egzamin kompetencyjny na wyższą uczelnię. Połączenie inteligencji i entuzjazmu dało mu dużą sumę punktów. Jesienią rozpoczął studia na wydziałach Ekonomii oraz Politologii Uniwersytetu Sztokholmskiego. Bywało, że wykłady się pokrywały. Wtedy Nombeko zastępowała go na zajęciach z ekonomii i jeszcze tego samego wieczora referowała wykład, prostując przy okazji to, co pokiełbało się profesorowi Bergmanowi albo docentowi Järegårdowi.

Holger 1 i Celestine pomagali przy ziemniakach i regularnie jeździli do Sztokholmu na spotkania Sztokholmskiego Stowarzyszenia Anarchistycznego. Drugi i Nombeko nie sprzeciwiali się temu. Zabronili im tylko publicznych wystąpień. Stowarzyszenie Anarchistyczne było na szczęście na tyle anarchistyczne, by nie rejestrować swoich członków. Pierwszy i Celestine mogli więc zachować anonimowość, tak jak wymagały tego okoliczności. Obojgu bardzo odpowiadało towarzystwo im podobnych; sztokholmskich anarchistów wkurzało bowiem dosłownie wszystko. Kapitalizm należało wytepić, podobnie zresztą jak większość innychizmów. Socjalizm. I marksizm, o ile udawało się go gdzieś odnaleźć. Poza tym faszyzm oraz darwinizm (utożsamiano je ze sobą). Kubizm mógł od biedy nadal istnieć, pod warunkiem że nie będą w nim obowiązywały żadne zasady. Król musiał oczywiście odejść. Niektórzy członkowie proponowali, by królem mógł zostać każdy, kto będzie miał na to ochotę, ale przeciwko temu zaprotestował Holger. Jeden to chyba już i tak za dużo?

No i rzecz niebywała: kiedy Holger przemawiał, wszyscy go słuchali. Tak jak wtedy, gdy Celestine opowiadała, jak to przez całe życie była wierna wymyślonej przez siebie partii Rozwalić To Całe Gówno.

Wreszcie Holger 1 i Celestine znaleźli się tam, gdzie ich miejsce.

* * *

Nombeko pomyślała, że skoro ma się zająć uprawą ziemniaków, chce to robić z głową. Dogadywała się z Gertrud. I chociaż starsza pani kręciła trochę nosem na nazwę, ostatecznie zgodziła się, by Nombeko zarejestrowała na nią firmę Hrabina Virtanen SC.

By zwiększyć obroty, postanowiły skupować ziemię wokół swojego pola. Gertrud doskonale orientowała się, który z emerytowanych rolników jest najstarszy i najbardziej sterany. Popedałowała do niego uzbrojona w jabłecznik i termos z kawą. Już przy dolewce działka zmieniła właściciela. Nombeko poprosiła o wycenę zakupionej ziemi, po czym dorysowała w papierach fikcyjną willę i do uzyskanej kwoty dodała dwa zera. Dzięki temu firma Hrabina Virtanen SA mogła zaciągnąć kredyt w wysokości dziesięciu milionów na pole warte sto trzydzieści tysięcy. Za pożyczone pieniądze Nombeko i Gertrud, pomagając sobie kolejnymi jabłecznikami i termosami z kawą, dokupiły więcej ziemi. Po dwóch latach Gertrud była największym producentem ziemniaków w okolicy, ale z zadłużeniem co najmniej pięciokrotnie przekraczającym obroty.

Należało więc zwiększyć zbiory. Dzięki modelowi pożyczkowemu Nombeko firma nie miała problemów finansowych. Gorzej było z parkiem maszynowym – niewielkim i przestarzałym. Nombeko posadziła więc Gertrud za kółkiem i razem udały się do Västerås do sklepu Maszyny Rolnicze Pontus Widén SA. Starsza pani wdała się w rozmowę z ekspedientem.

– Dzień dobry, dzień dobry. Nazywam się Gertrud Virtanen, mieszkam w Norrtälje. Mam do obrobienia pole ziemniaków, zbieram i sprzedaję, ile się da.

– Aha – powiedział sprzedawca, zastanawiając się, co mu do pola ziemniaków jakiegoś babska; każda z jego maszyn kosztuje co najmniej osiemset tysięcy koron.

– Z tego, co wiem, sprzedaje pan maszyny potrzebne do uprawy ziemniaków?

Sprzedawca przestraszył się, że czeka go niepotrzebnie długa rozmowa, i postanowił szybko spławić babcię.

– Owszem. Mam zbieracze kamieni, cztero-, sześć- i ośmiorzędowe sadzarki, czterorzędowe obsypniki oraz jedno-

i dwurzędowe kopaczki. Jeśli szanowna pani weźmie wszystkie na to swoje poletko, dam dobrą cenę.

– Dobrą cenę? Świetnie. Ile pan sobie życzy?

– Cztery miliony dziewięćset tysięcy – odburknął sprzedawca.

Gertrud liczyła na palcach, a sprzedawca tracił resztki cierpliwości.

– Proszę posłuchać, pani Virtanen, nie mam czasu na...

– Weźmiemy po jednej każdego rodzaju – przerwała mu Gertrud.

– Kiedy nam je pan dostarczy?

* * *

W ciągu następnych sześciu lat działo się zarazem wiele i niewiele. Pakistan dołączył do elitarnego grona państw dysponujących bronią jądrową. Kraj potrzebował ochrony przed sąsiednimi Indiami, które dwadzieścia cztery lata wcześniej zabezpieczyły się w ten sam sposób przed Pakistanem. Relacje między krajami były adekwatne do tych poczynań.

Zdecydowanie spokojniej było w innym państwie dysponującym bronią jądrową – w Szwecji.

Pierwszy i Celestine byli zadowoleni z bycia niezadowolonymi. Aktywnie działali w słusznej sprawie. Żadnych demonstracji, za to wiele tajnych akcji. Na ścianach publicznych szaletów wypisywali sprejem anarchistyczne hasła, roznosili ulotki po instytucjach i muzeach. Ich naczelne przesłanie polityczne głosiło, że polityka jest głównie warta, ale Holger 1 pilnował, by od czasu do czasu dostało się też królowi. Równoległe z polityczną działalnością wywrotową wypełniali jako tako swoje obowiązki na polu, zarabiając w ten sposób trochę grosza. Potrzebowali przecież pieniędzy. Flamastry, spreje i ulotki nie były za darmo.

Nombeko starała się mieć tę dwójkę wariatów na oku, ale nie chciała niepokoić Drugiego. Który już bez jej pomocy był dobrym, pilnym i zadowolonym studentem. Cieszyła się jego szczęściem.

Gertrud odżyła. Wcześniej przecież właściwie przegrała życie. Mając osiemnaście lat, zaszła w ciążę podczas pierwszego, a zarazem ostatniego spotkania z jakimś dupkiem i jego letnią, podrasowaną alkoholem lorangą. Samotna matka, stała się jeszcze bardziej samotna, gdy najpierw na raka zmarła jej mama, a potem pewnego zimowego wieczora 1971 roku jej ojciec Tapio przytrzasnął sobie palce w pierwszym bankomacie w Norrtälje. Znalaziono go dopiero rano następnego dnia, nieżyjącego od wielu godzin – zamarzył na śmierć.

Plantatorka ziemniaków, matka i babcia. Która przez całe swoje życie nigdzie nie wyjeżdżała, ale która pielęgnowała marzenie o tym, jak by to mogło być, gdyby jej babcia, szlachetnie urodzona Anastazja Arapowa, nie postąpiła tak bardzo nie po chrześcijańsku i nie odesłała jej ojca Tapia do Helsinek, by sama mogła poświęcić się Bogu. Czy jak to tam rzeczywiście było. Nombeko wiedziała, że Gertrud nie zagłębia się zanadto w przeszłość ojca. Bo przecież, odkrywszy prawdę, mogłaby wszystko stracić. Może oprócz pola.

Tak czy owak, powrót wnuczki i obecność Nombeko coś w starszej pani obudziły. Promieniała podczas wspólnych kolacji, które na ogół sama przygotowywała. Zarzynała kury i gotowała potrawki. Albo zarzucała sieć na szczupaka zapiekanego z chrzanem. Kiedyś ustrzeliła nawet ze sztucera taty Tapia bażanta. Była zaskoczona, że broń jest nadal sprawna. I że udało jej się trafić. Strzeliła tak celnie, że z bażanta pozostało tylko kilka marnych piórek.

Ziemia nadal krążyła wokół Słońca w niezmiennym tempie, jak zwykle okazując zmienne nastroje. Nombeko czytała o sprawach dużych i małych, małych i dużych. Pewną intelektualną stymulację stanowił dla niej cowieczorny serwis informacyjny, którego domownicy mogli wysłuchać podczas kolacji. Jednym z pamiętnych wydarzeń tamtych lat był dzień, w którym Borys Jelcyn zrzekł się władzy. W Szwecji wsławił się on wizytą państwową, podczas której miał tak bardzo w czubie, że zażądał, aby kraj, który nie ma ani jednej elektrowni węglowej, zamknął elektrownie węglowe.

Świat z zainteresowaniem śledził też to, co najbardziej rozwinięte państwo świata odstawia podczas własnych wyborów prezydenckich. Sądowi Najwyższemu Stanów Zjednoczonych kilka tygodni zajęło stosunkiem głosów pięć do czterech potwierdzić, że ten, który otrzymał najwięcej głosów, przegrał. Tak oto George W. Bush objął urząd prezydenta USA, a Al Gore został zredukowany do roli obrońcy przyrody, z którym nie liczą się nawet sztokholmscy anarchiści. Niedługo potem Bush zaatakował Irak, by zlikwidować broń, której Saddam Husajn nie miał.

A ze spraw marginalnych – były austriacki kulturysta został gubernatorem Kalifornii. Nombeko poczuła ukłucie w piersi, gdy zobaczyła go na zdjęciu w gazecie z żoną i czwórką dzieci, odsłaniającego białe zęby w szerokim uśmiechu. Pomyślała, że niesprawiedliwy jest świat, w którym niektórzy otrzymują wszystko w nadmiarze, podczas gdy inni pozostają z niczym. A przecież wtedy nie wiedziała jeszcze, że tenże gubernator wspólnie z gosposią wystarał się o piątego potomka.

Życie w Sjölidzie płynęło więc spokojnie i całkiem szczęśliwie, podczas gdy reszta świata zachowywała się tak jak zwykle.

I podczas gdy bomba pozostawała na swoim miejscu.

* * *

Wiosną 2004 roku wszystko układało się lepiej niż kiedykolwiek. Holger 2 kończył politologię i pisał doktorat z ekonomii. To, co wkrótce przerodziło się w rozprawę naukową, zaczęło się od jego autoterapii. Nie mógł on otóż znieść myśli o niebezpieczeństwie, na jakie każdego dnia naraża cały swój naród i połowę kraju. By móc jakoś żyć z tą myślą, postanowił skupić się na innych aspektach sytuacji. Doszedł do wniosku, że z ekonomicznego punktu widzenia Szwecji i świata udałoby się powstać z popiołów. W ten sposób narodził się temat „Bomba atomowa jako czynnik wzrostu gospodarczego. Dynamiczne zalety katastrofy nuklearnej”.

Jej ewidentne wady natomiast spędzały Holgerowi sen z powiek. Zresztą eksperci przenicowali je wcześniej na wszystkie strony.

Same Indie i Pakistan, gdyby doszło do nuklearnej konfrontacji między nimi, mogłyby uśmiercić dwadzieścia milionów ludzi. Jeszcze zanim łączna liczba kiloton przekroczyłaby moc tego, czym dysponowali Drugi i Nombeko. W ciągu zaledwie kilku tygodni do stratosfery przedostałoby się tak dużo dymu, że dopiero po dziesięciu latach słońce byłoby znów w pełni widoczne. I nie tylko ponad zwaśnionymi krajami, ale nad całym światem.

Według Holgera 2 wpłynęłoby to pozytywnie na dynamikę mechanizmów rynkowych. Wzrost o dwieście tysięcy procent liczby zachorowań na raka tarczycy doprowadziłby do wyraźnego obniżenia bezrobocia. Odływ ludności ze słonecznych rajów (które nie mogłyby już kusić słońcem) do dużych miast na całym świecie przyczyniłby się do zwiększenia dystrybucji dochodów. Wiele dojrzałych rynków w jednej chwili stałoby się rynkami niedojrzałymi, co skutkowałoby ożywieniem. Chiński monopol na ogniwa słoneczne straciłby na przykład zupełnie na znaczeniu.

Indie i Pakistan mogłyby wspólnymi siłami wyeliminować galopujący efekt cieplarniany. Nadal można byłoby wycinać lasy i wykorzystywać paliwa kopalne w celu dogrzania chłodniejszej o dwa, trzy stopnie Ziemi.

Te przemyślenia trzymały Holgera 2 w pionie.

Nombeko i Gertrud rozkręciły swój ziemniaczany biznes. Miały sporo szczęścia – w Rosji przez kilka lat panował nieurodzaj. Do tego jedna z najpopularniejszych (nie wiedzieć czemu) szwedzkich gwiazd zdradziła, że świetną figurę zawdzięcza diecie TZ (Tylko Ziemniaki).

Na reakcję nie trzeba było długo czekać. Szwedzi zaczęli na potęgę pałaszować ziemniaki.

Firma Hrabina Virtanen SA, wcześniej zadłużona, niemal wyszła na prostą. Drugiego tygodnie dzieliły od uzyskania dwóch dyplomów. Dzięki doskonałym wynikom mógł rozpocząć swoją wędrówkę ku spotkaniu w cztery oczy ze szwedzkim premierem. Teraz był nim zresztą ktoś inny. Niejaki Göran Persson. Tak samo nieskory do odbierania telefonów jak jego poprzednicy.

Krótko mówiąc, plan ośmioletni był bliski realizacji. Dotąd wszystko szło jak po maśle. Wszystko wskazywało na to, że ten

trend się utrzyma. Ich optymizm był równie wielki jak optymizm Ingmara Qvista przed wyjazdem do Nicei.

Gdzie dostał manto od Gustawa 1V.

* * *

W czwartek 6 maja 2004 roku pięćset ulotek było gotowych do odbioru w drukarni w Solnie. Holger 1 i Celestine czuli, że tym razem wykombinowali coś naprawdę wyjątkowego. Na karteczkach widniały dwa wizerunki: króla i wilka. Tekst pod zdjęciami wskazywał na analogie między szwedzką populacją wilków a europejskimi dworami królewskimi. Łączył je mianowicie problem chowu wsobnego.

W pierwszym wypadku rozwiązaniem mogło być wsiedlenie rosyjskich wilków. W drugim – odstrzelenie. Albo deportacja do Rosji właśnie. Autorzy proponowali nawet handel wymienny: jeden rosyjski wilk za jednego członka rodziny królewskiej.

Kiedy przyszła wiadomość z drukarni w Solnie, Celestine chciała natychmiast odebrać ulotki i jeszcze tego samego dnia wytapetować nimi jak najwięcej instytucji. Holger 1 też wolał z tym nie zwlekać. Niestety, akurat na ten czwartek Drugi zabukował samochód, czego Celestine nie przyjmowała do wiadomości.

– Chyba nie ma większych praw do samochodu niż my? Chodź, kochanie. Jedziemy zmieniać świat.

Tak się złożyło, że czwartek 6 maja 2004 roku miał być najważniejszym dniem w życiu Drugiego. Godzinę obrony pracy doktorskiej wyznaczono na jedenastą.

Tuż po dziewiątej rano wystrojony w garnitur i krawat Holger 2 chciał wsiąść do starej toyoty państwa Blomgrenów, ale po samochodzie nie było śladu.

Drugi podejrzewał, że to sprawka jego nieszczęsnego brata, podjudzonego przez Celestine. Ponieważ w Sjölidzie nie było zasięgu, nie mógł od razu zadzwonić i nakazać im, by zawrócili. Ani też wezwać taksówki. Do drogi, gdzie czasem – w zależności od humoru – pojawiał się zasięg, było co najmniej pięćset metrów.

Rzucić się biegiem – to nie wchodziło w grę; nie mógł przecież przyjść na obronę cały zlany potem. Uruchomił więc traktor.

O dziewiątej dwadzieścia pięć w końcu się do nich dodzwonił. Odebrała Celestine.

– Słucham?

– Zabraliście samochód?

– Co takiego? To ty, Holgerze?

– Odpowiedz, do cholery, na moje pytanie! Jest mi potrzebny! O jedenastej mam ważne spotkanie w mieście!

– Aha – powiedziała Celestine. – A więc twoje spotkania są ważniejsze od naszych?

– Tego nie powiedziałem. Ale dziś była moja kolej. Zawróćcie, do kurwy nędzy! Śpieszy mi się.

– Jezu, ale ty klniesz.

Drugi pozbierał myśli. I zmienił taktykę.

– Kochana, słodka Celestine. Później usiądziemy i omówimy sprawę samochodu i ustalimy, kto miał dzisiaj do niego prawo. Ale teraz proszę, zabierzcie mnie. Mam naprawdę ważne spo...

Wtedy Celestine się rozłączyła. I wyłączyła telefon.

– Co powiedział? – zapytał Holger 1, który siedział za kółkiem.

– „Kochana, słodka Celestine. Usiądziemy i omówimy sprawę samochodu”. Tak w skrócie.

Pierwszy uspokoił się. Trochę bał się reakcji brata.

Holger 2 stał przy drodze w garniturze i rozpaczy, przez ponad dziesięć minut próbując złapać okazję. Powodzenie w takich sytuacjach zależy jednak od tego, czy drogą przejeżdżają akurat jakieś samochody. A to niestety nie miało miejsca. Kiedy do Drugiego dotarło, że już dawno temu powinien był zadzwonić po taksówkę, zauważył, że płaszcz i portfel zostały na wieszaku w przedpokoju. Ze stu dwudziestoma koronami w kieszeni koszuli postanowił pojechać traktorem do Norrtälje i tam wsiąść w autobus. Zapewne szybciej byłoby zawrócić, wziąć portfel, znów zawrócić i zadzwonić po taksówkę. Albo jeszcze lepiej: najpierw zadzwonić po taksówkę i zanim ta przyjedzie, pojechać do domu po portfel.

Niestety, Drugi, choć uzdolniony, był zestresowany niemal w tym samym stopniu co świętej pamięci garncarz. Istniało

niebezpieczeństwo, że nie dotrze na własną obronę. Po latach przygotowań. To jakieś szaleństwo.

A to był dopiero początek.

Kiedy Holger 2 przesiadał się w Norrtälje na autobus, po raz ostatni tego dnia dopisało mu szczęście. W ostatniej chwili zajechał drogę kierowcy autobusu. Ten wysiadł, by go zbesztać, ale zaniechał tego, gdy zamiast jakiegoś cholernego rolnika zobaczył wyelegantowaną mężczyznę w garniturze, krawacie i lakierkach.

Już z autobusu Holger dodzwonił się do rektora, profesora Bernera. Przeprosił go i wyjaśnił, że z powodu zbiegu szczególnie niesprzyjających okoliczności spóźni się prawie pół godziny. Profesor z irytacją pouczył go, że spóźnienia na obronę nie licują z tradycjami uniwersytetu, ale że postara się jakoś przetrzymać oponentów i słuchaczy.

* * *

Holger 1 i młoda gniewna dotarli do Sztokholmu i odebrali ulotki. Celestine – w ich związku to ona była strategiem – postanowiła, że ich pierwszym celem będzie Muzeum Historii Naturalnej. Mieli tam dział poświęcony Karolowi Darwinowi i jego teorii ewolucji. Darwin zapożyczył od jednego kolegi określenie *survival of the fittest* i głosił, że zgodnie z prawami natury przeżyją tylko najsilniejsi. Darwin był zatem faszystą i musi zostać ukarany, sto dwadzieścia dwa lata po śmierci. To, że ulotki nosiły faszystowskie znamiona, nie przyszło jakoś Celestine i Holgerowi do głowy. Należało je dyskretnie porozklejać. Po całym muzeum. W imię świętej anarchii.

Obyło się bez przygód. Holgerowi 1 i Celestine nikt nie przeszkadzał. Przez szwedzkie muzea raczej nie przewalają się tłumy.

Następnym przystankiem był pobliski Uniwersytet Sztokholmski. Celestine zajęła się damskimi toaletami, męskie pozostawiając Holgerowi. To stało się w pierwszej z nich. Holger 1 wpadł w drzwiach na jakiegoś mężczyznę.

– No proszę, już pan dotarł? – zdziwił się profesor Berner.

Przeciągnął zaskoczonego Holgera 1 przez korytarz do sali numer cztery, podczas gdy Celestine robiła dalej swoje w damskiej toalecie.

Chwilę później Pierwszy, nic z tego nie pojmując, stał na mównicy przed publicznością składającą się z co najmniej pięćdziesięciu osób.

Profesor Berner zaprezentował w języku angielskim sylwetkę doktoranta, używając przy tym nie tylko wielu, ale też trudnych słów. Holger mało co z tego rozumiał, ale najwyraźniej oczekiwano od niego, że powie coś o korzyściach płynących z detonacji bomby atomowej. W jakim celu – trudno orzec. Chętnie to jednak uczyni, choć jego angielski pozostawia wiele do życzenia. Najważniejsze chyba jednak jest nie to, co się mówi, tylko to, co się ma na myśli, prawda?

Podczas wykopków Pierwszy rozmyślał o tym i owym. Doszedł do wniosku, że najlepiej byłoby przetransportować członków szwedzkiej rodziny królewskiej na lapońskie pustkowia i tam zdetonować bombę, o ile sami wcześniej dobrowolnie nie abdykują. Nikt niewinny nie ucierpi, a szkody będą minimalne. Ewentualny wzrost temperatury wskutek detonacji byłby wręcz pożądany; tam na północy jest przecież tak paskudnie zimno.

Już samo snucie tych przemyśleń było dość kiepską sprawą. Teraz na dodatek Holger 1 podzielił się nimi z mównicy.

Pierwszym oponentem był profesor Lindkvist z Uniwersytetu Linneusza w Växjö. W trakcie przemówienia Holgera wertował swoje notatki. On także postanowił zabrać głos w języku angielskim. Na początek zapytał, czy to, co właśnie usłyszał, stanowi swego rodzaju wstęp do dalszych rozważań.

Wstęp? No, można by to tak określić. Ostateczne zejście ze sceny rodziny królewskiej dałoby początek republice. Czy to miał pan na myśli?

Profesor Lindkvist miał na myśli to, że nic z tego nie zrozumiał. Głośno powiedział jednak, że niemoralne wydaje mu się pozbawianie życia całej rodziny królewskiej. Pomijając już metodę, o której wspomniał pan Qvist.

Holger poczuł się urażony. Nie jest przecież jakimś mordercą! Król i jego banda mogą spokojnie odejść. Tylko ich odmowa pociągnie za sobą atomowe konsekwencje. Będzie to jednak bezpośredni skutek dokonanego przez rodzinę królewską wyboru.

Skoro profesor Lindkvist milczał (bo go po prostu zatkało), Holger postanowił naświetlić inny aspekt swojej teorii, ten mianowicie, że wobec braku króla mógłby nim zostać każdy, kto akurat miałby na to ochotę.

– Osobiście nie jestem orędownikiem tego rozwiązania, ale pomysł z pewnością wart jest rozważenia – powiedział.

Profesor Lindkvist nie podzielał chyba tego poglądu, bo rzucił błagalne spojrzenie koledze Bernerowi. Ten z kolei zastanawiał się, czy kiedykolwiek był bardziej nieszczęśliwy. Obrona miała być spektaklem dla dwojga honorowych gości: szwedzkiego ministra szkolnictwa wyższego i badań naukowych Larsa Leijonborga oraz jego nowo mianowanej koleżanki po fachu, Francuzki Valérie Péresse. Oboje pragnęli zainicjować szwedzko-francuski program edukacyjny, umożliwiający uzyskanie honorowanych w obu krajach dyplomów. Leijonborg osobiście skontaktował się z profesorem Bernerem i poprosił go o możliwość wizytacji na wybranej obronie. Profesor natychmiast pomyślał o wzorowym studencie Holgerze Qviście.

A teraz to.

Berner postanowił przerwać to żałosne widowisko. Najwyraźniej pomylił się co do swojego studenta. Ten zaś powinien opuścić podium. A następnie salę. Oraz uniwersytet. Najlepiej również kraj.

Ale ponieważ profesor powiedział to wszystko po angielsku, Pierwszy nie zrozumiał.

– Mam jeszcze raz przedstawić moją koncepcję?

– Nie – odpowiedział profesor Berner. – W ciągu ostatnich dwudziestu minut postarzałem się o dziesięć lat, a przecież już wcześniej byłem w podeszłym wieku. Dość tego. Proszę sobie po prostu pójść.

I tak też Pierwszy uczynił. Wychodząc, uzmysłowił sobie, że właśnie wystąpił publicznie, wbrew obietnicom składanym bratu. Czy Drugi się na niego wścieknie? Może się nie dowie?

Na korytarzu zobaczył Celestine. Wziął ją pod ramię i zasugerował, by przenieśli się w inne miejsce. Obiecał, że wyjaśni jej wszystko po drodze.

Pięć minut później do budynku wpadł Holger 2. Profesor Berner właśnie skończył tłumaczyć się przed szwedzkim ministrem, który z kolei zrobił to samo przed swoją francuską koleżanką. Ta zasugerowała, by Szwecja w swoich poszukiwaniach równorzędnego partnera w sferze edukacji zwróciła się do Burkina Faso.

Profesor zauważył na korytarzu tego drania Holgera Qvista. Czy sądzi, że wystarczy zamienić dzinsy na garnitur, a wszystko pójdzie w zapomnienie?

– Proszę mi wybaczyć... – zaczął elegancko ubrany i zdyszany Holger 2.

Profesor Berner przerwał mu i oświadczył, że najlepiej zrobi, jeśli zniknie. Na dobre.

– Już po obronie, Qvist. Niech pan wraca do domu. I zastanów się pan nad ekonomicznymi zagrożeniami własnej egzystencji.

* * *

Holger 2 nie obronił doktoratu. Całą dobę zajęło mu zrozumienie, co się właściwie wydarzyło. Kolejną, by oszacować rozmiar szkód. Nie mógł zadzwonić do profesora, aby wyjaśnić, co zaszło. Że przez te wszystkie lata studiował, podszywając się pod kogoś innego, i że ten ktoś pojawił się na jego obronie. To doprowadziłoby tylko do kolejnych nieszczęść.

Najbardziej ze wszystkiego Drugi pragnął udusić brata. Jednak w chwili, gdy powziął to postanowienie, nie można go było zrealizować, gdyż Pierwszy przebywał właśnie na sobotnim spotkaniu Stowarzyszenia Anarchistycznego. A kiedy po południu on i Celestine wrócili do Sjölidy, stan Drugiego pogorszył się i przeszedł w depresję.

Rozdział 18

O krótkotrwałym sukcesie medialnym i premierze, który nagle chciał się spotkać

Choć niemal wszystko układało się fatalnie, po tygodniu do Holgera 2 dotarło, że leżenie w łóżku na niewiele się zda. Nombeko i Gertrud potrzebowały rąk do pracy przy zbiorach. Pierwszy i Celestine też trochę pomagali, istniały więc czysto ekonomiczne przesłanki, by ich nie udusić.

Życie w Sjölidzie wróciło do normy. Znów kilka razy w tygodniu jedli wspólnie kolacje. Jednak przy stole dało się odczuć napięcie, mimo że Nombeko próbowała je rozładować. Nadal zdawała im relację z tego, co się dzieje na świecie. Któregoś wieczora wspomniała na przykład o brytyjskim księciu Harrym, który wybrał się na imprezę w przebraniu nazisty (co wywołało skandal podobny do tego, jaki miał miejsce, gdy kilka lat później książę balował zupełnie pozbawiony ubrania).

– Nie widzicie, w jakiej kondycji jest monarchia? – skomentował sprawę kostiumu księcia Holger 1.

– Owszem – odpowiedziała Nombeko. – Demokratycznie wybrani naziści w Republice Południowej Afryki zostawili mundury w domu.

Holger 2 milczał. Nie posłał nawet brata do diabła.

Nombeko zdała sobie sprawę, że potrzeba jakichś zmian, nowej idei. Pojawił się też potencjalny kupiec na ich przedsiębiorstwo ziemniaczane.

Firma Hrabina Virtanen SA posiadała obecnie dwieście hektarów ziemi pod uprawę kartofli, dysponowała nowoczesnym parkiem maszynowym, miała przyzwoite obroty, wysoką opłacalność i niewiele długów. Nie uszło to uwadze największego w środkowej Szwecji plantatora, który wszystko sobie podliczył i zaoferował sześćdziesiąt milionów koron za cały kram.

Nombeko przeczuwała schyłek szwedzkiego boomu na ziemniaki. Celebrytka na diecie ziemniaczanej znów przytyła, a według agencji informacyjnej ITAR-TASS zbiory ziemniaków w Rosji w końcu miały być obfitsze.

Pomijając to, że uprawa ziemniaków nie stanowiła sensu ich życia, nadarzyła się po prostu okazja, by zrobić dobry interes.

Nombeko naświetliła sprawę formalnej właścicielce spółki, która oświadczyła, że chętnie się przebranzowi. Na myśl o ziemniakach robi jej się niedobrze.

– Teraz popularne jest chyba spaghetti? – zapytała.

Owszem, przytaknęła Nombeko, spaghetti istnieje już od jakiegoś czasu. Od dwunastego wieku. Nie jest jednak proste w uprawie. Według Nombeko mogliby lepiej spożytkować pieniądze.

I nagle olśniło ją jak.

– A co Gertrud na to, żebyśmy zaczęli wydawać czasopismo?

– Czasopismo? Świetnie! O czym będziemy pisać?

* * *

Reputacja wyrzuconego z Uniwersytetu Sztokholmskiego Holgera Qvista legła w gruzach. Wciąż miał on jednak rozległą wiedzę zarówno z dziedziny ekonomii, jak i politologii. A i Nombeko była nie w ciemną bita. Oboje mogli więc pracować za kulisami.

Nombeko przedstawiła swoją koncepcję Drugiemu, który na razie wszystko ogarniał. Tylko jakie kulisy Nombeko ma na myśli? I w jakim celu to wszystko?

– Celem, kochany Holgerze, jest pozbycie się bomby.

Pierwszy numer miesięcznika „Szwedzka Polityka” ukazał się w kwietniu 2007 roku. Rozesłano go bezpłatnie do piętnastu tysięcy dysponentów władzy w całym kraju. Sześćdziesiąt cztery wypełnione tekstem strony, ani jednej reklamy. Mało opłacalny interes. Ale nie o to tu chodziło.

Pismo zauważyły największe szwedzkie dzienniki – „Svenska Dagbladet” i „Dagens Nyheter”. Jego właścicielką była ponoć

ekscentryczna osiemdziesięcioletnia Gertrud Virtanen, niegdyś producentka ziemniaków. Pani Virtanen nie udzielała wywiadów, ale na stronie drugiej magazynu wyjaśniła zasady, jakimi kieruje się redakcja: artykuły nie są podpisane, a każdy tekst ma być oceniany wyłącznie na podstawie merytorycznej zawartości.

Poza wątkiem pani Virtanen najciekawsze było to, że czasopismo było interesujące. O pierwszym numerze w superlatywach rozpisywało się wiele szwedzkich gazet. Jeden z artykułów w „Szwedzkiej Polityce” poświęcono pogłębionej analizie sukcesu partii Szwedzcy Demokraci, która w 2006 roku uzyskała 3 procent głosów, dwa razy więcej niż w poprzednich wyborach. Zjawisko umieszczono w międzynarodowym kontekście. Autor tekstu wykazał się sporym znawstwem tematu, nawiązując nawet do nazistowskich nurtów w historii Afryki. Wniosek płynący z tych rozważań był chyba nazbyt dramatyczny: trudno wyobrazić sobie, żeby partia, której zwolennicy witają swojego lidera hitlerowskim pozdrowieniem, potrafiła ocieplić swój wizerunek na tyle, by wejść do parlamentu. Istnieje jednak takie ryzyko.

W innym artykule szczegółowo wypunktowano ludzkie, polityczne i finansowe konsekwencje ewentualnej katastrofy jądrowej w Szwecji. Już same liczby mogły przyprawić o dreszcze. Trzydzieści dwa tysiące nowych miejsc pracy powstałyby w ciągu dwudziestu pięciu lat, gdyby trzeba było odbudować Oskarshamn, pięćdziesiąt osiem kilometrów na północ od miejsca, w którym się wcześniej znajdowało.

Poza artykułami, które pisały się niemal same, Nombeko i Drugi zmaistrowali kilka tekstów mających wprowadzić nowego, konserwatywnego premiera w dobry humor. Należał do nich retrospektywny tekst poświęcony Unii Europejskiej, który powstał w związku z obchodami pięćdziesiątej rocznicy podpisania traktatów rzymskich, w których, tak się złożyło, uczestniczył wspomniany premier. Pokuszono się także o pogłębioną analizę kryzysu, z jakim zmagali się Socjaldemokraci. Partia uzyskała najgorszy od 1914 roku wynik w wyborach i miała nową przewodniczącą w osobie Mony Sahlin. Wniosek był taki, że Sahlin mogła albo sprzymierzyć się z Partią Zielonych, zdystansować od

lewicy – i przegrać kolejne wybory – albo dopuścić byłych komunistów, stworzyć sojusz trzech partii – i także na tym stracić, przegrywając wybory (potem wypróbowała oba scenariusze, po czym straciła też pracę).

Redakcja magazynu mieściła się w Kiście pod Sztokholmem. Drugi zakazał Holgerowi 1 i Celestine wtrącać się w sprawy redakcji. Oprócz tego na podłodze w promieniu dwóch metrów od swojego biurka wyrysował okrąg. Pierwszy mógł przekraczać linię jedynie w celu opróżnienia kosza na śmieci.

Najlepiej by było, gdyby brat w ogóle nie pojawiał się w redakcji. Niestety, Gertrud postawiła warunek: zaangażuje się w przedsięwzięcie, jeśli znajdzie się w nim miejsce dla jej ukochanej Celestine. Poza tym trzeba było czymś zająć tę dwójkę nieszczęśników, skoro nie mogli już zbierać ziemniaków.

Gertrud, formalnie główny udziałowiec, przesiadywała w swoim gabinecie i napawała się widokiem zdobiącej drzwi tabliczki z napisem „Wydawca”. Było to jej główne zajęcie.

Wydanie drugiego numeru Nombeko i Holger 2 zaplanowali na maj 2007 roku. Trzeci miał się ukazać tuż po wakacjach. A kiedy już urobią premiera, „Szwedzka Polityka” poprosi go o wywiad. I on się zgodzi. Prędzej czy później, o ile dalej będą iść tą drogą.

Raz jeden sprawy potoczyły się dla Holgera i Nombeko pomyślniej, niż się spodziewali. Podczas konferencji prasowej na temat zbliżającej się wizyty premiera w Białym Domu padło pytanie o „Szwedzką Politykę”. Premier przyznał, że z zainteresowaniem czyta magazyn, zasadniczo zgadza się z prezentowaną tam analizą zagadnień europejskich i czeka na kolejny numer.

Lepiej być nie mogło. Nombeko zaproponowała więc natychmiast Drugiemu, aby jak najszybciej skontaktował się z Kancelarią Rządu. Na co czekać? Co mają do stracenia?

Drugi odparł, że brat i jego dziewczyna mają niemal nadprzyrodzoną umiejętność obracania wniwecz wszystkiego, czego się tkną, nie chce więc robić sobie nadziei, póki ta dwójka chodzi wolno. Ale w końcu co mają do stracenia?

Holger 2 zadzwonił zatem po raz któryś do kolejnej asystentki premiera. Tym razem jednak w innej sprawie. Ona zaś – a niech to! – odparła, że skontaktuje się z dyrektorem do spraw kontaktów z prasą. Który następnego dnia oddzwonił do Holgera i poinformował, że premier przyjmie go 27 maja o godzinie dziewiątej zero zero i udzieli mu czterdziestopięciominutowego wywiadu.

To oznaczało, że rozmowa odbędzie się pięć dni po publikacji drugiego numeru. Kolejne nie będą już zatem potrzebne.

– A może chcesz to dalej ciągnąć? – zapytała Nombeko. – Nigdy wcześniej nie byłeś taki szczęśliwy.

Nie, pierwszy numer kosztował cztery miliony i nic nie wskazuje, że drugi będzie tańszy. Pieniądze za plantację ziemniaków potrzebne są na życie, które w najlepszym razie już niedługo będą mogli wieść. Życie, w którym oboje będą istnieć, z pozwoleniem na pobyt i tak dalej.

Holger i Nombeko zdawali sobie sprawę, jak wiele będzie jeszcze do zrobienia, nawet jeśli uświadomią istnienie bomby osobie podejmującej decyzje w kraju, w którym się ona znajduje. Mało prawdopodobne na przykład, że ta informacja premiera ucieszy. Nie wiadomo też, czy okaże on zrozumienie dla zaistniałej sytuacji. Czy w ogóle doceni to, że przez dwadzieścia lat Holger i Nombeko utrzymywali istnienie bomby w tajemnicy? Ale szanse są. A nie będzie ich, jeśli pozostaną bierni.

Drugi numer czasopisma poświęcono sprawom międzynarodowym. Przeprowadzono między innymi analizę aktualnej sytuacji politycznej w USA w związku ze spotkaniem szwedzkiego premiera z George'em W. Bushem w Białym Domu. Dokonano także historycznej retrospektywy ludobójstwa w Rwandzie, gdzie wyrżnięto milion Tutsi za to, że nie byli Hutu. Różnica między plemionami polega ponoć na tym, że Tutsi są nieznacznie wyżsi od Hutu.

Oprócz tego mały flirt z premierem na temat rychłego zniesienia szwedzkiego monopolu aptecznego.

Holger 2 i Nombeko sprawdzili każdą sylabę. Wszystko musiało być bez zarzutu. Chcą wydawać treściwy i interesujący magazyn, a przy okazji nie nastąpić premierowi na odcisk.

Wszystko musiało być bez zarzutu. Dlaczego więc Drugi zaprosił swoją ukochaną Nombeko na kolację, by uczcić zamknięcie i wysłanie do druku drugiego numeru ich pisma? Potem tak bardzo przeklinał samego siebie, że aż zapomniał zatłuc brata.

W redakcji pozostała Gertrud, która drzemała w fotelu dyrektorskim, oraz Holger 1 i Celestine, którzy mieli zinwentaryzować zapasy taśmy klejącej i długopisów. Gotowe do druku wydanie gazety jaśniało na ekranie komputera Drugiego.

– Oni obzerają się teraz w jakiejś luksusowej knajpie, a my liczymy spinacze – powiedziała Celestine.

– A w najnowszym numerze znów ani słowa o tym przeklętym dworze królewskim – dodał Holger 1.

– Ani o anarchizmie – powiedziała Celestine. – Nombeko jest najwyraźniej przekonana, że pieniądze Gertrud należą do niej. Za kogo ona się ma? Przepuszczają teraz wszystkie miliony, żeby wejść do tyłka temu konserwatywnemu, wielbiącemu króla premierowi.

– Chodź, kochanie – powiedział Holger 1 i wkroczył w zakazaną strefę wokół biurka Drugiego.

Usiadł w fotelu brata i wyszukał rubrykę Gertrud na stronie drugiej. Jakieś brednie o słabości opozycji. Oczywiście autorstwa Drugiego. Holger 1 nie dał rady przebrnąć przez to barachło. Wszystko skasował.

Pisząc to, co przepelniało mu akurat serce, mruzczał pod nosem, że Drugi może sobie decydować o sześćdziesięciu trzech z sześćdziesięciu czterech stron. Sześćdziesiątą czwartą anektuje on, Holger 1.

Kiedy skończył, wysłał do drukarni nową wersję i poinformował szefa składu o istotnej poprawce.

* * *

W poniedziałek drugi numer magazynu „Szwedzka Polityka” wyszedł z drukarni i został przesłany do tych samych piętnastu tysięcy osób co poprzednio. Na stronie drugiej wydawca opublikował oświadczenie:

„Pora, by król – ta świnia – abdykował. Niech zabierze ze sobą królową – świnie. I następczynię tronu – świnie. Oraz księcia i księżniczkę – świnie. I starą lochę Lilian.

Monarchia to ustrój godzien wyłącznie świń (oraz tej i owej lochy). Szwecja ma się stać republiką TERAZ”.

Tu skończyła się inwencja Holgera. Ale ponieważ słabo znał się na programie graficznym, a pozostało jeszcze pięć centymetrów dwuszpaltowej powierzchni, narysował ludzika na szubienicy, a na piersi nabazgrał mu „król”. Z ust wisielca wychodził dymek; truposz najwyraźniej nadal był w stanie mówić: „Chrum”.

Jakby tego było mało, na samym dole strony Celestine dopisała jeszcze: „Więcej informacji: Sztokholmskie Stowarzyszenie Anarchistyczne”.

Piętnaście minut po tym, jak drugi numer magazynu „Szwedzka Polityka” dotarł do Kancelarii Rządu, zadzwoniła asystentka premiera z informacją, że spotkanie zostało odwołane.

– Ale dlaczego? – zapytał Holger 2, który jeszcze nie widział pisma.

– A jak pan, do cholery, myśli? – warknęła asystentka.

* * *

Premier Fredrik Reinfeldt nie chciał się spotkać z przedstawicielem magazynu „Szwedzka Polityka”. A jednak właśnie to miał wkrótce zrobić. I dostać do rąk bombę atomową.

Chłopiec, który miał zostać premierem, był najstarszym z trzech synów w rodzinie, w której panowały: miłość, ład i porządek. Każda rzecz na swoim miejscu, każdy sprzęta po sobie.

Tak ukształtowany Fredrik w dorosłym wieku przyznał, że najbardziej bawi go nie polityka, ale odkurzanie. Został jednak

premierem, a nie sprzątaczem. Tak czy siak, miał talent do jednego i drugiego. Oraz do wielu innych rzeczy. Już jako siedmiolatek został przewodniczącym rady uczniowskiej. Później z wyróżnieniem ukończył służbę wojskową w charakterze żołnierza do zadań specjalnych w pułku lapońskim. Gdyby nadeszli Rosjanie, spotkaliby się z człowiekiem, który też wie, jak się walczy w czterdziestoosmiostopniowym mrozie.

Ale Rosjanie nie przyjechali. Za to Fredrik przyjechał do stolicy, gdzie rozpoczął studia na Uniwersytecie Sztokholmskim. Tam zajmował się ekonomią, kabaretem studenckim i utrzymaniem wojskowego porządku w swoim pokoju. Wkrótce był już magistrem ekonomii.

Także zainteresowanie polityką wyniósł Fredrik z domu. Ojciec był politykiem gminnym. Fredrik poszedł w jego ślady. Dostał się do parlamentu. Został przewodniczącym młodzieżówki Partii Umiarkowanej. Ugrupowanie odniosło zwycięstwo w wyborach w 1991 roku. Młody Fredrik wciąż nie odgrywał w nim istotnej roli, zwłaszcza po tym, jak oskarżył jej lidera – Carla Bildta – o to, że jest autokratą. Bildt pokornie przyznał Reinfeldtowi rację, na blisko dziesięć lat umieszczając go w partyjnej zamrażarce. Sam udał się do byłej Jugosławii, by prowadzić negocjacje pokojowe. Wolał ratować świat niż ponieść porażkę, ratując Szwecję.

Jego następcą Bo Lundgren potrafił liczyć prawie tak dobrze jak Nombeko, ale ponieważ naród szwedzki dość miał gadania o liczbach i pragnął od czasu do czasu usłyszeć jakieś słowo otuchy, także on przepadł z kretesem.

Przyszła pora na zmiany. Drzwi do zamrażarki, w której dygotał Fredrik Reinfeldt, stanęły otworem. Reinfeldt odtajał i 25 października 2003 został jednogłośnie wybrany na przewodniczącego partii. Niespełna trzy lata później on, jego ugrupowanie i centroprawicowa koalicja Sojusz wspólnie zmiotli socjaldemokrację. Fredrik Reinfeldt został premierem i osobiście wysprzątał wszelkie ślady, jakie w Kancelarii Rządu pozostawił jego poprzednik Persson. Do tego celu użył środka czyszczącego Grönsåpa, ponieważ pozostawia on na powierzchni odporną na brud

powłokę. Po skończonej robocie umył ręce i otworzył nową epokę w szwedzkiej polityce.

Był dumny z tego, co osiągnął. I zadowolony. Jeszcze przez jakiś czas.

* * *

Nombeko, Celestine, Pierwszy i Drugi wrócili do Sjölidy. Jeśli atmosfera przed przygodą ze „Szwedzką Polityką” była napięta, to teraz stała się po prostu nieznośna. Holger 2 nie odzywał się do brata, nie chciał nawet siedzieć z nim przy jednym stole. Pierwszy z kolei czuł się niezrozumiany i odrzucony. W dodatku on i Celestine poróżnili się z anarchistami. Przeczytawszy o nich w „Szwedzkiej Polityce”, większość szwedzkich dziennikarzy politycznych przypuściła szturm na siedzibę organizacji, chcąc poznać przyczynę, dla której jej członkowie porównali dwór królewski do chlewu.

Holger 1 spędzał więc dni na strychu, gapiąc się na ciężarówkę Gertrud. Na jej pace wciąż leżała trzymegatonowa bomba atomowa. Która w taki czy inny sposób mogłaby zmusić króla do abdykacji. I której Holger 1 obiecał nie ruszać.

I choć przez te wszystkie lata dotrzymywał obietnicy, brat i tak był na niego wściekły. Jakie to niesprawiedliwe.

Celestine była zła na Drugiego, ponieważ ten był zły na Pierwszego. Według niej Drugi nie rozumie jednej rzeczy: na studiach nie można się nauczyć odwagi cywilnej. To się albo ma, albo nie. A brat Drugiego to ma!

Holger 2 poprosił Celestine, by gdzieś się potknęła i zrobiła sobie porządną krzywdę. Sam zaś wybrał się na spacer.

Zszedł do jeziora, usiadł na ławeczce na pomoście i zapatrzył się w wodę. Przepęniało go uczucie... nie, nic go nie przepęniało. Odczuwał kompletną pustkę.

Miał Nombeko, za co był wdzięczny. Poza tym jednak żadnych dzieci, żadnego życia, żadnej przyszłości. Zdał sobie sprawę, że nigdy nie spotka się z premierem: ani tym, ani kolejnym, ani

żadnym innym. Z dwudziestu sześciu tysięcy dwustu lat, po których upływie bomba utraci swoją moc, pozostało jeszcze dwadzieścia sześć tysięcy sto osiemdziesiąt. Plus minus trzy miesiące. Może lepiej przeczekać ten czas tu, na pomoście.

Krótko mówiąc, wszystko układało się beznadziejnie. Trzydzieści minut później miało być jeszcze gorzej.

Rozdział 19

O uroczystej kolacji na zamku i kontakcie z drugą stroną

Trzydniową oficjalną wizytę w Szwecji przewodniczący Hu Jintao rozpoczął od powitania repliki pływającego dla Szwedzkiej Kompanii Wschodnioindyjskiej żaglowca „Götheborg”, który tego właśnie dnia powrócił z Chin do miasta o tej samej nazwie.

Podobną podróż dwieście pięćdziesiąt lat wcześniej odbył pierwowzór. Pokonał sztormy, piratów, choroby i głód. Ale dziewięćset metrów od portu w Göteborgu przy pięknej pogodzie żaglowiec osiadł na mieliźnie i wkrótce poszedł na dno.

Dość irytujące, delikatnie mówiąc. 9 czerwca 2007 roku przyszła jednak pora na rewanż. Replika żaglowca poradziła sobie ze wszystkimi trudnościami, którym sprostał jej poprzednik, oraz z ostatnim niepełnym kilometrem. Götheborg powitały tysiące wiwatujących widzów, a wraz z nimi przewodniczący Chińskiej Republiki Ludowej, który korzystając z tego, że był w okolicy, postanowił odwiedzić fabrykę samochodów Volvo w Torslandzie. Osobiście na to nalegał i miał ku temu sobie tylko znane powody.

Otóż w Volvo już od dość dawna psioczyli na szwedzki rząd i urzędników państwowych, którzy uparcie kupowali samochody marki BMW, ilekroć należało zaopatrzyć się w pojazd o podwyższonych standardach bezpieczeństwa. To, że członkowie szwedzkiego dworu królewskiego i ministrowie szwedzkiego rządu przy każdej oficjalnej okazji wsiadali do niemieckiego auta i z takiegoż wysiadali, doprowadzało zarząd firmy Volvo do szału. Skonstruowano nawet specjalny opancerzony egzemplarz, który zaprezentowano służbom bezpieczeństwa. Bez odzewu. Wtedy jeden z inżynierów wpadł na genialny pomysł, by zaoferować przewodniczącemu Chińskiej Republiki Ludowej specjalnie dla niego skonstruowane kremowe nowiuteńkie volvo S80 z napędem na

cztery koła i silnikiem V8 o mocy 315 koni. Wóz godny głowy państwa.

Tak pomyślał ów inżynier.

Oraz zarząd Volvo.

A także – jak się okazało – sam przewodniczący.

Dyskretnie dokonano wszystkich koniecznych ustaleń i podczas sobotniego spotkania w fabryce w Torslandzie z dumą zaprezentowano mu samochód. Następnego dnia tuż przed odlotem przewodniczącego miał on zostać dostarczony na sztokholmskie lotnisko Arlanda.

Wcześniej przewodniczący miał wziąć udział w uroczystej kolacji na Zamku Królewskim.

* * *

Nombeko siedziała w czytelni w Norrtälje, pochłaniając gazetę za gazetą. Zaczęła od dziennika „Aftonbladet”, który poświęcił cztery strony konfliktowi – nie, nie między Izraelem a Palestyną, lecz między uczestnikiem telewizyjnego konkursu wokalnego a uszczypliwym jurorem, który oskarżył artystę o brak talentu.

– Niech spada, gdzie pieprz rośnie – skontrował artysta, który po pierwsze, faktycznie nie potrafił śpiewać, a po drugie, nie miał pojęcia, gdzie rośnie pieprz.

Druga w kolejności była „Dagens Nyheter”, której redakcja upierała się przy pisaniu o sprawach istotnych, w związku z czym dziennik jeszcze nigdy nie sprzedawał się tak słabo. Typowe dla „DN” było zamieszczanie na pierwszej stronie tekstów o wizycie państwowej zamiast o kłótni w studiu telewizyjnym. Tego dnia pisano o przewodniczącym Hu Jintao, o żaglowcu „Göteborg”, który zawinął do portu, oraz o tym, że w sobotę przewodniczący uda się do Sztokholmu na uroczystą kolację, w której udział wezmą król i premier.

Informacja ta byłaby niewiele warta, gdyby nie zdjęcie przewodniczącego Hu.

Nombeko spojrzała na nie, spojrzała jeszcze raz. I powiedziała:

– No proszę, pan Chińczyk został przewodniczącym!

A zatem szwedzki premier i przewodniczący Chin mieli gościć na Zamku Królewskim. Gdyby Nombeko stanęła pośród gapiów i krzyknęła do wchodzącego na zamek premiera, w najlepszym razie zostałaby przegnana, a w najgorszym zatrzymana i w końcu deportowana.

Gdyby jednak krzyknęła do przewodniczącego Chin w języku wu, rezultat mógłby być zgoła inny. Jeśli Hu Jintao ma dobrą pamięć, pozna ją. A jeżeli cała ta sytuacja choć w niewielkim stopniu wzbudzi jego ciekawość, podejdzie do niej, by dowiedzieć się, jak to u licha się stało, że tłumaczka z Republiki Południowej Afryki, którą miał kiedyś okazję poznać, stoi teraz na dziedzińcu szwedzkiego zamku.

W ten sposób między Nombeko i Holgerem 2 a premierem – lub, jak w tym przypadku, królem – stałaby tylko jedna osoba. Przewodniczący Hu spełniał wszelkie warunki, by zostać łącznikiem pomiędzy posiadaczami bomby mimo woli a tymi, do których od dwudziestu lat bezskutecznie próbują dotrzeć.

Przyszłość pokaże, dokąd ich to wszystko doprowadzi, ale mało prawdopodobne, że premier tak po prostu odprawi ich z bombą. Raczej wezwie policję, żeby ich przymknęła. Kto wie. Jedyne, czego Nombeko i Holger 2 byli pewni, to to, że chcą spróbować.

Mieli jednak niewiele czasu. Wybiła już jedenasta przed południem. Nombeko musiała jeszcze popedałować z powrotem do Sjölidy, wtajemniczyć w swój plan Holgera 2, uważając przy tym, aby narwańcy i Gertrud o niczym się nie dowiedzieli, wyprowadzić ze stodoły samochód i zdążyć do szóstej przed zamek, by tam dopaść przewodniczącego.

* * *

Od początku wszystko szło jak po grudzie. Holger 2 i Nombeko zakradli się do stodoły i zaczęli odkręcać aż nazbyt autentyczne tablice rejestracyjne, by zastąpić je tymi skradzionymi przed laty.

Niestety, na strychu na sianie ponad nimi przesiadywał jak zwykle Pierwszy. Usłyszawszy krzątanie przy samochodzie, ocknął się z otępienia. Cichaczem wyszedł przez okienko i pobiegł po Celestine. Zanim Holger 2 i Nombeko skończyli przykręcać nowe tablice, Pierwszy i jego dziewczyna wtargnęli do stodoły i rozsiedli się w kabinie ciężarówki.

– A więc chcieliście zwać z bombą – powiedziała Celestine.

– A więc chcieliście zwać – powiedział Holger 1.

Wtedy jego brat nie wytrzymał.

– Dość tego! – ryknął. – Won z kabiny, pasożyty przeklęte! Za nic w świecie nie pozwolę, żebyśmy przez was zaprzepaścili kolejną szansę. Za nic w świecie!

Na to Celestine wyciągnęła skądś kajdanki i przykuła się do schowka w kabinie ciężarówki. W końcu była z niej stara demonstrantka.

Prowadził Holger 1. Celestine siedziała obok niego, nienaturalnie wygięta z powodu krępujących jej ruchy kajdanek. Obok niej Nombeko, a na skraju po prawej stronie, w słusznej odległości od swojego brata, Drugi.

Kiedy mijali dom, na schody wyszła Gertrud.

– Kupcie coś do jedzenia!

Nombeko poinformowała Pierwszego i Celestine o celu podróży, którym było pozbycie się bomby. Przypadkowo pojawiła się szansa, by dotrzeć do premiera Reinfeldta.

Holger 2 dodał, że przepuści brata i jego paskudną dziewczynę przez ośmiorzędową sadzarkę, jeśli nie będą siedzieć na swoim miejscu. Ze stulonymi pyskami.

– Ale przecież ośmiorzędowa sadzarka została sprzedana – zauważył Holger 1.

– Kupię nową – odparł jego brat.

Uroczysta kolacja na Zamku Królewskim miała się rozpocząć o osiemnastej. Gości witano w Drabantsalen, po czym z gracją prowadzono do sali Vita Havet.

Nombeko niełatwo było zająć strategiczną pozycję na wewnętrznym dziedzińcu, tak by mogła skutecznie przyciągnąć uwagę przewodniczącego Hu Jintao. Ciekawskich delikatnie zepchnięto bowiem na skraj dziedzińca, na odległość co najmniej pięćdziesięciu metrów od schodzących się gości. Czy rozpozna go z tej odległości? Na pewno on pozna ją. W końcu ilu czarnoskórych Afrykanów posługuje się językiem wu?

Okazało się, że z rozpoznaniem nie będzie problemów. Pracownicy służb specjalnych Säpo uaktywnili się, gdy nadjechał przewodniczący Chińskiej Republiki Ludowej Hu wraz z małżonką Liu Yongqing. Nombeko nabrała powietrza w płuca i krzyknęła w dialekcie prezydenta:

– Dzieńdoberek, panie Chińczyku! Pamięta pan jeszcze nasze safari w Afryce?!

Po czterech sekundach obok Nombeko stali już dwaj funkcjonariusze Säpo w cywilu. Po upływie kolejnych czterech trochę się uspokoili. Czarnoskóra kobieta nie wyglądała groźnie, jej dłonie były widoczne i nie zamierzała niczym rzucać w szacownych gości. Natychmiast jednak musi zostać usunięta.

No nie! Co tu się dzieje?

Oto przewodniczący zawraca, pozostawia za sobą czerwony dywan wraz z małżonką i idzie w stronę czarnoskórej kobiety. I... i... *uśmiecha się do niej!*

Są sytuacje, w których trudniej niż zwykle być funkcjonariuszem służb specjalnych. Przewodniczący powiedział coś do demonstrantki... bo to chyba demonstrantka?... a ona coś mu odpowiedziała.

Nombeko zauważyła konsternację funkcjonariuszy. Powiedziała więc po szwedzku:

– Nie muszą się panowie niepokoić. Jesteśmy z panem przewodniczącym starymi znajomymi. Zamienimy ze sobą tylko kilka słów. – Po czym zwróciła się ponownie do przewodniczącego: – Powspominamy sobie może innym razem, panie Chińczyku. Ale się porobiło...!

– Porobiło się, porobiło... – Hu Jintao uśmiechnął się. – Kto wie, po części może także dzięki pani, panienko Afryko.

– Miło z pana strony, panie przewodniczący. Ale do rzeczy, jeśli można. Pamięta pan może tego przygłupiego inżyniera w mojej dawnej ojczyźnie, tego, który zaprosił pana na safari i kolację? No właśnie. Kiepsko skończył, i dobrze, ale z moją i innych pomocą zdążył jeszcze zмайstrować kilka bomb atomowych.

– No tak, sześć sztuk, o ile dobrze pamiętam – powiedział Hu Jintao.

– Siedem. Pomijając już wszystko inne, nie radził sobie z liczeniem. Siódmą bombę zamknął pod kluczem w pewnym tajnym pomieszczeniu. Potem, jak by to powiedzieć, bomba gdzieś się zapodziała. A właściwie... w moim bagażu... który przyjechał ze mną do Szwecji.

– To Szwecja ma broń jądrową? – zdziwił się Hu Jintao.

– Nie, Szwecja nie. Ale ja tak. No i jestem przecież w Szwecji. Tak jakby.

Hu Jintao przez chwilę milczał. Po czym zapytał:

– Co panienka Afryka chce, żebym... jak ma pani na imię, tak poza tym?

– Nombeko – powiedziała Nombeko.

– Co mam według pani Nombeko zrobić z tą informacją?

– No więc, gdyby mógł pan być tak uprzejmy i przekazać ją królowi, któremu za chwilę poda pan rękę. On z kolei niech będzie tak miły i porozmawia o tym z premierem, który być może mógłby wyjść do nas i powiedzieć, co mamy z tą bombą zrobić. Nie możemy jej ot tak po prostu zawieźć do stacji recyklingu.

Przewodniczący Hu Jintao nie miał pojęcia, co to jest stacja recyklingu (cele klimatyczne Chin nie są aż tak dalekosiężne), ale sytuację rozumiał. Wiedział też, że biorąc pod uwagę okoliczności, powinien natychmiast zakończyć rozmowę z panną Nombeko.

– Obiecuję pani, że przekażę sprawę królowi i premierowi. Poręczę za panią. Jestem pewien, że na reakcję nie będzie pani długo czekać.

Przewodniczący Hu powrócił do swojej małżonki i na czerwony dywan prowadzący do Drabantsalen, gdzie oczekiwał Jego Wysokość Król.

Przybyli wszyscy goście, nie było już na co patrzeć. Turyści i pozostali ciekawscy rozeszli się w różne strony z różnymi planami na resztę tego pięknego czerwcowego wieczora w Sztokholmie AD 2007. Nombeko została sama, w oczekiwaniu na coś – nie wiadomo na co.

Po dwudziestu minutach podeszła do niej jakaś kobieta. Podała Nombeko rękę i niskim głosem przedstawiła się jako asystentka premiera. Ma ją zaprowadzić w bardziej ustronne miejsce.

Nombeko uznała to za dobry pomysł, ale dodała, że najchętniej podjechałaby ciężarówką, którą zaparkowała na dziedzińcu. Asystentka kiwnęła głową – to i tak po drodze.

Holger 1 nadal siedział za kierownicą, a Celestine obok niego (kajdanki ukryła w torebce). Asystentka usiadła z przodu. Zrobiło się ciasno. Nombeko i Holger 2 przenieśli się na pakę.

Podróż trwała krótko. Najpierw Källargränd, następnie w dół Slottsbacken. W lewo na parking i znów pod górkę. Czy kierowca mógłby troszkę wycofać? Stop! Świetnie.

Asystentka wyskoczyła z kabiny, zapukała do niepozornie wyglądających drzwi, a gdy te się otworzyły, wślizgnęła się do środka i znikła. Następnie tymi samymi drzwiami wyszli po kolei: premier, król i przewodniczący Hu Jintao z tłumaczem. Chiński przewodniczący musiał faktycznie poręczyć za Nombeko i jej kompanów, bo ochrona została na progu.

Nombeko poznała chińskiego tłumacza, mimo że po raz ostatni widzieli się przed dwudziestu laty.

– Ach, czyli jednak pan nie umarł – powitała go.

– Jeszcze wszystko może się zdarzyć – mruknął tłumacz. – Biorąc pod uwagę, co tam wozicie.

Holger 2 i Nombeko zaprosili premiera, króla i przewodniczącego do ciężarówki do przewozu ziemniaków. Premier nie wahał się ani chwili. Osobiście chciał sprawdzić, czy ta potworna informacja jest prawdziwa. Za nim wszedł król. Przewodniczący Chińskiej Republiki Ludowej uznał, że chodzi tu o sprawy bezpieczeństwa wewnętrznego, wrócił więc na zamek, w odróżnieniu od swojego ciekawskiego tłumacza, który chciał na własne oczy zobaczyć bombę atomową. Stojący w progu ochroniarze wiercili się nerwowo.

Po co król i premier wchodzą do ciężarówki na kartofle? To nie wygląda dobrze.

Jak na ironię pojawiła się akurat grupa chińskich turystów z przewodnikiem, który się zgubił. Tylne drzwi ciężarówki w pośpiechu zamknięto, a tłumaczowi, który nie zdążył wejść do środka, przytrzaśnięto nimi palce. Nombeko i pozostali usłyszeli tylko dobiegające z zewnątrz: – Pomocy, umieram! – a Holger 2 zapukał w okienko dzielące go od Pierwszego i poprosił o zapalenie światła z tyłu.

Holger 1 zrobił to, o co prosił brat, odwrócił się – i zobaczył króla! Oraz premiera.

Przede wszystkim jednak króla. Dobry Boże!

– To król, tato – szepnął Holger 1 do Ingmara Qvista w niebie.

A tata Ingmar odpowiedział:

– Jedź, synu! Jedź!

I Holger ruszył.

Część 6

Nigdy nie spotkałem fanatyka z poczuciem humoru.
Amoz Oz

Rozdział 20

O tym, co królowie robią, a czego nie robią

Jak tylko samochód ruszył, Nombeko dopadła do okienka i rozkazała Holgerowi 1, by się natychmiast zatrzymał, o ile chce dożyć końca dnia. Ale Pierwszy, sam właściwie nie wiedząc, czy tego właśnie chce, poprosił Celestine, żeby zamknęła okienko i odgrodziła ich od tego jazgotu.

Tak też uczyniła. Dodatkowo zasunęła zasłonkę, by nie oglądać Jego Wysokości ubranego w granatowy frak mundurowy, białą kamizelkę, granatowe spodnie ze złotymi lampasami, białą koszulę frakową i czarną muszkę.

Ależ była dumna ze swojego buntownika.

– Jedziemy do babci? – zapytała. – Chyba że masz lepszy pomysł?

– Dobrze wiesz, że nie mam, kochanie – odpowiedział Holger 1.

Król wyglądał głównie na zdziwionego zaistniałą sytuacją, natomiast premier był wściekły.

– Co tu się u licha dzieje? – zapytał. – Porywacie króla i premiera? Razem z bombą atomową? Bomba atomowa w mojej Szwecji. Kto na to zezwolił?

– O, przepraszam, ale Królestwo Szwecji należy raczej do mnie – zauważył król, siadając na skrzynce na ziemniaki. – Poza tym jednak podzielałam zdenerwowanie pana premiera.

Nombeko zauważyła, że to, do kogo należy kraj, jest mało istotne, skoro ten kraj może zaraz wylecieć w powietrze. Od razu jednak pożałowała swoich słów; teraz premier chciał wiedzieć coś więcej o tej przeklętej bombie.

– Jaką ma moc? Mówcie! – nakazał kategorycznie.

Według Nombeko panująca w ciężarówce atmosfera i tak była już dość kiepska. Nie chciała jej pogarszać. Jak mogła być tak głupia, by o tym wspominać? Próbowała skierować rozmowę na inny tor:

– Ogromnie mi przykro z powodu zaistniałej sytuacji. Pan premier i Wasza Królewska Mość absolutnie nie zostali porwani. W każdym razie nie przeze mnie ani nie przez mojego chłopaka. Jak tylko samochód się zatrzyma, obiecuję przestawić nos kierowcy i wszystko odkręcić. – I, by załagodzić sytuację, dodała: – Przesiadanie w zamknięciu jest wyjątkowo irytujące, kiedy na zewnątrz taka piękna pogoda.

Usłyszawszy to, kochający naturę król wspomniął o bieliku, którego tego popołudnia widział nad wodami Strömmen.

– W samym środku miasta! – wykrzyknęła Nombeko, mając przez sekundę nadzieję, że udało im się zmienić temat.

Kiedy jednak minęła ta sekunda, głos zabrał premier, nakazując, by zaprzestali pogawędek o pogodzie i ornitologii.

– Porozmawiajmy lepiej o szkodach, jakie może wyrządzić bomba. Jak bardzo poważna jest sytuacja?

Nombeko zwlekąca z odpowiedzią.

– W grę wchodzi jedna, może kilka marnych megaton – powiedziała lekko.

– Ile?

– Dwie, trzy, nie więcej.

– A to oznacza?

Uparciuch z tego premiera.

– Trzy megatony to mniej więcej dwanaście tysięcy pięćset pięćdziesiąt dwa petadzule. Król jest pewien, że to był bielik?

Fredrik Reinfeldt rzucił zwierzchnikowi państwa takie spojrzenie, że ten postanowił nie odpowiadać. Premier zastanawiał się przez chwilę, czy wie, ile wynosi jeden petadzul i co oznacza dwanaście tysięcy takich. W końcu doszedł do wniosku, że kobieta wymiguje się od odpowiedzi.

– Proszę powiedzieć, jak jest naprawdę! W przystępny sposób.

Tak też Nombeko uczyniła. Powiedziała, jak jest naprawdę. Że bomba zmiotłaby wszystko w promieniu pięćdziesięciu ośmiu kilometrów, a niesprzyjająca wietrzna pogoda w najgorszym razie mogłaby podwoić szkody.

– Cieszymy się zatem, że świeci słońce – zauważył król.

Nombeko pokiwała głową z uznaniem dla jego optymizmu. Premier uzmysłowił mu jednak, że Szwecja stoi w obliczu największego być może kryzysu od czasów narodzin państwa. Głowa państwa i szef rządu błakają się po Szwecji z okrutną bronią masowej zagłady, uwięzieni w samochodzie, którym kieruje mężczyzna o niejasnych zamiarach.

– Czy w tej sytuacji król nie powinien raczej rozmyślać o ratowaniu narodu niż o orłach bielikach i o tym, że dopisuje nam pogoda? – zbeształ go premier.

Ale król niejedno już przeżył. Premierzy przychodzą i odchodzą, a on trwa na posterunku. Ten nowy jest nawet w porządku. Niech się tylko trochę uspokoi.

– Już dobrze, dobrze – powiedział. – Niech pan teraz, tak jak pozostali, usiądzie sobie na skrzyni po ziemniakach. Prosimy pana i panią porywaczy o wyjaśnienie.

* * *

Właściwie to chciał być rolnikiem. Albo operatorem koparki. Cokolwiek, byleby to miało jakiś związek z samochodami i naturą. Najchętniej z jednym i drugim.

A został królem.

Co nie było zresztą dla niego żadnym zaskoczeniem. W jednym z pierwszych wywiadów określił swoje życie jako linię prostą biegnącą od dnia narodzin i dalej w przyszłość. Wytyczoną w chwili, gdy 30 kwietnia 1946 roku czterdzieści dwa wystrzały z dział zahuczały nad Skeppsholmen.

Nazywano go Karol Gustaw; Karol po dziadku ze strony matki, Karolu Edwardzie z linii Sachsen-Coburg-Gotha (ciekawym o tyle, że był jednocześnie nazistą i Brytyjczykiem), Gustaw zaś po ojcu, dziadku i pradziadku ze strony ojca.

Zaczęło się niewesoło. Kiedy mały książę miał zaledwie dziewięć miesięcy, jego ojciec zginął w wypadku lotniczym. W porządku sukcesyjnym pojawiła się dramatyczna wyrwa. Jego dziadek, przyszły Gustaw VI Adolf, musiałby dożyć osiemdziesięciu

dziwięciu lat, by zapobiec bezkrólewiu, które dałoby republikanom w rządzie wiatr w skrzydła.

Doradcy sugerowali, aby następcę tronu przetrzymywać za grubymi na metr murami zamku, aż uda się zabezpieczyć sukcesję. Jednak jego kochająca matka Sybilla odmówiła. Bez przyjaciół syn by zwariował, w najlepszym razie stałby się nie do zniesienia. Dlatego księżę poszedł do szkoły publicznej, a w wolnym czasie mógł rozwijać swoją pasję motoryzacyjną i działać w skautingu, gdzie nauczył się wiązać węzeł prosty, węzeł szotowy i wyblinkę szybciej i lepiej niż inni. Natomiast w szkole średniej w Sigtunie nie zaliczył matematyki i z wielkim trudem pozdawał pozostałe przedmioty. Litery i cyfry zlewały mu się w jedno, był bowiem dyslektykiem. Dzięki temu, że najlepiej w klasie grał na harmonijce ustnej, mógł zapunktować co najwyżej u dziewczyn.

Dzięki trosce mamy Sybilli miał sporo przyjaciół w prawdziwym świecie, choć żaden z nich nie był radykalnym lewicowcem, jak większość mieszkańców Szwecji lat sześćdziesiątych. Długie włosy, mieszkanie w komunie i uprawianie wolnej miłości nie wydawały się odpowiednie dla przyszłego króla, nawet jeśli on sam uważał to ostatnie za całkiem interesujące.

Dewiza dziadka Gustawa Adolfa brzmiała: „Obowiązek nade wszystko”. Może dlatego dożył dziewięćdziesiątki. Dopiero we wrześniu 1973 roku zasnął snem wiecznym. Wtedy dwór królewski był już uratowany, wnuk zaś gotów do przejęcia władzy.

Ponieważ węzły proste czy zsynchronizowane skrzynie biegów nie stanowią ulubionego wątku rozmów z królową brytyjską, młody król nie zawsze czuł się na salonach swobodnie. Z biegiem lat było jednak coraz lepiej, przede wszystkim dzięki temu, że coraz częściej miał odwagę być sobą. Po ponad trzydziestu latach na tronie taka uroczysta kolacja na zamku na cześć Hu Jintao była jak pigułka nasenna, którą umiał zastosować i którą tolerował. Bez której jednak najchętniej by się obył.

Obecna sytuacja – porwanie w ciężarówce do transportu ziemniaków – nie była oczywiście pożądana. Ale król uznał, że i jej sprostą.

Niech tylko premier trochę się wyluzuje. I wysłucha tego, co mają do powiedzenia porywacze.

* * *

Premier Reinfeldt nie zamierzał rozsiadać się na żadnej z brudnych skrzyń. Kurz był zresztą wszędzie. A na podłodze ziemia. Posłuchać jednak może.

– No dobrze – rzucił i zwrócił się do Holgera 2: – Czy mogą być państwo tak mili i wyjaśnić nam, co tu się dzieje?

Słowa brzmiały uprzejmie, ton był rozkazujący, irytacja na króla niezmienna.

Drugi przez prawie dwadzieścia lat ćwiczył rozmowę z premierem. Wyobrażał sobie niezliczoną liczbę scenariuszy – żaden z nich nie przewidywał jednak sytuacji, w której obaj będą uwięzieni w samochodzie do transportu ziemniaków. Razem z bombą. I królem. Oraz nienawidzącym króla bratem za kółkiem. W drodze gdzieś w nieznane.

Podczas gdy Holger 2 szukał odpowiednich słów i zbierał myśli, jego brat zastanawiał się głośno, co dalej. Tata wyraźnie powiedział: „Jedź, synu, jedź”. I nic więcej. Ale to chyba proste: niech król sam wybiera. Albo dobrowolnie zejdzie z urzędu i dopilnuje, by nikt już na niego nie wszedł, albo wejdzie na bombę, a on i Celestine wysadzą w powietrze jego, część królestwa i siebie samych.

– Moje odważne, odważne kochanie – skomentowała przemysłenia Pierwszego Celestine.

Toż to barykada nad barykadą! A tak poza tym piękny dzień, by umrzeć, jeśli zajdzie potrzeba.

Holger 2 odzyskał w końcu język w gębie.

– Musimy chyba opowiedzieć wszystko od początku – zaczął.

Wspomniał więc o tacie Ingmarze, o sobie i swoim bracie, o tym, jak jeden z nich postanowił kontynuować misję ojca, a drugi na

nieszczęście siedzi teraz tu, gdzie siedzi, i opowiada to, co opowiada.

Kiedy skończył, a Nombeko przedstawiła swoją historię i wyjaśniła, jak zawieruszyła się bomba, której właściwie nie ma, premier pomyślał, że to się chyba nie dzieje naprawdę. Na wszelki wypadek należy założyć, że się jednak dzieje. Król z kolei pomyślał, że chętnie by coś przekąsił.

* * *

Fredrik Reinfeldt próbował ogarnąć sytuację. Wiedział, że w każdej chwili jego ludzie uderzą na alarm, o ile jeszcze tego nie zrobili. Kraj ogarnie panika, do akcji wkroczy Krajowa Jednostka do Zadań Specjalnych, nad samochodem i bombą zaczną krążyć helikoptery. Zwieszają się z nich narwane młodziki uzbrojone w broń maszynową, mogące w każdej chwili oddać przypadkowe strzały, które przeszyją obudowę, a następnie warstwy metalu osłaniające wszystkie te megatony i petadżule. Albo sprowokują wariata za kierownicą do podjęcia jakichś pochopnych działań. Na przykład do zjechania z drogi.

Wszystko to na jednej szali.

Na drugiej opowieści tego mężczyzny i tej kobiety. Oraz przewodniczącego Hu, który za nią poręczył.

Biorąc pod uwagę okoliczności – czy on i król nie powinni zrobić wszystkiego, co w ich mocy, aby sprawy nie wymknęły się spod kontroli i by nie doszło do katastrofy?

Fredrik Reinfeldt zwrócił się do swojego króla:

– Przemyślałem sprawę.

– Świetnie – powiedział król. – Po to w końcu mamy premiera.

Reinfeldt zadał Jego Królewskiej Mości retoryczne pytanie o to, czy naprawdę chcą, by nad głowami furkotała im Krajowa Jednostka do Zadań Specjalnych. Czy trzymegatonowa broń jądrowa nie powinna wzbudzać większego respektu?

Król pochwalił premiera za to, że użył sformułowania „trzy megatony”, a nie „dwanaście tysięcy petadżuli”. Tak czy siak,

z tego, co rozumie, szkody byłyby poważne. Poza tym dostatecznie długo żyje już na tym świecie, by pamiętać raport z ich poprzedniej akcji. To było, zdaje się, w Gneście. Pierwsza i do dzisiaj jedyna operacja Krajowej Jednostki do Zadań Specjalnych. Czy nie puścili wtedy z dymem całej okolicy, podczas gdy podejrzani terroryści wyszli sobie stamtąd spacerkiem?

Nombeko wtrąciła, że też coś o tym czytała.

To przeważało szalę. Premier wy dobył telefon i zadzwonił do pełniącego służbę szefa bezpieczeństwa, by poinformować go, że to sprawa wagi państwowej, że on i król mają się dobrze, uroczysta kolacja ma się odbyć zgodnie z planem, nieobecność zaś głowy państwa i szefa rządu należy wytłumaczyć ich niedyspozycją. Szef bezpieczeństwa ma oczekiwać na dalsze polecenia.

On był jednak cały w nerwach. Na szczęście jego przełożony, zwierzchnik Säpo, został zaproszony na kolację na zamku. Stał teraz obok swojego podwładnego i chciał rozmawiać z premierem. On również był spięty.

Może te nerwy sprawiły, że rozpoczął rozmowę od pytania kontrolnego, na które sam nie znał odpowiedzi. Premier mógł przecież zostać zmuszony do tego, by powiedzieć to, co właśnie powiedział.

– Jak się wabi pies pana premiera?

Fredrik Reinfeldt odparł, że nie ma psa, ale że wkrótce sprawi sobie wielkiego z ostrymi kłami i poszczuje go na szefa Säpo, jeśli ten nie posłucha.

Jest tak, jak mówi premier. Jeśli szef Säpo ma jakieś wątpliwości, niech porozmawia z przewodniczącym Hu; premier i król są w towarzystwie jego przyjaciółki. Może oczywiście zlekceważyć instrukcje premiera, zapytać o imię jego rybki (takową bowiem posiada), wszcząć poszukiwania, przeczesać cały kraj – i od rana zacząć szukać nowej pracy.

Szef Säpo lubił swoją robotę. Dobrze brzmiący tytuł, pensja też nie najgorsza. A emerytura blisko. Krótko mówiąc, za żadne skarby nie zamierzał szukać nowej. Pomyślał, że wszystko mu jedno, jak nazywa się rybka premiera.

Poza tym obok stała Jej Wysokość Królowa, która chciała porozmawiać z małżonkiem.

Fredrik Reinfeldt przekazał słuchawkę królowi.

– Cześć, kochanie. Nie, kochanie, nie jestem na żadnej balandze...

Zagrożenie atakiem z powietrza zostało oddalone. Holger 2 opowiadał dalej. Otóż siedzący za kółkiem jego brat bliźniak – podobnie jak jego zmarły przed laty ojciec – ubzdurał sobie, że Szwecja powinna zostać republiką. Kobieta obok niego jest porywcza i równie pokrecona. Podziela niestety pogląd brata dotyczący obalenia ustroju państwa.

– Chciałbym zaznaczyć, że ja jestem odmiennego zdania – wtrącił król.

Ciężarówka na ziemniaki jechała dalej. Jej pasażerowie postanowili czekać i patrzeć, co się dzieje. Głównie czekali, bo nic nie widzieli, jako że Celestine zasunęła zasłonkę na okienku dzielącym szoferkę od reszty.

Nagle podróż dobiegła końca. Samochód stanął, silnik zamilkł.

Nombeko zapytała Drugiego, które z nich zatłucze Holgera 1, Drugi jednak teraz chciał przede wszystkim dowiedzieć się, dokąd dotarli. Król zaś miał cichą nadzieję, że wkrótce dostaną coś do jedzenia. Premier zaczął badać tylne drzwi. Czyba da się je otworzyć od środka? Podczas jazdy nie było sensu tego robić, teraz jednak nie widział powodu, by tkwić dalej w brudnej ciężarówce. Jako jedyny odbył tę podróż na stojąco.

Tymczasem Holger 1 wpadł do stodoły w Sjölidzie, wdrapał się na strych i spod wiadra wyciągnął pistolet Agenta A – ukrywał go tam przez prawie trzynaście lat. Zdążył wrócić, zanim premierowi udało się rozgryźć mechanizm drzwi.

– Żadnych głupstw – ostrzegł. – Wychodzić powoli i spokojnie.

Medale króla zadźwięczały, gdy wyskakiwał z samochodu. Ten brzęk i widok świecidełek podziałały na Pierwszego jak płachta na byka. Uniósł broń, by pokazać, kto tu rządzi.

– Masz pistolet? – zdziwiła się Nombeko i postanowiła poczekać zarówno z zatłuczeniem Pierwszego na śmierć, jak i przestawieniem mu nosa.

– Co się tam dzieje?

Przez okno Gertrud zobaczyła, że gromadka jej gości się powiększyła. Wyszła im na spotkanie, trzymając w rękach sztucer taty Tapia, jak zawsze, gdy sytuacja była niepewna.

– Robi się coraz ciekawiej – powiedziała Nombeko.

Gertrud nie była zadowolona z tego, że Celestine i reszta ściągnęli jej na głowę polityka. Nie przepadała za politykami. Król jeszcze ujdzie. W latach siedemdziesiątych Gertrud zawiesiła w wychodku zdjęcie króla i jego królowej. Uśmiechający się ciepło, stanowili dobre towarzystwo, gdy – zdarzało się – w piętnastostopniowym mrozie Gertrud siedziała i robiła, co zrobić musiała. Początkowo dziwnie podcierało się tyłek przed królewskim obliczem, ale pozytywy przeważały i Gertrud się w końcu przyzwyczaiła. Od kiedy w 1993 roku w Sjölidzie założono kanalizację, brakowało jej tych chwil sam na sam z królewską parą.

– Miło mi znów widzieć – powiedziała, podając królowi rękę. – Jak się ma królowa?

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł król i dodał, że królowa czuje się dobrze. Zastanawiał się, gdzie też mógł spotkać tę panią.

Holger 1 zapędził wszystkich do kuchni. Zamierzał postawić Jego Królewskiej Wysokości ultimatum. Gertrud zapytała, czy pamiętali o zakupach, a przecież mają jeszcze gości. Na dodatek króla. No i tego drugiego.

– Premier Fredrik Reinfeldt – przedstawił się premier Fredrik Reinfeldt i wyciągnął rękę. – Miło mi.

– Odpowiedzcie lepiej na pytanie – powiedziała Gertrud. – Kupiliście coś do jedzenia?

– Nie, Gertrud – odparła Nombeko. – Coś nam wypadło.

– Więc pomrzemy z głodu.

– Może zamówimy pizzę? – zaproponował król i pomyślał, że na uroczystej kolacji pozostawili na stole smażone małże świętego Jakuba okraszone cytrynowym pesto z melisą. W tej chwili serwowano pewnie gotowanego na parze halibuta ze szparagami i orzeszkami pinii.

– Nie działają tu telefony. To przez polityków. Nie lubię polityków – powiedziała Gertrud.

Fredrik Reinfeldt po raz drugi pomyślał, że to się chyba nie dzieje naprawdę. Właśnie usłyszał, jak jego król proponuje, by zamówili pizzę dla siebie i swoich porywaczy.

– Jeśli zarzniecie kilka kurek, upichcę potrawkę – zaproponowała Gertrud. – Niestety, sprzedałam swoje dwieście hektarów ziemniaków. Ale Engström chyba nie zauważy, jeśli zwędzimy mu piętnaście sztuk z jego piętnastu milionów ziemniaków.

Holger 1 stał z pistoletem w dłoni. Pizza na wynos? Potrawka z kurczaka? O co tu chodzi? Król miał przecież abdykować albo rozpaść się na atomy.

Pierwszy szepnął do Celestine, że pora pokazać, kto tu rządzi. Przytaknęła i postanowiła na początek wtajemniczyć babcię. W wielkim skrócie opowiedziała jej, o co chodzi. Król został porwany, z premierem na dodatek. A teraz ona i Holger zmuszą go, by ustąpił.

– Premiera?

– Nie, króla.

– Szkoda – powiedziała Gertrud i dodała, że nikt nie powinien abdykować na głodniaka. Co z tą potrawką z kurczaka?

Król pomyślał, że potrawka z kurczaka domowej roboty to naprawdę przyzwoity posiłek. Ale uznał, że jeśli kiedykolwiek ma wrzucić coś na ząb, musi wziąć sprawy w swoje ręce.

Polowało się trochę na bażanty. A zanim książę został królem, brakowało chętnych do pomocy przy oporządzeniu zdobyczy. Należało zahartować młodziaka. Król pomyślał więc, że skoro przed trzydziestu pięciu laty potrafił ustrzelić i oporządzić bażanta, to i teraz powinien umieć zarznąć i oprawić kure.

– Jeśli pan premier załatwi ziemniaki, ja mogę się zająć kurami – zaproponował.

Ponieważ na tym etapie Fredrik Reinfeldt był niemal pewien, że to się nie dzieje naprawdę, wyszedł na pole ziemniaków z motyką w dłoniach, w lakierkach i we włoskim fraku od Cornelianiego. Woli już to, niż zaplamić kurzą krwią koszulę i co tam jeszcze.

Król jak na swój wiek był całkiem sprawny. W pięć minut złapał trzy kogutki i siekierą poobcinał im głowy. Frak mundurowy odwiesił na hak na ścianie kurnika, gdzie w popołudniowym słońcu lśniły: Królewski Order Serafinów, Jubileuszowa Odznaka Gustawa V, Pamiątkowy Medal Gustawa VI Adolfa, Królewski Order Miecza i Królewski Order Gwiazdy Polarnej. Królewski Order Wazów na łańcuszku został zawieszony na zardzewiałych widłach obok.

Biała koszula króla, tak jak przewidział premier, upstrzona była czerwonymi plamami.

– Mam w domu jeszcze jedną – powiedział król do Nombeko, która pomagała mu skubać ptaki.

– Tak podejrzewałam – odparła Nombeko.

Kiedy Nombeko wkroczyła do kuchni z trzema oprawionymi młodymi kogutami w rękach, Gertrud zarechotała radośnie – to dopiero będzie potrawka!

Holger 1 i Celestine siedzieli przy stole. Byli bardziej niż zwykle zbici z tropu. Co się jeszcze bardziej pogłębiło, kiedy najpierw w ubłoconych butach i z wiadrem ziemniaków w ręku do kuchni wszedł premier, a za nim król w zaplamionej krwią koszuli frakowej. Frak mundurowy i order na łańcuszku zostały na ścianie kurnika i na widłach.

Gertrud bez słowa odebrała ziemniaki i pochwaliła króla za zręczność w posługiwaniu się siekierą.

Holger 1 patrzył spode łba na to bratanie się z Jego Wysokością. Podobnie Celestine. Gdyby miała siedemnaście lat, odwróciłaby się na pięcie i wyszła. Teraz jednak musi wykonać zadanie. No i po co znowu rozstawać się z babcią w gniewie. O ile nie będą zmuszeni wysadzić ludzi i kur w powietrze, ale to już inna sprawa.

Pierwszy nadal trzymał w dłoni pistolet, sfrustrowany tym, że wszyscy mają to gdzieś. Według Nombeko zasługiwał na to, by mu

przestawić nos (nie była już aż tak wściekła, by go zatłuc). Chciała też posmakować potrawki Gertrud, zanim, w najgorszym razie, zakończy się ich ziemski żywot. Wbrew pozorom jednak najbardziej zagrażała mu nie bomba, ale wymachujący pistoletem wariat.

Postanowiła więc dopomóc Holgerowi 1 w logicznym myśleniu. Zaczęła od tego, że skoro król i tak nigdzie się nie wybiera, pistolet jest Holgerowi niepotrzebny. A nawet jeśli król ucieknie, Holger ma pięćdziesiąt osiem kilometrów na to, by zdetonować bombę. Nawet król nie przebiegnie tego dystansu w mniej niż trzy godziny, mimo że odwiesił kilogramy swoich medali.

Holger powinien raczej ukryć gdzieś kluczyki do ciężarówki. Stworzy wówczas w Sjölidzie równowagę sił. Nikt nie będzie na nikogo patrzeć z ukosa. I będą mogli w spokoju zjeść potrawkę.

Pierwszy zamyślił się. To miało sens.

Kluczyki do samochodu ukrył już zresztą wcześniej w skarpecie, nieświadom, jakie to genialne posunięcie. Po kolejnych sekundach namysłu wsunął pistolet do wewnętrznej kieszeni kurtki.

Ale nie zabezpieczył.

W czasie gdy Nombeko przemawiała Pierwszemu do rozsądku, babcia poleciła Celestine pokroić kurczaka. Holger 2 natomiast został *dokładnie* poinstruowany, jak przyrządzić drinka. Należało zmieszać odrobinę Gordon's Ginu, dwie odrobiny Noilly Prata oraz po równej działce czystej wódki i Skåne Akvavit. Drugi nie do końca wiedział, co oznacza odrobina, ustaliwszy to, uznał, że dwie odrobiny to mniej więcej dwa razy tyle. Dyskretnie posmakował gotowej mikstury i był tak zadowolony z rezultatu, że posmakował raz jeszcze.

W końcu wszyscy zasiedli przy stole, poza Gertrud, która kończyła pichcić potrawkę. Król popatrzył na obu Holgerów. Uderzyło go, jak bardzo są do siebie podobni.

– Jak was odróżnić, skoro w dodatku macie tak samo na imię?

– Proponuję, aby tego z pistoletem nazywać idiotą – odpowiedział Holger 2 i poczuł pewną satysfakcję z tego, że głośno to powiedział.

- Holger i Idiota... no, czemu nie – zgodził się król.
- Nikt nie będzie nazywał mojego Holgera idiotą! – zaprotestowała Celestine.
- A niby dlaczego? – skontrowała Nombeko.
- Premier pomyślał, że kłótnie nie są im do niczego potrzebne, pochwalił więc Holgera za to, że schował broń, co z kolei skłoniło Nombeko do ustalenia obecnego układu sił.
- Jeśli unieszkodliwimy Holgera, tego, którego nie nazywamy idiotą przy jego dziewczynie, a poza tym jak najbardziej, i przywiążemy go do drzewa, pojawi się ryzyko, że jego dziewczyna odpali bombę. A jeśli i ją przywiążemy do drzewa, to co jej babcia może zrobić ze swoim sztuczerem?
- Gertrud – z sympatią powiedział król.
- Jeśli tkniecie moją Celestine, zaświszczą tu kule – odparła Gertrud.
- No, sami słyszycie – powiedziała Nombeko. – Pistolet nie jest potrzebny, co zrozumiał nawet idiota.
- Jedzenie gotowe – ogłosiła Gertrud.

Podano potrawkę z kurczaka, domowe piwo i drinki według receptury gospodyni. Potrawką i piwem goście częstowali się sami, drinki serwowała Gertrud. Wszyscy dostali po szklaneczkę, w tym także nieśmiało protestujący premier. Gertrud nalała do pełna. Król zatarł ręce.

- Kurczak smakuje zupełnie jak ptak. Zobaczymy, jak sprawa ma się z trunkiem.
- Twoje zdrowie, królu – powiedziała Gertrud.
- A co z nami? – zapytała Celestine.
- Wasze oczywiście też.

Gertrud opróżniła swoją szklaneczkę. Król i Holger 2 poszli za jej przykładem. Pozostali sączyli powoli swoje drinki, z wyjątkiem Holgera 1, który nie mógł się przemóc, by wypić za króla oraz za premiera. Ten ostatni ukradkiem wylał zawartość swojej szklaneczki do doniczki z pelargonią.

– Marszałek Mannerheim, a niech mnie! – powiedział król z uznaniem.

Nikt poza Gertrud nie rozumiał.

– Wspaniale, królu! To co, na drugą nóżkę?

Holger 1 i Celestine byli coraz bardziej zakłopotani zachwytem, jakim Gertrud obdarzała tego, który miał abdykować, a na dodatek siedział w poplamionej krwią koszuli z zakasanyimi rękawami, a nie we fraku mundurowym. Pierwszy nie przepadał za uczuciem, kiedy to niczego nie rozumie, choć dobrze je znał.

– O co tu chodzi? – zapytał.

– O to, że twój przyjaciel król rozpoznał najprzedniejszy na świecie trunek – odpowiedziała Gertrud.

– To nie jest mój przyjaciel – zaprotestował Holger 1.

* * *

Gustaf Mannerheim był mężczyzną z krwi i kości. Przez kilkadziesiąt lat służył wszak w armii cara, ku jego chwale przemierzył konno Europę i Azję.

Kiedy w Rosji zapanował komunizm oraz Lenin, Mannerheim wrócił do wolnej Finlandii, gdzie został regentem, naczelnym dowódcą, a z czasem prezydentem. Ogłoszono go fińskim żołnierzem wszech czasów, na świecie odznaczano rozmaitymi orderami. W końcu nadano zaszczytny tytuł Marszałka Finlandii.

To podczas drugiej wojny światowej pojawił się Napitek Marszałka: porcja czystej wódki, porcja kminkówki, odrobina dżinu i dwie odrobiny wermutu. Tak narodził się klasyk – marskin ryyppy.

Po raz pierwszy szwedzki król rozkoszował się jego smakiem podczas wizyty w Finlandii przed ponad trzydziestu laty, nieco ponad rok po wstąpieniu na tron. Dwudziestoośmiolatek, zdenerwowany, na miękkich nogach, gościł u starego wygi, prezydenta Kekkonena, będącego już sporo po siedemdziesiątce. Kekkonen uznał, że król powinien wlać coś do swojej już wtedy obwieszanej medalami piersi. Potem wizyta przebiegła już gładko. Ale fiński prezydent nie częstuje byle czym. Zaserwował więc

Napitek Marszałka. Między królem i tym trunkiem zrodziła się dozgonna miłość, a król i Kekkonen zaczęli wspólnie polować.

Król dopił drugiego drinka, mlasnął i powiedział:

– Widzę, że szklaneczka pana premiera jest pusta. Może doleweczkę? Niech pan zdejmie frak, lakierki ma pan całe ubłocone. O, a spodnie brudne aż po kolana.

Premier przeprosił za swój wygląd. Gdyby wiedział, przyszedłby na uroczystą kolację na Zamku Królewskim w kombinezonie roboczym i gumiakach. Po czym dodał, że nie skusi się na drinka. Król pije zresztą za nich dwóch.

Fredrik Reinfeldt nie bardzo wiedział, jak ma traktować niefrasobliwego króla. Z jednej strony król jako głowa państwa powinien podchodzić do tej skomplikowanej sprawy z najwyższą powagą, a nie wlewać w siebie litry alkoholu (w oczach wstrzemięźliwego premiera dwa drinki urastały do kilku litrów). Z drugiej strony udało mu się zbić z tropu tych dwoje republikańskich rewolucjonistów. Premier widział, jak ze sobą szepczą. Coś ich najwyraźniej drażni. Wiadomo, król. Ale nie w sposób, w jaki irytował premiera. Nie była to też irytacja z gatunku precz-z-monarchią, od której prawdopodobnie wszystko się zaczęło.

Coś w każdym razie było na rzeczy. I jeśli nie będą królowi przeszkadzać, może dowiedzą się co. Zresztą i tak nie sposób go powstrzymać.

To przecież bądź co bądź król.

* * *

Nombeko zjadła pierwsza. Dopiero jako dwudziestopięciolatka po raz pierwszy, na koszt prezydenta Bothy, najadła się do syta. Odtąd robiła to przy każdej nadarzającej się okazji.

– Można dostać dokładkę?

Można. Gertrud była zadowolona, że Nombeko smakowało. W ogóle cała była w skowronkach. Król zdobył jej serce. Trudno powiedzieć czym.

Swoją osobą.

Marszałkiem Mannerheimem.

A może jego napitkiem.

Albo jednym i drugim.

Cokolwiek to było, mogło im wyjść na dobre. Bo jeśli królowi i Gertrud uda się wprawić w zakłopotanie porywaczy, ci nie będą mieć już tak jasnej wizji tego co dalej.

Kłody pod nogi, jak to się mówi.

Nombeko odbyłaby chętnie strategiczną rozmowę z królem i nakłoniła go, by dalej zapuszczał się w Mannerheimowe rejony. Król był jednak zaabsorbowany gospodynią i vice versa.

Jego Wysokość posiadał umiejętność, której brakowało premierowi. Potrafił mianowicie cieszyć się chwilą, nie zważając na jakiegokolwiek zagrożenia. Dobrze się czuł w towarzystwie Gertrud i był szczerze zaciekawiony starszą panią.

– Gertrud, pozwolę sobie zapytać, jakie ma pani powiązania z marszałkiem i Finlandią – powiedział król.

Nombeko pragnęła, by padło właśnie to pytanie. Świetnie, królu! Czyżbyś był aż tak bystry? A może mamy po prostu szczęście?

– Jakie mam powiązania z marszałkiem i z Finlandią? Nie chce król tego wiedzieć – odparła Gertrud.

Ależ oczywiście, że chcesz, królu!

– Ależ oczywiście, że chcę – powiedział król.

– To długa historia – opierała się Gertrud.

Mamy czas!

– Mamy czas – powiedział król.

– Czyżby? – wtrącił premier, a Nombeko rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

Nie wtrącaj się!

– Historia zaczyna się w tysiąc osiemset sześćdziesiątym siódmym roku – zaczęła Gertrud.

– Rok narodzin marszałka – zauważył król.

Jesteś geniuszem, królu!

– Ojoj, dużo król wie! – powiedziała Gertrud. – Zgadza się, to rok, w którym na świat przyszedł marszałek.

Słuchając Gertrud, Nombeko pomyślała, że jej opis drzewa genealogicznego przeczył botanice, podobnie jak za pierwszym razem, gdy to słyszała. Jednak króla nic tu nie zaniepokoiło. Kiedyś przecież w szkole w Sigtunie nie zaliczył matematyki. Prawdopodobnie dlatego i teraz nie doliczył się, że baronowie, prawdziwi czy nie, raczej nie generują hrabin.

– Więc jest pani hrabiną! – skonstatował z uznaniem.

– Czyżby? – powiedział premier, któremu lepiej szło liczenie.

Nombeko ponownie rzuciła mu gniewne spojrzenie.

Celestine i Holgerowi coś w królu nie pasowało. Trudno powiedzieć co. Może ta jego poplamiona krwią koszula? A może zakasane rękawy? Albo złote spinki do mankietów, które wrzucił do stojącej na stole szklaneczki po drinku? A może to, że jego ohydnie poobwieszany medalami frak mundurowy wisiał teraz na ścianie kurnika?

A może fakt, że król właśnie zarznął trzy kury?

Królowie nie zarzynają kur!

A premierzy nie kopią ziemniaków (w każdym razie nie odziani we frak). Przede wszystkim jednak królowie nie zarzynają kur.

Pierwszy i Celestine próbowali jakoś ogarnąć owe straszliwe sprzeczności. Król jednak jeszcze bardziej skomplikował sprawę. On i Gertrud zaczęli gawędzić o uprawie ziemniaków i starym traktorze, już nieużywanym. I dobrze, bo i tak był popsuty. Gertrud opisała królowi problem. Ten powiedział, że MF35 to gołąbeczka i aby działała, trzeba ją dopieszczać. Poleciał przeczyścić filtr i wtrysk paliwa. Jeżeli akumulator się nie rozładował, to jeszcze trochę pogrucha.

Filtr paliwa i wtrysk? Królowie nie naprawiają traktorów.

Kolacja dobiegła końca. Po kawie i spacerze we dwoje w celu obejrzenia MF35 król i Gertrud postanowili uraczyć się jeszcze

jednym mannerheimem.

W tym czasie premier Reinfeldt zebrał ze stołu naczynia i posprzątał w kuchni. Żeby za bardzo nie pobrudzić fraka, przywdział fartuszek gospodyni.

Holger 1 i Celestine poszeptywali o czymś w jednym kącie, a Holger 2 i Nombeko w drugim. O tym, jak obecnie wygląda sytuacja i jakie powinno być następne strategiczne posunięcie.

Wtedy otworzyły się drzwi i do kuchni wpadł uzbrojony mężczyzna. Wrzasnął po angielsku, by wszyscy pozostali na swoich miejscach i nie wykonywali żadnych gwałtownych ruchów.

– Co tu się dzieje? – krzyknął Fredrik Reinfeldt ze szczotką do mycia naczyń w dłoni.

Nombeko odpowiedziała mu po angielsku, że oto do ich domu wdarł się izraelski Mosad, by zarekwirować znajdującą się w ciężarówce bombę atomową.

Rozdział 21

O utraconym panowaniu nad sobą i o strzelającym do swojego brata bliźniaku

Trzydzieści lat to dużo, jeśli ten czas spędza się za biurkiem i nie ma się nic sensownego do roboty. Tak czy siak, agent B właśnie zakończył karierę. Miał sześćdziesiąt pięć lat i dziewięć dni. Dziewięć dni wcześniej pożegnano go tortem migdałowym i przemówieniem. Ponieważ przemówienie szefa było piękne, ale nieszczerze, migdały miały jedynie gorzki smak.

Po tygodniu życia emeryta agent B podjął decyzję. Spakował się i wyruszył w podróż do Europy. Do Szwecji.

Sprawa sprzątaczkii, która związała z honorowo skradzioną przez Izrael bombą, przez te wszystkie lata nie dawała mu spokoju. Kim ona właściwie jest? Poza kradzieżą bomby prawdopodobnie zamordowała także jego przyjaciela A. Były agent B nie wiedział, co go napędza. Czasem człowiek po prostu nie może przestać o czymś myśleć. Powinien mieć więcej cierpliwości wtedy, gdy obserwował tę skrytkę pocztową w Sztokholmie. Powinien sprawdzić babcię tej Celestine Hedlund. Gdyby tylko miał taką możliwość.

Minęło sporo czasu. Trop był mało obiecujący. Jednak emeryt B postanowił udać się do lasów na północ od Norrtälje. Gdyby to nie przyniosło rezultatów, zamierzał przez co najmniej trzy tygodnie obserwować ów urząd pocztowy w Sztokholmie. Dopiero potem naprawdę przejdzie na emeryturę. Nadal będzie się zastanawiał, nigdy nie pozna prawdy. Ale przynajmniej będzie mógł powiedzieć, że zrobił w tej sprawie wszystko, co możliwe. Przegrać z lepszym od siebie – to można znieść. Ale poddać się przed końcem meczu, zanim zabrmi ostatni gwizdek – tego nie zdzierży. Michael Ballack nigdy by tak nie postąpił. Obunożny talent z FC Karl-Marx-Stadt trafił zresztą w końcu do reprezentacji kraju i został kapitanem drużyny.

B wylądował na lotnisku Arlanda. Wynajął samochód i pojechał prosto do babci Celestine Hedlund. Wyobrażał sobie pusty, zamknięty na cztery spusty dom – pewnie w ogóle nic już w tym miejscu nie ma. Na co może nawet liczył. W całej tej podróży chodziło przede wszystkim o to, by znaleźć spokój ducha, a nie bombę, która i tak nie chciała dać się odnaleźć.

Dojazd do domu tarasowała ciężarówka do przewozu ziemniaków. I świeciło się we wszystkich oknach! Dlaczego stoi tu ten samochód? I co w nim jest?

Agent wysiadł, zakradł się do ciężarówki, zajrzał i... czas jakby się zatrzymał. W środku znajdowała się skrzynia z bombą! Krawędzie miała osmalone, tak jak wtedy, gdy widział ją po raz ostatni.

Świat stanął chyba na głowie. Sprawdził więc, czy w stacyjce są kluczyki. Tak dobrze jednak nie było. W takim razie będzie zmuszony skonfrontować się z tymi tam w środku, kimkolwiek oni są. W domu zostanie pewnie osiemdziesięcioletnią starowinkę. Jej wnuczkę. Chłopaka wnuczki. I tę przekłętą sprzątaczkę. Kogo jeszcze? Może tego nieznanego mężczyznę, którego widział wtedy w samochodzie Blomgrenów przed spalonym budynkiem przy Fredsgatan w Gneście.

Agent B wyjął służbową broń, którą – tak się złożyło – zabrał, pakując swoje rzeczy w ostatnim dniu pracy, delikatnie nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz.

* * *

Fredrik Reinfeldt (ze szczotką do mycia naczyń w dłoni) krzyknął:

– Co tu się dzieje?

Nombeko wyjaśniła mu po angielsku, że do budynku wtargnęła właśnie Mosad, by przejąć bombę atomową znajdującą się w ciężarówce. A przy okazji pozbawić kogoś z tu obecnych życia. Bardzo prawdopodobne, że chodzi o nią.

– Mosad? – zdumiał się premier (także po angielsku). – Jakim prawem izraelski wywiad wymachuje bronią w mojej Szwecji?

– W mojej Szwecji – poprawił go król.

– *Pana?* – Agent B usłyszał samego siebie zadającego pytanie, po czym spojrzał najpierw na mężczyznę w fartuszkach, trzymającego szczotkę do mycia naczyń, a następnie na mężczyznę w poplamionej krwią koszuli i z pustą szklaneczką w dłoni.

– Premier Fredrik Reinfeldt – przedstawił się premier.

– Król Karol XVI Gustaw – powiedział król. – Przełożony premiera, można by rzec. A to hrabina Virtanen, gospodyni przyjęcia.

– Ach, dziękuję – powiedziała dumnie hrabina.

Fredrik Reinfeldt był teraz równie wściekły jak kilka godzin wcześniej w ciężarówce, gdy zdał sobie sprawę, że został porwany.

– Natychmiast proszę odłożyć broń. W przeciwnym razie zadzwonię do premiera Olmerta i zapytam go, co tu się dzieje. Zakładam, że jest pan tu na jego polecenie.

Agent B stał jak wryty, zupełnie jakby nastąpiło u niego zatrzymanie akcji mózgu. Nie wiedział, co jest gorsze: to, że mężczyzna w kuchennym fartuszkach utrzymywał, że jest premierem, to, że facet w zakrwawionej koszuli ze szklanką w dłoni twierdził, że jest królem, czy też to, że miał nieodparte wrażenie, że skądś ich obu zna. To byli premier i król. W jakimś domu w środku lasu na końcu świata, w szwedzkim Roslagen.

Agent izraelskiego wywiadu nigdy nie traci panowania nad sobą. Teraz jednak to właśnie nastąpiło. Stracił panowanie nad sobą. Opuścił pistolet. Wsadził go do kabury pod marynarką i powiedział:

– Można prosić o coś do picia?

– Całe szczęście, że jeszcze nie wynieśliśmy butelki – powiedziała Gertrud.

Agent B usiadł obok króla i natychmiast dostał szklaneczkę marszałka. Opróżnił ją, wzdrygnął się i z wdzięcznością przyjął drugą kolejkę.

Zanim premier Reinfeldt zasypał go gradem pytań, Nombeko zaproponowała agentowi B, aby wspólnie wyjaśnili szefowi

Reinfeldtowi oraz jego szefowi królowi, co się dokładnie wydarzyło. Począwszy od Pelindaby. Agent B niepewnie kiwnął głową.

– Niech pani zacznie – powiedział i pokazał hrabinie Virtanen pustą szklaneczkę.

Nombeko zaczęła mówić. Król i premier słyszeli już skróconą wersję, kiedy siedzieli zamknięci z bombą w przyczepie. Teraz poznali szczegóły. Premier słuchał uważnie, jednocześnie wycierając stół i zlewozmywak. Król słuchał ze swojego miejsca na kuchennej kanapie, z czarującą hrabiną po jednej i już nie tak czarującym agentem po drugiej stronie.

Nombeko zaczęła od Soweto, następnie opowiedziała o diamentach Thabo i o tym, jak została potrącona przez samochód w Johannesburgu. O procesie. O wyroku sądu. O inżynierze i jego kręćku na punkcie brandy Klipdrift. O Pelindabie i wszystkich tamtejszych płotach pod napięciem. O południowoafrykańskim programie jądrowym. I o współpracy z Izraelczykami.

– Nie mogę tego potwierdzić – powiedział agent B.

– Proszę się porządnie zastanowić – zbesztła go Nombeko.

Agent B zamyślił się. To już i tak koniec. Czeka go dożywocie w szwedzkim więzieniu. Albo telefon premiera do Ehuda Olmerta. Agent wolałby już dożywocie.

– Zmieniłem zdanie – powiedział. – Mogę to potwierdzić.

Potwierdził zresztą więcej rzeczy, o których wspomniała Nombeko. Swoje zainteresowanie siódmą bombą, tą, która nie istniała. Ugodę, którą zawarli z Nombeko. Pomysł z przesyłką dyplomatyczną. Zainicjowanie przez agenta A pościgu po tym, jak na jaw wyszła pomyłka.

– A tak przy okazji, co się z nim stało? – zapytał agent B.

– Wylądował helikopterem w Bałtyku – odpowiedział Holger 1. – Obawiam się, że było to dość twarde lądowanie.

Nombeko mówiła dalej. O firmie Holger & Holger. O Fredsgatan. O Chinkach. Garncarzu. Tunelu. O tym, jak wkroczyła Krajowa Jednostka do Zadań Specjalnych. O tym, jak toczyła wielogodziną walkę sama ze sobą.

– Wszyscy, których to dziwi, niech podniosą rękę – mruknął premier.

Nombeko mówiła dalej. O państwie Blomgrenach. O diamentach i pieniądzach za nie, które poszły z dymem. O spotkaniu z agentem B pod pustostanem. O wszystkich tych wykonywanych przez lata bezowocnych telefonach do sekretarek premiera.

– Wypełniały tylko swoje obowiązki – powiedział Fredrik Reinfeldt. – Czy Gertrud dysponuje może miotłą? Została mi jeszcze podłoga.

– Hrabina, jeśli można – poprawił go król.

Nombeko mówiła dalej. O polu ziemniaków. O studiach Drugiego. O wystąpieniu idioty podczas obrony jego pracy doktorskiej.

– Idioty? – zdziwił się agent B.

– O mnie chodzi – powiedział Holger 1 i poczuł, że coś w tym chyba musi być.

Nombeko mówiła dalej. O magazynie „Szwedzka Polityka”.

– To był dobry magazyn – pochwalił premier. – Pierwszy numer. Które z was napisało wstępniak do drugiego? Nie, poczekajcie! Niech zgadnę.

Nombeko powiedziała już prawie wszystko. Na koniec wyjaśniła powiązanie z Hu Jintao. Wspomniała także o pomysle, by przyciągnąć jego uwagę przed zamkiem. I o tym, jak potem Holger 1 – arcyidiota – porwał ich wszystkich.

Agent B wychylił trzeciego drinka i poczuł, że dostatecznie się znieczulił. I dodał swoją opowieść od momentu narodzin. Po przejściu na emeryturę przez tę sprawę nie mógł zaznać spokoju. Dlatego tu przyjechał. Nie na polecenie premiera Olmerta. Wyłącznie z własnej inicjatywy. Ach, jak teraz tego żałuje.

– Niezły bajzel! – powiedział król i się roześmiał.

Premier musiał przyznać, że mimo wszystko Jego Wysokość dość dobrze to wszystko podsumował.

* * *

Około północy szef Säpo dotarł do skraju wytrzymałości.

Króla i premiera nadal nie było. Według przewodniczącego Chińskiej Republiki Ludowej są w dobrych rękach, ale to samo

mówi przecież o sytuacji mieszkańców Tybetu.

Najważniejsze, że premier dzwonił i zapewnił, że wszystko jest w porządku i że mają być dyskretni. Ale to było kilka godzin temu. Teraz nie odbierał, a jego telefonu nie można było namierzyć. Król z kolei telefonu w ogóle nie miał.

Kolacja dawno już się skończyła i ludzie zaczęli gadać. Dzwonili dziennikarze, pytali o powód nieobecności gospodarza. Służby prasowe króla i premiera odpowiadały, że król i premier pechowo, niezależnie od siebie, zaniemogli, ale że to nic poważnego.

Niestety, dziennikarze już tacy są, że nie wierzą w podobne zbiegi okoliczności. Szef Säpo wiedział, że wszyscy stoją jak na rozżarzonych węglach. W przeciwieństwie do szefa Säpo, który siedział z założonymi rękami. Bo co innego u licha ma robić?

Dyskretnie węszył. Skontaktował się z dowódcą Krajowej Jednostki do Zadań Specjalnych. Nie wyjawiał, o co konkretnie chodzi, napomknął jedynie, że może się na coś zanosić, że być może konieczna będzie ich interwencja i akcja ratownicza. Podobna do tej w Gneście sprzed ponad dziesięciu lat. Szwecja to spokojny kraj. Operacja z użyciem grupy do zadań specjalnych raz na dziesięć, piętnaście lat nikogo tutaj nie dziwi.

Dowódca Krajowej Jednostki do Zadań Specjalnych z dumą potwierdził, że operacja w Gneście była jego pierwszym i jak dotąd ostatnim zadaniem. Ale zespół jest zawsze w gotowości operacyjnej.

Kiedy podczas akcji przeprowadzonej przez jednostkę spłonęła część Gnesty, szef Säpo nie był w to zaangażowany. Nie czytał też żadnych raportów. Wierzył w Krajową Jednostkę do Zadań Specjalnych. Bardziej niepokoiło go to, że nie miał wiedzy potrzebnej do uwolnienia króla i premiera.

Wiedzy na temat tego, gdzie oni do kurwy nędzy są.

* * *

B poprosił o czwartego drinka. I piątego. Agent niewiele wiedział o szwedzkich więzieniach, ale był niemal pewien, że darmowego

alkoholu nie ma w pakiecie. Trzeba więc korzystać, póki jest okazja.

Król wyraził swoje uznanie dla tempa agenta.

– W ciągu zaledwie czterdziestu minut nie tylko mnie pan dogonił, ale nawet prześcignął – powiedział.

Premier podniósł wzrok znad podłogi, którą czyścił. Nie dowcipkuje się w ten sposób ze służbami bezpieczeństwa obcego państwa.

Hrabina Virtanen promieniała w towarzystwie króla. Nie tylko był królem, ale też zarzynał kury jak prawdziwy mężczyzna, wiedział, kim był Mannerheim, znał Napitek Marszałka i polował na łosie z Urho Kekkonenem. No i nazywał ją hrabiną. Tak jakby wreszcie ktoś ją zauważył, jakby na powrót stała się członkinią fińskiego rodu Mannerheimów po latach bycia Virtanen, producentką ziemniaków.

Nieważne, jak będzie, gdy z ciała ulotni się trunek, a król wyjedzie – kiedy tak siedziała na kanapie obok Jego Wysokości i bezgranicznie zmęczonego agenta, powzięła postanowienie: od teraz będzie hrabiną. Pełną gębą!

Holger 1 był kompletnie skołowany. Zdał sobie sprawę, że jego przekonania na temat republiki bazowały na wizerunku Gustawa V w galowym mundurze, z medalami, monoklem i srebrną laseczką. W tenże obrazek on, jego brat i tata rzucali w dzieciństwie lotkami. Ten obraz przekazał swojej Celestine. A ona go przyjęła.

Czy z tego powodu mają teraz wysadzić w powietrze prawnuka Gustawa V, a przy okazji siebie, brata i babcię?

Że też zarzynał te cholerne kury i odwiesił mundur. Oraz zakasał rękawy swojej upačkanej krwią koszuli. I poinstruował Gertrud, jak się naprawia traktor. I jeszcze bez mrugnięcia okiem pił drinka za drinkiem.

Sprawy nie ułatwiało i to, że premier na czworakach próbował usunąć z podłogi plamę, wcześniej uprzątnąwszy ze stołu, pozmywawszy i powycierawszy naczynia. Ale to wszystko nic w porównaniu z wyobrażeniem, które na ich oczach legło w gruzach.

Tym mianowicie, że królowie nie zarzynają kur.

Teraz bardziej niż czegokolwiek Holger potrzebował jakiegoś potwierdzenia, że jego doktryna nadal ma rację bytu. Jeśli tylko je otrzyma, uda mu się przekonać Celestine.

Monarchą nad monarchiami z opowieści taty Ingmara był Gustaw V. To właśnie jego zesłało piekło, by zatruł matkę ziemię. Holger chciał usłyszeć, jak obecny król wyraża się z szacunkiem o tym diabelskim pomioście. Podszedł do gruchającego z osiemdziesięcioletnią panią króla.

– Królu.

Król przerwał w połowie zdania, spojrzął na niego i powiedział:

– Tak, to ja.

– Chciałbym o czymś z panem porozmawiać – zaczął Holger 1, akcentując słowo „pan”.

Król nie odpowiedział, uprzejmie czekał.

– No więc, chodzi o Gustawa V.

– Mojego pradiadka.

– No właśnie. Wy tak to wszystko po sobie dziedziczycie – powiedział Holger, sam nie bardzo wiedząc, o co mu właściwie chodzi. – Chciałbym się dowiedzieć, co król – to znaczy pan – o nim sądzi.

Nombeko przysunęła się dyskretnie do króla i idioty, aby podsłuchać ich rozmowę. Jak dotąd doskonale ci szło, królu, pomyślała. Więc i teraz udziel prawidłowej odpowiedzi!

– Gustaw V? – odpowiedział, wietrząc podstęp, król.

* * *

Król cofnął się myślami do swoich przodków.

Sprawowanie funkcji głowy państwa nie zawsze było tak proste, jak mogli sądzić ludzie spoza kręgów arystokratycznych. Weźmy takiego Eryka XIV. Najpierw wyzywano go od szaleńców (niech nawet istniały ku temu powody), potem został uwięziony przez własnego brata, w końcu podano mu zupełną przyprawioną trucizną.

Albo Gustawa III, który poszedł na bal maskowy, żeby się zabawić, i został zastrzelony. Raczej mało ucieszne. Na domiar złego

ten, kto oddał strzał do króla, wycelował na tyle kiepsko, że król, biedaczysko, męczył się jeszcze przez dwa tygodnie.

A przede wszystkim Gustawa V, na którego najwyraźniej uwziął się ten republikanin Holger. Pradziadek jako dziecko był wątpy, pociągał nogami. W związku z tym zafundowano mu terapię nowym wynalazkiem – elektrycznością. Sądzono, że trochę woltów w ciele rozrusza mu nogi. Trudno powiedzieć, czy to zasługa prądu, ale potem dumnie wyprostowany Gustaw V przeprowadził neutralną Szwecję przez dwie wojny światowe. Z królową Niemiec z jednej strony, z drugiej zaś z synem, następcą tronu, który z uporem – dwa razy – żenił się z Brytyjkami.

W przededniu wybuchu pierwszej wojny światowej Gustaw V posunął się być może nieco za daleko, żądając wzmocnienia sił zbrojnych. Zrobił to na tyle donośnie, że premier Staaff w gniewie ustąpił z urzędu. Za ważniejsze od zbudowania jednej czy dwóch łodzi pancernych Staaff uważał wprowadzenie powszechnego prawa wyborczego. Nieważne, że Gustaw V, kiedy żądał tego, czego zażądał tuż przed strzałami w Sarajewie, miał rację. Król miał siedzieć cicho. Karol XVI Gustaw przekonał się o tym na własnej skórze, kiedy chlapnął, że sułtan Brunei jest przyzwoitym gościem.

Pradziadek panował w każdym razie przez niemal czterdzieści trzy lata i zręcznie radził sobie ze wszystkimi politycznymi zawirowaniami. Już sam fakt, że monarchia przetrwała, mimo że któregoś dnia hołota dostała prawo do głosowania i wykorzystała je na tyle niewłaściwie, że do władzy doszli socjaldemokraci. Zamiast spodziewanej rewolucji były spotkania Hanssona – zagorzałego republikanina – z królem, którego wieczorami cichaczem odwiedzał na zamku, by rozegrać partyjkę brydża.

Pradziadek był więc przede wszystkim prawdziwym mężem opatrznosciowym monarchii. Teraz jednak należało wybrnąć z tego w stylu pradziadka – stanowczo, a jednocześnie z wyczuciem sytuacji.

Król wiedział, że za pytaniem zadany przez tego, którego nie wolno im było nazywać idiotą, kryje się coś więcej. Ponieważ jednak wtedy, gdy pradziadek zmarł, w 1950 roku, owego idioty nie było pewnie jeszcze na świecie, obaj panowie nie mogli się spotkać.

Przyczyny tego wszystkiego należy szukać gdzie indziej, wcześniej. Szczerze mówiąc, król, zaabsorbowany hrabiną, niezbyt uważnie słuchał opowieści Nombeko. Ale podczas ich podróży ciężarówką drugi Holger wspomniał coś o ojcu bliźniaków. To on zaszczerpił synom republikańskie ideały.

Aż do tego stopnia.

Czyżby ojciec bliźniaków doznał ze strony Gustawa V jakichś nieprzyjemności?

Hmmm.

Królowi przyszła do głowy pewna zdrożna myśl.

Kiedy we wrześniu 1881 roku pradziadek i prababcia mówili sobie „tak”, królewskie małżeństwa z miłości nie zostały jeszcze wynalezione. A jednak pradziadek bardzo przeżył wyjazd swojej królowej do egipskiego ciepełka w celu podreperowania zdrowia i skupienia się na przygodach delikatniejszej natury w beduińskim namiocie, w towarzystwie prostego nadwornego barona. Na dodatek Duńczyka.

Plotkowano, że król stracił wtedy zainteresowanie kobietami. Nie wiadomo dokładnie, jak sprawa się miała z mężczyznami. Latami krążyły na ten temat plotki. Choćby słynna historia z szantażem i szarlatanem, który wyłudził od króla pieniądze. W tamtych czasach homoseksualizm był, jak wiadomo, prawnie zakazany i ta sytuacja mogła poważnie zagrozić monarchii. Dwór robił, co w jego mocy, by szarlatana zadowolić, a przede wszystkim uciszyć. Dawali mu pieniądze, jeszcze trochę pieniędzy i jeszcze trochę. Pomagali w prowadzeniu restauracji i pensjonatu. Ale szarlatan to szarlatan. Pieniądze przeciekały mu przez palce, więc żądał więcej i więcej.

Raz wypchano mu walizkę banknotami i wyprawiono statkiem przez Atlantyk do USA. Nie wiadomo, czy w ogóle tam dopłynął, a już był z powrotem z nowymi żądaniami. Kiedy indziej – w środku wojny – wysłano go do nazistowskich Niemiec z obietnicą dożywotniej pensji. Tam jednak ów nieszczęśnik dobierał się do chłopców i robił wszystko, by uznać go za przeciwieństwo aryjskiego ideału mężczyzny. Kiedy rozwścieczył gestapo i prawie trafił do obozu koncentracyjnego (dla rodziny królewskiej miałoby to pewne zalety), został odesłany do Szwecji.

W Sztokholmie szarlatan wydał książkę, w której opisał swoje życie. Teraz cały świat się dowie! A właśnie że nie, pomyślał szef policji w Sztokholmie, wykupił nakład i zamknął książki w celi w komendzie.

Ale dłużej nie dało się już utrzymywać tej nieprzyjemnej historii w tajemnicy (inaczej sprawa by się pewnie miała w Brunei). Wtedy w końcu zareagowało społeczeństwo i skazało szarlatana na osiem lat odsiadki za to i owo. Gustaw V już nie żył, a i szarlatan, gdy go w końcu wypuszczono, sam zadbał o to, by zakończyć swój żywot.

Przykra historia, nie ma co. Możliwe, że szarlatan był po prostu szarlatanem. Przynajmniej jeśli chodzi o jego historyjki dotyczące związku z Gustawem V. Nie można jednak wykluczyć, że król zadawał się i z szarlatanem, i z różnymi chłopcami oraz mężczyznami jakoś tak... no, w tamtych czasach... nielegalnie.

A jeśli... A jeśli ojciec Holgera został wykorzystany? I jeśli z tego powodu rozpoczął swoją krucjatę przeciwko monarchii, a w szczególności przeciwko Gustawowi V?

A jeśli...

Bo coś przecież musiało być na rzeczy.

* * *

Król przemyślał sprawę. Nie wszystkie jego wnioski były właściwe, ale wszystkie na pewno były rozsądne.

– Co myślę o swoim pradziadku Gustawie V? – powtórzył.

– No, gadajże pan! – ponaglił go Holger 1.

– Tak między nami? – powiedział król (w obecności hrabiny Virtanen, Celestine, Holgera 2, Nombeko, premiera i śpiącego akurat byłego agenta izraelskiego wywiadu).

– Bardzo proszę – odparł Holger 1.

Król poprosił świętej pamięci pradziadka w niebie o wybaczenie i rzekł:

– To był prawdziwy sukinsyn.

Może faktycznie król był jedynie dzieckiem natury, a jego spotkanie z Gertrud dziełem przypadku. Jednak obserwując ten zamach na honor Gustawa V, Nombeko zrozumiała, że również król pojął, jakie jest ich położenie. Odsądził pradziadka od czci i wiary, ponieważ leżało to w ich wspólnym interesie.

Pozostawało jeszcze pytanie, jak na to wszystko zareaguje Pierwszy.

– Chodź, Celestine – powiedział Holger 1. – Przejdźmy się na pomost. Musimy porozmawiać.

Pierwszy i Celestine usiedli na pomoście nad Vätösundem. Było już po północy, ciemno w tę krótką szwedzką letnią noc, dość ciepło. Celestine ujęła dłonie Holgera w swoje, spojrzała mu w oczy i zapytała, czy potrafi jej wybaczyć, że jest prawie arystokratką.

Holger wymamrotał, że jak najbardziej. To przecież nie jej wina, że tata babci Gertrud obok swojej bardziej zacnej profesji fałszerza banknotów był też baronem. Choć wiadomo, nic w tym fajnego. Jeśli to w ogóle prawda, bo cała historia kupy się nie trzyma. No i za okoliczność łagodzącą można uznać to, że dziadek Gustaf Mannerheim w jesieni życia poszedł po rozum do głowy i został prezydentem. Wierny carowi arystokrata, który rządził potem republiką. Ajajaj, ależ to wszystko pokręcone.

Celestine była podobnego zdania. Przez całe swoje życie miała poczucie beznadziei. Aż do dnia, kiedy spotkała Holgera, który okazał się wszystkim tym, czego pragnęła. A potem wyskoczył z lecącego na wysokości sześciuset metrów helikoptera, by uratować jej życie. Wreszcie wspólnie porwali króla Szwecji, by zmusić go do abdykacji, ewentualnie wysadzić w powietrze z tymi wszystkimi medalami oraz z nimi samymi.

Przez krótką chwilę życie Celestine było zrozumiałe i miało sens.

A potem król zarznął te kury. I po kawie pomógł babci z traktorem. Teraz koszulę miał ubabraną nie tylko krwią, ale też olejem silnikowym.

Do tego Celestine widziała, jak babcia odżyła. Wstyd jej, że kiedyś po prostu wyjechała bez pożegnania tylko dlatego, że babcia miała

niewłaściwego dziadka.

Wstyd? To było całkiem nowe uczucie.

Holger widział, jakie wrażenie wywarł na Celestine ten wieczór i przemiana babci. Sam też był zdezorientowany. Mieli zlikwidować nie tylko króla i monarchię, ale też wszystko to, co ta monarchia sobą reprezentuje. A ona nagle na ich oczach zaczęła uosabiać coś zupełnie innego. Król raz nawet przeklął. Diabli wiedzą, czy gdzieś po kątach nie popalają sobie z Gertrud.

Według Celestine nie. Gdzieś tam razem poszli, to fakt, ale chyba tylko po to, żeby obejrzeć traktor.

Holger 1 westchnął. Gdyby chociaż król nie odwrócił się w ten sposób od Gustawa V.

Celestine zaproponowała, żeby go przyprowadzić na pomost i wspólnie wypracować jakiś kompromis. Uświadomiła sobie, że nigdy wcześniej nie wypowiadała słowa „kompromis”.

– Chodzi ci o to, żebyśmy tylko troszeczkę zdetonowali bombę? – zapytał Holger 1. – Albo żeby król panował w niepełnym wymiarze godzin?

Nie zaszkodzi jednak, jeśli go przyprowadzą na pomost, by porządnie i w pokojowej atmosferze przegadać sprawę. Tylko król, Holger 1 i Celestine. Bez Drugiego, bez Gertrud, bez premiera, a już na pewno bez tej żmii Nombeko i śpiącego agenta z Izraela.

Ani Holger, ani tym bardziej Celestine nie wiedzieli jednak, od czego mieliby tę rozmowę zacząć i do czego miałyby ona doprowadzić. Jeśli jednak padną właściwe słowa, może, mimo wszystko, się uda?

Król niechętnie rozstawał się z hrabiną. Gotów był jednak, rzecz jasna, jeśli sobie tego życzyli, przeprowadzić tę nocną rozmowę z panną Celestine i z tym, którego nie wolno nazywać idiotą, jeśli miało to popchnąć sprawy we właściwym kierunku.

Holger 1 rozmowę na pomoście zaczął od stwierdzenia, iż król powinien się wstydzić, że nie potrafi zachować się jak król.

– Nikt nie jest doskonały – powiedział król.

Następnie Pierwszy przyznał, że jego ukochaną Celestine ucieszyła ta niezwykle... żywa relacja, która połączyła króla i Gertrud.

– Hrabinę – poprawił król.

Niezależnie od tego, jak się na nią mówi w różnych kręgach, stanowi jeden z powodów, dla których wysadzenie króla i połączenie ojczyzny w powietrze nie jest już całkiem oczywiste, nawet jeśli Jego Wysokość zrezygnuje z abdykacji.

– Doskonale – powiedział król. – W takim razie decyduję się to zrobić.

– Abdykować?

– Nie, zrezygnować z abdykacji.

Holger 1 pluł sobie w brodę. Zaczął od złej strony i już na początku rozmowy wyjął asa z rękawa: groźbę użycia bomby. Że też zawsze musi wszystko sknocić, nieważne, do czego się zabiera. Coraz bardziej docierało do niego, że jest tym, za kogo wszyscy go mają.

Król zauważył, że Holger 1 toczy jakąś wewnętrzną walkę, i dodał, że pan idiota nie powinien się zamartwiać tym, jak się sprawy potoczyły. Historia pokazuje mianowicie, że nie wystarczy przepędzić króla z tronu. Ba, nie wystarczy nawet koniec dynastii.

– Naprawdę? – zdziwił się Holger 1.

* * *

W Roslagen świtało, gdy król zaczął swoją umoralniającą opowieść o Gustawie IV Adolfie, któremu niezbyt się wiodło, oraz o tym, do czego to doprowadziło.

Zaczął się od postrzelenia jego ojca w Operze Królewskiej. Syn miał dwa tygodnie na przyzwyczajenie się do nowej roli. W tym czasie jego ojciec leżał na łożu śmierci. Okazało się, że dwa tygodnie to zdecydowanie za mało. Poza tym ojciec zdążył jeszcze za życia wtłoczyć chłopakowi do głowy, że szwedzki król sprawuje swój urząd z boskiego nadania, że król i Bóg działają wspólnie.

Komuś, kto czuje opiekuńczą obecność Pana, wydaje się, że pójść na wojnę i pokonać za jednym zamachem cesarza Napoleona i cara Aleksandra, to pestka. Niestety, cesarz i car także znajdowali się pod boską opieką i działali w podobnym duchu. Na wypadek gdyby wszyscy trzej mieli rację, Bóg każdemu z nich zbyt wiele naobiecował. W tej sytuacji jedyne, co Pan mógł zrobić, to pozwolić, by sprawę rozstrzygnął faktyczny układ sił.

Może dlatego Szwecja oberwała, i to dwa razy, oddając pod rządy okupanta Pomorze i tracąc Finlandię. Sam Gustaw został przepędzony z tronu przez rozwścieczonych hrabiów i zgorzkniałych generałów. Krótko mówiąc, doszło do zamachu stanu.

– No proszę – powiedział Holger 1.

– To jeszcze nie koniec.

Były już Gustaw IV Adolf wpadł w depresję i zaczął zaglądać do kieliszka. Cóż innego mu pozostało? Gdy już nie mógł występować pod swoim imieniem, kazał, by się do niego zwracano „pułkowniku Gustavsson”. Błąkał się po Europie, by w końcu dokonać swoich dni w jakimś szwajcarskim pensjonacie – w samotności, jako nałogowy alkoholik, bez grosza przy duszy.

– Wspaniale – skomentował Holger 1.

– Gdybyś mi wciąż nie przerywał, zrozumiałbyś, że zmierzam do czego innego. Na jego miejsce od razu koronowano innego króla.

– Wiem. Dlatego też od razu trzeba się pozbyć wszystkich krewnych.

– Ale i to nie pomoże – powiedział król i kontynuował: – Mówi się: jaki ojciec, taki syn. Dlatego autorzy zamachu stanu nie chcieli ryzykować. Oprócz tego nicponia Gustawa IV Adolfa wygnali też całą jego rodzinę, w tym dziesięcioletniego następcę tronu. Wszyscy oni raz na zawsze zostali pozbawieni prawa do szwedzkiej korony. Na tronie zasiadł brat zamordowanego niegdyś ojca Gustawa IV Adolfa.

– Zaczynam się w tym wszystkim gubić.

– Już kończę.

– Całe szczęście.

– Nowy król otrzymał imię Karol XIII. Wszystko byłoby świetnie, gdyby jego jedyny syn nie zmarł już po tygodniu. A nowi jakoś nie

chcieli się rodzić – to znaczy może i chcieli, ale nie z właściwą kobietą. Dynastia była zagrożona wymarciem.

– Ale on wiedział, jak rozwiązać problem? – próbował zgadywać Holger.

– No tak. Najpierw adoptował spokrewnionego ze sobą księcia. Który także miał na tyle zły gust, że zmarł.

– I jak król rozwiązał ten problem?

– Adoptował duńskiego księcia. Ale i on zmarł od razu wskutek ataku apopleksji.

Holger oświadczył, że gdyby nie wiedział, co było potem, byłby skłonny uznać, że opowieść króla idzie w dobrym kierunku.

Król tego nie skomentował i ciągnął swoją opowieść. Po fiasku pomysłu z duńskim księciem król zwrócił się o pomoc do Francji. Tam okazało się, że Napoleon miał na zbyciu jednego marszałka. Szybko się dogadali i Jean Baptiste Bernadotte został szwedzkim następcą tronu.

– No i?

– Zapoczątkował nową dynastię. Ja też jestem Bernadotte. Jean Baptiste był pradziadkiem mojego pradziadka, Gustawa V, wiesz którego.

– Oj tak.

– Próby zlikwidowania dynastii królewskich skazane są na porażkę, Holgerze – podsumował król. – Jak długo lud chce monarchii, tak długo się jej nie pozbędziesz. Ale szanuję twoje zdanie, żyjemy bądź co bądź w demokratycznym kraju. A może byś tak wstąpił do największej partii w kraju, do socjaldemokratów, i spróbował jakoś na nich wpłynąć? Albo został członkiem Towarzystwa Republikańskiego i kształtował poglądy innych?

– Albo wzniosę twój pomnik, żeby na mnie runął i żeby się to wszystko raz na zawsze skończyło – mruknął ponuro Holger 1.

– Jak to? – zdziwił się król.

* * *

Słońce wzeszło, zanim komukolwiek w Sjölidzie przyszło do głowy, by położyć się spać. Może poza agentem B, który spał niespokojnym snem w pozycji siedzącej na kuchennej kanapie.

Nombeko i Holger 2 zastąpili króla na pomoście nad Vätösundem. Po raz pierwszy od porwania Holger i Holger mieli okazję porozmawiać.

– Obiecałeś, że nie tkniesz bomby – powiedział Holger 2 cierpko.

– Owszem – odparł Holger 1. – I przez te wszystkie lata dotrzymywałem słowa, nie? Aż do dnia, kiedy znalazłem się wraz z królem w ciężarówce, a przy okazji siedziałem za kierownicą. Wtedy coś we mnie pękło.

– Ale o czym ty wtedy myślałeś? A teraz?

– Nic nie myślę. Jak wiesz, rzadko mi się zdarza. To tata kazał mi jechać.

– Tata? Przecież on nie żyje od dwudziestu lat!

– Prawda, że to dziwne?

Holger 2 westchnął.

– Najdziwniejsze jest chyba to, że jesteśmy braćmi.

– Nie dokuczaj mojemu ukochanemu! – wtrąciła się Celestine.

– Zamknij się – powiedział Holger 2.

Pierwszy i Celestine nie byli już tacy pewni, że najlepszym rozwiązaniem będzie zmieść z powierzchni ziemi siebie samych oraz pokaźny kawałek kraju.

– I o czym teraz myślicie, co planujecie? – zapytała Nombeko, widząc ich wahanie.

– Wciąż gadacie o tym myśleniu – odpowiedział Holger 1.

– Myślę, że nie możemy zabić kogoś, kto sprawia, że moja babcia się śmieje – zdecydowała Celestine. – Przez całe życie się nie śmiała.

– A ty, idioto, co myślisz, gdybyś tak miał spróbować?

– Mówiłam, żebyście nie dokuczali mojemu ukochanemu.

– Poczekaj, dopiero się rozkręcą – rzekła Nombeko.

Holger 1 milczał przez kilka sekund, po czym powiedział:

– Na tyle, na ile potrafię, myślę, że łatwiej poszłoby nam z Gustawem V. Miał srebrną laseczkę i monokl, a nie kurzą krew na

koszuli.

– I olej silnikowy – dodała Celestine.

– A zatem chcielibyście się jakoś zgrabnie wycofać? Dobrze rozumiem? – zapytała Nombeko.

– Tak – odpowiedział cicho Holger, nie patrząc jej w oczy.

– Na początek oddaj kluczyki do samochodu i pistolet.

Holger podał jej kluczyki, upuszczając przy tym na pomost pistolet. Rozległ się huk wystrzału.

– Au, jasna cholera! – krzyknął Holger 2 i padł jak długi.

Rozdział 22

O tym, jak posprzątano i jak wyruszono w drogę

Zbliżała się trzecia nad ranem, gdy premier powrócił do Sjölidy z przejażdżki mopedem hrabiny Virtanen. Musiał dojechać do szosy – tylko tam dało się złapać zasięg. Stamtąd przedzwonił do kilku osób. Ludziom ze swojego sztabu i otoczenia króla oraz najszcześliwшему w tej chwili na świecie zwierzchnikowi służb bezpieczeństwa zakomunikował, że sytuacja jest pod kontrolą, a w godzinach porannych premier pojawi się w Kancelarii Rządu. Reinfeldt zarządził także, aby asystentka przygotowała mu świeży garnitur i czyste buty.

Najgroźniejsza faza dramatu zakończyła się bez ofiar, pomijając postrzelonego przez brata w ramię Holgera 2. Leżał teraz w sypialni za kuchnią hrabiny i klął, na czym świat stoi. Rana była głęboka, ale dzięki zastosowaniu Napitku Marszałka (zarówno jako środka dezynfekcyjnego, jak i znieczulającego) oraz bandaża można było mieć nadzieję, że Drugi niedługo stanie na nogi. Nombeko z czułością zauważyła, że Holger 2 ani trochę się nad sobą nie użalał. Wręcz przeciwnie, jeszcze w łóżku próbował opanować sztukę duszenia człowieka poduszką za pomocą jednej ręki.

Potencjalna ofiara znajdowała się jednak w bezpiecznej odległości. Pierwszy i Celestine spali bowiem pod kocem na pomoście, a do niedawna bardzo niebezpieczny agent B na kanapie w kuchni. Na wszelki wypadek Nombeko wyjęła mu pistolet z ukrytej pod marynarką kabury. Nie powodując przy tym kolejnego wypadku.

Król, hrabina Virtanen, Nombeko i premier zebrali się w kuchni. Król radośnie zapytał o następny punkt programu. Premier był zbyt zmęczony, aby jeszcze bardziej się na niego złościć. Poprosił za to Nombeko o rozmowę w cztery oczy.

– Usiądźmy może w kabinie ciężarówki – zaproponowała.

Premier skinął głową.

Szef szwedzkiego rządu okazał się rozsądny w takim samym stopniu, w jakim radził sobie z wycieraniem naczyń. Na początek przyznał, że najchętniej zażądałby od policji aresztowania wszystkich w Sjölidzie, w tym króla za jego beztroskę. Jednak po namyśle spojrzął na sprawę bardziej pragmatycznie. Po pierwsze, króla nie da się zaskarżyć. No i trochę niesprawiedliwie byłoby przymykać Nombeko i Holgera 2, którzy przecież robili, co mogli, by opanować ten chaos. W zasadzie hrabina też nie jest niczemu winna. Zwłaszcza gdyby odpuścić sobie kontrolę pozwolenia na broń, którą wcześniej wymachiwała.

Pozostawała sprawa agenta obcego wywiadu. No i oczywiście idioty oraz jego dziewczyny. Każde z tych dwojga zasługiwało na kilkaset lat w zamkniętym zakładzie o zaostrzonym rygorze. Ostatecznie jednak najlepiej będzie, jeśli daruje sobie tę słodką zemstę. Każde oskarżenie generowało pytania prokuratora, a odpowiedzi mogłyby narazić tysiące obywateli na trwającą do końca życia traumę, niezależnie od tego, jak by je sformułowano. Zabłąkana bomba atomowa. W samym środku Szwecji. Przez dwadzieścia lat.

Nagle premier aż się wzdrygnął. Uświadomił sobie, że jest jeszcze jeden powód, by nie podejmował kroków prawnych. Otóż kiedy podjechał mopedem do szosy, w pierwszej kolejności zatelefonował do szefa Säpo, by go uspokoić, a następnie do swojej asystentki w kwestiach praktycznych.

Nie wszczął jednak alarmu.

Jakiś nadgorliwy prokurator, na dodatek podpuszczony przez opozycję, mógłby zinterpretować sytuację na jego niekorzyść i oskarżyć go o to, że nie przerwał tego dramatu i postąpił wbrew prawu.

– Hmmm... – Nombeko się zastanawiała. – Na przykład naraził pan innych na niebezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu, rozdział trzeci, paragraf dziewiąty kodeksu karnego.

– Dwa lata? – zapytał premier, który zaczął podejrzewać, że Nombeko ma wiedzę na każdy temat.

– Zgadza się – potwierdziła. – A biorąc pod uwagę potencjalną skalę zniszczeń, nie powinien pan liczyć na karę niższą nawet o jeden dzień. I jeszcze jechał pan mopedem bez kasku. Zważywszy na to, jak takie rzeczy postrzegane są w Szwecji, dostanie pan dodatkowe piętnaście lat.

Premier wybiegł myślami w przyszłość. Miał nadzieję, że latem 2009 roku obejmie przewodnictwo w Unii Europejskiej. Szykowanie się do tego w zakładzie karnym nie było najlepszym pomysłem. Pomijając już to, że musiałby ustąpić ze stanowiska premiera i lidera partii.

Dlatego poprosił błyskotliwą Nombeko o radę, jak mogliby się z tego wyplątać, zakładając, że ich celem jest pogrzebanie w mrokach niepamięci jak największej liczby szczegółów z jak największej liczby wydarzeń minionej doby.

Nombeko powiedziała, że nie zna nikogo, kto sprzątałby równie dobrze jak premier. Kuchnia lśniła czystością i po potrawce, piwie, Napitku Marszałka oraz kawie nie pozostał żaden ślad. Teraz należało jedynie... sprzątnąć śpiącego agenta?

Premier zmarszczył czoło.

Nombeko pomyślała, że najpilniejsze jest odseparowanie idioty i jego dziewczyny od bomby. A potem trzeba zamknąć bombę w skalnym schronie.

Premier odczuwał zmęczenie, a pora była tak późna, że w zasadzie należało nazwać ją wczesną. Przyznał, że trudno mu przychodzi myślenie i mówienie. Ale o schronie sam zdążył pomyśleć, kiedy jego mózg był jeszcze sprawny. Tam można by bombę rozbroić albo zamurować i o niej zapomnieć, po czym wyprzeć ze świadomości jej istnienie.

Czas nie jest jednak bardziej łaskawy dla premiera niż dla pozostałych. Bywa wręcz odwrotnie. Zgodnie z jego kalendarzem pierwszym punktem dnia było spotkanie o dziesiątej z przewodniczącym Hu w Pałacu Sagera, a następnie obiad w rezydencji premiera. Wcześniej chciał wziąć prysznic, a następnie przebrać się w ubranie i buty nieupaćkane błotem.

Zdąży z tym, jeśli niedługo wyruszą. Trudniej będzie gdzieś przy drodze wypatrzeć odpowiednio głęboki i ustronny skalny schron, w którym da się ukryć bombę. Z tą akurat sprawą – niezależnie od jej wagi – będą musieli poczekać do popołudnia.

Na co dzień premier był doskonałym słuchaczem, sam mówił raczej niewiele. Teraz był zaskoczony swoją gadatliwością. Chociaż może i nie ma w tym nic dziwnego. Wszyscy czasem potrzebują się wygadać. A z kim, jak nie z Południowoafrykanką – i ewentualnie jej chłopakiem – mógł porozmawiać o trzymegatonowym problemie, który im ciążył?

Premier doszedł do wniosku, że musi poszerzyć krąg wtajemniczonych. Należało zacząć od dowódcy sił zbrojnych, odpowiedzialnego za schron, gdziekolwiek go znajdą. Ponieważ dowódca nie mógł ani samodzielnie rozbroić bomby, ani zamurować wejścia, należało dopuścić do tajemnicy kolejnych ludzi. Następujące osoby będą zatem wiedzieć to, czego wiedzieć nie powinny: 1) dowódca, 2) ktoś, kto rozbroi bombę, 3) murarz, 4) nielegalna imigrantka Nombeko Mayeki, 5) nieistniejący Holger Qvist, 6) jego aż nazbyt istniejący brat, 7) choleryczna dziewczyna brata, 8) była producentka ziemniaków, obecnie hrabina, 9) Jego Niefrasobliwa Wysokość król oraz 10) emerytowany agent Mosadu.

– To się nie może udać – powiedział premier Reinfeldt.

– Ależ może – odparła Nombeko. – Większość wymienionych osób ma wszelkie powody, by milczeć. A niektórzy z nich są tak nierozgarnięci, że i tak nikt im nie uwierzy.

– Ma pani na myśli króla? – zapytał premier.

Obiadem w Pałacu Sagera premier i Hu Jintao mieli się delektować w towarzystwie najważniejszych szwedzkich przedsiębiorców. Następnie przewodniczący Hu miał się udać na lotnisko Arlanda i na pokładzie prywatnego boeinga 767 odlecieć do Pekinu. I dopiero wtedy premier będzie mógł porozmawiać z dowódcą sił zbrojnych.

– Czy w takim razie mogę zaryzykować i tymczasem powierzyć pani Nombeko pieczę nad bombą?

– Już pan premier sam najlepiej wie, jakie może podjąć ryzyko, a jakiego nie. Chcę jednak zauważyć, że przez dwadzieścia lat dbałam, by to ustrojstwo nie wyleciało w powietrze. Powinnam więc sobie poradzić jeszcze przez kilka godzin.

W tejże chwili Nombeko zobaczyła króla i hrabinę idących na pomost. Coś tu się kroi. Nombeko myślała intensywnie.

– Drogi panie premierze. Proszę pójść do domu i zająć się agentem Mosadu w sposób, jaki panu podpowiada zdrowy rozsądek, który jak wiem, pan ma. A ja w tym czasie udam się na pomost i sprawdzę, czy król i hrabina czegoś nie kombinują.

Fredrik Reinfeldt wiedział, co Nombeko ma na myśli. I dobrze wiedział, że nie powinien tak postąpić.

Westchnął – i poszedł, by postąpić tak, jak nie powinien.

– Obudź się!

Premier potrząsnął agentem B. Ten otworzył oczy i ku swojemu przerażeniu uświadomił sobie, gdzie się znajduje.

Kiedy Fredrik Reinfeldt zobaczył, że agent jest już w stanie przyswajać informacje, spojrzał mu w oczy i powiedział:

– Na podwórzu stoi samochód agenta. Proponuję, że względu na przyjaźń łączącą naród szwedzki z narodem izraelskim, aby natychmiast pan do niego wsiadł, odjechał stąd i jak najszybciej opuścił kraj. Proponuję także, żeby zgodził się pan z tym, iż nigdy pan tu nie był oraz że nigdy pan tu nie powróci.

Praworządny premier przeżywał istne katusze, dręczony myślą o tym, że nie tylko przez kilka godzin wcielał się w rolę złodzieja ziemniaków, ale w dodatku teraz zamierzał posadzić za kółkiem nietrzeźwego mężczyznę. Pomijając już całą resztę.

– A co z premierem Olmertem? – zapytał agent B.

– Nie mam mu nic do powiedzenia, przecież nigdy tu pana nie było. Prawda?

Agent B nie był trzeźwy, do tego dopiero co się obudził. A jednak dotarło do niego, że właśnie odzyskał życie.

I że musi się pośpieszyć, zanim szef szwedzkiego rządu zmieni zdanie.

Fredrik Reinfeldt był jednym z najuczciwszych ludzi w Szwecji, takim, co to opłacał abonament telewizyjny jeszcze jako mieszkaniec akademika. Co to jeszcze jako dziecko wystawił rachunek, gdy za dwadzieścia pięć öre sprzedał sąsiadowi pęczek porów.

Nic dziwnego zatem, że czuł się teraz tak, jak się czuł, po tym, jak puścił agenta B wolno. A całą resztę postanowił zatuszować. Pogrzebać. W tym bombę. W schronie. O ile to w ogóle możliwe.

Nombeko wróciła z wiosłem pod pachą. Opowiedziała, jak to właśnie udaremniła wyprawę hrabiny i króla na nielegalny połów. Gdy premier nic nie odpowiedział, a Nombeko dostrzegła tylne światła samochodu agenta Mosadu opuszczającego Sjölidę, dodała:

– Czasem nie sposób postąpić właściwie, panie premierze. Niekiedy trzeba wybrać mniejsze zło. Ostateczne uprzątnięcie kuchni hrabiny leżało w interesie narodu. Nie powinien pan mieć z tego powodu wyrzutów sumienia.

Premier milczał jeszcze przez kilka sekund. A następnie powiedział:

– Dziękuję, panno Nombeko.

Nombeko zeszła z premierem na pomost, by odbyć poważną rozmowę z Pierwszym i Celestine. Oboje spali pod kocem, a obok nich leżeli – zajęci tym samym – król i hrabina.

– Wstawaj, idioto, albo tak cię kopnę, że rymśniesz do wody – powiedziała Nombeko i trąciła Pierwszego stopą (przepelniała ją frustracja, której mogła dać ujście, jedynie przestawiając mu nos, co najmniej).

Byli porywacze usiedli na pomoście, a reszta świty pomału budziła się ze snu. Premier poinformował ich, że nie zgłosi na policję porwania, gróźb i całej reszty, o ile Holger i Celestine będą współpracować.

Oboje skinęli głowami.

– Co teraz będzie, Nombeko? – zapytał Holger 1. – Nie mamy gdzie mieszkać. Moja kawalerka w Blackebergu jest za mała, bo

Celestine chce zabrać stąd babcię. Pod warunkiem że babcia pragnie tego samego.

– Czy my nie mieliśmy łowić ryb? – zapytała hrabina, dopiero co obudzona.

– Nie, najpierw musimy przeżyć tę noc – powiedział premier.

– Niezły plan – orzekł król. – Nieco defensywny, ale dobry.

Może to i dobrze, że jednak nie wypłynęli. Niezwykle dziennikarzom przypadłoby do gustu tytuły w stylu „Król zatrzymany za kłusownictwo”.

Premier pomyślał, że żaden dziennikarz, życzliwy czy nie, nigdy dobrowolnie nie zrezygnowałby z takiego tytułu. Poprosił króla, by ten wybił sobie z głowy wszelkie niezgodne z prawem posunięcia. Już i tak popełnione tej nocy przestępstwa mogłyby wypełnić całą wokandę sądu rejonowego.

Król pomyślał, że on, król, może sobie kłusować, ile mu się żywnie podoba. Miał jednak tyle zdrowego rozsądku, by nie strofować premiera.

Fredrik Reinfeldt mógł więc dalej ratować sytuację i naród. Zwrócił się do hrabiny Virtanen i poprosił, by udzieliła krótkiej i klarownej odpowiedzi na pytanie, czy zamierza wraz z wnuczką i jej chłopakiem opuścić Sjölidę.

Owszem, hrabina odzyskała radość życia. Częściowo pewnie dlatego, że tak długo mogła przebywać ze swoją ukochaną Celestine, oraz dzięki królowi, który ma rozległą wiedzę na temat fińsko-szwedzkiej historii i tradycji. Pole zostało sprzedane, a funkcja redaktor naczelnej trochę ją, szczerze powiedziawszy, znudziła, mimo że sprawowała ją bardzo krótko.

– Poza tym dość mam już życia w pojedynkę. Czy król nie mógłby mnie poznać z jakimś baronem z odzysku? Nie musi być przystojny.

Król odparł, że baronowie są towarem deficytowym. Premier przerwał mu jednak, twierdząc stanowczo, że to nie pora na dyskusje o baronach z odzysku, nieważne, czy atrakcyjnych, czy też nie. Pora wyruszyć w drogę. A zatem hrabina wybiera się razem z nimi?

Owszem. Ale gdzie zamieszkają? Pierwszą lepszą starszą panią można zakwaterować w byle chatce, ale hrabiny powinny dbać

o reputację.

Nombeko pomyślała, że tu akurat może ustąpić. Ze sprzedaży pola zostało im sporo pieniędzy. Wystarczy na godne lokum dla hrabiny i jej dworu. Oraz na wiele innych rzeczy.

– W oczekiwaniu na odpowiedni zamek możemy was zakwaterować w jakimś przyzwoitym miejscu. Czy usatysfakcjonuje was apartament w sztokholmskim Grand Hotelu?

– Tak, ale wyłącznie na okres przejściowy – odparła hrabina, a była buntowniczką i członkinią PKML(r) Celestine mocno ścisnęła dłoń swego krzywiącego się chłopaka.

* * *

Było już po szóstej, gdy ciężarówka z bombą wyjechała w trasę. Za kierownicą zasiadł premier, jedyny, który miał prawo jazdy i był dostatecznie trzeźwy, by móc prowadzić. Po prawej stronie Nombeko, w środku z ręką na temblaku Holger 2.

Z tyłu król i hrabina dalej konwersowali. Król miał dla niej sporo rad w sprawie mieszkania. Na sprzedaż jest klasycystyczny zamek Pöckstein pod Straßburgiem w Austrii. Może będzie godzien hrabiny. Tylko trochę daleko stamtąd na popołudniową herbatkę do pałacu Drottningholm. Może lepszy byłby zamek Södertuna, położony zresztą niedaleko Gnesty. Jego historia sięga średniowiecza. Ale czy nie jest trochę zbyt skromny?

Hrabina nie była pewna. Muszą obejrzeć wszystkie dostępne rezydencje i osobiście przekonać się, co jest zbyt skromne, a co nie.

Król zastanawiał się, czy on i królowa mogliby towarzyszyć jej podczas oglądania mieszkań. Chętnie posłuży radą w kwestii zamkowych ogrodów z prawdziwego zdarzenia.

No, skoro tak bardzo chcą. Miło byłoby spotkać królową w innych okolicznościach niż podczas korzystania z wychodka.

O wpół do ósmej rano król wysiadł przed pałacem Drottningholm. Zadzwoił do drzwi i przez chwilę musiał wyjaśniać, że jest tym, za którego się podaje, po czym został wpuszczony przez speszonego

szefa ochrony. Ten zauważył na koszuli króla ciemnoczerwone plamy.

– Czy Jego Wysokość jest ranny? – zapytał.

– Skądże, to kurza krew. I odrobina oleju silnikowego.

Następnym przystankiem był Grand Hotel. Wyzwaniem okazała się logistyka. Postrzelony przez brata Holger 2 miał gorączkę. Drugi powinien położyć się do łóżka i zażyć tabletki przeciwbólowe – skończył się już zapas Napitku Marszałka.

– Czy sądzisz, że zamieszkam w hotelu i pozwolę, by opiekował się mną wariat, który prawie mnie zabił? – powiedział Holger 2. – Wolę już wykrwawić się na ławce w parku.

Nombeko udało się go jednak przekonać. Obiecała mu też, że potem będzie mógł udusić brata albo przynajmniej przestawić mu nos (o ile wcześniej sama tego nie zrobi). Ale najpierw musi wydobrzeć. Wykrwawić się w dniu, kiedy w końcu mają szansę pozbyć się bomby, byłoby chyba wyjątkową ironią losu?

Holger 2 był zbyt zmęczony, żeby się sprzeciwić, i za dwadzieścia dziewięć minut był już w łóżku. Wcześniej zażył podwójną dawkę rozpuszczalnych proszków przeciwbólowych i przeciwgorączkowych. Wypił duszkiem miksturę i po piętnastu sekundach już spał. Holger 1 położył się na kanapie w salonie. Hrabina Virtanen natomiast postanowiła zbadać zawartość minibaru w sypialni.

– Idźcie, idźcie, poradzę sobie.

Premier, Nombeko i Celestine stali przed wejściem do hotelu i ustalali plan działania na najbliższe godziny. Reinfeldta czekało spotkanie z Hu Jintao, a Nombeko i Celestine miały ostrożnie krążyć z bombą po centrum. Za kółkiem musiała zasiąść Celestine; innego kierowcy nie mieli. Holger 2 leżał w łóżku z raną postrzałową, a premier nie mógł przecież wozić po mieście diabelskiej broni i jednocześnie obradować z przewodniczącym Chin.

Pozostawała jedynie nieobliczalna, niegdyś młoda, wciąż równie gniewna Celestine. Wprawdzie pod kontrolą Nombeko, ale z nią nigdy nie wiadomo.

Kiedy tak stali we trójkę przed wejściem do hotelu, zadzwoniła asystentka premiera, by poinformować, że garnitur i nowe buty czekają już na niego w kancelarii. Odezwali się też ze sztabu chińskiego przewodniczącego. Jest pewien problem. Poprzedniego wieczora tłumacz przewodniczącego uległ wypadkowi. Ma złamane cztery palce i zmiądzony kciuk. Przeszedł operację i obecnie przebywa w szpitalu Karolinska. Przewodniczący pyta, czy premier nie ma przypadkiem w zanadrzu jakiegoś innego tłumacza. Asystentka przypuszcza, że chodzi o tę czarnoskórą kobietę, z którą przez chwilę rozmawiała przed pałacem. Czy ma rację? Pan premier wie może, gdzie ona jest?

Owszem. Przeprosił na chwilę asystentkę i zwrócił się do Nombeko:

– Czy panna Nombeko mogłaby towarzyszyć mi podczas spotkania z przewodniczącym Chińskiej Republiki Ludowej? Niestety, tłumacz przewodniczącego przebywa w szpitalu.

– I biadoli, że umiera? – zapytała Nombeko. Zanim premier zdążył zapytać, co ma na myśli, dodała: – Oczywiście. Pewnie. Ale co zrobimy w tym czasie z samochodem, bombą i Celestine?

Pozostawienie Celestine na kilka godzin sam na sam z samochodem i bombą wydawało się raczej kiepskim pomysłem. Pierwsze rozwiązanie, na jakie wpadła Nombeko, to przykuć ją jej własnymi kajdankami do kierownicy. Drugi pomysł był nieco lepszy. Udała się do apartamentu. Po chwili była z powrotem.

– Twój chłopak słodkochrapie, przykuty kajdankami do kanapy. Jeśli pod moją nieobecność wykręcisz jakiś numer, przysięgam, że kluczyk wrzucę do Nybroviken.

Celestine prychnęła w odpowiedzi.

Premier zadzwonił po dwóch ochroniarzy i poprosił, żeby przyjechali po nich do Grand Hotelu samochodem z jak najbardziej przyciemnionymi szybami. Celestine nakazano, aby znalazła jakieś miejsce parkingowe i tam poczekała, aż się z nią skontaktują. To potrwa tylko kilka godzin, obiecał premier, marząc dziko, by ten dzień wczorajszy, który nadal trwał, już się skończył.

Rozdział 23

O wkurzonym dowódcy i śpiewającej kobiecie

Fredrik Reinfeldt zasiadł z kanapką i potrójnym espresso na fotelu w swoim biurze. Właśnie poddał się gruntownej odnowie, fundując sobie kąpiel pod prysznicem, świeże ubranie i nieupaćkane błotem buty. W drugim fotelu z filiżanką szwedzkiej herbaty w dłoni siedziała jego południowoafrykańska tłumaczka z chińskiego. W tym samym co poprzedniego dnia ubraniu. Ona jednak nie ganiała po polu ziemniaków.

– No proszę, to tak pan premier wyglądał, zanim się uświnił – powiedziała Nombeko.

– Która godzina? – zapytał premier.

Za dwadzieścia dziesiąta. Pozostało trochę czasu, by wdroić tłumaczkę.

Premier wyznał, że zamierza zaprosić Hu Jintao na szczyt klimatyczny w Kopenhadze w 2009 roku, gdy będzie przewodniczył Unii Europejskiej.

– Pogadamy pewnie trochę na temat środowiska naturalnego i podejmowanych w tej sferze inicjatywach – wyjaśnił. – Chciałbym, żeby Chiny zostały objęte umową klimatyczną.

– No proszę – skomentowała Nombeko.

Premier chciał także poruszyć pewne kontrowersyjne tematy – przedstawić pogląd Szwecji na demokrację i kwestię praw człowieka. W tym kontekście ważne, aby Nombeko tłumaczyła wiernie i nie wymyślała własnych sformułowań.

– Coś jeszcze? – zapytała Nombeko.

Owszem, będą także rozmawiać o interesach. O imporcie i eksporcie. Chiny są dla Szwecji coraz ważniejszym rynkiem eksportowym.

– Roczna wartość eksportu do Chin wynosi dwadzieścia dwa miliardy koron – wyjaśnił premier.

– Dwadzieścia przecinek osiem – poprawiła go Nombeko.

Premier dopił espresso i utwierdził się w przekonaniu, że trwa najdziwniejsza doba jego życia.

– Czy tłumaczka chciałaby coś jeszcze dodać? – zapytał.

Powiedział to bez ironii.

Nombeko uważała, że to dobrze, iż tematem spotkania będzie demokracja i prawa człowieka. Premier będzie mógł potem opowiadać, że tematem spotkania była demokracja i prawa człowieka.

Błyskotliwa, a przy tym cyniczna, pomyślał Fredrik Reinfeldt.

* * *

– Panie premierze, to zaszczyt móc się z panem spotkać, tym razem w bardziej cywilizowanych warunkach. – Przewodniczący Hu uśmiechnął się i podał Reinfeldtowi rękę. – Oraz z panią, panno Nombeko. Nasze drogi wciąż się krzyżują. Bardzo mnie to cieszy, muszę przyznać.

Nombeko była podobnego zdania. Wspominki z safari muszą jednak odłożyć na później, w przeciwnym razie premier zacznie się niecierpliwić.

– Zamierza zacząć z grubej rury. Powie coś o demokracji i prawach człowieka, z którymi według niego sobie nie radzicie. No i chyba coś w tym jest. Niech się pan przewodniczący nie martwi, podejrzewam, że będzie raczej delikatny. To co, możemy zaczynać?

Hu Jintao skrzywił się, słysząc, co go czeka, ale humor go nie opuszczał. Ta Południowoafrykanka była naprawdę czarująca. Po raz pierwszy współpracował z tłumaczem, który przekładał coś, co jeszcze nie zostało powiedziane. A w zasadzie po raz drugi. To samo miało przecież miejsce wiele lat temu w Republice Południowej Afryki.

I faktycznie premier starał się być delikatny. Opowiedział o szwedzkiej wizji demokracji, zaprezentował szwedzki pogląd na kwestię wolności słowa, po czym zaoferował przyjacielom w Chińskiej Republice Ludowej wsparcie w propagowaniu

podobnych wartości. Aż w końcu półgębkiem zażądał uwolnienia więźniów politycznych.

Nombeko wszystko przetłumaczyła, ale zanim Hu Jintao zdążył odpowiedzieć, dodała kilka słów od siebie. Premier chciał przez to powiedzieć, że nie mogą więzić pisarzy i dziennikarzy tylko dlatego, iż piszą niepopularne rzeczy. Nie powinni też przymusowo przesiedlać ludności, cenzurować internetu...

– O czym pani mówi? – zainteresował się premier.

Zauważył, że tłumaczenie było dwa razy dłuższe niż jego wypowiedź.

– Żeby trochę ożywić rozmowę, przekazałam to, co powiedział pan premier, i wyjaśniłam, co tak naprawdę miał na myśli. Oboje jesteśmy zbyt zmęczeni, by tu siedzieć przez cały dzień, prawda?

– Wyjaśniła pani, co miałem na myśli? Czyżbym nie wyraził się dostatecznie jasno? To dyplomacja na najwyższym szczeblu. Tłumacz nie może sobie ot tak czegoś dopowiadać!

Jasna sprawa. Nombeko obiecała, że postara się jak najmniej zmyślać. Wyjaśniła przewodniczącemu Hu, że premier nie życzy sobie, aby wtrącała się do ich rozmowy.

– Nie dziwi mnie to – odparł Hu Jintao. – Proszę przetłumaczyć, że wziąłem sobie do serca słowa pana premiera oraz pani Nombeko i mam na tyle politycznego obycia, żeby ocenić, kto jest autorem danej wypowiedzi.

Następnie Hu Jintao postanowił odeprzeć zarzuty. Wspomniał o więzieniu Guantanamo na Kubie, gdzie już od pięciu lat więźniowie czekają, by się dowiedzieć, o co są właściwie oskarżeni. Tak się też składa, że przewodniczący trochę wie o pewnym przykrym zdarzeniu z 2002 roku. Szwecja posłusznie zrobiła wtedy to, co jej kazało CIA, i deportowała dwóch Egipcjan, skazując ich tym samym na więzienie i tortury. Potem okazało się, że co najmniej jeden z nich był niewinny.

Przewodniczący i premier przerzucali się różnymi opiniami, aż wreszcie Fredrik Reinfeldt zmienił temat i wspomniał o środowisku naturalnym. Ta część rozmowy przebiegła bez większych zakłóceń.

Wkrótce podano herbatę i ciasto, również tłumaczcze. Atmosfera przy stoliku zrobiła się nieco bardziej swobodna. Przewodniczący

wykorzystał okazję i dyskretnie wyraził nadzieję, że dramatyczne wydarzenia dnia poprzedniego miały pomyślny finał.

Owszem, dziękuję, odparł premier. Nie brzmiał jednak zbyt przekonująco. Nombeko domyślała się, że Hu Jintao chętnie poznałby więcej szczegółów. Z grzeczności dodała więc ponad głowę Reinfeldta, że wszystko wskazuje na to, iż bomba zostanie zamurowana w schronie. Zaraz potem pożałowała tego, co powiedziała. No cóż, przynajmniej nie zmyślała.

W młodości Hu Jintao zajmował się zagadnieniami związanymi z bronią jądrową (wszystko zaczęło się od podróży do Republiki Południowej Afryki) i teraz żywo interesował się tą bombą. Miała już wprawdzie kilkadziesiąt lat i jako broń nie była Chinom potrzebna – jego kraj miał megaton pod dostatkiem. Ale jeśli wierzyć doniesieniom służb wywiadowczych, rozmontowana bomba mogłaby dać Chinom wgląd nie tylko w południowoafrykańską, lecz także w izraelską technologię produkcji broni nuklearnej. Co z kolei mogłoby pomóc w analizie relacji i układu sił między Izraelem a Iranem. Zresztą Iran i Chiny to dobrzy przyjaciele. Czy raczej dość dobrzy. Ropa naftowa i gaz ziemny płyną z Iranu na wschód. Chiny nie mają jednak trudniejszych sojuszników niż ci w Teheranie (pomijając może Pjongjang). Tych Irańczyków strasznie trudno rozgryźć. Czy próbują wyprodukować broń jądrową? A może tylko wymachują szabelką, a tak naprawdę jedyne, czym dysponują, to broń konwencjonalna?

Nombeko przerwała rozmyślenia Hu Jintao.

– Widzę, że pan przewodniczący jest zainteresowany bombą. Mam zapytać premiera, czy byłby gotów ją panu dać? W charakterze daru pogłębiającego przyjaźń i pokój między naszymi narodami?

Przewodniczący Hu pomyślał, że z pewnością istnieją bardziej odpowiednie pokojowe podarki niż trzymegatonowa bomba atomowa. Nombeko natomiast dodała, że Chiny mają już sporo tego typu bomb, a zatem jedna wte czy wewte nikomu nie powinna zaszkodzić. Jest w każdym razie pewna, że Reinfeldt byłby najszczęśliwszy, gdyby bomba znalazła się na drugim końcu świata. Albo jeszcze dalej, gdyby to było możliwe.

Hu Jintao odparł, że w naturze bomby atomowej leży powodowanie szkód, co oczywiście nie jest pożądane. I chociaż Nombeko przejrzała go w kwestii bomby, to składanie premierowi podobnych propozycji byłoby co najmniej nie na miejscu. Poprosił zatem, by Nombeko kontynuowała tłumaczenie, zanim premier znów się wścieknie. Było już jednak za późno.

– O czym wy, do cholery, rozmawiacie? – zapytał rozgniewany Reinfeldt. – Miała pani tylko i wyłącznie tłumaczyć!

– Przepraszam, panie premierze, chciałam tylko rozwiązać pewien pana problem – wyjaśniła Nombeko. – Ale nie udało mi się. Proszę, rozmawiajcie sobie dalej. O środowisku, prawach człowieka i tak dalej.

Premiera ponownie ogarnęło to samo dziwne uczucie, które towarzyszyło mu minionej doby. Znów zdarzyło się coś, co na zdrowy rozum nie powinno mieć miejsca – jego osobista tłumaczka przerzuciła się właśnie z porywania ludzi na porywanie rozmów z szefami obcych państw.

Przy obiedzie Nombeko udowodniła, że w pełni zasłużyła na honorarium, którego wcale przecież nie żądała i którego jej nie zaproponowano. Podtrzymywała ożywioną rozmowę przewodniczącego Hu, szwedzkiego premiera, prezesów Volvo, Electroluksu i Ericssona, prawie się przy tym nie wtrącając. Tylko kilkakrotnie coś jej się wymknęło. Jak wtedy, gdy przewodniczący Hu po raz drugi podziękował prezesowi Volvo za fantastyczny podarek, dodając, że Chińczycy nie potrafiliby skonstruować tak pięknych aut. Nombeko, zamiast znów tłumaczyć to samo, zaproponowała, żeby on i jego kraj po prostu kupili koncern Volvo. Dzięki temu nie będą mieli im czego zazdrościć.

Albo gdy prezes Electroluksu wspomniał o wprowadzaniu na chiński rynek produktów jego firmy. Wtedy Nombeko podsunęła Hu pomysł, aby jako sekretarz Komunistycznej Partii Chin pomyślał o małej electroluksowej zachęcie dla wszystkich lojalnych członków partii. Hu koncepcja Nombeko tak się spodobała, że od razu zapytał prezesa firmy, na jaki mógłby liczyć rabat, gdyby zamówił

sześćdziesiąt osiem milionów siedemset czterdzieści dwa tysiące ekspresów do parzenia herbaty.

– Ile? – zapytał prezes Electroluksu.

* * *

Wiadomość od premiera zastała dowódcę sił zbrojnych na urlopie w Ligurii. Miał po prostu wrócić do pracy. I to nie była prośba, to był rozkaz. W grę wchodziło bezpieczeństwo kraju. Dowódca miał przedstawić „aktualny status schronów wojskowych w Szwecji”.

Zameldował przyjęcie rozkazu, przez dziesięć minut zastanawiał się, co też premier mógł mieć na myśli, po czym zamówił transport myśliwcem Jas 39 Gripen, by dolecieć do kraju z prędkością, jakiej oczekiwał premier (to znaczy dwukrotnie przekraczającą prędkość dźwięku).

Jednostki szwedzkich powietrznych sił zbrojnych nie startują i nie lądują jednak na byle poletku w północnych Włoszech. Samolot został więc skierowany na lotnisko imienia Krzysztofa Kolumba w Genui. Sam dojazd do Genui potrwa co najmniej dwie godziny, biorąc pod uwagę ruch na autostradzie A10 i na włoskiej Riwierze. W związku z tym dowódca sił zbrojnych nie będzie w stanie dotrzeć do Kancelarii Rządu przed wpół do piątej po południu, niezależnie od tego, ile barier dźwiękowych by pokonał.

* * *

Obiad w Pałacu Sagera dobiegł końca. Pozostało jeszcze kilka godzin do spotkania z dowódcą sił zbrojnych. Premier czuł, że powinien być przy bombie, ale zdecydował, że jeszcze przez jakiś czas zaufa Nombeko i niegodnej zaufania Celestine. Był bowiem straszliwie zmęczony wszystkim tym, czym zajmował się przez ostatnie trzydzieści godzin bez chwili wytchnienia. Postanowił uciąć sobie drzemkę w kancelarii.

Nombeko i Celestine poszły w jego ślady, tyle że w kabinie ciężarówki na parkingu w Tallkrogen.

* * *

Nadeszła pora wyjazdu chińskiego przewodniczącego i jego świty. Hu Jintao był zadowolony z wizyty, jednak nawet nie w połowie tak bardzo jak jego żona Liu Yongqing. Podczas gdy dla jej małżonka niedziela oznaczała politykę i gotowanego dorsza w sosie maślanym, ona i inne wchodzące w skład delegacji kobiety odbyły dwie fantastyczne wizyty studyjne. Najpierw na targu w Vesterås, a następnie w stadninie koni w Knivście.

W Vesterås Liu zachwycała się pięknym autentycznym szwedzkim rękodziełem. Aż dotarła do stoiska z badziewiem z importu. Tam żona prezydenta zobaczyła – nie wierząc własnym oczom! – autentyczną glinianą gęś z czasów dynastii Han.

Liu Yongqing łamaną angielszczyzną trzykrotnie poprosiła sprzedawcę o powtórzenie ceny. Ten, sądząc, że kobieta się targuje, rzucił ze złością:

– Mówię przecież! *Dwadzieścia* koron za sztukę i ani öre mniej!

Gęś znalazł w jednym z kartonów pełnym rupieci, które kupił na wyprzedaży majątku po jakimś zmarłym z Sörmlandu (nieboszczyk zaś kupił gęś za trzydzieści dziewięć koron od jakiegoś dziwaka Amerykanina na bazarze Malma Marknad, czego jednak nie mógł wiedzieć obecny właściciel figurki). Właściwie miał już jej dość, ale ta cudzoziemka była zdecydowanie antypatyczna, do tego trajkotała ze swoimi psiapsiółkami w jakimś niezrozumiałym języku. Dlatego postanowił nie schodzić z ceny. *Dwadzieścia* koron albo do widzenia.

W końcu babsztyl zapłacił – pięć dolarów! Nawet liczyć nie umie.

Sprzedawca był zadowolony, żona przewodniczącego szczęśliwa. A jeszcze bardziej ucieszyła się, kiedy zakochała się w czarnym trzyletnim ogierze Morfeusza w stadninie w Knivście. Koń miał wszystkie cechy dorosłego konia, mierzył jednak metr w kłębie i – podobnie jak wszystkie kuce kaspijskie – taki miał już pozostać.

– Muszę go mieć! – powiedziała Liu Yongqing. Od kiedy została żoną przewodniczącego, nauczyła się stawiać na swoim.

To, co orszak zamierzał zabrać ze sobą do Pekinu, wygenerowało podczas odprawy w terminalu cargo na lotnisku Arlanda przekraczając ludzkie pojęcie papierkową robotę. Dysponowali tam nie tylko wszelkimi możliwymi narzędziami do załadunku i wyładunku, ale też rozległą wiedzą o koniecznych pieczętkach.

Cenna gęś z czasów dynastii Han prześlizgnęła się bez większych problemów. Gorzej było z koniem.

Przewodniczący siedział już w swoim fotelu w swoim samolocie i dopytywał swoją sekretarkę, dlaczego wylot się opóźnia. W odpowiedzi usłyszał, że z Torslandy nie dotarł jeszcze samochód Volvo. Większym problemem jest jednak koń, którego kupiła żona przewodniczącego. Na lotnisku byli jacyś dziwni, upierali się, że zasady są po to, by ich przestrzegać, nieważne, że tu chodzi o samolot przewodniczącego Chin.

Asystentka wyznała, że rozmowy idą jak po grudzie – tłumacz wciąż przebywa w szpitalu i do ich odlotu raczej nie wydobrzeje. Sekretarka oszczędzi przewodniczącemu szczegółów. Krótko mówiąc, delegacja chciałaby po raz ostatni skorzystać z usług tej kobiety z Republiki Południowej Afryki, o ile pan przewodniczący uzna to za stosowne. Czy mają zgodę pana przewodniczącego, by ją tu ściągnąć?

Nombeko i Celestine obudził telefon. Spały na waleta w kabinie stojącej na parkingu ciężarówki. Bez zwłoki ruszyły z bombą na pace do terminalu cargo na lotnisku Arlanda, by pomóc w odprawie celnej przewodniczącemu Chin i jego delegacji.

* * *

Jeśli masz za mało problemów, to na kilka godzin przed lotem na drugą półkulę spraw sobie w Szwecji ssaka, a potem uprzyj się, że zwierzę ma jechać razem z tobą.

Nombeko miała pomóc załatwić w Urzędzie do spraw Rolnictwa świadectwo wywozowe dla konia kaspjskiego, który kilka godzin wcześniej spojrział żonie przewodniczącego Chin głęboko w oczy.

Koń musi okazać właściwemu przedstawicielowi władz na lotnisku zaświadczenie o szczepieniach. Ponieważ Morfeusz był rasy kaspijskiej, a celem podróży Pekin, z uwagi na wymagania chińskiego Urzędu do spraw Rolnictwa należało też wykonać test Cogginsa, by ustalić, czy koń, urodzony i wyhodowany w Knivście, tysiąc kilometrów na południe od koła podbiegunowego, nie choruje na niedokrwistość zakaźną koni.

Ponadto na pokładzie samolotu powinny znajdować się środki uspokajające i strzykawki, na wypadek gdyby w powietrzu zwierzę dostało ataku paniki.

Zwierzę musiał także obejrzeć weterynarz rejonowy z ramienia szwedzkiego Urzędu do spraw Rolnictwa. Kiedy okazało się, że kierownik przychodni weterynaryjnych regionu sztokholmskiego przebywa w podróży służbowej w Rejkiawiku, Nombeko się poddała.

- Tę sprawę należy rozwiązać inaczej – powiedziała.
- Co masz na myśli? – zapytała Celestine.

Kiedy Nombeko pomogła żonie Hu Jintao rozwiązać koński problem, popędziła do Kancelarii Rządu, by porozmawiać z premierem. Miała po temu ważny powód. Chciała dotrzeć na miejsce przed dowódcą sił zbrojnych, postanowiła więc wziąć taksówkę. Celestine miała jechać spokojnie i nie zwracać na siebie ani na samochód niczyjej uwagi. Dała Nombeko słowo i pewnie by go dotrzymała, gdyby w radiu nie puścili Billy’ego Idola.

Kilkadziesiąt kilometrów na północ od Sztokholmu z powodu jakiegoś wypadku utworzył się korek.

Taksówka z Nombeko zdążyła jeszcze przejechać, natomiast ciężarówka utknęła w narastającym zatorze. Według późniejszej relacji Celestine nie była ona w stanie tkwić nieruchomo w korku, zwłaszcza gdy w radiu zaczęli grać *Dancing with Myself*. Postanowiła więc jechać dalej pasem przeznaczonym dla autobusów.

Tak się złożyło, że na północ od Rotebro wyminęła z niewłaściwej strony stojący w korku nieoznakowany radiowóz. Natychmiast została zatrzymana celem pouczenia.

Kiedy oficer policji otrzymał z centrali informację, że numery rejestracyjne należą do czerwonego fiata ritmo, z którego przed wielu laty skradziono tablice, jego kolega podszedł do Celestine; ta grzecznie opuściła szybę.

– Nie wolno pani jechać pasem dla autobusów, wypadek nie wypadek – powiedział aspirant. – Mogę prosić o prawo jazdy?

– Nie możesz, podły glino – odpowiedziała Celestine.

Po kilku minutach zamieszania siedziała w radiowozie, zakuta w kajdanki do złudzenia przypominające jej własne. A wszystko to na oczach stojących w korku kierowców, z lubością pstrykających zdjęcia.

Oficer policji miał za sobą wiele lat służby. Spokojnie wyjaśnił panience, że lepiej będzie, jeśli poda im dane swoje oraz właściciela ciężarówki i wyjaśni, dlaczego jeździ na fałszywych numerach. Tymczasem aspirant zajrzał do przyczepy. Stała tam duża skrzynia. Jeśliby z jednej strony podważyć, można by ją otworzyć... tak, da radę.

– A to co u licha? – zdziwił się aspirant i zawołał oficera.

Policjanci natychmiast wrócili do zakutej w kajdanki Celestine. Chcieli jej zadać kolejne pytania, tym razem dotyczące zawartości skrzyni. Ale ona była szybsza.

– Słuchajcie, chcieliście wiedzieć, jak się nazywam? – zapytała.

– Owszem – odparł wciąż spokojny oficer.

– Édith Piaf – powiedziała Celestine. I zaczęła śpiewać:

Non, rien de rien

Non, je ne regrette rien

Ni le bien qu'on m'a fait

Ni le mal; tout ça m'est bien égal!

Wciąż śpiewającą oficer zawiózł na posterunek w Sztokholmie. Pomyślał, że praca policjanta – cokolwiek się o niej mówi – na pewno jest urozmaicona.

Aspirant miał za zadanie ostrożnie przyprowadzić ciężarówkę.

O godzinie 16.30 w niedzielę 10 czerwca 2007 roku chiński samolot rządowy wystartował ze sztokholmskiego lotniska Arlanda.

Mniej więcej o tej samej porze Nombeko była z powrotem w Kancelarii Rządu. Wyjaśniwszy asystentce premiera, że musi przekazać jej szefowi ważną informację mającą związek z przewodniczącym Hu, wkroczyła do jaskini lwa.

Została wpuszczona do biura premiera kilka minut przed dowódcą sił zbrojnych. Fredrik Reinfeldt był w zdecydowanie lepszej formie – przespał prawie półtorej godziny. W tym czasie Nombeko dwoiła się i troiła na lotnisku Arlanda, wyczyniając cuda z dokumentami, końmi i całą resztą. Premier zastanawiał się, co jej leży na sercu. Planował, że skontaktują się dopiero po jego spotkaniu z naczelnym dowódcą i gdy nadejdzie pora na... jak by to powiedzieć... ostateczne zmagazynowanie bomby.

– No więc, panie premierze, wobec zaistniałych okoliczności spotkanie z naczelnym dowódcą jest już zbędne. Wskazane jest natomiast, by pan premier jak najszybciej zadzwonił do przewodniczącego Hu.

I Nombeko opowiedziała w skrócie o kaspijskim koniu rozmiarów kucyka i niekończących się procedurach, wymaganych, by zwierzę nie pozostało na ziemi, co z pewnością zirytowałoby żonę przewodniczącego oraz jego samego. Ale Nombeko znalazła niekonwencjonalne rozwiązanie: postanowiła umieścić konia razem z już elegancko odprawionym i gotowym do drogi volvem, które prezydent otrzymał w piątek od Volvo Torslandaverken.

– Czy ja na pewno chcę to wiedzieć? – przerwał jej premier.

– Obawiam się, że mimo wszystko tak będzie najlepiej – odpowiedziała Nombeko.

Okazało się jednak, że koń nie zmieści się do skrzyni z volvem. Ale gdyby zamknąć zwierzę w pudle z bombą atomową, a całą dokumentację przenieść z jednej skrzyni do drugiej, Szwecja za jednym zamachem pozbyłaby się kaspijskiego konika oraz bomby.

– Chce pani przez to powiedzieć, że... – zaczął premier, ale zaciął się w środku zdania.

– Jestem przekonana, że przewodniczący Hu będzie zachwycony. Bomba na pewno pomoże jego inżynierom znaleźć odpowiedzi na

wiele pytań. No a w Chinach, gdzie aż się roi od pocisków średniego i dalekiego zasięgu, jedna trzymegatonowa bomba nie zrobi chyba większej różnicy? Proszę też pomyśleć, jak cieszyła się żona prezydenta, że udało jej się wywieźć konia! Szkoda tylko, że volvo zostało w Szwecji. Mamy je w ciężarówce na ziemniaki. Pan premier mógłby jakoś załatwić, żeby auto jak najszybciej wysłano do Chin. Co pan premier na to?

Fredrik Reinfeldt nie zemdlał tylko dlatego, że nie zdążył. Asystentka zapukała do drzwi i poinformowała, że właśnie przybył dowódca sił zbrojnych i czeka pod drzwiami.

Jeszcze kilka godzin wcześniej w porcie w urokliwym San Remo dowódca jadł późne śniadanie z ukochaną żoną i trójką dzieci. Po alarmie z Kancelarii Rządu popędził taksówką aż do Genui, gdzie przesiadł się do modelowego egzemplarza dumy szwedzkich powietrznych sił zbrojnych, samolotu Jas 39 Gripen, który dwukrotnie przekraczając prędkość dźwięku, za kwotę trzystu dwudziestu tysięcy koron przetransportował go do Szwecji na lotnisko wojskowe Uppsala--Årna. Tam naczelny dowódca przesiadł się do samochodu. Spóźnił się kilka minut, bo na trasie E4 wydarzył się jakiś wypadek. Stojąc w korku, był świadkiem rozgrywającej się na poboczu scenki. Na jego oczach policja zatrzymała kobietę kierującą ciężarówką. Zakuli ją w kajdanki, a ona zaczęła coś śpiewać po francusku. Przedziwna sytuacja.

Spotkanie z premierem okazało się jeszcze dziwniejsze. Naczelny dowódca obawiał się, że może chodzić nawet o stan wojenny, skoro szef rządu tak stanowczo domagał się jego przyjazdu. Ale premier prosił tylko o potwierdzenie, czy szwedzkie schrony są wykorzystywane.

Naczelny dowódca odparł, że z tego, co wie, wszystkie spełniają swoją funkcję i że z pewnością w jednym czy drugim znajdzie się trochę niezagospodarowanych metrów sześciennych. Zależy oczywiście od tego, co pan premier chciałby tam przechowywać.

– Świetnie – powiedział premier. – Nie będę w takim razie zajmował panu czasu, ma pan chyba urlop.

Kiedy dowódca sił zbrojnych skończył rozmyślać nad tym, co się właściwie wydarzyło, i doszedł do wniosku, że nie da się tego ogarnąć, jego konsternacja przerodziła się w irytację. Że też nawet na urlopie nie można mieć chwili spokoju! W końcu zadzwonił do pilota samolotu Jas 39 Gripen, którym wcześniej przyleciał i który nadal znajdował się na lotnisku wojskowym na północ od Uppsali.

– Dzień dobry, tu naczelny dowódca. Czy może pan być tak miły i podrzucić mnie z powrotem do Włoch?

Kolejne trzysta tysięcy koron diabli wzięli. Oraz dodatkowe osiem tysięcy na taksówkę powietrzną, która przetransportowała dowódcę na lotnisko. Był to trzynastoletni śmigłowiec Sikorsky S-76, kupiony niegdyś za pieniądze z ubezpieczenia za skradzioną maszynę tego samego typu.

Piętnaście minut przed czasem dowódca sił zbrojnych dotarł na rodzinną kolację w San Remo, podczas której serwowano owoce morza.

– Jak spotkanie z premierem, kochanie? – zapytała żona.

– W następnych wyborach chyba zagłosuję na inną partię.

* * *

Przewodniczący Hu odebrał telefon od premiera jeszcze podczas lotu. W rozmowach na wysokim szczeblu nigdy nie używał swojej łamanej angielszczyzny. Jednak tym razem zrobił wyjątek. Zbyt ciekawiło go, czego może chcieć premier Reinfeldt. Już po chwili wybuchnął śmiechem. Z tej panny Nombeko jest naprawdę niezły numer, prawda?

Wprawdzie volvo to prawdziwe cacuszko, ale to, co otrzymał w zamian, jest o wiele lepsze. No i małżonka ucieszyła się, że udało się przewieźć konika.

– Dopilnuję, by samochód jak najszybciej dotarł do pana przewodniczącego – obiecał Fredrik Reinfeldt i otarł czoło.

– Dobrze. A może mógłby nim przyjechać mój tłumacz – zastanawiał się Hu Jintao. – O ile kiedykolwiek wydobrzeje. A niech tam! Proszę go dać pannie Nombeko, zasłużyła sobie.

Obiecał, że nie wykorzysta bomby w jej obecnej postaci. Natychmiast zostanie ona rozebrana na części i tym samym przestanie istnieć. Może pan premier Fredrik Reinfeldt chciałby potem dowiedzieć się, co odkryli inżynierowie atomowi prezydenta?

Nie, bez tej wiedzy on i jego (czy też króla) naród się obejdzie.

Tak odpowiedział Fredrik Reinfeldt i raz jeszcze podziękował przewodniczącemu Hu za wizytę.

* * *

Nombeko wróciła do apartamentu w Grand Hotelu i rozkuła wciąż śpiącego Holgera 1. Następnie cmoknęła w czoło także śpiącego Holgera 2 i przykryła kocem hrabinę, która przysnęła na wykładzinie przy minibarze w sypialni. Wróciła do swojego ukochanego, położyła się obok niego, zamknęła oczy – zdążyła jeszcze podumać, gdzie też podziewa się Celestine, po czym odpłynęła.

Obudziła się następnego dnia kwadrans po dwunastej, gdy Pierwszy, Drugi i hrabina obwieścili, że właśnie podano obiad. Gertrud spała najmniej wygodnie ze wszystkich. Dlatego też wstała jako pierwsza. Z nudów przewertowała hotelową broszurkę informacyjną, odkrywając przy tym coś fantastycznego. Otóż hotel tak to urządził, że gość najpierw wymyśla, co by chciał, następnie podnosi słuchawkę i mówi o tym komuś po drugiej stronie, ten ktoś dziękuje za rozmowę, po czym niezwłocznie dostarcza to, o co się poprosiło.

To *room service*. Hrabinie Virtanen obojętne było, jak to się nazywa i w jakim języku. Ale czy ta usługa faktycznie działa?

Najpierw, na próbę, zamówiła butelkę Napitku Marszałka – owszem, dostarczyli, chociaż zajęło im to godzinę. Potem ubrania dla siebie i pozostałych, dobierając rozmiary na oko. To zajęło im dwie godziny. A teraz trzydaniowy obiad dla wszystkich, poza małą Celestine. Nie ma jej przecież. Czy Nombeko wie, gdzie ona się może podziewać?

Nombeko, dopiero co rozbudzona, nie wiedziała. Coś się musiało jednak stać.

– Znikła z bombą? – zapytał Holger 2 i poczuł, jak rośnie mu temperatura.

– Nie, kochany, na dobre pozbyliśmy się bomby – powiedziała Nombeko. – To pierwszy dzień reszty naszego życia. Potem ci wyjaśnię. Teraz jedźmy. Później chcę się wykąpać i przebrać, po raz pierwszy od kilku dni. Następnie poszukamy Celestine. Świetny pomysł z tymi ciuchami, hrabino!

Obiad smakowałyby wybornie, gdyby nie biadolenie Holgera 1 z powodu zaginionej dziewczyny. A co, jeśli zdetonowała bombę, a jego przy tym nie było?

Między kęsami Nombeko powiedziała, że Holger, chcąc nie chcąc, byłby przy tym, gdyby Celestine zrobiła to, o co ją podejrzewał. Tak się jednak nie stało, bo siedzą tu wszyscy i jedzą makaron z truflami, żywi. Zresztą to, co przez tyle lat zatruwało im życie, znajduje się teraz na innym kontynencie.

– Celestine jest na innym kontynencie? – zapytał Holger 1.

– Jedz – odpowiedziała Nombeko.

Po obiedzie wzięła prysznic, włożyła nowe ubranie i zeszła do recepcji, by wprowadzić pewne ograniczenia dotyczące zamówień hrabiny Virtanen. Trochę za bardzo zasmakowało jej nowe arystokratyczne życie. Było tylko kwestią czasu, kiedy zacznie zamawiać odrzutowce i prywatne występy Harry’ego Belafonte’a.

W recepcji w oczy rzuciły jej się nagłówki popołudniówek.

Ten w „Expressen”, ze zdjęciem handryczącej się z dwoma policjantami Celestine, brzmiał:

ZATRZYMANIE
ŚPIEWAJĄCEJ
KOBIETY

Poprzedniego dnia kobieta w średnim wieku została zatrzymana przez policję za złamanie przepisów ruchu drogowego na drodze E4 na północ od Sztokholmu. Odmówiła okazania dokumentów,

utrzymując, że jest Édith Piaf. Śpiewała tylko *Non, je ne regrette rien*. Śpiewała i śpiewała, póki nie zasnęła w celi.

Policja nie chciała upubliczniać jej zdjęcia, w przeciwieństwie do popołudniówki „Expressen”, która wykupiła od osób prywatnych sporo doskonałych ujęć. Czy ktoś ją zna? Wiadomo, że to Szwedka. Według relacji robiących zdjęcia świadków zanim zaczęła śpiewać, znieważała funkcjonariuszy policji.

– Chyba wiem, co to była za zniewaga – wymamrotała Nombeko; zapomniała, że chciała porozmawiać z recepcjonistką o ograniczeniach w korzystaniu z *room service*, i wróciła do apartamentu z gazetą w ręce.

To sąsiedzi zauważyli na pierwszej stronie „Expressen” zdjęcie córki Gunnara i Kristiny Hedlundów. Dwie godziny później Celestine spotkała się z mamą i tatą w celi na posterunku w centrum Sztokholmu. Zdała sobie sprawę, że nie jest już na nich wściekła. Chciała tylko wydostać się z tego przekłętego aresztu i przedstawić im swojego chłopaka.

Policja niczego bardziej nie pragnęła, niż pozbyć się tej uciążliwej kobiety. Najpierw jednak trzeba było to i owo wyjaśnić. Ciężarówka na ziemniaki miała fałszywe tablice rejestracyjne, ale – jak się okazało – nie była kradziona.

Właścicielką okazała się babcia Celestine Hedlund, lekko stuknięta osiemdziesięciolatka. Twierdziła, że jest hrabiną i w związku z tym powinna być poza wszelkimi podejrzeniami. Nie potrafiła wyjaśnić, w jaki sposób fałszywe tablice rejestracyjne znalazły się na jej samochodzie. Podejrzewa, że mogło się to stać w latach dziewięćdziesiątych, gdy kilkakrotnie wypożyczała ciężarówkę młodzieży z Norrtälje w czasie wykopków. O tym, że młodym z Norrtälje nie można ufać, hrabina przekonała się latem 1945 roku.

Skoro już poznali tożsamość zatrzymanej, nie istniały powody, dla których należało ją dalej przetrzymywać w areszcie. Celestine Hedlund dostała tylko mandat za prowadzenie pojazdu bez zezwolenia. Przywłaszczenie sobie cudzych tablic rejestracyjnych

stanowiło oczywiście wykroczenie, ale niezależnie od tego, kto był złodziejem, kradzieży dokonano przed dwudziestu laty, przestępstwo uległo więc przedawnieniu. Jeżdżenie z fałszywymi tablicami rejestracyjnymi oznaczało wprawdzie, że przestępstwo nadal jest popełniane, ale oficer policji miał tak dość *Non, je ne regrette rien*, że postanowił to potraktować jako działanie nieumyślne. Policjant miał domek letniskowy pod Norrtälje. Poprzedniego lata skradziono mu z ogródka hamak. Może hrabina ma rację w sprawie chuligaństwa dzieciaków z Norrtälje.

Pozostawała jeszcze sprawa supernowego volva w przyczepie. Dowiedzieli się w fabryce, że samochód należy do przewodniczącego Chin Hu Jintao. Jednak po tym, jak zarząd Volvo skontaktował się z Pekinem, wyszło na jaw, że przewodniczący podarował samochód kobiecie, której nazwiska nie chciał zdradzić. Być może Celestine Hedlund. Nagle okazało się, że ta dziwaczna sprawa ociera się o wielką politykę. Zajmujący się nią oficer policji pomyślał, że nie chce nic więcej wiedzieć. Podobnego zdania był prokurator. Celestine Hedlund wypuszczono zatem na wolność: ona i jej rodzice odjechali volvem.

Oficer policji wołał nie patrzeć, kto siedzi za kółkiem.

Część 7

Nic nie trwa wiecznie, nawet kłopoty.
Charlie Chaplin

Rozdział 24

O istnieniu naprawdę i o przestawionym nosie

Holger 1, Celestine i hrabina Virtanen, która postanowiła zmienić nazwisko na Mannerheim, szybko przyzwyczaili się do wygod apartamentu w Grand Hotelu. W związku z tym nie śpieszyło im się z szukaniem odpowiedniego zamku.

Weźmy choćby ten *room service*. Do korzystania z uroków tej usługi udało się Gertrud namówić Pierwszego i Celestine. Po kilku dniach i oni złapali bakcyła.

Co sobota hrabina urządzała przyjęcie w salonie ich hotelowego apartamentu. Honorowymi gośćmi byli Gunnar i Kristina Hedlundowie. Czasami wpadał król z królową.

Nombeko nie wtrącała się. Rachunek za hotel był gigantyczny, ale pozostało im przecież jeszcze sporo ziemniaczanych pieniędzy.

Sama poszukała dla siebie i Drugiego lokum bezpiecznie oddalonego od hrabiny i dwójki jej popleczników. Nombeko urodziła się i wychowała w blaszanej budzie, Holger dorastał w targanym przeciągami domku. Potem, już wspólnie, mieszkali w budynku przeznaczonym do rozbiórki, a przez kolejne trzynaście lat w pokoiku na tyłach kuchni domu na końcu świata w Roslagen.

Na tym tle ich dwuipółpokojowe mieszkanko w sztokholmskiej dzielnicy Östermalm to luksusy, które jednak nie mogły oczywiście równać się z przyszłym zamkiem hrabiny.

Ale aby kupić mieszkanie, Holger 2 i Nombeko musieli najpierw zacząć istnieć.

Nombeko zajęło to jedno popołudnie. Premier zadzwonił do ministra do spraw migracji, on zaś do dyrektora Urzędu do spraw Migracji, który z kolei zatelefonował do swojego zaufanego współpracownika. Ten odnalazł notatkę z 1987 roku na temat

Nombeko Mayeki, zdecydował, że od tamtego czasu rzeczona osoba przebywa w Szwecji i niezwłocznie awansował ją na obywatelkę Królestwa.

Holger 2 z kolei wybrał się do siedziby Urzędu Skarbowego w sztokholmskiej dzielnicy Södermalm. Tam powiedział, że nie istnieje, ale że bardzo by chciał zmienić ten stan rzeczy. Po porządnej przebieżce od drzwi do drzwi po korytarzach instytucji został wysłany do biura Urzędu Skarbowego w Karlstad, gdzie pracował czołowy szwedzki specjalista od skomplikowanych spraw w zakresie ewidencji ludności, niejaki Per-Henrik Persson.

Persson był wprawdzie biurokrata, ale z tych pragmatycznych. Kiedy Holger opowiedział mu swoją historię, biurokrata ścisnął mu ramię. Według niego Holger jak najbardziej istnieje i każdy, kto myśli inaczej, jest w błędzie. Ponadto istnieją co najmniej dwa dowody na to, że Holger jest Szwedem. Po pierwsze – jego opowieść. Według Pera-Henrika Perssona trudno byłoby skonfabulować tak barwną biografię (a przecież Holger pominął wątek bomby). Drugim dowodem jest nie typowo szwedzki wygląd i sposób mówienia Holgera, ale fakt, że przed wejściem do wyścielonego dywanem biura Pera-Henrika Perssona zapytał, czy ma zdjąć buty.

By jednak formalnościom stało się zadość, Persson poprosił Holgera, aby wystarał się o jednego albo dwóch świadków, obywateli o nieposzlakowanej opinii, którzy za niego poręczą i potwierdzą historię jego życia.

– Jednego albo dwóch? – zapytał Holger 2. – Nie ma problemu. Czy premier i król wystarczą?

Per-Henrik Persson odparł, że wystarczy jeden z nich.

* * *

Hrabina Mannerheim i dwójka jej asystentów, zamiast szukać starego zamku, postanowili wybudować sobie nowy. Natomiast Holger 2 i Nombeko rozpoczęli nowe życie. Drugi uczcił swoją dopiero co pozyskaną egzystencję rozmową z profesorem Bernerem

z Uniwersytetu Sztokholmskiego, któremu zdradził wystarczająco dużo szczegółów ze swojego życia, by ten wyznaczył mu kolejny termin obrony. W tym czasie Nombeko z dziecinną łatwością zdawała swój egzamin z matematyki, a musiała uzyskać sto osiemdziesiąt punktów w dwanaście tygodni. Jednocześnie pracowała na cały etat jako ekspert do spraw Chin w Kancelarii Rządu.

Wieczorami i w weekendy chodzili razem na ciekawe odczyty albo do teatru, czasami do Opery Królewskiej, organizowali sobie wypad do restauracji albo spotykali się z nowymi przyjaciółmi. Wyłącznie takimi, których można było określić jako normalnych. Przebywając w swoim mieszkaniu, cieszyli się za każdym razem, gdy przez wrzutnię na listy wpadał jakiś rachunek. W końcu tylko ci, którzy naprawdę istnieją, otrzymują rachunki.

Holger i Nombeko wprowadzili też pewien rytuał; każdego wieczora tuż przed snem Holger nalewał im po szklaneczce porto, by uczcić kolejny dzień bez Holgera 1 i Celestine oraz bomby.

* * *

W maju 2008 roku dwunastopokojowy dworek w stylu västmanländskim był gotowy. Posesję otaczało pięćdziesiąt hektarów lasu. Holger 1 przekroczył ustalony przez Nombeko budżet i zakupił pobliskie jezioro, motywując to tym, że hrabina chciałaby od czasu do czasu połować szczupaki. Z powodów praktycznych pojawiło się także lądowisko dla helikopterów oraz helikopter, którym niemający licencji Holger latał do pałacu Drottningholm, gdy hrabina miała ochotę na herbatę albo kolację w towarzystwie swoich najlepszych przyjaciół. Czasami zapraszano także młodych, zwłaszcza po tym, jak założyli organizację non profit Utrzymać Monarchię, której ofiarowali dwa miliony koron.

– Dwa miliony, by utrzymać monarchię? – zdziwił się Holger 2, gdy razem z Nombeko stali z kwiatkiem w drzwiach nowo wybudowanej posiadłości.

Nombeko tego nie skomentowała.

– Sądzicie pewnie, że zmieniłem zdanie na pewne tematy? – zapytał ich Holger 1, zapraszając brata i jego dziewczynę do środka.

– Co najmniej – odpowiedział Holger 2.

Nombeko nadal milczała.

Holger 1 niezupełnie się z bratem zgodził. Walka taty miała swój początek za panowania innego króla, w innej epoce. Od tamtego czasu społeczeństwo rozwinęło się pod każdym względem. A nowe czasy wymagają przecież nowych rozwiązań, prawda?

Holger 2 stwierdził, że Holger 1 wygaduje jeszcze większe bzdury niż zwykle. Nie ma nawet pojęcia jak wielkie.

– Ale proszę, mów dalej, to nawet ciekawe.

No cóż, w dwudziestym pierwszym wieku wszystko pędzi z zawrotną prędkością: samochody, samoloty, internet... No, wszystko! Ludzie potrzebują więc czegoś stałego, trwałego i pewnego.

– Na przykład króla?

Na przykład króla. Monarchia ma przecież tysiącletnią tradycję, a taki internet istnieje dopiero od niespełna dziesięciu lat.

– A co ma do tego internet? – zapytał Holger 2, nie otrzymał jednak odpowiedzi.

Według Holgera 1 w epoce globalizacji narody powinny jednoczyć się wokół własnych symboli. Republikanie chcą sprzedać nasz kraj, wymienić naszą tożsamość na euro i znieważać szwedzką flagę.

Wtedy Nombeko straciła cierpliwość. Podeszła do Holgera 1, chwyciła jego nos między palce i przestawiła mu go.

– Aj! – wrzasnął Holger 1.

– Ach, jak przyjemnie – powiedziała Nombeko.

Celestine znajdowała się nieopodal w ich osiemdziesięciometrowej kuchni. Przybyła z odsieczą, usłyszawszy krzyk Holgera.

– Co robisz mojemu ukochanemu! – wrzasnęła.

– Nadstaw nos, to się dowiesz – odpowiedziała Nombeko.

Aż tak głupia Celestine nie była. Zamiast tego dokończyła myśl Holgera.

– Szwedzka tradycja jest zagrożona. Nie możemy siedzieć beczynnym na naszych tłustych tyłkach i się temu przyglądać. Dwa miliony koron to w obliczu tego nic. Tu stawką są unikatowe wartości, nie rozumiecie?

Tak powiedziała Celestine.

Nombeko wpatrywała się w jej nos. Ale Holger 2 był szybszy. Chwył swoją dziewczynę pod ramię, podziękował za zaproszenie i wyszedł razem z nią.

* * *

Emerytowany agent B siedział na ławce w Getsemani, poszukując spokoju ducha, który zawsze udawało mu się odnaleźć w tym biblijnym ogrodzie. Ale nie tym razem. Agent uzmysłowił sobie, że musi załatwić jeszcze jedną sprawę. Jedną jedyną. Potem ostatecznie pozostawi swoją przeszłość za sobą.

Wrócił do mieszkania, usiadł przed komputerem, zalogował się przez serwer w Gibraltarze – i przesłał anonimową, niezaszyfrowaną wiadomość prosto do kancelarii izraelskiego rządu:

„Zapytajcie premiera Reinfeldta o mięso antylopy”.

To wszystko.

Premier Olmert domyślił się, od kogo pochodził e-mail. Nigdy jednak formalnie tego nie sprawdził. Zresztą nawet nie próbował. W ostatnich latach kariery B nie zajmował wysokiej pozycji w hierarchii. Ale też nikt nie kwestionował jego lojalności wobec kraju.

* * *

29 maja 2008 roku podczas konferencji w Sztokholmie poświęconej sytuacji w Iraku izraelska minister spraw zagranicznych Cipi Liwni poprosiła premiera Reinfeldta na stronę. Przez chwilę szukała właściwych słów, po czym rzekła:

– Pan premier wie, jak to jest w naszej pracy. Czasem człowiek wie coś, czego nie powinien, a czasem odwrotnie.

Premier skinął głową. Domyślał się, do czego zmierza pani minister.

– Pytanie może się panu wydać dziwne. Jednak po namyśle ja i premier Olmert postanowiliśmy je panu zadać.

– Serdeczne pozdrowienia dla pana premiera. Proszę pytać – powiedział premier Reinfeldt. – Postaram się odpowiedzieć najlepiej, jak potrafię.

Minister Liwni milczała jeszcze przez chwilę, po czym rzekła:

– Czy pan premier wie coś na temat dziesięciu kilogramów mięsa antylopy, którym zainteresowany był Izrael? Raz jeszcze proszę o wybaczenie, jeśli to pytanie brzmi osobliwie.

Na twarzy premiera Reinfeldta pojawił się wymuszony uśmiech. Sprawa mięsa antylopy była mu dobrze znana. Nie przypadło mu ono do gustu – nie należało do jego przysmaków. Kwestię mięsa załatwiono tak, by w przyszłości nikt nie mógł go posmakować.

– Obawiam się, że jeśli pani minister ma dodatkowe pytania, będę zmuszony udzielić odpowiedzi w późniejszym terminie – zakończył premier Reinfeldt.

Nie, minister o nic już nie zamierza pytać. Nie podziela awersji premiera do mięsa z antylopy. Dla Izraela najważniejsza jest jednak świadomość, że nie znalazło się ono w rękach tych, którzy nie respektują międzynarodowych regulacji dotyczących wwozu i wywozu produktów pochodzenia zwierzęcego.

– Cieszę się, że dobre relacje między naszymi krajami pozostają niezmiennie – powiedział premier Reinfeldt.

– Owszem – odparła minister spraw zagranicznych Liwni.

* * *

Jeśli mimo wszystko Bóg istnieje, ma poczucie humoru.

Przez dwadzieścia lat Nombeko marzyła o dziecku z Holgerem 2. I kiedy już od pięciu lat nie miała nadziei, że się doczeka, a w lipcu 2008 roku skończyła czterdzieści siedem lat, okazało się, że jest w ciąży (w tym samym dniu, w którym George W. Bush postanowił,

że laureat Pokojowej Nagrody Nobla Nelson Mandela zostanie skreślony z amerykańskiej listy terrorystów).

Ale na tym boskie poczucie humoru się nie wyczerpało. Wkrótce bowiem okazało się, że to samo przytrafiło się nieco młodziej Celestine.

Holger 2 powiedział, że świat niczym sobie nie zasłużył na potomstwo Celestine i jego brata, niezależnie od tego, co by się o tym świecie myślało. Nombeko podzielała jego zdanie, ale nalegała, by nadal skupiali się na sobie, własnym szczęściu, a wariatom i babci jednego z nich pozwolili żyć ich życiem.

Tak też uczynili.

W kwietniu 2009 roku Holgerowi 2 i Nombeko urodziła się córka, 2860 gramów, śliczna jak laleczka. Nombeko uparła się, żeby małą nazwać Henrietta – po babci.

Dwa dni później Celestine w prywatnej klinice w Lozannie drogą planowanego cesarskiego cięcia urodziła bliźnięta. Niemal identyczne.

Chłopcy otrzymali imiona Karol i Gustaw.

* * *

Po narodzinach Henrietty Nombeko zrezygnowała z posady eksperta do spraw Chin. Lubiała swoją pracę, ale czuła, że niewiele więcej na tym polu zdołała. Trudno było na przykład sprawić, aby przewodniczący Chińskiej Republiki Ludowej był jeszcze bardziej zadowolony ze współpracy z Królestwem Szwecji. Ani przez chwilę nie żałował, że podarował Nombeko swoje piękne volvo. Ponieważ jednak samochód bardzo mu się podobał, zadzwonił do swojego dobrego znajomego Li Shufu w Zhejiang Geely Holding Group i zasugerował, aby kupić cały koncern. Po namyśle przewodniczący doszedł do wniosku, że prawdziwą autorką pomysłu była panna Nombeko.

– Zobaczę, co da się zrobić, panie przewodniczący – powiedział Li Shufu.

– A jeśli jeszcze wynegocjuje pan dobrą cenę za opancerzony egzemplarz dla przewodniczącego, będę zobowiązany – dodał Hu Jintao.

– Zobaczę, co da się zrobić, panie przewodniczący – powiedział Li Shufu.

* * *

Premier pojawił się na oddziale położniczym z kwiatkiem, aby pogratulować Nombeko i Holgerowi. I podziękować tej pierwszej za nieprzeciętne dokonania. Choćby za to, że udało jej się przekonać przewodniczącego Hu, by Szwecja sfinansowała katedrę praw człowieka na uniwersytecie w Pekinie. Premier nie potrafił pojąć, jak tego dokonała. Podobnie zresztą jak przewodniczący Komisji Europejskiej José Manuel Barroso, który zadzwonił do Reinfeldta z pytaniem: *How the hell did you do that?*

– Niech mała Henrietta dobrze się chowa – powiedział premier Nombeko. – Proszę dzwonić, gdy będzie pani gotowa wrócić do pracy. Jestem pewien, że znajdziemy dla pani coś ciekawego. Absolutnie pewien.

– Obiecuję. Niedługo pewnie zadzwonię. Mam przecież u boku najzdolniejszego na świecie ekonomistę, politologa i gospodarza domowego. Teraz jednak pan premier musi sobie iść. Pora nakarmić Henriette.

* * *

6 lutego 2010 roku przybywający z oficjalną wizytą przewodniczący Chińskiej Republiki Ludowej Hu Jintao wylądował na lotnisku Oliver Tambo International pod Johannesburgiem. Powitała go minister spraw zagranicznych Maite Nkoana-Mashabane wraz z innymi oficjelami. Przewodniczący Hu wygłosił na lotnisku krótkie przemówienie. Mówił o wspólnej przyszłości Chin i Republiki Południowej Afryki, o swoich nadziejach na zacieśnienie

wzajemnych relacji, o pokoju, o sytuacji na świecie oraz o innych sprawach, w które mógł sobie wierzyć ten, kto wierzyć chciał.

Na przewodniczącego czekał bogaty dwudniowy program, a następnie kolejny przystanek na trasie jego afrykańskiego tournée – Mozambik.

Tym, co odróżniało wizytę w Republice Południowej Afryki od odwiedzin w Kamerunie, Liberii, Sudanie, Zambii i Namibii, było życzenie przewodniczącego, aby całkowicie prywatnie spędzić wieczór w Pretorii. Gospodarze, rzecz jasna, nie odmówili. Dlatego około godziny dziewiętnastej wizyta państwowa została zawieszona. Wznowiono ją po śniadaniu dnia następnego.

Punkt dziewiętnasta po przewodniczącego do hotelu przyjechała czarna limuzyna, która zawiozła go do Ambasady Szwecji w Hartfield.

Gościa przywitała w drzwiach pani ambasador we własnej osobie wraz z mężem i dzieckiem.

– Witam, panie prezydencie – powiedziała Nombeko.

– Dobry wieczór, pani ambasador. Niech mnie kule biją, jeśli teraz nie pogadamy sobie o tamtym safari.

– Oraz o prawach człowieka – dodała Nombeko.

– Brrr – odpowiedział Hu Jintao i cmoknął panią ambasador w rękę.

Epilog

W Wydziale do spraw Higieny Miasta Johannesburga nie było już tak wesoło jak kiedyś.

Czarni od dawna pracowali tu na równych prawach zgodnie z systemem kwotowym. Każdy wiedział, jak to wpływało na biurowy żargon. Analfabetów w Soweto nie można już było na przykład nazywać analfabetami, nieważne, czy nimi byli, czy też nie.

Terrorystę Mandelę zwolniono w końcu z więzienia i już to było okropne. Jakby tego było mało, czarnuchy wybrały go na prezydenta. Mandela rujnował kraj, promując tę przeklętą równość dla wszystkich.

W ciągu tych trzydziestu lat w wydziale Pietowi du Toit udało się dochrapać stanowiska wicekierownika. Teraz jednak rozpoczął nowe życie. Zmarł jego despotyczny ojciec i jedynemu synowi (matka od dawna nie żyła) pozostawił w spadku dorobek całego życia. Tata był kolekcjonerem sztuki. Szkoda tylko, że był tak cholernie konserwatywny. I konsekwentnie nie słuchał rad syna. W swoich zbiorach miał Renoira, Rembrandta oraz tego i owego Picassa. Moneta i Maneta. A także Dalego i Leonarda da Vinci. I innych mistrzów. Wszystkie dzieła łączyło jedno – to mianowicie, że minimalnie zyskały na wartości. W każdym razie nie tyle, ile by mogły, gdyby ojciec nie był taki uparty. Poza tym stary działał kompletnie nieprofesjonalnie – cały kram porozwieszał na ścianach w domu zamiast w skarbcu z klimatyzacją.

Piet du Toit czekał w nieskończoność, by w końcu zrobić wszystko jak należy. Stary bowiem nie tylko nie chciał słuchać, ale też umrzeć. Dopiero gdy świętował dziewięćdziesiąte drugie urodziny i kawałek jabłka utknął mu w gardle, w końcu syn mógł przejść po nim schedę.

Spadkobierca odczekał do pogrzebu, a następnie prędko spieniężył obrazy ojca. Przed kilkoma minutami cały uzyskany ze sprzedaży dzieł kapitał zainwestował w sposób, z którego ojciec byłby dumny, gdyby tylko miał dość rozumu. Syn znajdował się w banku Julius Bär przy Bahnhofstrasse w Zurychu. Właśnie otrzymał potwierdzenie, że osiem milionów dwieście pięćdziesiąt sześć tysięcy franków szwajcarskich – rodzinny majątek – przelano na prywatne konto pana Cheng Tāo w Szanghaju.

Syn zainwestował w przyszłość. Zgodnie z prognozami w ciągu kilku lat wartość tradycyjnej sztuki chińskiej wzrośnie wielokrotnie. A to w związku z dynamicznym rozwojem Chin, gdzie tworzy się klasa średnia, a klasa wyższa jest coraz liczniejsza.

Z pomocą fantastycznego internetu Piet du Toit znalazł to, czego szukał, po czym udał się do Bazylei, gdzie dobił targu z niejakim Cheng Tāo i jego trzema siostrzenicami. Zakupił ich ekskluzywną kolekcję glinianych dzieł z czasów dynastii Han. Sprzedawcy okazali certyfikat autentyczności, który Piet du Toit dokładnie obejrzał przez lupę. Wszystko było bez zarzutu. Durne Chinole nie wiedziały, na jakiej żyle złota siedzą. Zamierzali razem z matką siostrzenic wrócić do Chin. Wrócić do Chin? Zamiast cieszyć się życiem w Szwajcarii? Piet du Toit czuł, że mógłby tu mieszkać, zamiast całymi dniami przebywać w otoczeniu niepiśmiennych tubylców. Wolałby żyć z sobie podobnymi ludźmi właściwej rasy, o odpowiednim obyciu, z klasą. Nie to co ten przygarbiony żółtek Cheng i jego zgraja. Dobrze robią, że jadą do tego zapomnianego przez Boga kraju, tam jest ich miejsce. Chyba już zresztą wyjechali, całe szczęście. Nie dowiedzą się, jak zostali nabici w butelkę.

Piet du Toit wysłał jedno z kilkuset właśnie zakupionych dzieł do domu aukcyjnego Sotheby's w Londynie z prośbą o wycenę. Szwajcarskiej firmie ubezpieczeniowej nie wystarczyły świadectwa autentyczności. Ależ z tych Szwajcarów potrafią być biurokraci. Ale co kraj, to obyczaj. Piet du Toit wiedział jednak swoje. On, tak doświadczony, tak obyty, miał pewność, że to autentyki. Powziął więc szybką decyzję, chcąc uprzedzić konkurentów, którzy mogli przecież podbić cenę. Tak się robi interesy.

Zadzwoił telefon. Rzeczoznawca z Sotheby's. Co do sekundy. Ludzie z klasą są punktualni.

– Tak, tu Piet du Toit, chociaż wolałbym *marszand* du Toit. Co takiego? Czy siedzę? Że co do cholery?

Podziękowania

Wielkie podziękowania składam mojej agentce Carinie, wydawcy Sofii i redaktorze Annie – świetna robota.

Serdeczne dzięki także dla moich pierwszych krytyków: Marii, Maud i wujka Hansa. No i oczywiście dla Rixona.

Dziękuję profesorom Lindkvistowi i Carlssonowi oraz komisarzowi Loeffelowi z Växjö za dostarczenie informacji, które przeinaczyłem według własnego uznania. Za to samo dziękuję mojemu przyjacielowi i korespondentowi w Afryce, Selanderowi.

Także Hultman w Zurychu zasłużył na podziękowanie. I Brissman, mimo że kibicuje Djurgården.

Na koniec pragnę podziękować mamie, tacie, klubowi piłkarskiemu Östers IF oraz Gotlandii – za to, że istniejecie.

Jonas Jonasson

¹ We wrześniu 1946 roku cadillac króla Gustawa V, wracającego z polowania na łosie, wypadł z zakrętu na obrzeżach Sztokholmu. Potem okolicę, w której wydarzył się wypadek, nazwano „Kungens kurva”, czyli Królewski Zakręt. Obecnie jest to nazwa kompleksu handlowego w tej okolicy. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

² Oryg. *Därför är jag republikan.*